**OBSESJA NIEPODLEGŁOŚCI**
Szaleństwo, które łączy nas wszystkich

**IRENA SANTOR:**
Co to w ogóle jest śpiewanie

**PRYMAS MUSZYŃSKI:**
Nie rozumiem zakazu dla ks. Bonieckiego

**ANDRZEJ STASIUK**
fruwa z diabłem nad Beskidem

Kraków 1-7 stycznia 2018 nr 1-2 (3573-3574) cena 9,90 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

**Czego chce Bóg?**
**Którędy do raju?**
**Kto ukradł nam język?**
**Jaki będzie nowy ustrój?**
**Czy w maszynach obudzi się duch?**

# Odpowie rok 2018

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

MANTA

*Polska firma rodzinna*

**Polska firma**
**dla naszych rodzin.**

**Szczęśliwego Nowego Roku!**

Kamil Grosicki Dominika Grosicka

KS. ADAM

# Boniecki: *Myśli na przełomie*

Nie chcę pisać przepowiedni na rok 2018, nawet jeśli zeszłoroczne się spełniły. Wszystkie – z wyjątkiem tej dotyczącej biskupa (dziś arcybiskupa) Grzegorza Rysia. Nie przewidziałem bowiem wymiany między Łodzią a Krakowem. Ale kto ją przewidział? Co zaś do 2018 r. już wiadomo: w Polsce jego patronami będą, z woli Sejmu, abp Ignacy Tokarczuk (stulecie urodzin) oraz (w dziesiątą rocznicę śmierci) Irena Sendlerowa, której rewelacyjna biografia pióra Anny Bikont właśnie się ukazała. Wiadomo też, że rok 2018 będzie Rokiem (wspominania) Konfederacji Barskiej (1768–1772) oraz (realizowania?) Praw Kobiet, gdyż obchodzimy właśnie stulecie przyznania polskim kobietom praw wyborczych. Wydarzeniem kościelnym będzie XV Zwyczajne Zgromadzenie Synodu Biskupów na temat „Młodzież, wiara i rozeznanie powołania". Opracowano już dokument przygotowawczy i kwestionariusz – odpowiedzi posłużą do opracowania dokumentu roboczego. My tymczasem czekamy na zapowiedziane w czerwcu 2017 r. „wytyczne" dotyczące Synodu z 2015 r., mianowicie aplikacji ósmego rozdziału posynodalnej adhortacji „*Amoris laetitia*" o komunii św. dla rozwiedzionych żyjących w nowym związku.

Koniec odchodzącego 2017 r. naznaczyły pogrzeby ludzi, których można uznać za symbole epoki. 2 grudnia zmarł prof. Jerzy Kłoczowski. 10 grudnia we francuskim Rennes – François Régis Hutin, dziennikarz, szef wielkiego przedsięwzięcia prasowego „Ouest-France".

Profesor Kłoczowski, znakomity historyk, był m.in. współinicjatorem opracowania podręcznika dziejów Polski, Litwy, Ukrainy i Białorusi, nad którym razem pracowali historycy z tych krajów. Jako badacz losów polskiego chrześcijaństwa i Kościoła w Polsce pokazał, jak rzetelnie uprawiana historia może służyć zasypywaniu dawnych przepaści dzielących ludzi i narody.

Hutin – o którym piszę też w dziale Wiara – był wzorem dziennikarza kierującego się zasadami chrześcijańskiej etyki. Obowiązujący w „Ouest-France" kodeks etyczny, połączony z talentem dziennikarskim i organizacyjnym, okazały się drogą do niebywałego sukcesu. Pismo jest dziś frankojęzycznym dziennikiem o największym nakładzie.

Śmierć tych dwóch wielkich ludzi, obu głęboko wierzących katolików, wywołała we mnie dojmujące poczucie przemijania epoki, w której oni i podobni do nich wielcy ludzie, w okolicznościach bynajmniej nie komfortowych, zajęli ważne miejsce w społeczeństwie, wywarli ogromny wpływ na swoją epokę i stali się niepodważalnymi autorytetami. Ja, stary człowiek, żegnając ich i inne, jak oni wielkie autorytety, czuję powiększającą się wokół pustkę. Stary człowiek z niepokojem pyta, czy znajdą się następcy, czy też takich postaci już nie ma?

Pocieszam się myślą, że ci wielcy – Hutin, Kłoczowski, Turowicz, Bartoszewski, ks. Tischner, kardynał Wyszyński, ks. Jan Zieja, Jacek Kuroń i inni bohaterowie mojej wczesnej czy późnej młodości – długo pozostawali nieznani. Obdarzeni niezwykłymi talentami, pracowali jak inni (może tylko nieco więcej niż inni) i nie zajmowali się kreowaniem własnej wielkości. A że byli tymi, kim byli, z biegiem lat, niepostrzeżenie wyrastali nad innych i prędzej lub później musieli zostać odkryci, zauważeni, uznani. Czy są pokolenia bez wielkich postaci? Bez świętych, bez mędrców, mistrzów i autorytetów? Pewnie nie ma, więc tym lepiej, im wcześniej w otaczającym świecie odkryjemy obecność wielkich ludzi naszych czasów.

Mówi się niekiedy, że żyjemy w czasach bylejakości, bez prawdziwych autorytetów. Ale może my prawdziwych autorytetów wcale nie chcemy, a na miejsce zajmowane dotąd przez autorytety stawiamy podobne do nas miernoty, „autorytety" na nasz własny obraz i podobieństwo? Autorytety prawdziwe zaś co najwyżej uznajemy dopiero po ich śmierci? Iluż jest pośmiertnych piewców wielkich ludzi, którzy kiedy ci żyli, albo ich lekceważyli, albo zatruwali im życie.

Do siego roku!

©℗


## W następnym numerze „Tygodnika"

„**NIE MAM ZŁUDZEŃ**, *i w Brukseli nikt ich też raczej nie ma, że wszystkie te decyzje, z tak różnych dziedzin – jak Puszcza Białowieska, sądy, Trybunał Konstytucyjny – mają wspólny mianownik. Są one jakby uszyte na miarę tego wymarzonego konfliktu z Unią Europejską, jako ograniczającą wszechwładzę rządzącej partii*"

**– mówi przewodniczący Rady Europejskiej DONALD TUSK**

**w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego", który opublikujemy w kolejnym numerze.**

W rozmowie Tusk wyjaśnia również, jak realna polityka zmieniła mu światopogląd, z kim PiS może przegrać wybory, kreśli scenariusz Polexitu i tłumaczy, jak ocalić Unię Europejską przed katastrofą.

GRAŻYNA MAKARA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

## NA OTWARCIE NOWEGO ROKU

**24 KRAJ Najważniejsza gra przyszłego roku**
RAFAŁ MATYJA: *Los polskiego samorządu nie sprowadza się tylko do wyniku wyborów. Chodzi o to, czy potrafimy go wymyślić na nowo i dostosować do rzeczywistości.*

**68 ŚWIAT Rejs do raju**
MAREK RABIJ: *Kiedyś nieuniknione były tylko śmierć i podatki. Dziś elity finansowe globu jeszcze nie potrafią kupić sobie nieśmiertelności, za to płacenie podatków scedowały na maluczkich.*

**38 WIARA**
**Tak działa Bóg**
*Jeśli ktoś w przestrzeni publicznej deklaruje przywiązanie do wiary, a później krzewi strach przed drugim człowiekiem, to mamy do czynienia albo z kiepskimi fundamentami tej wiary, albo ze służeniem fałszywej ideologii.*
ROZMOWA Z ABP. HENRYKIEM MUSZYŃSKIM, PRYMASEM SENIOREM

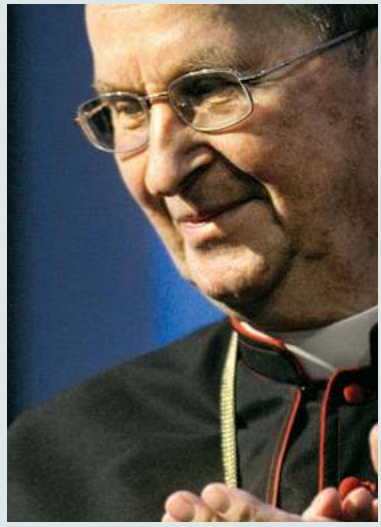

**90 NAUKA Zaczęło się**
ŁUKASZ LAMŻA: *Po cichu i konsekwentnie sztuczna inteligencja wdziera się w kolejne dziedziny naszego życia. Ani się obejrzymy, jak zaczniemy ją traktować jako coś zupełnie naturalnego.*

**56 Z ODDECHEM Opowieść sylwestrowa**
ANDRZEJ STASIUK: *Zaparkował po lewej stronie obok mnie. Szyby były czarne jak połyskująca smoła. Ta w drzwiach opuściła się. Zobaczyłem dłoń, która pokazała, żebym opuścił swoją. Zrobiłem to.*

**96 KULTURA Prawa strona języka**
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Język prawicy jest dziś w ofensywie nie za sprawą tych, którzy w niego szczerze wierzą, lecz dzięki tym wszystkim, którzy go na własny użytek oswoili.*

DARIUSZ GORAJSKI / FORUM // MACIEJ BIEDRZYCKI / FORUM // ADAM GOLEC / AGENCJA GAZETA // YA BRESSE / EAST NEWS // CHRIS MCGRATH / GETTY IMAGES // ZYGMUNT JANUSZEWSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

**6 Franciszek rządzi**
EDWARD AUGUSTYN

**8-14 Wiadomości / Komentarze**

**22 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

**54 Tygodnik Czytelników**

■ ■ TEMAT TYGODNIKA

**16 Obsesja niepodległości**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

■ ■ KRAJ

**24 Najważniejsza gra przyszłego roku**

**27 PiS na drodze do ostatecznej skuteczności** MARCIN MATCZAK

**30 Kiedy państwo przestaje być teoretyczne** KLAUS BACHMANN

**32 Fabryki na emeryturze**
BARTOSZ KLIMAS

**35 Mleczna droga**
JUSTYNA DĄBROWSKA

**36 Szczęśliwy gawron**
GRZEGORZ TURNAU: *Pożegnanie Leszka Aleksandra Moczulskiego*

■ ■ WIARA •

**38 Tak działa Bóg**

**42 Czy grozi nam pluszowe chrześcijaństwo**
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

**46 Zapatrzony w nicość**
BŁAŻEJ STRZELCZYK *o Bracie Albercie*

**48 Spór o obelisk Marii Panny**
TOMASZ MAĆKOWIAK

■ ■ Z ODDECHEM

**56 Opowieść sylwestrowa**

Okładka: Marek Trojanowski / za ryciną Flammariona, Paryż 1888 r.


■ FELIETONY ■

**37** ANNA DZIEWIT-MELLER
**52** SZYMON HOŁOWNIA
**106** JAN KLATA
**113** PAWEŁ BRAVO
**114** STANISŁAW MANCEWICZ
**114** BARTOSZ MINKIEWICZ

Redaktor prowadzący:
MARCIN ŻYŁA


**KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW**

Następne wydanie „Tygodnika Powszechnego" ukaże się

■ w WYDANIU PAPIEROWYM – w kioskach i salonach prasowych w środę 10 stycznia

■ w E-WYDANIACH, w wydaniu internetowym, w wydaniu na Kindle'a i w aplikacji – we wtorek 9 stycznia wieczorem.


**60 Latająca Kuba**
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

**62 Kram z piosenkami**
ROZMOWA Z IRENĄ SANTOR

■ ■ ŚWIAT •

**68 Rejs do raju**

**72 Rosja na progu**
ANNA ŁABUSZEWSKA

**75 Ukraińska kontrrewolucja**
WOJCIECH KONOŃCZUK *o korupcji*

**78 Jemen: tysiąc dni** MARCIN ŻYŁA

■ ■ HISTORIA

**82 Pierwszego stycznia roku osiemnastego**
TOMASZ TARGAŃSKI

**86 By człowiek przeżył**
MICHAŁ OKOŃSKI *o Irenie Sendlerowej i pamięci Sprawiedliwych*

■ ■ NAUKA •

**90 Zaczęło się**

**94 Przedszkole AI**
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ KULTURA •

**96 Prawa strona języka**

**100 La-Lita**
AGNETA PLEIJEL *o Zuzannie Ginczance*

**102 Wielki, bo nam z oczu zszedł**
DARIUSZ KOSIŃSKI *o Wyspiańskim w krakowskim Muzeum Narodowym*

**104 Strategia przetrwania**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dzikie róże"*

**105 Warto zobaczyć w TV**

**106 Wśród książek**

■ ■ ZMYSŁY

**108 Arka dla ziaren**
MICHAŁ KUŹMIŃSKI



**TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Anna Goc, Szymon Hołownia, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk, Marcin Żyła
**Kraj:** Paweł Bravo (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Redaktor wydań specjalnych** Michał Okoński
**Felietoniści:** Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Błażej Strzelczyk
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
**TP Typografia:** Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Marta Filipiuk-Michniewicz, Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
**Adres wydawcy i redakcji:** 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
**Reklama, promocja:** tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
**Prenumerata:** tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl



REKLAMA

S-NET — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

L'OSSERVATORE ROMANO / EAST NEWS

# Franciszek rządzi

EDWARD AUGUSTYN

Mam przeczucie, że mój pontyfikat będzie krótki: cztery, pięć lat" – powiedział papież rok temu, w dniu 80. urodzin. Zaczęto wtedy spekulować, czy i kiedy wzorem poprzednika złoży urząd. Tymczasem zdaje się, że jego słowa znaczyły po prostu tyle: mam dużo lat, mało czasu i coraz mniej sił, by dokończyć to, co rozpocząłem. Zadanie, jakiego się podjął, można było przewidzieć już pięć lat temu, gdy po wyborze ogłosił swoje nowe imię.

**„IDŹ I ODBUDUJ MÓJ KOŚCIÓŁ"** – usłyszał osiem wieków temu św. Franciszek z Asyżu. Czy idąc na konklawe kardynał Bergoglio patrzył na „Kościół w ruinie"? Na pewno wiedział, że trzeba odnowić rzymską kurię – skostniałą, sklerykalizowaną, w dużej części skorumpowaną – której nie udało się zreformować jego poprzednikom.

Specjalna rada kardynałów przez cztery lata sprawdzała kolejne dykasterie. Do grudnia 2017 r. miała zakończyć prace i podpowiedzieć papieżowi, jak zmienić zbiurokratyzowany urząd w sprawne narzędzie ewangelizacji. Nie obyło się bez problemów i nietrafionych decyzji personalnych: jeden z ośmiu doradców papieża, kard. George Pell, został oskarżony o molestowanie seksualne nieletnich; inspektorowi generalnemu Instytutu Dzieł Religijnych, odpowiedzialnemu za uzdrowienie watykańskich finansów, zarzucono szpiegostwo. Jednak wszystko wskazuje na to, że w nowym roku reforma wejdzie w życie. I tylko

*81. urodziny papieża Franciszka, Watykan, 17 grudnia 2017 r.*

w stołówce Domu św. Marty nie da się już zjeść obiadu z papieżem. Od kilku miesięcy Franciszek siada przy bocznym stole, tyłem do sali, w gronie najbliższych współpracowników.

**REWOLUCJA DOKONUJE SIĘ TEŻ GDZIE INDZIEJ.** W doktrynie, która – wbrew temu, co mówią konserwatywni krytycy papieża – musi się zmieniać, skoro ma się rozwijać, i w nowym spojrzeniu na człowieka. Że jest on, człowiek, pierwszą i najważniejszą drogą Kościoła, pisał już Jan Paweł II. Że każdemu należy się szacunek i pomoc – uczył Benedykt XVI. Obaj, tak jak Franciszek, apelowali o solidarność z ubogimi, cierpiącymi, prześladowanymi. Wołali o pomoc dla uchodźców. Podobnie (choć w znacznie mniejszej skali) przeznaczali swe dochody na działania charytatywne. Franciszek idzie jednak krok dalej, inaczej kładzie akcenty. Mówi, że skoro każdemu człowiekowi, bez względu na to, kim jest, w co wierzy, jak myśli i kogo kocha, Bóg okazał miłosierdzie, to i my inaczej nie możemy postąpić. Wszyscy jesteśmy grzesznikami. „Kimże ja jestem, żeby ich osądzać".

**NOWY PUNKT WIDZENIA WIELE TŁUMACZY.** Wyczuwa się go nie tylko w półprywatnych medytacjach „proboszcza u św. Marty", jak nazywają Franciszka w Watykanie, ale też w oficjalnych przemówieniach i dokumentach. Adhortacja o małżeństwie i rodzinie „*Amoris laetitia*", a ściślej jeden jej przypis o możliwości komunii dla osób rozwiedzionych, budzący tak wiele dyskusji, jest tego dobrym przykładem.

Papież nie tworzy nowych reguł, nie mówi, kiedy wolno, a kiedy nie można udzielać sakramentów. O grzechu i winie powinno decydować sumienie, nie suchy przepis. Widzi człowieka i jego problem nie z wysokości nauczycielskiego urzędu, *ex cathedra*, ale z perspektywy konfesjonału. Z bliska, twarzą w twarz. ©℗

# *Pan na Polsce*

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jeszcze nigdy żaden człowiek nie miał takiej władzy nad Polską. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza mieliśmy silnych liderów – choćby premierów Millera i Tuska. Wszyscy oni jednak ograniczeni byli instytucjami i procedurami, a dodatkowo ambicjami innych polityków obozu władzy, zwłaszcza prezydentów. Pod tym względem od momentu dojścia do władzy PiS sytuacja ulega drastycznej zmianie.

Nie dość, że Jarosław Kaczyński rządzi z tylnego fotela, nie dość, że instytucje pacyfikuje i przejmuje, a procedury omija lub lekceważy, to jeszcze zwasalizował prezydenta. Co prawda przez ostatni rok Andrzej Duda kilkakrotnie próbował się odróżnić od obozu władzy, ale jego polityczny bunt, konstytucyjna czupurność i partyjna krnąbrność mają granicę. Jest nią Kaczyński. Duda kłócąc się z PiS, nigdy nie kłóci się z Kaczyńskim i ani słowem nie podważa jego pozycji. W ten sposób to Kaczyński podejmuje wszystkie kluczowe decyzje polityczne i prawne, nie musząc słuchać prezydenta, premiera i ministrów, którzy za to muszą słuchać jego.

Ostatni rok pokazał, że Konstytucja w Polsce nie obowiązuje. Obowiązuje tylko jej interpretacja autorstwa prezesa PiS. Taki system ma oczywiście masę wad. Przede wszystkim opiera się na założeniu, że lider jest nieomylny, czego o Kaczyńskim powiedzieć nie sposób. Po wtóre, wyłączone są w nim wszystkie mechanizmy kontrolne, przewidziane na wypadek jego omylności. Po trzecie – nie ma żadnego wariantu awaryjnego na wypadek poważnej choroby czy śmierci jedynowładcy.

To, jak działa obóz władzy, zależy od wyłącznej woli prezesa, co pokazuje rządowa rekonstrukcja. Po pół roku zapowiadania dużych zmian i nowego otwarcia prezes jedynie zamienił miejscami panią premier i jej wicepremiera. Nikt nawet nie pisnął.

W myśleniu Kaczyńskiego – wiele na to wskazuje – Morawiecki ma być ofertą dla klasy średniej i biznesu: pracujcie, bogaćcie się, ale nie wtrącajcie się do polityki. Porównanie Kaczyńskiego do Putina to chwyt wyświechtany, obecny w Polskiej polityce od ponad dekady. Gdyby jednak odłożyć polityczne emocje na bok, to faktem jest, że model oparty na jedynowładztwie nieomylnego lidera to jest Wschód – od Rosji przez Azję Środkową po Chiny. Tam także władcy pozwalają się dorabiać pod warunkiem unikania polityki.

Oczywiście Kaczyński nie jest Putinem ani Xi Jinpingiem. Nie będzie dopóty, dopóki w Polsce nie ma zagrożenia dla demokratycznych wyborów. Pierwsze wybory pod kontrolą PiS już na jesieni 2018 r. To będzie coś więcej niż elekcja samorządów. To będzie test dla PiS i dla Kaczyńskiego, jaka jest dla nich cena utrzymania władzy. Jedynowładzy. ©

JACEK TARAN DLA „TP"

**W DNI PROTESTÓW** pod sądami, Kraków, 20 lipca 2017 r.

## Gospodarka na najwyższym biegu

**POLSKA GOSPODARKA** ma za sobą bardzo ciekawy rok.
Po raz pierwszy liczba wolnych etatów znacznie przewyższa liczbę chętnych do ich podjęcia.
Po raz pierwszy w krótkich dziejach polskiego wolnego rynku pensje najsłabiej wynagradzanych pracowników rosną szybciej od zarobków tych, którzy inkasują co miesiąc kwotę znacznie powyżej średniej.
Po raz pierwszy od ćwierćwiecza polski budżet nie witał też półmetka roku z debetem na koncie – przeciwnie, cieszył się nawet nadwyżką. Wreszcie, po raz pierwszy od dłuższego czasu polski złoty złapał dłuższą falę umocnienia do najważniejszych walut.
Czy zatem polska gospodarka ma za sobą udany rok?

Czy budżetowy cud nad Wisłą, ogłoszony przez rząd, rzeczywiście zasługuje na to miano, skoro z końcem roku zmienił się w deficyt?
Czy można być spokojnym o polską politykę socjalną, gdy politycy obozu rządzącego jedną ręką piszą ustawę obniżającą wiek emerytalny, a w tym czasie drugą kładą podpis pod (ostatecznie wstrzymanym) zniesieniem limitu składek na ZUS?
Wreszcie – jak cieszyć się z prognoz wysokiego tempa rozwoju gospodarki w przyszłym roku, gdy niemal pewne staje się to, że rząd nie zamierza wykorzystać bieżącej hossy do przygotowania się na ewentualne spowolnienie? W kolejnym budżetowym rozdaniu UE na pewno nie będzie dla Polski tak hojna jak dotychczas i niemal na pewno odczuje to polska gospodarka. A kto wie, czy nie odczuje tego jeszcze wcześniej za sprawą uruchomienia artykułu 7. traktatu o UE.
Na dobrą sprawę trudno w tej chwili nawet wykluczyć, czy władzy ten scenariusz przypadkiem nie odpowiada. ©℗

MAREK RABIJ

LICZBA NOWEGO ROKU

**3,6%**

**to prognoza tempa wzrostu gospodarczego Polski w 2018 r.**

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

# Światła i ogień

**MASOWE DEMONSTRACJE** przestały być w Polsce czymś nadzwyczajnym i stały się trwałym elementem życia publicznego. Trwałość nie oznaczała jednak stabilności, co ten rok potwierdził aż nadto wyraźnie. Poczucie sukcesu po lipcowym wecie prezydenta, którego domagano się w czasie wielkich świetlnych manifestacji w obronie sądów, z końcem roku zamieniło się w gorzką klęskę, rodzącą desperację i obywatelską depresję. Ku nieskrywanej satysfakcji polityków PiS-u liczebność protestów znacznie spadła w grudniu, a przeciwnicy i krytycy poczynań obecnej władzy zastanawiają się, czy dalsze manifestacje mają sens, skoro nie przynoszą praktycznych skutków, a wyczerpują i tak niewielką energię społeczną.

**NA TE WĄTPLIWOŚCI** najłatwiej odpowiedzą przedstawiciele ugrupowania rządzącego obecnie Polską. Powtarzają oni, że budowany przez nich system to najprawdziwsza demokracja. To niewątpliwie prawda, jeśli przyjąć klasyczną definicję z „Polityki" Arystotelesa, zgodnie z którą demokracja to patologia polegająca na ucisku mniejszości przez większość. PiS oczywiście nie pozbawia mniejszości prawa głosu, prawa do protestów itd., ale podstawowym problemem tej władzy jest to, że nie chce i nie potrafi przyznać mniejszości prawa do racji i nie jest w stanie powstrzymać się przed poniżającym odmawianiem przeciwnikom sensownego i wartościowego uprawnienia dla ich krytyki i protestów. Oczywiście ludzi PiS-u też nikt nie oszczędzał, ale właśnie dlatego, że sami kiedyś byli „garstką oszołomów", w odpowiedzi na wątpliwości obecnej opozycji mogą jak nikt inny zaświadczyć, że uparta cierpliwość nieustannie poniżanych z biegiem czasu okazuje się ogromną siłą.

**ROK 2017** byłby po prostu kolejnym rokiem masowych demonstracji, gdyby nie 19 października i samospalenie Piotra Szczęsnego. Niezależnie od tego, jak bardzo i jak łatwo (bo przecież to w sumie bardzo łatwe) politycy rządzącej partii będą się wypierać odpowiedzialności za tę śmierć, pozostaje ona ofiarą ich demokracji, tak jak ofiarą eskalacji politycznych emocji w czasch PO pozostaje Marek Rosiak, zastrzelony dokładnie siedem lat wcześniej, też 19 października.

**A GDYBY TAK TEN WŁAŚNIE DZIEŃ** zacząć obchodzić jako pozapartyjny dzień obrony obywateli przed taką demokracją? ©

DARIUSZ KOSIŃSKI

## Cień pani prezydent

**HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ od kilku dni nie jest wiceprzewodniczącą Platformy Obywatelskiej. Choć urząd prezydenta Warszawy pełnić będzie jeszcze do jesieni, to na scenie politycznej odtąd jest już tylko cieniem. Partia najchętniej by o niej zapomniała, bo stanowi wizerunkowy balast z powodu niezręcznej, zdaniem wielu jej kolegów, linii obrony przed atakami po linii reprywatyzacyjnej. Ale czy w jej sytuacji można było działać zręczniej? W pewnym sensie jest ona cieniem dawnej Platformy: uosabia politykę pragmatyczną, arcysprawną w wyciąganiu pieniędzy unijnych na realny rozwój infrastruktury i usług publicznuch, szukającą neutralności w wojnach kulturowych. A jednocześnie politykę zamkniętą w autystycznej różni emocjonalnej, głuchą na emocje i w gruncie rzeczy niedemokratyczną, niezdolną do oświeconego populizmu, przez co będącą łatwą ofiarą populizmu totalnego.** ©℗ PB

# *PiS budzi elektorat*

PAWEŁ BRAVO

Końcówka roku to kolejne rekordy sondażowe PiS. Wymiana na fotelu premiera na chłodny rozum powinna była niemiło zaskoczyć część elektoratu zwanego potocznie socjalnym, w dodatku stanowiła mało efektowny moment kulminacyjny przewlekłego spektaklu pod hasłem rekonstrukcji rządu. Ale nawet to nie osłabiło notowań PiS, przeciwnie, w pewnych badaniach można było prześledzić niewielki skok w porównaniu z poprzednimi.

Roztrząsanie szczegółowych wyników, czy na razie „bliżej 40, czy już prawie 50", nie ma obecnie większego sensu, ponieważ do wyborów został prawie rok – a zresztą wybory samorządowe rządzą się trochę inną logiką i przekrojowe, ogólne badania, jakie oglądamy w mediach, mało nam mówią o perspektywach utrzymania władzy w województwach i metropoliach (szczegółowo pisze o tym Rafał Matyja w dziale Kraj). Należy raczej skonstatować ewidentny trend wzrostowy PiS przerywany tylko minimalnymi wahnięciami, a jedyny płodny politycznie kierunek myślenia dotyczy dwóch spraw: jakie potrzeby swojej dotychczasowej bazy wyborczej PiS potrafi zaspokajać i czyni to skutecznie pomimo ewidentnych kłopotów z realnym rządzeniem? I po drugie: czy PiS-owi udało się poszerzyć pulę obywateli w ogóle zainteresowanych udziałem w wyborach, a zatem wyjąć pewną liczbę ludzi w sondażach z kategorii „nie wiem/nie zagłosuję"?

Proste rankingi partii publikowane na czołówkach gazet tego nam nie pokażą, bo za podstawę procentowania przyjmuje się w nich zazwyczaj ludzi deklarujących zamiar głosowania i pomija się tam dynamikę frekwencji oraz preferencje wyborcze takich świeżo upieczonych wyborców. Intuicja jednak – a także pewne obserwacje badaczy, których mieliśmy okazję w mijającym roku publikować – podpowiada, iż takie zjawisko istotnie zachodzi. Być może jest to dalekosiężny skutek transferu „500 plus", który po raz pierwszy dał odczuć wielu ludziom w bezpośredni sposób przełożenie politycznej zmiany na świat ich życia codziennego. Bez względu na nasze rozumienie przyczyn warto śledzić to zjawisko jako jeden z najważniejszych czynników politycznych zmian najbliższych miesięcy. Tego rodzaju przebudzony elektorat może się okazać zasobem, który da PiS-owi o wiele trudniejszą do podkopania przewagę nawet w perspektywie średnioterminowej. ©℗

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

**NIECHAJ ŻYJE NAM!** Minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej Antoni Macierewicz i minister środowiska Jan Szyszko obchodzą 26. urodziny Radia Maryja, Toruń, 2 grudnia 2017 r.

# *Małżeństwo Radia Maryja z PiS-em*

ARTUR SPORNIAK

Ostatni rok pokazał, że alians Radia Maryja z partią rządzącą obu stronom dobrze służy. Zwycięstwo PiS w 2015 r. o. Rydzyk entuzjastycznie skomentował: „Pan Bóg ma w stosunku do nas plan miłości". Życzliwość prezesa rządzącej partii wydaje się nie słabnąć. Po słynnym powyborczym podziękowaniu: „Ojcze dyrektorze, bez ciebie nie byłoby tego zwycięstwa" – Jarosław Kaczyński nie spuszcza z wysokiego tonu. „Wierzę, że z tej toruńskiej służby Panu Bogu i ojczyźnie wyrośnie lepszy świat oraz Polska naszych marzeń" – napisał w liście odczytanym podczas niedawnych obchodów 26. rocznicy powstania Radia Maryja.

Msze rocznicowe w toruńskiej hali widowiskowo-sportowej coraz bardziej przypominają partyjne festyny. Od kilku lat obowiązkowo pierwsze ławki zajmuje partyjna elita. Część polityków PiS czuje się w Toruniu jak u siebie. Antoni Macierewicz czy posłanki Krystyna Pawłowicz i Barbara Bubula są felietonistami mediów o. Rydzyka, a minister Jan Szyszko ich częstym bywalcem. Inni przyjeżdżają, „bo trzeba". Ci ostatni zwykle z kwaśnym uśmieszkiem wysłuchują jowialnych uwag ojca dyrektora podczas długich powitań.

O. Rydzyk wie, że może sobie na wiele pozwolić. „Małżeństwo" z PiS-em daje m.in. przywilej pouczania polityków. „Niemcy nam zazdroszczą, że prezydent klęka, premier klęka. Oby to było konsekwentne" – mówił ojciec dyrektor, gdy na początku grudnia Radio Maryja odwiedziła premier Beata Szydło. Po nominacji na premiera Mateusz Morawiecki dwukrotnie pojawiał się w rozgłośni. Ale „boży plan miłości" przede wszystkim daje niebagatelne profity. Ministerstwa rządu PiS przyznały, że różnym podmiotom koncernu o. Rydzyka przekazały już 9 mln złotych dotacji. ©℗

## Kościół dla regionu Amazonii

**400 RDZENNYCH PLEMION,** 240 języków, obszar należący do dziewięciu krajów Ameryki Południowej – oto Amazonia. Dla tego regionu papież Franciszek zapowiedział w mijającym roku specjalny synod biskupów.

Jego uczestnicy omówią m.in. sytuację ludności pierwotnej zamieszkującej Amazonię, „często zapomnianej i bez perspektywy pogodnej przyszłości, także ze względu na kryzys amazońskiego lasu deszczowego" – mówił Franciszek.

Pierwszy tego typu synod specjalny zwołał w 1991 r. Jan Paweł II dla Europy, kolejne były m.in. dla Afryki, Libanu czy Oceanii. Ten dla Amazonii został zaplanowany na październik 2019 r. ©℗ AG

## O Kościele w roku 2017:

**BP EDWARD DAJCZAK:** **POTRZEBNY JEST KOŚCIÓŁ MOCNY, który będzie jak rdzeń, jak jądro, do którego będą mogli przychodzić ci, co się słaniają, bo nie potrafią żyć. Bardziej niż sędziami bądźmy tymi, którzy zrobią to jak Pan, który przygarniał** (homilia podczas mszy otwierającej drugi synod diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, 25 lutego).

**O. PAWEŁ GUŻYŃSKI:** **OD POCZĄTKU BYŁO WIADOMO, że deal Kościoła z nacjonalistami nie przyniesie niczego dobrego. Czy hasła „Prawdziwy Polak – Polak katolik" wystarczą, by Kościół kłaniał im się w pas, chwaląc za prawdziwość? Musimy się bronić przed taką głupotą. Szkoda, że Kościół tak późno się budzi** (Przystanek Woodstock, 3 sierpnia).

**BP TADEUSZ PIERONEK:** **MAM WIELKĄ OBAWĘ, że w Polsce duchowieństwo i biskupi jak gdyby zmierzali do tego, żeby pozbawić Kościół katolicki cech powszechności. Dążą do tworzenia Kościoła partyjnego, to jest wielki dramat** (program „Kropka nad i", 6 listopada).

**ABP JÓZEF KUPNY, BP IGNACY DEC, BP ZBIGNIEW KIERNIKOWSKI:** **RODZI SIĘ ZATEM KONIECZNOŚĆ podjęcia wspólnych działań, których celem jest poprawa jakości powietrza, jakim oddychamy. Wzywa nas do tego nie tylko papież Franciszek w encyklice „Laudato si", ale przede wszystkim zdrowy rozsądek i Dekalog, zawierający m.in. przykazanie: „Nie zabijaj". (...) Możemy jedynie wyobrazić sobie, co by było, gdyby wszyscy katolicy w naszym kraju od dziś postanowili kierować się w swoich wyborach papieskimi wskazaniami. Możemy być pewni, że zmiana byłaby ogromna. Wielkie cele bowiem osiąga się małymi krokami"** (list do wiernych ws. troski o jakość powietrza, 5 grudnia).

GRAŻYNA MAKARA // DOMINIKANIE.PL // DIECEZJA BIELSKO-ŻYWIECKA

# Strefy chaosu

WOJCIECH JAGIELSKI

Najważniejszym chyba wydarzeniem 2017 r. była wojskowa klęska samozwańczego kalifatu, który w Syrii i Iraku przegrał w końcu wojnę z armiami zwykle skłóconych, ale wyjątkowo sprzymierzonych wobec wspólnego wroga światowych mocarstw. Kalifat, który nie tylko zagrażał bezpieczeństwu świata, ale i obowiązującym w nim porządkom, został pokonany, a co najważniejsze – odebrane zostały mu ziemie, na które mógł przyzywać ochotników. Przegrana nie oznacza jednak końca międzynarodówki dżihadystów. Tak jak stara Al-Kaida przeistoczyła się w tzw. Państwo Islamskie, tak i ono objawi się w nowym wcieleniu – a miejsca, w których to się stanie, będą zapewne najbardziej niespokojnymi w roku 2018.

Kilkanaście tysięcy ochotników wracających z wojen bliskowschodnich może oznaczać zagrożenie dla Europy Zachodniej, Kaukazu i posowieckiej Azji Środkowej. Największe niebezpieczeństwo ze strony dżihadystów grozi jednak ogarniętemu wieczną wojną Afganistanowi, Libii, Somalii, a zwłaszcza afrykańskiemu Sahelowi, rozciągającemu się od wybrzeży czerwonomorskich Sudanu po atlantyckie Mauretanii i Senegalu.

Starcie z dżihadystami przyćmiło w tym roku wojny i rozruchy wyniszczające Kongo, Sudan Południowy i Republikę Środkowoafrykańską. Nic nie zapowiada, żeby w przyszłym roku czekały je lepsze czasy. Przeciwnie, wiele wskazuje, że zwłaszcza w Kongu może dojść do humanitarnej katastrofy, porównywalnej do tej z przełomu wieków, kiedy na wojnie, z głodu i chorób zginęło tam prawie 5 mln ludzi.

Tak jak w zeszłym roku, przemoc i chaos grozić będą Birmie i bankrutce Wenezueli, a nieprzewidywalna Korea Północna straszyć będzie świat wojną atomową. Na niespokojnym Bliskim Wschodzie przyczyną napięć będą zastępcze konflikty Iranu z Arabią Saudyjską (Irak, Syria, Jemen, Liban, Katar), a także rozjątrzony na nowo spór o Jerozolimę, którą Donald Trump w imieniu Stanów Zjednoczonych uznał pod koniec 2017 r. za stolicę Izraela. ©℗

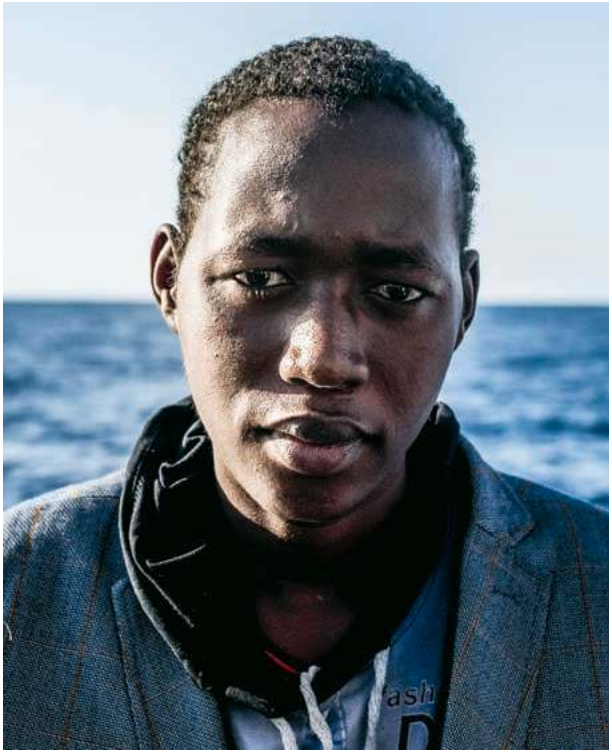

SAMUEL NACAR / SOPA / GETTY IMAGES

**AHEAND ADAM ISHABL** – 18-latek z Czadu podjęty z Morza Śródziemnego przez hiszpańską organizację Proactiva Open Arms 17 listopada. Liczba uchodźców i migrantów, którzy dotarli w 2017 r. do Europy, spadła o połowę – także za sprawą polityki UE w północnej Afryce. ©℗ ŻYM

## Afryka: presja migracyjna rośnie

**NA POCZĄTKU KWIETNIA 2017 R.** Matteo Minniti, szef włoskiego MSW, zaprosił do Rzymu przedstawicieli ok. 60 frakcji i grup etnicznych z Libii. Po 72-godzinnych poufnych rozmowach ustalono, że to one, w zamian za europejskie pieniądze, zajmą się „bezpieczeństwem" południowych granic kraju. Cudzysłów jest konieczny, gdyż w praktyce, rzecz jasna, chodziło o zatrzymanie migracji na północ. Minniti tłumaczył potem, że alternatywą byłoby „pozostawienie kluczy do europejskich demokracji handlarzom ludźmi". Nie zmienia to faktu, że za sprawą tego układu (i podobnych, podpisywanych z państwami Sahelu i ucharakteryzowanych zwykle na umowy o pomocy) Unia Europejska przekazała takie klucze ludziom o równie złej co szmuglerzy proweniencji. Czasem wręcz – jak niektórzy szkoleni przez UE funkcjonariusze libijskiej straży wybrzeża, którzy w 2017 r. wielokrotnie zawracali z morza łodzie z migrantami, umieszczając ich potem w swoich prywatnych więzieniach – będących po prostu kryminalistami. Amnesty International utrzymuje, że europejskie rządy świadomie współuczestniczą w polityce tortur i nadużyć. Ani listopadowy materiał CNN o targach niewolników w Libii (cena człowieka: 400 dolarów), ani lipcowy raport panelu ekspertów ONZ o niesławnej rafinerii na przedmieściach Az-Zawiji, gdzie ludzie są bici i wykorzystywani seksualnie, nie wpłynęły jednak na zmianę unijnego kursu. Dla Rzymu czy Brukseli *outsourcing*, czyli zlecanie na zewnątrz ochrony granic UE, sprawdza się bowiem świetnie – w Afryce mediom trudniej monitorować sytuację. W 2018 r. i później presja migracyjna będzie rosła jeszcze szybciej. Jeśli Unia radykalnie nie zmieni swojego nastawienia, coraz trudniej będzie jej udawać, że jej polityka względem Południa ma cokolwiek wspólnego z moralnością. ©℗ MARCIN ŻYŁA

## Co Trump ma na głowie

**W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH** na całym świecie jednym z najpopularniejszych wątków ubiegłego roku była charakterystyczna blond fryzura prezydenta USA Donalda Trumpa. „Najdziwniej uczesana głowa państwa od czasów Waszyngtona" przyciągnęła uwagę nie tylko satyryków i publicystów. Pierwszą zaczeskę analizowali na poważnie styliści, spece od wizerunku politycznego, a nawet chemicy, próbując odgadnąć, która firma może być dostawcą lakieru na głowę państwa. Blisko ćwierć wieku wcześniej sam Donald Trump uchylił wprawdzie rąbka tej tajemnicy w wywiadzie dla „Playboya", wówczas chodziło jednak tylko o głowę kontrowersyjnego milionera. ©℗ MR

BRITTA PEDERSEN / DPA / AFP / EAST NEWS

**ANTYATOMOWY PROTEST** przed ambasadą USA w Berlinie, wrzesień 2017 r.

## Wielki powrót broni atomowej

**„W DZIESIĄTKACH MIEJSC W ŚWIECIE** – w silosach rakietowych zakopanych w naszej ziemi, na okrętach podwodnych płynących przez nasze oceany i na pokładach samolotów lecących wysoko na naszym niebie – znajduje się 15 tys. obiektów, które mogą zniszczyć ludzkość". Tymi słowami Beatrice Fihn z Międzynarodowej Kampanii na rzecz Zniesienia Broni Nuklearnej (ICAN) rozpoczęła 10 grudnia wykład noblowski. Kilka dni wcześniej, podczas konferencji nt. rozbrojenia atomowego w Watykanie, mówiła o tym, że cywilizacja oparta na strachu (taką, jej zdaniem, jest świat żyjący w cieniu broni jądrowej) nie ma przed sobą długiej przyszłości. Wtórowała jej Masako Wada, Japonka, która, gdy miała niecałe dwa lata, przeżyła wybuch bomby atomowej w Nagasaki: „Istnienie takiej broni – mówiła – uwłacza dziś godności człowieka".

W uzasadnieniu przyznania ICAN Pokojowej Nagrody Nobla napisano, że żyjemy dziś w świecie, w którym ryzyko użycia broni atomowej jest największe od wielu lat. Jednak z każdym rokiem droga do likwidacji jej arsenałów wydłuża się. W 2017 r. do listy państw zdolnych razić bronią nuklearną na duże odległości dołączyła Korea Północna. Kraje posiadające pociski i bomby jądrowe lub znajdujące się, jak Polska, pod nuklearnym „parasolem" NATO nie przystąpią w tej sytuacji do podpisanego we wrześniu przez 53 państwa traktatu o zakazie broni jądrowej. Czy się nam to podoba czy nie, zasada wzajemnego odstraszania pozostanie w tej kwestii najskuteczniejszym sposobem utrzymywania pokoju. Pytanie tylko, jak długo wśród mechanizmów zapobiegających użyciu broni nuklearnej pozostanie świadomość jego katastrofalnych skutków. Świadków tragedii Hiroszimy i Nagasaki niedługo nie będzie już wśród nas. ©℗ MARCIN ŻYŁA

## *Zawrócona rewolucja*

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Bohaterkami roku 2017 były kobiety, które odważyły się przerwać milczenie. Opowiadając światu o doświadczeniu werbalnej, fizycznej i seksualnej przemocy, przybliżyły skalę problemu i przeniosły ciężar wstydu z ofiar na winnych. A co najważniejsze: sprawiły, że molestujący nie mogą już czuć się bezkarni. Oczywiście mówimy tylko o czubku góry lodowej: zmiana, która zaczęła się w Hollywood, czyli jednym z najbardziej uprzywilejowanych miejsc świata, nie od razu dotrze do wszystkich społeczeństw i klas.

Ale fala, która wezbrała po aferze Harveya Weinsteina, i tak jest potężna. Od października zmiotła setki karier w dziesiątkach krajów. W Polsce – czyli państwie, w którym minister sprawiedliwości odbiera dofinansowanie organizacjom kobiecym, minister zdrowia ogranicza dostęp do „pigułki po", a minister rodziny wyraża chęć wypowiedzenia konwencji antyprzemocowej – musiało być skromniej niż w Kanadzie czy Wielkiej Brytanii. Akcja #MeToo ograniczyła się do kilku nazwisk. Pisarz Janusz Rudnicki i poseł Marek Jakubiak zostali oskarżeni o seksistowskie żarty, redaktor Michał Wybieralski o molestowanie, mobbing i przemoc, a publicysta Jakub Dymek o molestowanie i przemoc seksualną. Rudnicki i Wybieralski publicznie przeprosili, Jakubiak i Dymek zapowiedzieli sądową walkę o dobre imię.

W reakcji na zarzuty wobec tego ostatniego powstał „List otwarty w sprawie standardów proceduralnych i etycznych w kontekście akcji #metoo i innych akcji publicznego piętnowania niewłaściwych zachowań". Podpisali go zaniepokojeni ludzie mediów, kultury i nauki (w tym dziennikarze i autorzy „Tygodnika"). List przypomniał o istnieniu zasady domniemania niewinności oraz procedur sądowych. Z jednej strony, pisano, „powinniśmy, wszystkie i wszyscy, dołożyć wszelkich starań, aby żadna kobieta nie musiała się już obawiać ujawnienia doznanej agresji", z drugiej – „ta rewolucja nie powinna pochłonąć przypadkowych ofiar".

Rewolucja bez ofiar to dobra i piękna idea. Tym piękniejsza, że wciąż niezrealizowana. Kto wie – może właśnie u nas się uda. Zdrowy rozsądek podpowiada jednak, że żadnej rewolucji nie będzie. Bo w Polsce „JaTeż" zmieniło się w „OnNie". ©℗

JOANNA RUSINEK

## Social media: rok w bańce

**„STRASZLIWE POCZUCIE WINY”** za współudział w stworzeniu „narzędzi rozszarpujących tkankę społeczną” wyraził z końcem roku były wiceprezes Facebooka ds. pozyskiwania użytkowników Chamath Palihapitiya. Niedługo po tym, jak współzałożyciel FB Sean Parker stwierdził, że portal wykorzystuje słabe punkty ludzkiej psychologii.
**TAKA BYŁA POINTA ROKU** w mediach społecznościowych. Rozpoczął go manifest szefa FB, Marka Zuckerberga, który w lutym przyznał, że martwi go rola portalu w roznoszeniu fałszywych newsów, wzmacnianiu sensacjonizmu i polaryzacji ludzi w bańkach wzajemnej adoracji (*filter bubbles*), gdzie widzą obraz świata i słyszą opinie tylko tych, z którymi się zgadzają. Wtedy, niedługo po zwycięstwie Donalda Trumpa, pytał: „Czy naprawdę budujemy taki świat, jakiego pragniemy?”.
**ŻE TO KWESTIA ŻYCIA I ŚMIERCI,** okazało się jesienią: media donosiły, że mechanizm ten przyczynił się do nakręcania spirali nienawiści wobec birmańskich Rohindżów, ofiar czystek etnicznych.
**GRILLOWANIEM PRAWNIKÓW** Twittera, Google’a i Facebooka zajął się w listopadzie Senat USA. Chodziło o wpływ Rosji na wybory poprzez te platformy. Pełnomocnika FB senator Al Franken pytał, jak to jest, że portal, który w każdej chwili łączy miliardy punktów danych, nie połączył dwóch kropek: amerykańskich reklam wyborczych i rosyjskich rubli, którymi za nie zapłacono.
**„NIE O ROSYJSKIE REKLAMY** tu chodzi – przestrzegał jednak Palihapitiya. – Erodują fundamenty stosunku ludzi wobec siebie”, bo miejsce współpracy i debaty zajmuje popieranie samych swoich. „Zajrzyjcie w głąb siebie – apelował. – Musicie zdecydować, ile jesteście skłonni oddać z własnej intelektualnej niezależności”.
**CZY ROK 2018** przyniesie debatę o social mediach? Na to wygląda z perspektywy mojej bańki filtrującej. ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

MAGDALENA HUECKEL / STARY TEATR

**ROK W POLSKIEJ KULTURZE** najlepiej opowiedzieć przez rok w polskim teatrze. Najpierw zrujnowano zespół i dorobek Teatru Polskiego we Wrocławiu – jednej z najwybitniejszych polskich scen. Równie spektakularną katastrofą było rozstrzygnięcie konkursu na stanowiska dyrektorskie w Starym Teatrze w Krakowie. Minister Gliński radował się, że sceną będzie współzawiadował Michał Gieleta. Zdaniem ministra: „najbardziej znany za granicą polski reżyser teatralny”. Dzisiaj o Gielecie wszyscy już zapomnieli. Trwa za to pożegnanie z repertuarem, który powstał tu za kadencji Jana Klaty. Spektakle są grane przy nadkompletach i w poczuciu grozy, że ktoś naprawdę chciał je zniszczyć. Na zdjęciu: „Wesele”, reż. Jan Klata. ©℗ PM

## Podsłuchując prezesa

**JUŻ PRZED PREMIERĄ W STYCZNIU 2017 R.** „Ucho Prezesa” było sensacją. Oto w ponurych okolicznościach politycznych Robert Górski z Kabaretu Moralnego Niepokoju odważył się śmiać z prezesa PiS, osoby dla wielu raczej demonicznej niż komicznej. Żadna telewizja nie zdecydowała się emitować tego satyrycznego serialu, trafił więc na portal YouTube i platformę Showmax.
Dla mediów niekochających PiS-u „Ucho Prezesa” stało się zastępczą kartą wstępu na Nowogrodzką i wejrzeniem za kulisy tej partii. Kolejne odcinki są relacjonowane w „Gazecie Wyborczej”, „Polityce” czy na portalu Onet.pl, jakby były źródłem faktów o władzy, a nie jej parodią. Serialowi przypisuje się moc prorokowania, a dziennikarze, z którymi członkowie PiS nie dzielą się plotkami, powołują się na intuicję Górskiego – raz lepszą, raz gorszą. O ile w odcinku z początku października zapowiadane jest zastąpienie Beaty Szydło Mateuszem Morawieckim, o tyle przegranej Ryszarda Petru z Katarzyną Lubnauer twórcy nie przewidzieli – w świątecznym 28. odcinku Nowoczesną wciąż kieruje elokwentny Rysiek.
Dla polityków „Ucho Prezesa” to test na dystans do siebie. Prezes w zasadzie nie ma zastrzeżeń, ministrowie są z sobowtórów zadowoleni, Beata Szydło z mównicy sejmowej cytowała swoje *alter ego*, a Jarosław Gowin wysłał grającemu go Andrzejowi Sewerynowi butelkę wina. Także opozycja nie protestuje, Władysław Kosiniak-Kamysz jest zachwycony, Paweł Kukiz jest za, a nawet przeciw. Testu nie zdał tylko Borys Budka, oburzony odcinkiem o politycznym romansie z Kamilą Gasiuk-Pihowicz (ona zaś „uśmiała się do łez”). Dla PiS jako rządzącej partii „Ucho Prezesa” to też rodzaj alibi: wolność słowa nie jest zagrożona, skoro z władzy można się śmiać. Cóż z tego, że jest to gorzki śmiech.
W planach trzeci sezon serialu. Czas pokaże, czy „Ucho Prezesa” wciąż będzie brane za lustro władzy. Wszak jak powiedział Górski, wcielając się w prezesa: „Jesteśmy przy prawdzie tak blisko, że niewykluczone, że my już koło tej prawdy przeszliśmy”. ©

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

## Jakie poznaliśmy sekrety Wszechświata

**ROK 2017** upłynął pod znakiem kosmicznych atrakcji. Główną z nich były sierpniowe fajerwerki towarzyszące zderzeniu dwóch gwiazd neutronowych 120 milionów lat świetlnych od Ziemi. „Huk" fal grawitacyjnych został usłyszany przez oba detektory LIGO w Stanach, a także przez ich młodszą włoską siostrę VIRGO. Chwilę potem cała populacja teleskopów małych i dużych, na Ziemi i w niebie, rzuciła się robić zdjęcia wskazanego obszaru kosmosu. Efektem było rozwiązanie kilku kosmologicznych zagadek, w szczególności ustalenie sprawców tajemniczych rozbłysków $\gamma$ (gamma). Był to już czwarty astrofizyczny reportaż sporządzony przy pomocy detektora fal grawitacyjnych.
W międzyczasie chińscy fizycy wysłali na orbitę satelitę Micius i dokonali pierwszej teleportacji stanu kwantowego z Ziemi w przestrzeń kosmiczną, bijąc dotychczasowy rekord odległości

NASA

Wizualizacja zderzenia dwóch gwiazd neutronowych, w którym powstają ciężkie pierwiastki

w tej materii dziesięciokrotnie. Choć samo to zdarzenie nie powiedziało nam nic zasadniczo nowego o Wszechświecie, to wyniosło ono technologie kwantowe na zupełnie nowy – sensu stricto kosmiczny – poziom.
Równie pozaziemsko zabrzmiała listopadowa wiadomość o znalezieniu nieznanej komnaty, prawie tak dużej jak Wielka Galeria, w piramidzie Cheopsa. Odkrycia dokonano dzięki obserwacji... mionów z promieniowania kosmicznego przelatujących przez budowlę.
Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, iż Wszechświat chowa dla nas jeszcze wiele niespodzianek na najbliższe lata, jeśli tylko będziemy pokornie się w niego wsłuchiwać. ©

MICHAŁ ECKSTEIN

DAVID GOLDMAN / AP / EAST NEWS

## Kiedy wyginą niedźwiedzie polarne

Ocieplający się klimat jest ogromnym zagrożeniem dla wielu gatunków. Dla niedźwiedzi polarnych (na zdjęciu) – największym spośród wszystkich czynników. Szacuje się, że przy zachowanym tempie zmian klimatycznych niedźwiedzie polarne, których liczebność ocenia się na około 26 tys. osobników, znikną z naturalnych siedlisk do 2100 r. Topnienie lodowców, na których polują niedźwiedzie, oznacza, że część z nich w poszukiwaniu żywności przemieści się na południe, na obszary zamieszkiwane przez ludzi (w Kanadzie, Norwegii, na Alasce, Grenlandii i w Rosji).
Rok 2017 był jednym z kilku najgorętszych, odkąd prowadzone są pomiary temperatury na całej kuli ziemskiej.
W listopadzie średnia temperatura powierzchni lądu i oceanu była wyższa o 0,75 stopnia od średniej dla XX w., wynoszącej 12,9 stopni Celsjusza. ©℗ ŁK

## Czego nie wiemy o człowieku

**DZIĘKI ODKRYCIOM** dokonanym w 2017 r. uświadomiliśmy sobie, jak wiele wciąż nie wiemy o historii rodzaju ludzkiego, w tym także naszego gatunku. Czego dokładnie?
Po pierwsze nie jest już tak pewne, czy kolebką rodzaju *Homo* była Afryka. Dotąd wydawało się to niepodważalne, ale pojawiły się także tropy prowadzące na Bałkany, skąd pochodzą datowane na ponad 7 mln lat skamieniałości pozostawione przez istoty rzekomo bliżej spokrewnione z nami niż szympansami. Także w tych regionach, na Krecie, odkryte zostały ślady pozostawione ponad 5 mln lat temu przez dwunożne istoty o wyprostowanych jak nasze, a nie przeciwstawnych jak u małp, dużych palcach u stóp.
Po drugie nie wiemy, ile mamy lat. Dotąd wydawało się, że około 150-200 tys., ale w Maroku odnalezione zostały skamieniałości *Homo sapiens* sprzed 300 tys. lat. Dlatego po trzecie: nie jest jasne, skąd pochodzi nasz gatunek. Wydawało się pewne, że ze wschodniej Afryki, ale to bardzo daleko od

MOHAMMED KAMAL / MPI VIA ZUMA WIRE

Narzędzia kamienne odnalezione obok najstarszych ludzkich skamieniałości w Maroku

Maroka. 300 tys. lat temu musieliśmy się już swobodnie przemieszczać po ogromnych obszarach Czarnego Lądu.
Po czwarte, nie wiemy też do końca, jak skolonizowaliśmy inne kontynenty. Dziś nikt już nie mówi o jednej migracji do Azji, ale ile ich było? Jak przebiegały? Jak wyglądały nasze spotkania z obecnymi tam wcześniej neandertalczykami i denisowianami?
W najbliższym czasie najlepiej nie kupujcie podręczników do paleoantropologii – szybko mogą się zdezaktualizować. ©℗ ŁK

REKLAMA

# europejski poeta wolności

## festiwal literatury i nagroda literacka
## Gdańsk | 23–25 marca 2018 r.

**nominowani do nagrody:**

**Səlim Babullaoğlu**
*Nie ma kto pisać do pułkownika*
tłum. İlahə Kərimova i Grażyna Zając

**Tatev Chakhian**
*Dowód (nie)osobisty*
tłum. Haik Howannisjan i Paweł Sakowski

**Dumitru Crudu**
*Fałszywy Dymitr*
tłum. Jakub Kornhauser i Joanna Kornaś-Warwas

**Płamen Dojnow**
*Sofia Berlin*
tłum. Dymitr Dobrew i Dorota Dobrew,
Hanna Karpińska, Wojciech Gałązka

**Erkka Filander**
*Biała burza przebudzenia*
tłum. Katarzyna Szal

**Alice Oswald**
*Zapadać w jawę*
tłum. Magda Heydel

**Linda Vilhjálmsdóttir**
*Wolność*
tłum. Jacek Godek

**Menno Wigman**
*Na imię mi Legion*
tłum. Barbara Kalla i Adam Wiedemann

**Nominowane tomy poetyckie ukażą się nakładem Instytutu Kultury Miejskiej w 2018 roku.**

**www.europejskipoetawolnosci.pl**

instytut kultury miejskiej

GDAŃSK
miasto wolności

TEMAT TYGODNIKA

# OBSESJA NIEPODLEGŁOŚCI

Uznajemy ją za wartość najwyższą, a przy tym nieustannie zagrożoną. Towarzyszy nam, gdy planujemy zamach na cara albo marzymy o narodowym samochodzie elektrycznym. Polak widzi niepodległość, nawet gdy zagląda do lodówki.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ALEXANDER MAKAROV / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Co czyni nas narodem? To fundamentalne pytanie, nie tylko w stulecie odzyskania niepodległości. Co przemienia zbiór niepowtarzalnych jednostek w grupę, która może mówić o sobie „my"? Co czyni nas „rodziną", „sąsiadami" albo „klasą średnią"? Lubimy wyobrażać sobie, że decydują więzy krwi, wspólnota miejsca zamieszkania albo wysokość dochodów. Geny, metry, złotówki – miary abstrakcyjne, a zarazem przyziemne. Ale to nieprawda, a przynajmniej nie cała prawda.

W istocie każdą grupę społeczną cementuje wspólnota obsesji. Drobnych, kompulsywnie powtarzanych nawyków, uporczywie nawracających lęków i nadziei. Im bardziej wydają nam się osobiste, im bardziej zaskoczeni jesteśmy, gdy okazuje się, że te najintymniejsze dziwactwa podzielamy z pewnym kręgiem ludzi, tym silniejsza jest zaprawa łącząca ze sobą poszczególne cegiełki.

Jesteśmy rodziną, podzielając dziedziczone przez pokolenia przesądy i opowieść o wujku, który wracając kiedyś z pasterki nadepnął na Jerzego Urbana. Stajemy się sąsiadami, co dzień przeklinając tę samą, niedziałającą windę i modląc się, by nie spotkać pani spod szesnastki. Rozpoznajemy się jako członków klasy średniej – czymkolwiek miałaby ona dziś być – snując narcystyczne fantazje o ciemnym ludzie, nadchodzącej dyktaturze i własnej europejskości. Wspólnota obsesji wyznacza też linię dzielącą „nas" od „nich" – granicę, za którą rozciąga się obcość.

Dlatego właśnie piszę o szaleństwie. Nie dlatego, żebym niepodległość traktował jak coś mało ważnego albo niepotrzebnego, lecz właśnie dlatego, by lepiej zrozumieć, w jaki sposób scala nas ona i przemienia w naród. Bo to wcale nie niepodległość łączy Polaków, lecz obsesja niepodległości.

### Jak czarna dziura

Splot historycznych, geograficznych i politycznych okoliczności ukształtował nas tak, że niepodległość uznajemy za wartość najwyższą i nienegocjowalną, a przy tym nieustannie zagrożoną. Traci się ją za sprawą wroga i odzyskuje dzięki heroicznym ofiarom. Trzeba o nią walczyć, bronić jej lub przynajmniej tęsknić za nią. Niepodległość kojarzy się ze scalaniem tego, co podzielone, ze zgodą, która buduje. Dzielenie, ↦

↦ rozpad, niezgoda – to z kolei pojęcia ściśle związane z jej utratą. W dodatku niepodległość znacznie częściej występuje w naszej wyobraźni jako koniec pewnej drogi (dąży się do niepodległości, walczy o nią, marzy o niej) niż jako początek. Tak że po jej zdobyciu, odzyskaniu czy utrzymaniu wcale nie jest jasne, co z nią dalej począć – poza tym, że z pewnością trzeba jej bronić.

Obsesja niepodległości towarzyszy nam, gdy planujemy zamach na cara albo marzymy o narodowym samochodzie elektrycznym. Polak widzi niepodległość nawet gdy zagląda do lodówki – dyskusje o kolonizacji Polski przez obcy kapitał, obce markety, a nawet obcą żywność pełne są zapożyczeń z języka narodowych powstań.

Nie ma w tym nic dziwnego. Tęsknota za niepodległością ukształtowała nasze pieśni patriotyczne, literaturę, dzieła muzyczne i malarskie. Ci, którzy jak Gombrowicz, świadomie zwracali się przeciw tej obsesji, ci, którzy wiosną chcieli „wiosnę, nie Polskę" zobaczyć – zdołali się wybić najwyżej do roli wyjątków potwierdzających regułę.

Niepodległość jest jak czarna dziura – potężna, choć niewidoczna, centralna masa, ku której grawitować muszą wszelkie nasze myśli i działania. To właśnie obsesja w najczystszej postaci. „Nie myśl o niepodległości" to „nie myśl o białych niedźwiedziach" polskiej kultury. Im bardziej próbujemy się od tej myśli uwolnić, tym wyraźniej odciska ona na nas swe piętno.

### Różne historie

Niezłym sposobem lepszego zrozumienia naszej obsesji jest przekonanie się, że inni myślą o niepodległości odmiennie niż my. My widzimy ją przede wszystkim jak coś, co traci się i odzyskuje. Nasza obsesja niepodległości ściśle łączy się więc z ciągłym lękiem przed jej ponowną utratą. Nie brak jednak na świecie państw, gdzie niepodległość kojarzona jest z jednorazowym doświadczeniem uzyskania, bez lęku przed utratą. Są również na mapie obszary, gdzie w ogóle brak utrwalonych mitów niepodległościowych, a także narody, które proces odzyskiwania niepodległości znają wyłącznie z drugiej strony – z pozycji tych, od których się wyzwalano.

Byłem kiedyś świadkiem następującej rozmowy. Amerykanin, mając zresztą zapewne na myśli święto narodowe w szerszym znaczeniu, zapytał brytyjskiego kolegę, kiedy się u nich świętuje dzień niepodległości. Ten z pełną powagą, w której nie dostrzegłem jednak dumy, odpowiedział tak: „Nie ma brytyjskiego dnia niepodległości. Tak samo jak nie ma niemieckiego czy francuskiego. Jesteśmy jednym z tych narodów, od których niepodległość celebrują inni".

Poszukując materiału do porównawczej analizy, trafiłem na Wikipedii na listę narodowych świąt niepodległości. Obejmuje ona większość państw świata (niektóre celebrują odzyskanie niepodległości więcej niż raz) i nawet jeżeli – jak to na Wikipedii bywa – zawiera pewne nieścisłości, to dostarcza fascynującego obrazu różnorodności historii, jakie kryją się za niepodległościami w różnych częściach globu.

Rozpisane na osi czasu święta niepodległości pokazują nam przede wszystkim kolejne wielkie fale, na załączonej grafice widoczne w postaci wyraźnych zgęszczeń. Po kilku najstarszych przypadkach (Portugalczykach, Szwedach, Szwajcarach czy Amerykanach) następuje okres południowoamerykańskich wojen o niepodległość. W latach 1804-25 niezależność uzyskało dwadzieścia portugalskich i hiszpańskich kolonii od Meksyku po Chile. Rok 1918 przynosi kolejną falę narodowych przebudzeń związanych z upadkiem europejskich imperiów w następstwie I wojny światowej i rewolucji komunistycznej w Rosji. To wszyscy ci, którzy w tym roku świętować mogą razem z nami. Od końca II wojny światowej rozpoczyna się wielki ruch dekolonizacyjny, obejmujący najpierw Bliski Wschód, Indie i Indochiny, następnie Afrykę, a na końcu niewielkie narody wyspiarskie. Początek lat 90. przynosi czwartą falę narodowych niepodległości związaną z rozpadem Związku Sowieckiego i Jugosławii.

Naniesienie tych fal na mapę pokazuje rozpad kolejnych imperiów i świat stopniowo dzielący się na państwa narodowe. Ukazuje też wyraźne strefy, w których niepodległość ma odmienne znaczenie. Kraje „Starej Europy" i Rosja problem odzyskiwania niepodległości znają wyłącznie „z drugiej strony" (choć Rosja świętuje 12 czerwca, upamiętniając podpisanie deklaracji niepodległości Federacji Rosyjskiej). W Skandynawii niepodległość wiąże się zwykle ze stosunkowo łagodnymi rozpadami kolejnych unii. Dalej widzimy pas rozciągający się od Finlandii (pod tym względem różnej od reszty nordyckiej rodziny) aż po Grecję. To ci, którzy razem z nami cierpią na obsesję niepodległości, a przynajmniej mają podstawy, by ją zrozumieć. To kraje, które niepodległość traciły wielokrotnie, nierzadko na rzecz różnych imperiów, przechodząc kolejno z rąk do rąk i przenosząc się w coraz to nowe strefy wpływów.

## DNI NIEPODLEGŁOŚCI

DATY WYDARZEŃ, KTÓRE STAŁY SIĘ POWODEM OGŁOSZENIA COROCZNYCH OBCHODÓW ŚWIĘTA NARODOWEGO W KRAJACH:

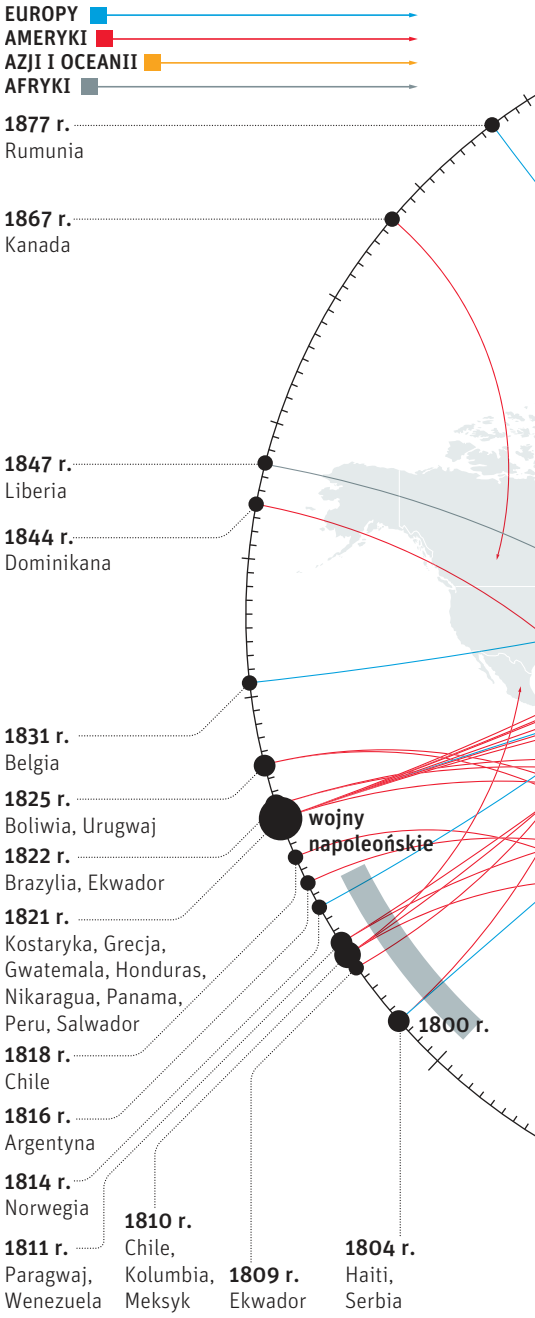


Z pewnością czym innym będzie niepodległość w Ameryce Łacińskiej, gdzie (zwykle) trzeba było odzyskać ją tylko raz, z rąk Hiszpanów lub Portugalczyków, a potem głównym zagrożeniem stawały się raczej rebelie, dyktatury i wojny domowe. Czym innym będzie też dla beneficjentów dekolonizacji, którzy często nie tyle „odradzali się" po latach niewoli, ile w ogóle po raz pierwszy ukazywali na mapie jako organi-

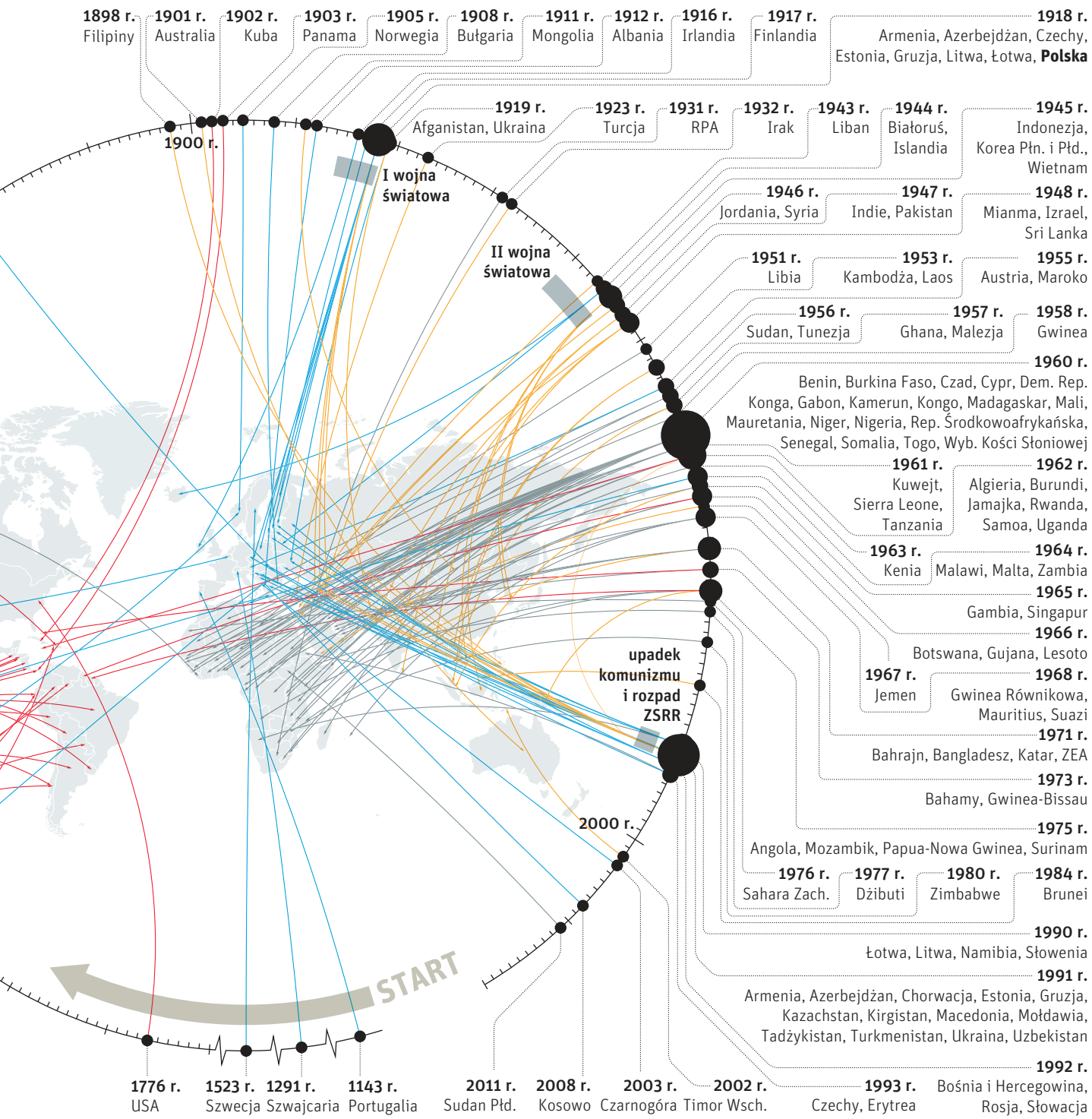


zmy państwowe, czasem zresztą w absurdalnych granicach nakreślonych rękami białych kolonizatorów, niebaczących ani na geografię, ani na etniczne podziały.

Angielskie słowo *partition*, którym oznacza się rozbiory Polski, dla mieszkańców Indii, Pakistanu i Bangladeszu związane jest z odzyskaniem niepodległości, które w przypadku tych państw wiązało się z podziałem. Także trwająca wciąż historia separatyzmów, której ostatnią odsłonę oglądaliśmy kilka miesięcy temu przy okazji katalońskiego referendum, przypomina nam, że niepodległość może się też – przeciwnie niż w Polsce – kojarzyć z oddzielaniem, odrywaniem, rozbijaniem.

### Problem ze sprawczością

Wiązki równoległych linii, wyłaniające się na załączonej grafice, zdradzają wspólnotę losu. To kraje o podobnym położeniu geograficznym, które niepodległość odzyskały w tym samym czasie. Łatwo dostrzec, że Polska staje się w 1918 r. częścią jednej z takich wiązek, należąc do rodziny narodów, które odzyskały niepodległość w następstwie I wojny światowej. Gdyby uwzględnić Dzień Wolności i Praw Obywatelskich, upamiętniający częściowo wolne wybory z 4 czerwca 1989 r., Polska dołączyłaby też ↦

↦ do grupy państw celebrujących odzyskanie niepodległości w związku z rozpadem Związku Sowieckiego i upadkiem komunizmu.

To pokazuje, paradoksalnie, że nasza obsesja niepodległości czyni nas też członkami szerszej wspólnoty. Pozwala zakorzenić się w tożsamości regionalnej, lecz także odnaleźć nieoczekiwane podobieństwa z krajami i narodami, o których istnieniu rzadko myślimy.

Ale ta wspólnota losu zdradza jeden z zasadniczych problemów polskiej obsesji. Zarówno w roku 1918 , jak i w 1989 fale, które wyniosły nasz naród do niepodległości, miały za przyczynę nie heroiczny wysiłek samych Polaków, lecz zmiany w globalnym układzie sił i związany z nimi rozpad imperiów.

„Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać" – te słowa Jana Stanisława Jankowskiego, Delegata Rządu na Kraj, nie przypadkiem umieszczono nad wejściem do Muzeum Powstania Warszawskiego. Doskonale wyrażają one *credo* kolejnych XIX-wiecznych i XX-wiecznych powstań – połączenie niepodległości ze sprawczością. Prawdziwej niepodległości nie można otrzymać. Można ją zdobyć, i to wyłącznie na drodze zbrojnej walki. A jednak kolejne powstania kończyły się coraz bardziej krwawymi porażkami, wolność przynosiły zaś wielkie przemiany geopolityczne. Owszem, przy aktywnym współudziale Polaków, trudno jednak z pełną powagą powiedzieć, że w 1918 lub 1989 r. niepodległość zawdzięczaliśmy tylko sobie. Fakt, że wraz z nami wolność dwukrotnie odzyskiwali Czesi, Azerowie czy Ormianie, jest tego dość wymownym przypomnieniem. Chyba że uda nam się przekonać nas samych, że wszyscy oni odrodzenie zawdzięczają właśnie nam...

W publicystyce dwudziestolecia międzywojennego próbowano zatuszować tę sprzeczność, wskazując na jednostkowy geniusz Piłsudskiego. „My, pokolenie szczęśliwe, mieliśmy Wodza i wojnę wygraliśmy" – pisał Edward Śmigły-Rydz porównując XIX-wieczne porażki i XX-wieczne sukcesy w tekście „Tajemnica zwycięstwa 1920". Przy uwzględnieniu wspólnoty losów to by oczywiście oznaczało, że musiał być Piłsudski i w Czechach, i w Armenii, i w Azerbejdżanie... Kult jednostki, który historycy wyjaśniają raczej „duchem czasów" czy „uwarunkowaniami politycznymi", w tej perspektywie okazuje się kolejnym objawem obsesji niepodległości – sposobem na przywrócenie poczucia sprawczości choćby poprzez oddanie jej w ręce tytanicznej jednostki. Zawszeć to lepsze niż niepodległość podana na tacy przez szczęśliwe zbiegi okoliczności.

**W Polsce – tylko Polska?**

Obsesja niepodległości może czynić nas ślepymi na wyzysk, niesprawiedliwość i zacofanie, podatnymi na manipulację i pełnymi nieufności.

III Rzeczpospolita ma z brakiem sprawczości jeszcze większy problem. Sceptyczna wobec własnych mitów, skłonna raczej do ojcobójczego mordu na swych założycielach niż do wynoszenia ich na piedestały, dryfuje w bardziej niepokojącym kierunku. Bo skoro w 1989 r. nie wywalczyliśmy niepodległości, to może... w ogóle jej nie ma!

W 1997 r. Jerzy Buzek wygłaszał swe *exposé* w przeddzień 11 listopada. Splotło się ono z debatą nad uchwałą upamiętniającą kolejną rocznicę odzyskania niepodległości. Wielu posłów obejmującej władzę koalicji AWS-UW budowało wtedy zaskakującą paralelę pomiędzy rokiem 1918 a 1997, z pominięciem czy umniejszeniem przełomu 1989 r. Wskazywano na jego niekompletny charakter, wymagający dopiero dopełnienia i ostatecznego zerwania z komunizmem. „Rok 1989 był, jak wspomniałem, początkiem końca komunizmu w Polsce – mówił wówczas Buzek. – Zrobię wszystko, aby nasz rok 1997 był zapamiętany jako rok początku naprawy państwa, ostatecznego zerwania ze złą przeszłością".

Ta sama wizja, w coraz radykalniejszej wersji, pojawiała się w Sejmie w roku 2005 i 2015. Prawo i Sprawiedliwość, dochodząc do władzy, przedstawiało obraz „powtarzanej" czy raczej „dopełnianej" rewolucji, wskazując niepodległość jako coś, co dopiero trzeba zdobyć, wywalczyć, odzyskać.

Błyskotliwe wpisanie się w obsesję niepodległości jest jednym ze źródeł sukcesu prawicy. Ani lewica, ani liberałowie – jeżeli te etykietki mają jeszcze jakikolwiek sens – nie potrafią dziś zaproponować przekonującej mitologii, która albo współgrałaby z naszą narodową obsesją, albo równoważyłaby ją projektem równie atrakcyjnym: tożsamością bogatą, zakorzenioną w historii, przywracającą poczucie godności, sensu i sprawczości. Bo taki właśnie obraz świata proponuje każdemu Polakowi mitologia oparta na obsesji niepodległości. Któż z nas nie chciałby, niczym błędny rycerz, żołnierz wyklęty albo Batman, samotnie stawiać czoło przeważającym siłom wroga?

### Niepodległość nas oślepia

Wizja świata zorganizowanego wokół niepodległości wiąże się z promowaniem określonych postaw. Najwyższą wartością jest, oczywiście, zgodnie z tyrtejskim kanonem, oddać życie za ojczyznę. Abstrahując już od tego, czy niepodległość powinna domyślnie stać wyżej od ludzkiego życia – co zrobimy, jeżeli nie będzie takiej potrzeby? Jakie mamy propozycje dla bohaterów na czas pokoju i... niepodległości? Paradoksalnie pełna, niezagrożona wolność jest scenariuszem, na który nie jesteśmy przygotowani. Brak nam wzorów działania, które wykraczają poza walkę, obronę lub tęsknotę za niepodległością. Dlatego dla zbudowania sensownej opowieści o świecie potrzebujemy wiary w nieustanne zagrożenie, stanu permanentnej wojny, targowicy, zaprzaństwa.

Nasz wzrok stał się niezwykle wyczulony na zagrożenia narodowej suwerenności i ślepy na wszystko inne. Naród opętany niepodległością jest jak człowiek obsesyjnie przejmujący się swym sercem. Nie hipochondryk, ani nie dbający o zdrowie w ogóle, lecz właśnie człowiek trawiony nieustannym lękiem wyłącznie o stan swojego serca. Być może serce jest dzięki temu zdrowe, a nasz bohater uniknął wielu nieprzyjemności albo nawet zawału. Ale w tym czasie jego nieleczony kręgosłup uległ zwyrodnieniu, słuch dramatycznie się pogorszył, a płuca zżera gruźlica.

Patrząc historycznie, niepodległość jest i była ważna. Ale nie najważniejsza, a już na pewno nie jedyna. Czy naprawdę jesteśmy skłonni uwierzyć, że dla chłopa w XVIII w. albo włókniarki w XIX w. najistotniejsza była kwestia tego, jakim kolorem pomalowany będzie skrawek mapy, na którym przyjdzie im spędzić życie? Obsesja niepodległości może czynić nas ślepymi na wyzysk, niesprawiedliwość i zacofanie, podatnymi na manipulację i pełnymi nieufności. Wszak jedyne, co się liczy, to żeby w Polsce była Polska.

Wszystko, co nie pasuje do ram takiej opowieści o świecie, zostaje albo usunięte ze zbiorowej pamięci, albo przycięte do znanych schematów. Fałszywie idealizujemy szlachecką rzeczpospolitą i dwudziestolecie międzywojenne; wypieramy pozytywne elementy PRL-owskiej rewolucji ekonomicznej i społecznej. Ignorując

to, co wykracza poza opowieść o traceniu i odzyskiwaniu niepodległości, paradoksalnie nawet samą niepodległość rozumiemy gorzej. Zawsze bowiem wpisana była ona w kontekst kulturowy i ekonomiczny, budowana na określonych uwarunkowaniach społecznych.

Przyjrzyjmy się chociażby przykładom najbardziej oczywistym, związanym z obchodzoną właśnie rocznicą. Rok 1918 to moment uzyskania przez kobiety praw wyborczych, czyli punkt, w którym nareszcie połowę ludności zamieszkującej terytorium Polski uznano za pełnoprawne uczestniczki życia społecznego. Na ile ta rocznica przebije się w mediach i opinii publicznej? Czy jej wspomnienie nie padnie ofiarą naszej obsesji niepodległości?

Na podobnej zasadzie ze zbiorowej pamięci Polaków zniknęła I wojna światowa. Na kilkaset przeanalizowanych przeze mnie dokumentów sejmowych żaden nie odnosił się do niej obszerniej. Nawet traktat wersalski upamiętniono wyłącznie jako moment, gdy „Polska po 123 latach niewoli wracała do rodziny niepodległych państw europejskich", a „mocarstwa zwycięskiej koalicji uznały, że rozbiory Polski były zbrodnią, której skutki należy raz na zawsze przekreślić". Bo przecież w historii zawsze chodziło wyłącznie o naszą niepodległość. Choć na terenie dzisiejszej Polski działy się w latach 1914-18 rzeczy straszne, które bezpośrednio dotykały naszych dziadków czy nasze prababcie, nie pamiętamy o nich i nie potrafimy o nich opowiadać. Bo to nie była nasza wojna, bo Polska jako naród nie była w niej stroną, bo to często musiałaby być historia o tym, jak Polak zmuszony był strzelać do Polaka. Przede wszystkim jednak nie pamiętamy o I wojnie światowej dlatego, że została przykryta opowieścią o odzyskaniu niepodległości.

Ileż alternatywnych historii Polski nie zostało nigdy opowiedzianych i wysłuchanych? Mowa tu nie o fantazjach w rodzaju, „co by było, gdybyśmy razem z Hitlerem ruszyli na Stalina", tylko o historiach, które naprawdę się wydarzyły i wciąż odciskają na nas swe piętno, lecz pozostają zepchnięte do nieświadomości, wyparte przez dominującą opowieść o traconej i odzyskiwanej niepodległości. Na marginesie pozostają wciąż historia stosunków społecznych, etnicznych, historia poddaństwa i emancypacji, historia nauki i przedsiębiorczości, ale też najważniejsza być może ze wszystkich – historia codziennego życia, w naszej wyobraźni przyćmionego przez bitwy, powstania i rozejmy.

**Ukrycie historyczności** pojęć takich jak „państwo", „naród" czy „niepodległość" to jedno z największych kłamstw, jakie wpaja się nam na lekcjach historii i jedna z przyczyn trawiącego nas natręctwa.

Poza przerażającymi wyjątkami, które przyniósł wiek XX, zmiany w życiu ludzi rzadko następowały dlatego, że ktoś wygrał bitwę albo podpisał traktat. Za to wynalazki, głód albo zmiana stosunków społecznych często stały u źródeł migracji, wojen i podbojów. Obsesja niepodległości te zależności odwraca. W dodatku zamiast prawdziwej historii (a więc opowieści o zmianie) proponuje nam statyczną projekcję XIX-wiecznego wyobrażenia o narodzie, zaborach i powstaniach na czasy od 966 r. aż po rok 2018.

### A co będzie, jeśli...

Myślimy o narodzie jako o czymś odwiecznym i wiecznym. Ukrycie historyczności pojęć takich jak „państwo", „naród" i „niepodległość" to jedno z największych kłamstw, jakie wpaja nam się na lekcjach historii i jedna z głównych przyczyn trawiącego nas natręctwa. Oglądając mapy pomalowane wciąż tymi samymi kolorami łatwo uwierzyć, że Polska Piastów, Rzeczpospolita Obojga Narodów i III Rzeczpospolita to „to samo" państwo. A stąd krok już tylko do fantazji w rodzaju liczącej tysiące lat Wielkiej Lechii, bo przecież – cytuję jednego z internetowych polemistów – „tylko idiota może wierzyć, że w roku 966 zeszliśmy z drzewa. Skoro Polska przyjęła chrzest, to znaczy, że przed chrztem też była jakaś Polska!".

Nie byłoby tego problemu, gdybyśmy więcej uwagi poświęcali długotrwałym i skomplikowanym procesom wyłaniania się państw narodowych we współczesnej postaci. Tyle że świadomość tego, iż „niepodległe narody" to koncept XIX-wieczny (lub w najlepszym wypadku XVII-wieczny, licząc od pokoju westfalskiego w 1648 r.), skłania nas do zadania pytania także o ich przyszłość. Skoro istniał świat przed narodową niepodległością, to może jest do pomyślenia także świat po niej? I wcale nie chodzi o nowy podbój, zabory czy wchłonięcie przez cokolwiek – bo to wciąż byłby świat niepodległości, tyle że utraconej.

A co, jeżeli pewnego dnia narodowa niepodległość, którą traci się na rzecz innych państw i odzyskuje w bitwach i powstaniach, w ogóle przestanie być użyteczną kategorią opisu rzeczywistości? Czy będziemy wtedy gotowi porzucić swą obsesję i znaleźć jakąś nową, która popchnie nas do przodu, zmotywuje do działania i utrzyma razem jako wspólnotę?

Jak na razie przed obsesją niepodległości nie ma ucieczki. Najlepsze, co możemy zrobić, to poznać swoją chorobę. Nie będzie do tego lepszej okazji niż Rok Niepodległości, który właśnie rozpoczynamy. Może się on dla nas stać rokiem dalszego popadania w zbiorowy obłęd albo rokiem terapeutycznej refleksji. ©

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 3 grudnia 2017 r.,
przeżywszy lat 92, zmarła nasza kochana Mama, Babcia i Prababcia

Ś.† P.

Alicja Żurek
z domu Jojko

Msza św. pogrzebowa odprawiona zostanie w kościele pw. Matki Boskiej Bolesnej w Rybniku 28 grudnia 2017 r. (czwartek) o godz. 11.00,
po czym wyruszy kondukt żałobny na cmentarz parafialny w Rybniku,

o czym zawiadamia pogrążona w smutku

RODZINA

PAWEŁ

# Śpiewak:
## *Król Salomon*

Druga Księga Samuela kończy się wzniosłą pieśnią Dawida. Ukazuje się w niej nowy obraz króla – założyciela dynastii, z którym związana została obietnica mesjańska: „jednak przymierze wieczne postanowił ze mną, utwierdzone we wszystkiem i obwarowane. A w temci jest wszystko zbawienie moje, i wszystka uciecha moja, aczkolwiek temu jeszcze wzrostu nie dawa" (2 Sm 23, 5). Te słowa wypowiada władca oddalony od ziemskich trosk, gotów do wypełnienia misji religijnej. Monarcha, który stawał się legendą i wiekuistym symbolem Izraela. Historia króla ziemskiego, tego z krwi i kości, powróciła jeszcze w Pierwszej Księdze Królewskiej (powstała setki lat po śmierci Dawida; mniej więcej w połowie IV w p.n.e.).

Jak czytamy, władca Izraela zestarzał się i „zszedł w lata". Dobiegał siedemdziesiątki. Było mu ciągle zimno. Martwili się o niego dworzanie i uznali, że potrzebna mu jest gorąca dziewica, którą by okładano zmęczone ciało. Dotąd Dawid sam znajdował dla siebie damy. Teraz potrzebny był specjalny konkurs i poszukiwano w całym kraju odpowiedniej dziewczyny. Wybór padł na Abisag Sunamitkę. Panienka była bardzo piękna. Dbała o Dawida, opatrywała go, sypiała na jego łonie, ale król nie poznał jej. Nic się między nimi nie zdarzyło. Abisag była bardziej służącą niż kochanką.

Król musiał przed śmiercią wyznaczyć następcę. Dwaj najstarsi synowie zginęli. Czwarty w kolejności był Adonijasz, mąż wielkiej urody. Nie tylko w tym był podobny do Absaloma. Czuł się prawowitym królem. Nasprawiał sobie wozów konnych, a 50 mężów biegło przed jego powozem. Skaptował sobie młodzieniec licznych sojuszników. Byli między nimi Joab, hetman królewski, kapłan Abijatar, który w konflikcie Dawida z Absalomem stanął za królem. Adonijasz postanowił złożyć ofiarę z wołów, owiec i innego tłustego bydła. Na uroczystość zaprosił liczne rodzeństwo, wszystkich mężów Judy i sługi królewskie. Nie zaprosił tylko Salomona, syna Batszeby, ani proroka Natana. Szykował się kolejny uzurpator. Dawid nic o tym nie wiedział, skryty w komnacie pod opieką Abisag.

Natan zaniepokoił się zachowaniem syna królewskiego i poradził Batszebie, by poszła do Dawida. Musiała to zrobić, bo gdyby do władzy doszedł Adonijasz, wtedy z pewnością zabiłby ją oraz jej syna. Natan kazał jej powołać się na przysięgę złożoną przez Dawida, iż jego następcą będzie właśnie Salomon. Wcześniej nie było o tym mowy. Być może odwołano się do tej sztuczki, by poruszyć starego króla i wmówić mu, że coś takiego niegdyś powiedział.

Batszeba weszła do łożnicy króla i powiedziała mu wszystko o Adonijaszu, przypominając rzekome zobowiązanie. Gdy to mówiła, przyszedł Natan i potwierdził jej słowa. Dawid przejął się zdaniem proroka i oznajmił Batszebie: „syn twój królować będzie po mnie, a on usiądzie na stolicy mojej, dziś tak uczynię" (1 Krl 1, 29).

Tak też się stało. Wsadzono Salomona na mulicę króla i doprowadzono do Gihon. Tam kapłan Sadok namaścił go olejami. Zagrano na trąbach, a lud cały zawołał: „Niech żyje król Salomon!". Radowali się mieszkańcy Judy. Weselono się tak, że ziemia zadrżała. Tak oto nastał nowy władca, nim Dawid wyzionął ducha. ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Młodzi nauczyciele*

Na zakończenie Światowych Dni Młodzieży w Krakowie papież Franciszek zachęcał młodych: „Rozmawiaj z rodzicami, z osobami starszymi, ale zwłaszcza rozmawiaj z dziadkami. (...) Jeśli zaś dziadkowie są już w niebie, [rozmawiajcie] z osobami starszymi. Będziecie zadawać im pytania? Pytajcie ich, bo oni są mądrością narodu". Natomiast wcześniej w Brzegach mówił: „Współczesne życie mówi nam, że bardzo łatwo skupić uwagę na tym, co nas dzieli, na tym, co rozłącza jednych od drugich. Chcieliby, byśmy uwierzyli, że zamknąć się w sobie to najlepszy sposób, by uchronić się od tego, co wyrządza nam zło. Dzisiaj my, dorośli, potrzebujemy was, byście nas nauczyli – jak to właśnie teraz robicie – żyć razem w różnorodności, w dialogu, w dzieleniu wielokulturowości nie jako zagrożenia, lecz jako szansy. A wy jesteście przyszłością. Miejcie odwagę nauczyć nas, że łatwiej jest budować mosty, niż wznosić mury! Potrzebujemy takiej nauki. A wszyscy razem prosimy, abyście od nas żądali kroczenia drogami braterstwa. Wy będziecie naszymi oskarżycielami – jeżeli wybierzemy drogę budowania murów, wrogości, wojny". Z tego wynika, że więzi łączące rodziców i dzieci, starych i młodych, daleko odbiegają od panującego wciąż patriarchalnego stereotypu, skoro to dzieci mają być naszymi nauczycielami i „naszymi oskarżycielami".

Jeśli chcemy uniknąć tych oskarżeń, musimy pamiętać choćby ten jeden fragment z Ewangelii: „Kiedy wyżsi kapłani i nauczyciele Pisma zobaczyli cuda, które [Jezus] uczynił, oraz dzieci, które wołały w świątyni: »Hosanna Synowi Dawidowemu«, oburzyli się. Powiedzieli do Niego: »Słyszysz, co one wołają?«. A Jezus im odpowiedział: »Owszem. Ale czy nie czytaliście: Z ust dzieci i niemowląt odbierasz chwałę?«. Z tym ich zostawił. Wyszedł z miasta i udał się do Betanii, gdzie spędził noc".

Jak to się stało, że ci, którzy jakby z urzędu powinni byli pierwsi rozeznać i odczytać sens wydarzeń, w których uczestniczyli, właśnie pobłądzili. Jezus pyta ich: „Ale czy nie czytaliście?". Może czytali, i to nie raz, pewnie dobrze znali Biblię, a więc dzieje przymierza Boga z ich narodem – ale zlekceważyli teraźniejszość. Ponieważ fakty nie dawały się nagiąć do ich religijnych i narodowych poglądów, widzieli bowiem znaki, cuda, postanowili je unicestwić. Naginając teraźniejszość i upychając ją w przeszłości, nie zauważali, że Bóg żyje nie tylko w przeszłości, ale również w teraźniejszości i przyszłości. Pewnie rada Jezusa: „Jeśli się nie zmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego", ma na celu uprzytomnienie uczniom, że nikt nie staje się chrześcijaninem raz na zawsze, ale do bycia chrześcijaninem dorasta się, jak dziecko dorasta do pełnoletności, czyli do uwierzenia, że mamy tylko jednego Ojca, a wszyscy, dorośli i dzieci, jesteśmy braćmi. Paternalizm w kościelnym wydaniu to klerykalizm – nie powinien być naszym stylem życia. ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Sprzeczność czy spójność?*

*Uczniowie spytali: „Kiedy przyjdzie Królestwo?”. Jezus odparł: „Ono nie przyjdzie przez wypatrywanie go ani przez czekanie. I nie powiedzą: »Patrz tu!« ani: »Patrz tam!«. Królestwo Ojca rozszerza się po ziemi, a ludzie go nie widzą”.*

**EWANGELIA TOMASZA**

*Nie pojmują, jak to, co zróżnicowane, jest ze sobą w zgodzie. Harmonia sobie przeciwnych: jak w łuku lub lirze.*

**HERAKLIT**

Wybrał PIOTR SIKORA

Zkim mam porównać to pokolenie? – to słowa Jezusa przywołane niedawno w Liturgii. – Podobne jest do przesiadujących na rynku dzieci, które głośno przymawiają swym rówieśnikom: Przygrywaliśmy wam, a nie tańczyliście; biadaliśmy, a wy nie zawodziliście. Przyszedł bowiem Jan – nie jadł ani nie pił, a oni mówią: Zły duch go opętał. Przyszedł Syn Człowieczy – je i pije, a oni mówią: Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników. A jednak mądrość usprawiedliwiona jest przez swoje czyny” (Mt 11, 16-19).

Kilkanaście lat temu prowadziłem rekolekcje dla mnichów w Tyńcu. Spędziłem z nimi dziewięć cudownych dni – wyznaczanych rytmem liturgii i dyscypliną gregoriańskich śpiewów: z uniesieniem, ale... kontrolowanym, na medytacji i ciszy. To jak wspomnienie raju. Wróciłem w sobotę do swojego mieszkania. Po 15 minutach – telefon. Wspólnoty neokatechumenalne nie miały prezbitera na wieczorną liturgię. Przyjdziesz? Oczywiście. Śpiew prowadziło pięć gitar, bębny i grzechotki – zlewając się z harmidrem czynionym przez wcale niemałą gromadę dzieci... Pomyślałem sobie wtedy: „Panie Boże, co Ty ze mną robisz?!”.

A przecież i wtedy, i dzisiaj było dla mnie oczywiste, że Bóg jest i tam, i tu z taką samą intensywnością i mocą. I że nie dałoby się tego zamienić. Wspólnotom z Drogi jeszcze daleko było wtedy do śpiewu chorału; a mnisi nie odnaleźliby się raczej w rytmie i poetyce śpiewów „neo”.

Oto rozpiętość ukochana przez Mądrość Bożą, która równie dobrze wypowiada się ascezą Chrzciciela i przystępnością Jezusa. Oto „pojednanie sprzeczności” typowe dla Ducha Świętego, który równie łatwo kryje się w obrazie wody, co ognia. A najlepiej w obu razem. Oto prawda Jezusa zawarta w harmonii kontrastów: „Oto zwyciężył Lew z pokolenia Judy! (...) I ujrzałem stojącego Baranka jakby zabitego” (Ap 5, 5n).

Oto refren przeżywanych przez nas świąt: „Ogień – krzepnie; / Blask – ciemnieje; / ma granice – Nieskończony. / Wzgardzony – okryty chwałą; / Śmiertelny – król nad wiekami”. I tylko my z pewnością ekspertów chcielibyśmy poddać Boga swojemu jedynemu modelowi przeżywania i rozumienia wszystkiego.

Komunia święta? Tylko na stojąco. Albo tylko na klęcząco. W procesji. Nie, nie – wyłącznie przy balaskach. Tylko na kolanach i do ust. Nie, nie, tylko na rękę. Śpiewy? Tylko chorał. No dobrze: może jeszcze organy... Nie – teraz tylko śpiewy „uwielbieniowe”. Ma być tak samo. Wtedy jest dobrze. Bo jest „po mojemu”.

Czy Bóg jest niespójny? Wszechmocny i bezsilny – wydany naszym rękom w Hostii na połamanie. Największy i Najmniejszy jednocześnie. Spójność Boga jest głębsza niż formy działania. Jest spójnością Miłość, która jest Jego naturą, motywem i dyscypliną Jego działania. Bóg kocha każdego. I każdego inaczej. To właśnie dlatego Bóg każdego traktuje indywidualnie. Bóg nie klonuje rzeczywistości. Kocha różnorodność, nie znosi jednolitości. Jednemu zaleca radykalny post, a drugiemu zastawia stół. I nigdy nie myli jednego z drugim. Bóg jest spójny i wierny. Nie zmienia zdania. Nieodwołalnie kocha.

Absolutyzowanie jednego doświadczenia wiary – słusznego, bo własnego – uważa za dziecinadę. I w tym przypadku dziecko nie jest zgoła ikoną Królestwa... ©

### CZYTANIA LITURGICZNE (31 XII 2017 – 14 I 2018)

**Niedziela, Świętej Rodziny:** Rdz 15, 1-6; 21, 1-3; Ps 105; Hbr 11, 8. 11-12. 17-19; Łk 2, 22-40;
**Poniedziałek, Świętej Bożej Rodzicielki Maryi:** Lb 6, 22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7; Łk 2, 16-21;
**Wtorek:** 1 J 2, 22-28; Ps 98; J 1, 19-28;
**Środa:** 1 J 2, 29 – 3, 6; Ps 98; J 1, 29-34;
**Czwartek:** 1 J 3, 7-10; Ps 98; J 1, 35-42;
**Piątek:** 1 J 3, 11-21; Ps 100; J 1, 43-51;
**Sobota, Objawienie Pańskie:** Iz 60, 1-6; Ps 72; Ef 3, 2-3a. 5-6; Mt 2, 1-12;
**2. niedziela po Narodzeniu Pańskim:** Syr 24, 1-2. 8-12; Ps 147; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18.
**Poniedziałek:** 1 Sm 1, 1-8; Ps 116b; Mk 1, 14-20;
**Wtorek:** 1 Sm 1, 9-20; 1 Sm 2, 1. 4-5. 6-7. 8; Mk 1, 21-28;
**Środa:** 1 Sm 3, 1-10. 19-20; Ps 40; Mk 1, 29-39;
**Czwartek:** 1 Sm 4, 1-11; Ps 44; Mk 1, 40-45;
**Piątek:** 1 Sm 8, 4-7. 10-22a; Ps 89; Mk 2, 1-12;
**Sobota:** 1 Sm 9, 1-4. 17-19; 10, 1a; Ps 21; Mk 2, 13-17;
**2. niedziela zwykła:** 1 Sm 3, 3b-10. 19; Ps 40; 1 Kor 6, 13c-15a. 17-20; J 1, 35-42.

DOMENA PUBLICZNA X2

*Szkolenie nt. wirtualnej symulacji w bezpieczeństwie publicznym, Szczecin, listopad 2016 r.*

# NAJWAŻNIEJSZA GRA PRZYSZŁEGO ROKU

Los polskiego samorządu nie sprowadza się tylko do wyniku wyborów. Chodzi o to, czy potrafimy go wymyślić na nowo i dostosować do rzeczywistości.

RAFAŁ MATYJA

Rok 2018 może okazać się kluczowy w rozwoju samorządu terytorialnego w Polsce. Nie tylko ze względu na wybory – wszak te przesądzą o personalnej i politycznej obsadzie władz lokalnych na jedną kadencję. Będą nawet trochę mniej ważne niż poprzednie. Także dlatego, że – w przypadku wójtów, burmistrzów i prezydentów, którym jednorazowe zwycięstwo dawało szansę na długie rządy – wprowadzona zostanie zmiana ograniczająca liczbę kadencji do dwóch. To nie wybory będą tym czynnikiem, który rozstrzygnie o losach samorządu, ale to, czy pojawią się kolejne pomysły ograniczające jego uprawnienia.

Ten rok przyniósł bowiem zawetowany przez prezydenta projekt ustawy o Regionalnych Izbach Obrachunkowych, przejmowanie instytucji, kontrolowanych dotychczas przez samorząd wojewódzki, próby – na szczęście na razie porzucone – ingerowania w kształt okręgów wyborczych w gminach i powiatach. Symbolem tego pochodu centralizmu są decyzje wojewodów zmieniające nazwy ulic w miastach i ustanawiające nowe, bez udziału rad poszczególnych miejscowości.

Problem polega na tym, że o ile wybory są wydarzeniem spektakularnym i przyciągającym uwagę opinii publicznej, o tyle realna wojna między centralizmem a decentralizacją toczy się poza zasięgiem jej wzroku. Toczy się od 27 lat, od pierwszej ustawy o samorządzie gminnym. Dziś jednak centralizm jest realnym programem rządzącej większości. Warto zatem śledzić nie tylko, kto będzie rządził naszymi miejscowościami, powiatami i województwami, ale też to – czym i na jakich warunkach będzie mógł rządzić.

DARIUSZ GORAJSKI / FORUM

### Stawka wyborów

Zacznijmy od opisania stawki przyszłorocznych wyborów samorządowych. Uwagę ogólnopolskich mediów przyciągnie wynik wyborów do sejmików 16 województw oraz prezydentów dziesięciu największych miast. Pozostałe miasta – nawet tak duże jak Rzeszów, Częstochowa czy Kielce – w tej omawianej szeroko „ogólnopolskiej" stawce zwykle się nie pojawiają. A cóż dopiero małe gminy czy powiaty.

Jak pokazały wybory 2014 r., dla wielu komentatorów istotne jest to, co nie przekłada się na jakąkolwiek władzę, a jedynie na prestiż – czyli wskazanie partii, która w wyborach wojewódzkich zdobyła największą liczbę głosów w skali kraju. To symboliczne zwycięstwo jest istotne przede wszystkim ze względu na sposób, w jaki formatuje walkę wyborczą w kolejnych kampaniach. W pół roku po wyborach samorządowych odbędą się bowiem wybory europejskie, a niespełna rok później – parlamentarne.

Przypomnijmy zatem, że najlepszy wynik w skali ogólnopolskiej w wyborach przed trzema laty zdobył PiS, nieznacznie – o niecały punkt procentowy – wyprzedzając PO i – o trzy punkty procentowe – PSL. Tymczasem przełożenie liczby głosów na realne rządy w województwach w istotny sposób różniło się od krajowego rankingu. PiS objął władzę tylko w jednym regionie, a koalicja PO-PSL w piętnastu pozostałych. Piszę o tych oczywistościach po to, by pamiętać, że liczy się 16 wyników wojewódzkich, ten jeden ogólnopolski ma zaś znaczenie prestiżowe. Wydaje się, że z przejęciem władzy w połowie województw – takich jak małopolskie czy lubelskie – PiS nie powinien mieć większych problemów. Opozycja zatem mogłaby uznać remis – czyli utrzymanie władzy na poziomie siedmiu-ośmiu sejmików – za sukces.

Ważnym elementem rywalizacji sejmikowej 2018 r. będzie też zdolność ugrupowań do mobilizacji elektoratu. Jarosław Flis od lat zwraca uwagę na fakt, iż w wyborach samorządowych – inaczej niż w parlamentarnych czy tym bardziej prezydenckich – frekwencja na wsi jest wysoka, a w dużych miastach relatywnie niższa. Podajmy przykłady sprzed trzech lat: o ile frekwencja w skali kraju wynosiła 47 proc., to w Szczecinie – 35, we Wrocławiu – 36, a w innych wielkich miastach nieco więcej – w okolicach 40 proc. Tylko w jednym wielkim mieście – Warszawie – osiągnęła poziom średniej krajowej. To pokazuje pewien zasób, jakim dysponuje zakorzeniona w dużych miastach opozycja liberalna i lewicowa. Partie potencjalnego bloku liberalnego w wyborach samorządowych zdobyły o 1,5 mln mniej głosów niż w następnych parlamentarnych – gdyby potrafiły te głosy pozyskać, dałoby to im dobrze ponad 10 punktów procentowych poparcia w skali kraju w wyborach sejmikowych.

Pytanie, czy ta sztuka, jaką jest mobilizacja elektoratu liberalnego do udziału w wyborach samorządowych, uda się PO i Nowoczesnej, to jedna z najważniejszych zagadek tej kampanii.

Druga dotyczy tego, jaką część wiejskiego i małomiasteczkowego elektoratu PSL uda się w wyborach sejmikowych przejąć PiS. Dziś nie wiemy jeszcze, na ile się to udało. To przejęcie nie jest bowiem widoczne w sondażach. Dotyczy dwóch zjawisk trudnych do zbadania: faktycznego (niekoniecznie formalnego) przejścia do obozu dobrej zmiany polityków samorządowych – wójtów, starostów i członków zarządów powiatów, burmistrzów związanych wcześniej formalnie lub nieformalnie z PiS. Drugie zjawisko to gotowość zagłosowania na listę PiS przez tych wyborców ze wsi i małych miast, którzy dotąd głosowali na niezwiązane z PiS układy lokalne.

Trzecia zagadka to rola, jaką w tych wyborach odegrają Partia Razem, ruch Kukiz'15 i potencjalne listy samorządowe. Ich sytuacja stanie się bardzo trudna, jeżeli PiS ostatecznie przeforsuje podział województw na małe okręgi wyborcze, realnie trzy-, pięciomandatowe.

### Dla kogo miasta?

Drugim ważnym prestiżowym wynikiem wyborów będą rezultaty rywalizacji wielkomiejskiej. Nie tylko z powodów symbolicznych. Budżety tych samorządów są większe od wojewódzkich, a jednoosobowa władza prezydenta bardziej atrakcyjna niż kolegialny i często koalicyjny zarząd województwa. Prawu i Sprawiedliwości będzie bardzo trudno – nawet przy dzisiejszych wzrostach poparcia – wygrać w którymś z dziesięciu największych miast.

W drugiej turze wyborów prezydenckich 2015 r. tylko w jednym z nich – Lublinie – Andrzej Duda pokonał Bronisława Komorowskiego. Nawet jednak w tym mieście prezydentem jest polityk Platformy Obywatelskiej i jak pokazują sondaże – mimo akcji podjętej przeciwko niemu przez rząd PiS cieszy się nadal wysokim poparciem. Oczywiście spersonalizowany charakter wyborów sprawia, że zawsze możliwe są niespodzianki i sukcesy polityków, którzy pochodzą z innej strony niż ta, która wygrywa w mieście wybory ogólnopolskie. Znakomitym przykładem takiego paradoksu jest prawicowy Rzeszów, gdzie od 15 lat prezydentem jest Tadeusz Ferenc, który startował po raz pierwszy jeszcze jako poseł SLD. Kolejnym – prezydent Krakowa Jacek Majchrowski. To Kraków jest zresztą obok Lublina jednym z ośrodków, w którym partia Kaczyńskiego ma największe szansę na wyborczy sukces – pod warunkiem wystawienia silnego i popularnego kandydata.

Dla PiS wybory będą mieć zatem także kolejną, mniej spektakularną stawkę – zdobyć lub utrzymać władzę w miastach, w których partia ta ma wyraźną przewagę w wyborach ogólnopolskich. Takimi miastami są zdobyte w 2014 r. Biała Podlaska, Zamość czy Stalowa Wola, ale również większe ośrodki, w których drugą turę ↦

↦ wygrał Andrzej Duda – obok Lublina także Białystok, Radom, Płock, Tarnów czy kilka miast województwa śląskiego (Rybnik, Jastrzębie-Zdrój, Ruda Śląska). Średnich miast, które wskutek poprawiających się ogólnopolskich notowań PiS i sprzyjających tej partii czynników lokalnych, może być zresztą więcej.

Warto jednak pamiętać, że rywalizacja ogólnopolskich partii to tylko wierzchołek góry. Wybory w ogromnej większości pozostaną wyborami samorządowymi – takimi, w których decydują kryteria lokalne i ocena konkretnych osób sprawujących władzę w gminach czy powiatach. Bardzo istotnym elementem – któremu warto się przyglądać w wymiarze ogólnopolskim i w detalach – jest też uruchomienie procesu sukcesji pokoleniowej, a w szczególności przejmowanie instytucji samorządowych przez trzydziesto- i czterdziestolatków. W wyborach 2014 r. proces ten wyraźnie nabrał przyspieszenia, pojawiło się kilku młodych prezydentów. Ale wyraźna zmiana jeszcze nie nastąpiła i pokolenie wyżu demograficznego, tak jak w instytucjach centralnych, pozostaje w mniejszości.

### Instytucjonalizacja nieufności

Wspomniane wyżej zmiany staną się nieważne, jeżeli w najbliższych latach dojdzie do poważnego ograniczenia realnego pola manewru, jakim dysponuje samorząd. Jeżeli deklarowana przez obóz władzy nieufność zostanie przełożona na język instytucji i reguł, wzmacniających kontrolę nad jednostkami samorządu terytorialnego. Każdy element ustroju samorządu – od prawa wyborczego po finanse – za który wzięła się rządząca większość, zdradzał nie tyle jakiś spójny nowy pomysł, ile właśnie zasadniczą nieufność.

Czego zatem możemy się spodziewać? Jaka jest myśl i propaganda obozu władzy? Myśl to rzeczywisty sposób pojmowania własnych interesów i dobra publicznego w przestrzeni samorządowej. Propaganda zaś to zestaw tez podanych do wierzenia, przede wszystkim własnym wyborcom i strukturom. Stosunek dzisiejszego kierownictwa Prawa i Sprawiedliwości do samorządów podszyty jest nieufnością, z jaką odnoszą się do każdej instytucji niepoddającej się kontroli z jego strony. To ona stała za ustawą o Regionalnych Izbach Obrachunkowych, która dawała rządowi prawo natychmiastowego odwoływania wójtów, burmistrzów i prezydentów na podstawie negatywnej opinii o programach postępowania naprawczego. Przy czym powodem takiej opinii mogły być nie tylko, jak dotychczas, wady formalne, ale także niespełnianie znacznie bardziej uznaniowego kryterium gospodarności.

**Polityka nie toczy się** wyłącznie w przestrzeni sporu władzy z opozycją. To także zmagania władz z wyzwaniami rzeczywistości. Może nią być huragan lub problemy demograficzne, smog, dysfunkcjonalny transport czy skutki postępu technologicznego.

Z nieufnością wiąże się też praktyczna strategia przejmowania władzy. Przy użyciu mechanizmów politycznych (wygrana wyborcza), ale w jeszcze większym stopniu ustrojowych (ograniczanie kompetencji samorządu). To ona skłoniła władze PiS do poszukiwania nadzwyczajnego rozwiązania służącego przejęciu władzy w stolicy, jakim był projekt ustawy o metropolii warszawskiej. To ona wyznacza strategię przejmowania od samorządu wojewódzkiego sfer takich jak ośrodki doradztwa rolniczego.

Taka idea stała za zapisanymi w pierwszej wersji ustawy o wyborach samorządowych rozwiązaniami pozbawiającymi gminy i powiaty prawa dokonywania podziału własnej jednostki na okręgi. Przesłanka takiego działania była jasna i na pierwszy rzut oka zasadna. Jest bowiem tajemnicą poliszynela, że rady gmin i miast dokonują często podziału na okręgi, kierując się po prostu interesem aktualnej większości. Pytanie jednak, jakie można postawić twórcom zmian w ordynacji, brzmi: czym kierowałaby się nowa, wykreowana przez PiS, administracja wyborcza? Projekt zmian nie blokował możliwości dokonywania podziałów zgodnie z interesami rządzącego ugrupowania. Leczenie wad samorządu centralizmem, a interesów lokalnych interesami partyjnymi to kiepska recepta na naprawę czegokolwiek. Dobrze zatem, że PiS się z tych pomysłów wycofał.

Prawo i Sprawiedliwość prezentuje się jako partia politycznego patronatu i paternalizmu. Nie liczy na pozytywne skutki aktywności oddolnej, ale chce ją stymulować i regulować według własnego widzimisię. Proces wsparcia prowincji to w tej wizji otwieranie nowych komisariatów, obiecywanie dodatkowych środków na działania, które władze centralne uważają za istotne. PiS nie jest w tej wizji sam. Mentalny centralizm jest silnie ugruntowanym nawykiem. W administracji, w środowiskach eksperckich, w mediach. W sferze propagandy jest napędzany przekonaniem, że lokalne elity są mniej kompetentne, bardziej interesowne i skorumpowane (w szerokim sensie tego słowa) niż elity szczebla centralnego i ich hierarchicznie podporządkowani przedstawiciele „w terenie".

Szkoda, bo mogło być inaczej. Wyrażona już w 2010 r. wątpliwość polityków PiS wobec propagowanej przez ówczesny rząd wizji „polaryzacyjno-dyfuzyjnego" modelu rozwoju była wypowiedzią w obronie małych i średnich ośrodków. Ale nie została przełożona na język ustrojowego konkretu, na mechanizm wolny od błędów centralizmu i ręcznego sterowania.

### Zróbmy trzeci krok

Rozwiązania – choćby definiujące inny model rozwoju – są tymczasem potrzebą chwili. W przyszłym roku upłynie 20 lat od stworzenia powiatów i województw, dokonania nowego podziału administracyjnego i drugiej fali decentralizacji zadań. Bagaż doświadczeń jest już dość duży, by skorygować ten ustrój i zrobić trzeci krok decentralizacyjny.

Przesłanką wprowadzenia dużej zmiany powinny być zmniejszone środki europejskie, jakie trafią do samorządów wojewódzkich w następnej kadencji. Wraz z wyczerpywaniem się funkcji województw jako – by użyć sformułowania Pawła Swianiewicza – „szafarzy darów europejskich" podważone zostanie kluczowe w ostatnich czterech kadencjach źródło ich politycznej pozycji. Wrócimy do lat 1998–2002, w których samorząd wojewódzki był oceniany jako podmiot słaby, niemający narzędzi do kreowania rzeczywistego rozwoju regionalnego. Połączenie tego problemu z rozpoczętą przez Jarosława Gowina reformą szkolnictwa wyższego mogłoby skłaniać do przesunięcia na ten poziom istotnych narzędzi kształtowania polityki publicznej w mniejszych ośrodkach.

Inną przesłanką zmiany mogą być elementy dysfunkcji ustrojowych samorządu, które przed kilkoma laty zostały opisane w znakomitym raporcie zespołu Jerzego Hausnera. Dotyczą one m.in. niewykorzystanego potencjału miast metropoli-

talnych i średnich ośrodków niespełniających funkcji miast wojewódzkich – takich jak choćby Bielsko-Biała, Częstochowa czy Radom. Problem metropolitalny redukuje się ciągle do kwestii relacji między dużym miastem a jego aglomeracją, nie dostrzegając roli, jaką ośrodki takie jak Wrocław, Poznań czy Trójmiasto mogłyby odgrywać w wymiarze ponadregionalnym i ogólnopolskim.

Trzecia obok polityki miejskiej i regionalnej sfera, w której konieczne są zmiany, to kwestia powiatów. Udawanie, że problem nie istnieje, otwiera drogę do rozwiązań, które sprowadzają się do likwidacji powiatów przy pojawieniu się jakichkolwiek problemów finansowych. Dziś jeszcze można dokonywać korekt zmniejszających koszty funkcjonowania, polegających na przesuwaniu kompetencji, innej formuły tworzenia władz powiatu. Pamiętając, że alternatywą jest po prostu likwidacja tego szczebla samorządu.

PiS wyzwań tych jednak nie podejmuje. Prowadzi politykę cichej recentralizacji kraju i deklarowanej otwarcie nieufności wobec samorządów. Sprawę korekty ustroju sprowadza do sugestii o możliwości powołania kolejnych województw czy do projektów w rodzaju budowy wielkiej aglomeracji warszawskiej. W atmosferze nieufności, jaka panuje między rządem a opozycją, między większością parlamentarną a środowiskami samorządowymi, bardzo trudno rozpocząć rozmowę o koniecznych zmianach ustrojowych. Niestety, czas – podobnie jak za poprzednich rządów – nie czeka. Zaniechania mają swoją cenę.

Naiwne jest myślenie, że polityka toczy się w przestrzeni sporu władzy z opozycją. Ona toczy się także w przestrzeni zmagań władz publicznych – rządowych i samorządowych – z wyzwaniami rzeczywistości. Tą rzeczywistością może być huragan lub problemy demograficzne, coraz groźniejszy smog, dysfunkcjonalny transport publiczny czy skutki postępu technologicznego. Samorząd był dotąd w tej grze silnym polskim atutem. Gra o to, by ochronić jego niezależność, a przy pierwszej okazji – wzmocnić i zmodernizować – jest jedną z najważniejszych gier, jakie toczą się we współczesnej Polsce. Jedną z najważniejszych gier nadchodzącego roku. ©

RAFAŁ MATYJA

BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

*Protest przed Sądem Okręgowym w Krakowie, 14 grudnia 2017 r.*

# PiS na drodze do ostatecznej skuteczności

MARCIN MATCZAK

**Kontrola nad sądownictwem jest potrzebna politykom po to, by móc zarządzać emocjami i panować nad rozwiązywaniem sporów społecznych.**

Temat sądownictwa jest zazwyczaj hermetyczny, mało ekscytujący i zbyt abstrakcyjny, by poruszać tłumy. Zakończona niedawno batalia o sądy poruszyła jednak Polaków do tego stopnia, że w liczbie kilkudziesięciu tysięcy wychodzili na ulicę, by bronić sądów przed polityczną agresją przebraną w maskę reformy.

Dlaczego tak się stało? Duża część uczestników protestów zjednoczyła się wokół obrony kwestii podstawowych: szacunku dla zasad zamieszczonych w umowie społecznej, którą zawarliśmy jako obywatele – w Konstytucji. Zasad, które władza polityczna bezpardonowo złamała. Skoro złamała jedne zasady, może złamać i inne.

Ale powodem tak mocnego zaangażowania było także przekonanie, być może nie do końca uświadamiane, że niezależne sądownictwo jest dla zwykłego obywatela bardzo ważne i z tego powodu przejęcie nad nim kontroli przez polityków jest groźne. Tak rzeczywiście jest. Istnieje wiele powodów, dla których sądy stanowią dla polityków szczególnie łakomy kąsek. Powody te są bezpośrednio związane z faktem, że sądownictwo wymyślono, aby rozstrzygać międzyludzkie konflikty. A tam, gdzie rozstrzyga się konflikty, pojawiają się emocje – zarówno te pozytywne, których politycy pragną, jak i negatywne, których boją się jak diabeł święconej wody.

Pierwszy powód, dla którego politycy pożądają kontroli nad sądami, to przydatność podporządkowanego im sądownictwa do ograniczania negatywnych społecznych emocji. Takie emocje są nieuniknione, gdy rozwiązuje się szczególnie kontrowersyjne spory. Dlatego politycy nie kwapią się do jednoznacznego rozwiązywania tych sporów własnymi rękami. Zdecydowanie wolą społeczne gorące kartofle przerzucić w ręce sądów. Zjawisko przesuwania konfliktogennych spraw do decyzji ↦

↦ sądownictwa opisał Daniel Kelemen w książce „*Eurolegalism*". Przesuwanie to powoduje „usądowienie" życia publicznego, które najpierw dokonało się w USA, a obecnie dotarło do Europy.

### Oddać nie oddając

Także w Polsce doświadczaliśmy tego zjawiska wielokrotnie. Brak całościowej ustawy o reprywatyzacji i pozostawienie rozstrzygania sporów w tym zakresie sądom to jeden przykład. Brak rozstrzygnięcia sprawy kredytów frankowych i oddanie decyzji w tej sprawie sądom (co obwieścił swego czasu Jarosław Kaczyński) to przykład drugi. W obu sprawach mamy do czynienia z ostrym konfliktem wartości: stabilność prawa (ochrona własności, zasada dotrzymywania umów) *versus* aktualne potrzeby społeczne (sytuacja życiowa lokatorów i kredytobiorców). Jednoznaczne rozwiązanie tego sporu przez polityków na poziomie ustawy jest politycznie ryzykowne, bo zawsze którąś ze stron zaboli. Łatwiej jest więc umyć ręce i oddać inicjatywę sądom.

Ale czy oddać w całości? Silna władza niechętnie pozbywa się inicjatywy. Dlatego najlepszym dla niej rozwiązaniem jest zjeść ciastko i mieć ciastko: powierzyć sprawę sądom, ale tak naprawdę jej nie oddać. Jak to możliwe? Trzeba zapewnić sobie pośrednią kontrolę nad decyzją sądu. Jak atrakcyjna może być to strategia, pokazuje sprawa ostatniego wniosku w sprawie aborcji do Trybunału Konstytucyjnego. Grupa posłów rządzącej większości, która z łatwością mogłaby zmienić ustawę aborcyjną na drodze legislacyjnej, oddaje sprawę do decyzji niewielkiej grupie sędziów konstytucyjnych. Oddaje i nie oddaje: wcześniej większość ta niekonstytucyjnie zapewniła sobie pełną kontrolę nad Trybunałem, może być więc spokojna, że rozstrzygnięcie sprawy będzie zgodne z jej oczekiwaniami. Trudna politycznie kwestia będzie załatwiona, a odium społeczne nie dotknie polityków.

Podejście takie z pewnością zostanie wykorzystane także w przypadku sądownictwa powszechnego, obecnie przejmowanego przez władzę polityczną. Dzisiaj słyszymy, że nie wolno nam kwestionować konstytucyjności ustaw uchwalanych przez parlament, bo „tylko Trybunał może stwierdzić niekonstytucyjność". Jutro możemy usłyszeć, że nie wolno nam kwestionować przestępczych działań policjanta, prokuratora czy innego urzędnika, bo „tylko sąd może stwierdzić ich nielegalność". Manipulacja ukryta za takim działaniem będzie trudna do ujawnienia. Krytyka działań politycznych dokonywanych za pomocą sądownictwa będzie zawsze krytyką tego sądownictwa, a normalni, inteligentni ludzie mają opór przed atakowaniem sądów. Stąd sprzeciw wobec niegodziwych albo tylko niepopularnych politycznych działań będzie zawsze słabszy, kiedy działań tych dokonuje się za pomocą trzeciej, a nie pierwszej czy drugiej władzy.

**Niezależne sądy** są racjonalnym antidotum na emocjonalność polityki. A w polityce, jak w życiu, odejście od racjonalności na rzecz emocji kończy się naprawdę źle.

### Komu nagroda, komu kara

Drugim powodem, dla którego politycy pragną kontroli nad sądami, jest przydatność kontrolowanego politycznie sądownictwa dla rozwiązywania sporów społecznych w sposób powodujący wśród wyborców pozytywne emocje. Przejęcie kontroli nad sądami jest potrzebne politykom, ponieważ ten, kto kontroluje rozwiązywanie sporów, jest dysponentem dóbr i dysponentem zemsty. I hojne dawanie, i surowe karanie od wieków powodują zadowolenie tłumów.

Sprawowany przez sądy wymiar sprawiedliwości dotyczy obu jej wymiarów – dystrybutywnego i retrybutywnego. Sprawiedliwość dystrybutywna koncentruje się na rozdzieleniu dóbr pomiędzy członków społeczeństwa. Chodzi przede wszystkim o dobra materialne, takie jak własność rzeczy czy pieniędzy, a ich rozdzielaniem zajmują się takie dziedziny prawa, jak prawo cywilne, podatkowe czy prawo ubezpieczeń społecznych. Chociaż zasadnicze ustalenia co do tego, jak dystrybuowane i redystrybuowane są dobra, podejmuje się na poziomie ustaw, dużą rolę w tym zakresie odgrywają sądy.

Wynika to z istniejącej w prawoznawstwie dystynkcji pomiędzy prawem w księgach (*law on the books*) a prawem w działaniu (*law in action*). Parlament ustanawia pierwsze z nich, ale za kształt drugiego, czyli prawa, z którym bezpośrednio stykają się obywatele, odpowiadają sądy i organy administracji. Doświadczenie uczy, że prawo w działaniu różni się od prawa w księgach. Wynika to z faktu, że aplikacja ogólnego przepisu do konkretnego przypadku może dawać efekt inny, niż zamierzał twórca tego przepisu. I to nie dlatego, że stosujący prawo sędzia wypaczył znaczenie ustanowionego przez parlament przepisu. Sędzia jest odpowiedzialny za stosowanie całego systemu prawa, także konstytucji oraz innych adekwatnych dla danego przypadku przepisów, również tych uchwalonych przez innych prawodawców (np. poprzednie parlamenty). Takie wspólne stosowanie przepisów pochodzących od różnych prawodawców powoduje czasem modyfikację jednego przepisu ze względu na inny. Ona z kolei powoduje, że zamierzenia aktualnego prawodawcy nie zawsze muszą znaleźć odzwierciedlenie w stosowaniu prawa przez sądy.

Ponieważ różnica między prawem w księgach a prawem w działaniu może utrudnić realizację zamiarów politycznych, władza polityczna chce mieć kontrolę nad oboma obszarami – i nad tym, co umieszcza w ustawach, i nad tym, jak te ustawy są w praktyce stosowane. Kontrola nad tym drugim obszarem wymaga kontroli nad sądami. Po jej uzyskaniu zarówno dystrybucja dóbr dokonywana legislacyjnie, jak i ta dokonywana przez sądy będzie się odbywać według jednego standardu – tego, który popiera obecna władza polityczna. Komu będzie chciała odebrać – odbierze, komu będzie chciała dać – da. I nikt takiej dystrybucji nie zakwestionuje, choćby była z gruntu niesprawiedliwa.

Podobnie rzecz się ma z polityczną kontrolą nad wymierzaniem sprawiedliwości retrybutywnej, czyli odpłaty, regulowanej przez prawo karne oraz prawo regulujące odszkodowania za tzw. czyny niedozwolone (szkody na osobie czy mieniu). Także w tym wymiarze kontrola nad stosowaniem prawa jest łakomym kąskiem dla polityków. Po pierwsze, sędzia ma zawsze pewną swobodę w ustaleniu wysokości kary czy odszkodowania. Nacisk polityczny może uczynić wymiar sprawiedliwości retrybutywnej bardziej surowym bądź bardziej łagodnym, w zależności od preferencji władzy. W ten sposób łatwiej kształtować postawy i transmitować *via* sądy aktualną polityczną aksjologię, np. stosując łagodne kary za palenie kukły Żyda i surowe za nielegalne protestowanie przeciwko takiemu paleniu.

### Antidotum na emocje

Oprócz rozdzielania dóbr i odpłacania za zło sądy mają moc kształtowania rzeczywistości społecznej. Mogą być narzędziem polityki rodzinnej, ponieważ to one decy-

dują o rozwodach i alokacji winy pomiędzy małżonków. One decydują o opiece nad dziećmi i o tym, kiedy uznać kogoś za ubezwłasnowolnionego. Mogą być narzędziem polityki kulturalnej i światopoglądowej, ponieważ mogą zakazać dystrybucji książki czy filmu. W ten sposób sądy kontrolowane przez polityków mogą stać się narzędziem zwyczajnej cenzury. A jako narzędzie kształtowania światopoglądu kontrolowane politycznie sądy są szczególnie przydatne tym politykom, którzy mają ciągoty paternalistyczne. Takie sądy poprzez wyroki nakazują ludziom, jak mają żyć. Tego pragnie każda władza, zwłaszcza reprezentująca prawą stronę sceny politycznej.

Rozdawanie dóbr według politycznego klucza oraz karanie za działania, które aktualna władza polityczna potępia, zapewniają skuteczność polityczną. A skuteczność rodzi kolejne pozytywne emocje, które wyborcy wyrażają w akcie wyborczym, popierając skuteczną władzę. Prawo skupione na zapewnianiu skuteczności zapomina jednak o tym, że równie ważną jego funkcją jest ochrona podstawowych wartości, które często skuteczności politycznej stoją na przeszkodzie. Takimi wartościami są prawa i wolności innych ludzi, szczególnie tych niereprezentowanych aktualnie przez większość polityczną. To ich chroni konstytucja i ich powinny chronić niezależne sądy. Gdy tych ostatnich zabraknie, można politycznie zrobić prawie wszystko, np. użyć sądów do zwalczania przeciwników politycznych, do zamykania ust krytykom, do przejmowania przez państwo wartościowych przedsiębiorstw. A takie działania jeszcze bardziej zwiększają skuteczność władzy politycznej.

Sądy naprawdę niezależne są racjonalnym antidotum na emocjonalność polityki. Dlatego pożądana przez polityków władza nad negatywnymi i pozytywnymi emocjami towarzyszącymi rozwiązywaniu społecznych konfliktów jest możliwa tylko wtedy, gdy sądy staną się posłuszne politycznemu nakazowi. Historia uczy nas, że w polityce, jak w życiu, odejście od racjonalności na rzecz emocjonalności kończy się zawsze źle. Trudno mieć nadzieję, że w naszym przypadku będzie inaczej. ©

MARCIN MATCZAK

*Autor jest prawnikiem, profesorem UW.*

# 2017 – Rok Conrada... i nie tylko!

**Kończy się kolejny rok z „Lekcjami czytania”.** Dzięki naszym partnerom i mecenasom w ciągu ostatnich 12 miesięcy odbyło się niemal 60 spotkań, które prowadzili m.in. Agata Bielik-Robson, Wojciech Bonowicz, Stefan Chwin, Przemysław Czapliński, Maria Dąbrowska-Majewska, Jakub Kornhauser, Inga Iwasiów, Grzegorz Jankowicz, Jerzy Jarniewicz, Michał Lachman, Michał Olszewski, Wojciech Orliński, Piotr Paziński, Jerzy Sosnowski, Maciej Świerkocki, Adam Workowski i Marcin Żyła.

**Tylko od października do końca grudnia miało miejsce 25 spotkań** w cyklu „Lekcje czytania Conrada 2017”. Cykl ten, odbywający się w ramach obchodów Roku Conrada, zrealizowaliśmy w ścisłej współpracy z Krakowskim Biurem Festiwalowym.

**Przedmiotem dyskusji** były także utwory Franza Kafki, Mary Shelley, Boba Dylana, Marcina Świetlickiego, ks. Józefa Tischnera, Leszka Kołakowskiego, Bolesława Leśmiana, Teda Chianga, Martina Pollacka, Edwarda Stachury, Lwa Tołstoja, Stanisława Lema, Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Hansa Christiana Andersena, Fiodora Dostojewskiego, Stanisława Wyspiańskiego czy Brunona Jasieńskiego.

**Byliśmy obecni** podczas 17. Dni Tischnerowskich w Krakowie, na Logos Fest w Tychach, Festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczebrzeszynie, na Chojnickiej Wiośnie Literackiej, na Festiwalu Literatury „Prze-czytani” w Bydgoszczy oraz, jak co roku, oczywiście na Festiwalu Copernicus i Festiwalu Conrada. A także w gdańskiej bibliotece Europejskiego Centrum Solidarności i... krakowskim areszcie śledczym.

**Poza tym odwiedziliśmy:** Puławy, Lubaczów, Nowy Targ, Pszczynę, Mońki, Olecko, Ełk, Żywiec, Koźmin Wlkp., Kielce, Niepołomice, Żuromin, Rypin, Sieradz, Lublin, Gryfice, Bełchatów, Zduńską Wolę, Łochów, Zgierz, Tarnowskie Góry, Gorzów Wlkp. i Warszawę.

**Jak zawsze serdecznie dziękujemy towarzyszącemu nam od lat Uniwersytetowi Łódzkiemu. Wyrazy wdzięczności zechcą przyjąć również: Krakowskie Biuro Festiwalowe, nasz partner drukarnia Quad Graphics oraz firma SALESmanago, a także wszystkie osoby i instytucje zaangażowane w pozyskanie środków i organizację spotkań.**

**W sposób szczególny dziękujemy wszystkim uczestnikom.** Wasz entuzjazm dla literatury jest bezcenny i mamy nadzieję, że – także dzięki naszej akcji – w Nowym Roku 2018 będziecie „zarażać” nim swoje otoczenie!

Spotkania w roku 2017 odbywały się mimo odmowy finansowego wsparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wciąż wiele instytucji zgłasza się z prośbą o zorganizowanie „Lekcji czytania” u siebie. Dlatego nieodmiennie zachęcamy do kontaktu z Fundacją Tygodnika Powszechnego (fundacja@tygodnik.com.pl) osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną.

**Kontakt i rezerwacje: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl**

**Więcej o akcji na / LekcjeCzytania**

ORGANIZATORZY

PARTNERZY

OGŁOSZENIE

Cykl współorganizowany przez Krakowskie Biuro Festiwalowe w ramach obchodów Roku Conrada

# Kiedy państwo przestaje być teoretyczne

KLAUS BACHMANN

**Kara finansowa dla TVN to skrajny przykład selektywnego stosowania prawa. To ono może okazać się najskuteczniejszym batem na opozycję.**

Większość komentatorów w Polsce, w tym nawet niektórzy prorządowi dziennikarze, skrytykowała karę, którą Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nałożyła na TVN, określając tę decyzję jako zamach na wolność mediów. Ale obowiązujące w Polsce prawo – za uchwalenie którego PiS nie odpowiada – pozwala na nałożenie takich kar i jest wystarczająco mało precyzyjne, aby je również stosować z takim uzasadnieniem, z jakim robiła to KRRiT. Można by wręcz zapytać: gdzie jest problem? Jeśli postępowanie Rady wywołuje oburzenie, to trzeba przede wszystkim zmienić prawo. Czy można domagać się praworządności w Polsce i jednocześnie żądać, aby administracja państwowa nie stosowała prawa?

Szkopuł w tym, że problem z karą dla TVN jest o wiele szerszy. Nie polega na tym, że decyzyja KRRiT zagraża pluralizmowi i wolności mediów. Wolności mediów w Polsce obecnie mało co zagraża: rząd PiS i większość sejmowa przekształciły media publiczne w tuby propagandy rządowej – odtąd sponsorzy, reklamodawcy i widzowie uciekają do prywatnych mediów, wzmacniając je finansowo i doprowadzając media publiczne niemal do bankructwa. Można ubolewać nad tym, że to podatnik finansuje skutki tego moralnego i finansowego upadku mediów publicznych, z których pewnie już się nigdy nie podniosą. Można ubolewać nad tym, że pluralizm przestał tam funkcjonować, ale z perspektywy całego rynku medialnego pluralizm ma się dobrze. Nie w tym tkwi problem.

Kara KRRiT jest tylko czubkiem góry lodowej pod nazwą „selektywne stosowanie prawa" i to ono jest w warunkach polskich groźniejszym zjawiskiem niż próby odgórnego narzucenia pluralistycznemu społeczeństwu jednej politycznej narracji. Selektywne stosowanie prawa daje władzy o wiele więcej korzyści i wywołuje groźniejsze skutki niż czystki kadrowe i zniesienie pluralizmu w państwowych mediach. Może bardziej osłabić opozycję i jednocześnie chronić władzę przed krytyką – w kraju tak samo jak za granicą.

### Sanepidem w opozycję

W dawnych czasach, które obecnie są tak często przywoływane przez opozycjonistów z czasów Solidarności, przejęcie pełnej władzy przez jeden obóz polityczny odbywało się siłowo, szybko, paraliżowało opozycję i skończyło się na wsadzaniu przeciwników do więzień i obozów internowania. Potem władza borykała się z izolacją na arenie międzynarodowej, z żądaniami przywrócenia starego porządku i uwolnienia więźniów politycznych. Taki pucz wymaga dużej centralizacji władzy, dużo przygotowań w tajemnicy, sprawnego przeprowadzenia i wiąże się najpierw z dużym ryzykiem wojny domowej, a potem, nawet jeśli się uda, z dużymi kosztami politycznymi. Utrzymanie władzy i skuteczna pacyfikacja opozycji za pomocą selektywnego stosowania prawa są prostsze, prawie bezkosztowe i mogą się odbywać bez centralnej koordynacji. Wtedy działają niemal samoczynnie.

Polega to na tym, że administracja i wymiar sprawiedliwości stosują prawo z całą surowością – ale tylko wobec przedsiębiorców i aktywistów sprzyjających opozycji albo z innych powodów niewygodnych dla władzy. Oligarcha finansujący partię opozycyjną nagle doświadcza nalotu różnych służb kontrolnych, od urzędu skarbowego przez inspekcję pracy aż do sanepidu. Nie może się skarżyć na prześladowanie polityczne, bo te służby tylko egzekwują prawo, wszystko kończy się w sądzie, gdzie oskarżony może się bronić. Na ewentualne zarzuty o dyskryminację władza wtedy odpowie, że organy państwa tylko stosują prawo, i faktycznie udowodnienie podtekstu politycznego jest zazwyczaj bardzo trudne: przedsiębiorca zostanie skazany w uczciwym procesie za unikanie podatków, naruszenie przepisów BHP, niegospodarność i błędy w księgowości. Trudno to krytykować międzynarodowym organizacjom praw człowieka, a nawet mediom – państwo przecież jedynie stosuje prawo, które obowiązuje wszystkich, i tym samym pokazuje, że nikt nie stoi ponad nim. Ludzie, którzy w wyniku takich zabiegów trafiają do więzienia, rzadko są uważani za więźniów politycznych, siedzą za zarzuty czysto kryminalne. Szkopuł w tym, że inni przedsiębiorcy, neutralni albo przychylni władzy, nie muszą się obawiać takich nalotów, a po upadku konkurenta mogą przejąć jego udział w rynku albo nawet cały jego biznes. Nie trzeba stosować tej metody na szeroką skalę – ona wywołuje coś, co wśród prawników jest znane jako „efekt mrożący". Wystarczy od czasu do czasu komuś dać nauczkę i potencjalni oponenci karnie wracają do szeregu.

W ostatnich dekadach można było to obserwować w Rosji, na Białorusi i w Turcji, gdzie ta metoda gromienia przeciwników doprowadziła niemal do całkowitego zaniku chętnych do finansowania opozycji wobec Putina, Łukaszenki i Erdoğana. W mniejszej skali widać to na Węgrzech, ale w Polsce takie podejście też ma tradycje, choć słabsze. Jednym z najbardziej jaskrawych przypadków były kontrole skarbowe przeprowadzone u Lecha Wałęsy po jego krytyce ministra finansów Grzegorza Kołodki. Wałęsa wyszedł z nich obronną ręką, ale przypadek ten dobrze pokazuje, co jest konieczne, aby taka akcja była sku-

OGŁOSZENIE

**Sąd Rejonowy dla Wrocławia-Fabrycznej we Wrocławiu,** Wydział I Cywilny, w sprawie z wniosku Ryszarda Faryny, o stwierdzenie nabycia spadku po Zuzannie Farynie z d. Kosińskiej, córce Feliksa i Genowefy, ur. 18 maja 1934 r. w Jakubowie, ostatnio stale zamieszkałej we Wrocławiu przy ul. Grabiszyńskiej 220/12, zm. 16 listopada 2016 r. – wzywa spadkobierców Zuzanny Faryny, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tut. Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.
Sygn. akt I Ns 195/17/PKA.

teczna: mało precyzyjne prawo, które pozwala administracji na niekorzystne interpretacje stanu faktycznego, upartyjnienie administracji, tak aby urzędnicy czuli na plecach oddech polityków, i wymiar sprawiedliwości podporządkowany jednej partii. Po przeprowadzeniu obecnej reformy sądownictwa Polska będzie spełniać wszystkie te kryteria.

### Urok ciężkiej ręki

Część opozycji i krytycznych wobec rządu komentatorów zakłada, że tak selektywny i represyjny aparat państwa odstrasza obywateli. Tak wcale nie musi być. Takie państwo dostarcza szaremu obywatelowi mnóstwa mocnych wrażeń i emocji w postaci spektakularnych akcji służb, procesów pokazowych i surowych wyroków. Szary obywatel, który śledzi je przed telewizorem, zawsze będzie zakładać, że ta ciężka ręka państwa dosięgnie wyłącznie innych, ale na pewno nie jego. Zazwyczaj taki obywatel nie myśli o tym, że władza może o nim mieć błędne informacje albo że któryś z konkurentów może mieć lepsze dojście do władzy niż on i wykorzystać to przeciwko niemu. To zresztą dobrze obrazuje, jak państwo, selektywnie stosujące prawo, otwiera też drzwi dla korupcji.

Ale fakt faktem – przytłaczająca większość obywateli nawet w takich państwach jak Rosja lub Turcja nigdy nie doświadcza tego rodzaju akcji na własnej skórze. Selektywne stosowanie prawa jest groźne przede wszystkim dla dwóch grup: opozycji i potencjalnych dysydentów z obozu rządowego.

W kraju, gdzie połowa obywateli jest tak obojętna wobec polityki i nieufna wobec partii i polityków, że nawet w warunkach skrajnej polaryzacji nie oddaje głosu w wyborach, w kraju, gdzie polityka kojarzy się z korupcją, a politycy są uważani za wyobcowanych egoistów, selektywne stosowanie prawa przez państwo nie musi się kojarzyć z represjami i zanikiem prymatu prawa. Po 1989 r. politycy, prezentujący się jako bezpartyjni pogromcy korupcji, zawsze mogli liczyć na poparcie społeczne i aplauz mediów. Mało kto się zastanawiał, jak może wyglądać „walka z korupcją" w warunkach, w których zwycięzcy w wyborach obsadzają administrację swoimi zwolennikami. Najbardziej prawdopodobne jest wtedy to, że rozliczają z korupcji swoich przeciwników – albo, innymi słowy, stosują prawo selektywnie.

W przeszłości brak koordynacji i niezależność służb państwa często były uważane za symptom jego słabości. Najdobitniej dał temu wyraz Bartłomiej Sienkiewicz w słynnej wypowiedzi o tym, że „państwo polskie istnieje tylko teoretycznie" – bo nie udało się wtedy zorganizować nalotu kilku służb naraz na niewygodnego dla rządu biznesmena. Paradoksalnie to, co opinię publiczną wtedy oburzyło, to nie próba zastraszania biznesmena, lecz lekceważące dla państwa określenie Sienkiewicza. Przy większym szacunku publiczności dla praworządności jego wypowiedź byłaby uważana za komplement pod adresem praworządności w Polsce. To ona uniemożliwiała organom państwa przekształcenie gniewu rządzących w młot, który miażdży obywatela.

W tej chwili chyba nikt by zdania Sienkiewicza już nie powtórzył. Państwo przestało być teoretyczne: służby specjalne mogą inwigilować każdego (bez nakazu sądu), dyskredytować za pomocą przecieków z nasłuchów do prorządowych mediów, polityk (minister sprawiedliwości, a jednocześnie prokurator generalny) może nakazać prokuratorom wszczęcie śledztwa i oskarżanie bez dowodów. Jedyne, co w tej chwili jeszcze nie jest pewne, to wyrok. Sędziowie już w tej chwili czują oddech władzy na plecach, nie wiemy tylko, jak bardzo to wpływa na ich postawy. Dotąd to niezależne sądy stanowiły największą zaporę przed selektywnym stosowaniem prawa, a „efekt mrożący" działał na korzyść obywatela, powstrzymując urzędników od działań, które mogły ich urząd dyskredytować w sądach. Kara dla TVN pokazuje, że perspektywa przegranej nie „mrozi" już tak bardzo kierownictwa KRRiT.

Ten problem nie zniknie, jeśli Rada wycofa się w jakiś karkołomny sposób z kary dla TVN. Wtedy zniknie „efekt mrożący", jaki ta kara mogła mieć dla innych wydawców, ale to nie odbiera władzy możliwości selektywnego stosowania prawa w innych obszarach. W idealnym świecie, gdzie wszyscy są przywiązani do praworządności, do neutralności administracji i do niezależności sądownictwa, KRRiT być może próbowałaby ukarać TVN (choć niekoniecznie za to, za co teraz próbuje to robić), ale – aby uniknąć zarzutu selektywnego stosowania prawa – karząc też TVP za prowadzenie dwuletniej ksenofobicznej kampanii utożsamiającej uchodźców i muzułmanów z terrorystami, albo za to, że wielokrotnie naruszała domniemanie niewinności zarzucając aktywistom opozycji próby bezprawnego obalenia rządu.

©

*Autor jest profesorem politologii Uniwersytetu SWPS.*

REKLAMA

SERIA **BIOGRAFIE**

JAKUB SOCHA
**ŻEBROWSKI. HIPNOTYZER**

Współpracownik Kieślowskiego, Zanussiego i Różewicza, przyjaciel Marka Hłaski i ceniony pedagog. „Hipnotyzer" to portret wielkiego samotnika polskiego kina i podróż do świata największych polskich literatów i filmowców.

**Premiera 31 stycznia. Książka dostępna w przedsprzedaży.**

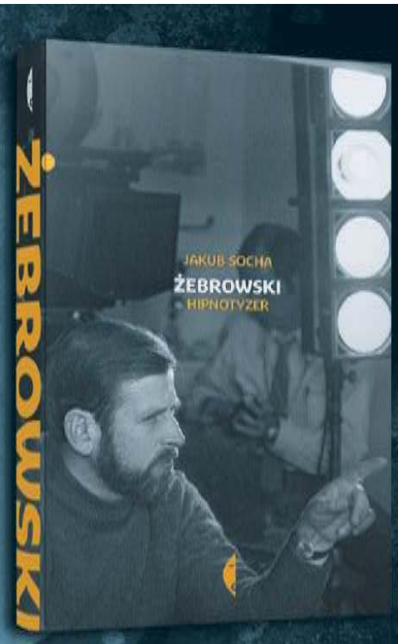


CzasKultury CZARNE.COM.PL

# Fabryki na emeryturze

BARTOSZ KLIMAS

**Sposobów na wykorzystanie budynków po dawnych fabrykach, hutach czy kopalniach jest kilka. Wszystkie są lepsze niż wyburzenie lub wyczekiwanie, aż same się rozpadną.**

Przemiany lat 80. i 90., technologiczne i społeczno-polityczne, dla jednych oznaczały nowe możliwości, dla innych – koniec świata, który znali. Na straconej pozycji znalazły się m.in. europejskie zagłębia górniczo-hutniczne, od Wielkiej Brytanii przez Niemcy po Polskę.

Dziś ich bogactwem są dziesiątki opuszczonych budynków i instalacji pochodzących jeszcze z XIX w. Zakończyły pracę, ale zamiast pogrzebu można zaproponować im emeryturę.

### Milion za progiem

Brązowe drogowskazy z „kółkiem na parę" widać dziś w wielu śląskich miastach. Na Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego składają się muzea i skanseny, zamieszkałe kolonie robotnicze i działające zakłady pracy.

Mamy zatem dawną fabrykę sukna Büttnerów w Bielsku-Białej (dziś oddział miejskiego Muzeum Historycznego), fabrykę zapałek Karola von Gehliga i Juliana Hucha w Częstochowie (Muzeum Produkcji Zapałek), kopalniany Szyb Wilson w Katowicach (największa w kraju prywatna galeria sztuki), radiostację w Gliwicach z najwyższą wolnostojącą drewnianą konstrukcją w Europie, wreszcie działający Browar Zamkowy w Cieszynie.

– Po niedawnym powiększeniu Szlaku Zabytków Techniki o siedem obiektów tegoroczne dane z pewnością nie będą niższe niż zeszłoroczne – przewiduje Adam Hajduga, kierownik referatu promocji dziedzictwa industrialnego w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Śląskiego. – Samo tylko Muzeum Śląskie, mieszczące się na terenie dawnej kopalni Katowice [jeden z nowo dołączonych obiektów – red.] odwiedziło w ubiegłym roku 250 tys. osób.

Organizatorzy śląskiego szlaku są dobrej myśli, bo kilka miesięcy temu udostępniono tu ewenement na skalę światową – Sztolnię Królowa Luiza. Główna Kluczowa Sztolnia Dziedziczna (tak brzmi formalna nazwa) to budowany w latach 1799–1863 podziemny kanał o długości 14,2 km, ciągnący się od Chorzowa do Zabrza. Służył do odwadniania okolicznych kopalni i transportu urobku. Rewitalizacja rozpoczęła się w 2009 r., a proces udrażniania sztolni ruszył w roku 2012. Dziesiątki tysięcy ton mułu wybierano ręcznie, na powierzchnię wyjechały setki tysięcy pełnych taczek. Prace kosztowały ponad 200 mln zł i dziś zazdroszczą nam nawet Niemcy z Zagłębia Ruhry, które może stanowić wzór przywracania do życia podobnych atrakcji.

### Pod dobrą marką

Przemysłowe szlaki turystyczne to sposób rewitalizacji, który najpełniej pokazuje charakter zabytkowych obiektów. W Polsce podobnymi trasami można pójść w Krakowie, Bydgoszczy, na Dolnym Śląsku oraz na Podkarpaciu. Ale nie tylko pójść – można się też pobawić, bo zarówno bydgoski Szlak Wody, Przemysłu i Rzemiosła, jak i obie trasy na Śląsku co roku organizują swoje święta zabytków techniki. Najstarsza, i najlepiej znana, Industriada przyciągnęła w tym roku ponad 80 tys. gości – działo się nie tylko w Katowicach, ale i w Zabrzu, Rybniku, Siemianowicach, bo śląski SZT składa się dziś z 42 obiektów w 26 miejscowościach.

Szlak, taki jak na Śląsku, to już machina. Procedura włączenia obiektu zaczyna się tu od wniosku właściciela lub zarządcy. Następnie przychodzi czas na analizę, audyt terenowy z udziałem zewnętrznych ekspertów, określenie znaczenia historycznego... Na takiej podstawie zarząd województwa podejmuje decyzję.

– Później audyt przeprowadzany jest nie rzadziej niż co trzy lata. W przypadku niespełnienia kryteriów minimalnych (dotyczących np. dostępności, bezpieczeństwa, organizacji wystaw czy stanu technicznego) prosimy o wyjaśnienia i usunięcie nieprawidłowości lub wprowadzenie planu naprawczego – wyjaśnia Adam Hajduga. – W razie kłopotów, często niezależnych od właściciela, nadajemy kategorię „obiekt w zagrożeniu". To oznacza, że ze szlaku można też wypaść. Ostatnio przydarzyło się to Hucie Szkła Kryształowego w Zawierciu. Po drugiej stronie medalu są liderzy: zabrzańska kopalnia Guido, Muzeum Browaru w Żywcu, tyskie Browarium i, oczywiście, kopalnia w Tarnowskich Górach. – Za tymi czterema obiektami stoją budżety i dobra organizacja – podkreśla Adam Hajduga. – Browary reprezentują sektor prywatny, kopalnia Guido jest częścią samorządowej instytucji kultury, zaś kopalnia srebra w Tarnowskich Górach to ewenement na skalę krajową – prowadzona przez stowarzyszenie, jest samofinansującym się przedsięwzięciem.

### Życie pozapałacowe

Śladami Górnego Śląska podąża Dolny. Działająca tu Fundacja Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego Śląska także stawia sobie za cel ochronę obiektów charakterystycznych dla rozwoju gospodarczego regionu. Obecnie misja realizowana jest w dwóch placówkach – Muzeum Hutnictwa Cynku „Walcownia" w katowickiej dzielnicy Szopienice (to górnośląski przyczółek) oraz Muzeum Przemysłu i Kolejnictwa na Śląsku w Jaworzynie.

Fundacja zawiaduje jeszcze zespołem folwarczno-pałacowym Burghausów w Piotrowicach Świdnickich (powstanie tu Muzeum Technik Rolniczych), fragmentem fabryki porcelany Schlegelmilchów w Tułowicach k. Opola oraz parowozownią w Dzierżoniowie (gdzie ma powstać filia Muzeum Przemysłu i Kolejnictwa).

Ostatnio objęła opieką kolejny obiekt – XIX-wieczny parowy Młyn Hilberta w Dzierżoniowie.

– Jesteśmy na początku drogi, której celem jest pokazywanie obiektów wciąż mogących prowadzić zasadniczą działalność. A także przybliżanie tych, którym „powinęła się noga" – wartościowych, ale nieobjętych jeszcze ochroną – wyjaśnia Maciej Mądry, zastępca dyrektora muzeum ds. ochrony zabytków. Za przykład podaje budynek dworca kolejowego w Jaworzynie Śląskiej, jednego ze starszych w Europie, który niszczeje od dwóch dekad. – Dużo się mówi o odnawianiu pałaców, i bardzo dobrze, ale my chcemy pokazać, skąd brało się bogactwo, które pozwalało właścicielom je budować. Przypomnieć, że życie nie toczyło się w pałacach, ale w fabrykach, przędzalniach i na dworcach – podsumowuje.

### Mieszanka wybuchowa

Na polskich szlakach industrialnych nietrudno trafić na perłę. Przykład z Bydgoszczy: Exploseum, czyli ekspozycja umiejscowiona w budynkach poniemieckiej DAG

BARTŁOMIEJ BARCZYK / AGENCJA GAZETA

*Ćwiczenia studentów Wydziału Teatru Tańca, Elektrociepłownia „Szombierki", Bytom, 2010 r.*

Fabrik Bromberg, gdzie produkowano materiały wybuchowe na potrzeby III Rzeszy.

Dziś pofabrycznych budynków jest siedem, ale szacuje się, że pod koniec 1944 r. stało ich tu ponad tysiąc, a każdy był pilnie strzeżoną tajemnicą – elewacje pomalowano na zielono, dachy obsadzono roślinnością. Przymusowi robotnicy (być może nawet 40 tys.) produkowali nitroglicerynę, trotyl i wykorzystywany m.in. w pociskach V1 nitrobenzen. W tajniki ich wytwarzania wprowadza znajdująca się tu dziś wystawa.

O ogromie przedsięwzięcia niech świadczy to, że obecne Exploseum zajmuje zaledwie jeden procent dawnej powierzchni DAG. Obiekt został włączony do Europejskiego Szlaku Dziedzictwa Przemysłowego (ERIH), jako szósty w Polsce tzw. punkt kotwiczny (obok łódzkiej Manufaktury, Zabytkowej Kopalni Srebra w Tarnowskich Górach, Tyskiego Browarium, Kopalni Guido w Zabrzu oraz Muzeum Browaru w Żywcu). To oznacza, że dawną DAG Fabrik Bromberg uznano za obiekt o ponadregionalnym znaczeniu dla przemysłowej historii Europy.

### W poczekalni

Wiele pereł wciąż czeka na swój czas. Elektrociepłownię Szombierki uruchomiono w 1920 r., a w latach 1939-44 osiągnęła maksymalną moc 100 MW – pracowało w niej wówczas ponad 900 osób. Niemal sto lat po otwarciu z czasów świetności pozostało niewiele – oko gościa przyciąga turbozespół Škody z lat 40. XX w., sterownia z imponującą tablicą rozdzielczą (to już nowsza rzecz), zegary – nie tylko ten na wieży (czterostronny, o pięciometrowej tarczy), ale także inne, które w czasie pracy zakładu były z nim zsynchronizowane. Do dziś pozostają m.in. w części biurowej, którą zdobią też lampy projektu Petera Behrensa, słynnego architekta i projektanta epoki modernizmu.

Plany nowych właścicieli są imponujące. „Projekt, którego realizacja planowana jest na lata 2018–2025, ma łączyć funkcje edukacyjne, kulturalne, muzealne, jak i rozrywkowe (...) Nasza wizja to m.in.: Generator – czyli muzyczny »Kopernik« dla dzieci i dorosłych, kulturalno-dydaktyczny park wypoczynku dla rodzin, teatr 3D, Inkubator sztuki (na wzór inkubatorów przedsiębiorczości), wielofunkcyjna sala, zewnętrzny amfiteatr, kampus dla młodzieży, mediateka, studio filmowe, studio nagraniowe, muzyczne przedszkole dla dzieci słyszących i niesłyszących, sale rehabilitacji słuchowej" – zapowiada szefostwo Rezonatora SA, przedsiębiorstwa, które w zeszłym roku odkupiło budynki EC Szombierki od fińskiej firmy energetycznej Fortum.

– To ma być taki *entertainment district* w tej części Europy, kompleks najnowocześniejszych technologii, jeżeli chodzi o rozrywkę. Nazwaliśmy to Generator Dźwięków, nawiązując do historii budynku – mówi Karolina Glazer, dyrektor kreatywna przedsięwzięcia, wokalistka znana jako Karo Glazer.

Na razie trwają poszukiwania pieniędzy.

### Stara skorupa, nowe wnętrze

Takie przeobrażenie w instytucję kultury albo centrum nauki to kolejny z pomysłów na zabytkowe mury. Tak dzieje się w Łodzi, gdzie rusza właśnie imponujące EC1 Łódź-Miasto Kultury. Budynki dawnej elektrowni pomieszczą Centrum Nauki i Techniki, Planetarium, Narodowe Centrum Kultury Filmowej oraz Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej.

Łodzianie chwalą się, że ich inwestycja to rekord Polski wśród instytucji kultury – EC1 otrzyma blisko 86 mln zł z funduszy Unii Europejskiej na lata 2014-20. Wcześniej, w latach 2008-15, Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego dofinansował rewitalizację budynków dawnej elektrowni kwotą ponad 82 mln zł. ↦

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

*„Industriada", czyli święto techniki przed szybami b. kopalni „Polska", Świętochłowice, 2015 r.*

↦ – Jesteśmy dumni. To w dużej mierze dzięki tym środkom możemy dziś pochwalić się niezwykłym obiektem – zabytkową elektrownią z początku minionego stulecia o niezwykłych walorach architektonicznych i ulokowaną w sercu miasta – mówi Błażej Moder, dyrektor EC1. – Już sama skala transformacji i remontu jest olbrzymia. Wystarczy porównać zdjęcia z 2010 r. z obecnym stanem – dodaje.

Efektowne centrum nauki działa także w XIX-wiecznych młynach Richtera w Toruniu (Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy), w planach jest rewitalizacja sąsiednich budynków. Do podobnego pomysłu przymierzają się władze województwa śląskiego – jedną z siedzib miejscowego centrum nauki miałaby być zabrzańska wieża ciśnień z 1909 r., odkupiona właśnie od prywatnego właściciela przez Muzeum Górnictwa Węglowego.

Skarby architektury doceniono m.in. we Włocławku (XIX-wieczny browar Bojańczyków przekształcono tu w Centrum Kultury Browar B) i Radomiu (miejscową elektrownię zamieniono w Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej, gdzie dziś znajduje się kolekcja sztuki zgromadzona przez Andrzeja Wajdę i Krystynę Zachwatowicz).

### Biznes kreatywny

Wielu właścicieli terenów pofabrycznych próbuje przyciągnąć twórców – nie tylko artystów, ale też projektantów, architektów czy rzemieślników działających w „branżach kreatywnych". Tak działa m.in. warszawska SOHO Factory (dawne Towarzystwo Akcyjne Lnianej i Jutowej Manufaktury; Zakłady Amunicyjne „Pocisk" S.A.) oraz łódzkie: Art Inkubator (niegdyś zakłady Karola Scheiblera i Ludwika Grohmana; pierwszy z nich uważany jest za pierwowzór bezwzględnego Hermana Bucholca z kart „Ziemi obiecanej") i OFF Piotrkowska, stworzona w dawnej Fabryce Wyrobów Bawełnianych Franciszka Ramischa.

Ideą jest tu spotkanie twórczości z przedsiębiorczością. Sklepy sąsiadują z salami prób, przestrzenie wystawiennicze z klubami muzycznymi, agencje reklamowe – z pracowniami tkackimi.

A miało być inaczej – przynajmniej w przypadku OFF Piotrkowskiej, bo z początku na terenie dawnej fabryki Ramischa planowano wielką inwestycję hotelowo-biurowo-usługowo-handlową. Jednak przyszedł kryzys, więc deweloper musiał odłożyć projekty na półkę. Efekt: zwycięstwo w jednej z edycji plebiscytu magazynu „National Geographic Traveler" na siedem nowych cudów Polski.

Jeszcze inną drogą poszła właścicielka Starego Browaru w Poznaniu – odkupione przez firmę Grażyny Kulczyk XIX-wieczne budynki browaru Huggerów zostały przekształcone w efektowne centrum łączące działalność komercyjną i artystyczną. Zgodnie z deklaracją pomysłodawczyni sztuka stanowi 50 proc. każdego z jej przedsięwzięć. I rzeczywiście, przy odrobinie skupienia można zapomnieć o markowych produktach na wystawie i poczuć się jak w prawdziwej, a nie handlowej, galerii.

Z rozmachem odnowiono wspomnianą już łódzką Manufakturę – stare mury włókienniczego imperium Izraela Poznańskiego zamieniono w eleganckie centrum handlowo-rozrywkowe, jednak znalazło się tu także miejsce dla muzeum przypominającego dzieje fabryki.

Podobne plany mają właściciele warszawskiej Wytwórni Koneser, którzy obok biur i mieszkań przygotowują się do otwarcia Muzeum Polskiej Wódki (trudno uwierzyć, że jeszcze takiego nie ma). O planach zachowania historycznych elementów zapewniają także przedstawiciele deweloperów rewitalizujących budynki Elektrowni Warszawskiej i Zakładu Platerniczego Norblinów.

Na razie stolica nie imponuje, a szkoda, bo kolejki ustawiające się podczas Nocy Muzeów do Stacji Filtrów Lindleya czy liczni goście w muzeum na terenie Gazowni Warszawskiej świadczą, że turystyka industrialna idzie pełną parą.

### Jest interes

Dlatego, na koniec, oferta dla zainteresowanych. Świdnica, ulica Tołstoja: zwyczajny, wydawałoby się, piętrowy budynek – czerwona dachówka, bury tynk, żywopłot przeciska się przez szarą siatkę ogrodzenia. Powierzchnia użytkowa blisko 1500 m kw., chociaż nie wygląda. Ale to nie jest zwyczajny, piętrowy budynek – w rozległych podziemiach kryją się instalacje, które zapewniały III Rzeszy łączność telefoniczną od Berlina po Lwów. W schronie pod domem i działką mieści się poniemiecka amplifikatornia – stacja wzmacniania sygnału telefonicznego. Wybudowana w ramach modernizacji sieci telekomunikacyjnych, do której Poczta Rzeszy przystąpiła w przededniu wojny.

Na początku XXI w., dzięki zaangażowaniu ludzi z Otwartego Muzeum Techniki, można było, od czasu do czasu, zwiedzać zabytkowe podziemia, tym bardziej że zachowały się w bardzo dobrym stanie.

– Urządzenia były niemalże sprawne – agregat zapalał, wentylacja i klimatyzacja działały, filtry powietrza być może też, chociaż nie były uruchamiane – wylicza Stanisław Januszewski, prezes Fundacji Otwartego Muzeum Techniki. Kilka lat temu telekomunikacja się wyprowadziła, w efekcie amplifikatornia bywa teraz udostępniania jedynie okazjonalnie – np. podczas Festiwalu Zabytków Techniki organizowanego przez jaworzyńskie Muzeum Przemysłu i Kolejnictwa. W 2015 r. budynek wystawiono na sprzedaż. Miasto nie jest zainteresowane zakupem, chociaż w miejscowej Strategii Rozwoju Turystyki można znaleźć postulat „zagospodarowania stacji wzmacniakowej sygnału telekomunikacyjnego i promocji jako elementu Kompleksu Riese (we współpracy z prywatnym inwestorem)". Zapisano tu również, że amplifikatornia „stanowi ewenement w skali kraju i rzadkość w skali europejskiej". Cena: 1,1 mln złotych, do negocjacji. ©

BARTOSZ KLIMAS

# Szczęśliwy gawron

GRZEGORZ TURNAU

**W wieku 79 lat zmarł Leszek Aleksander Moczulski, poeta z pokolenia Nowej Fali, autor tekstów piosenek m.in. Skaldów i Marka Grechuty.**

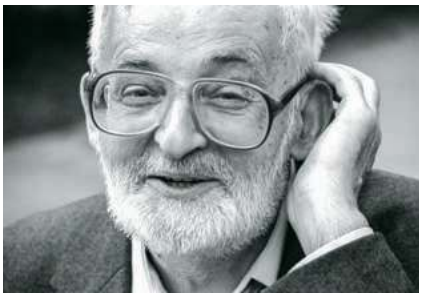

DANUTA WĘGIEL

Blok przy ulicy Meissnera 6 w Krakowie (dawniej: Lotnicza 72) znałem od dzieciństwa – przeprowadziliśmy się z rodzicami do sąsiedniego budynku, pod numer 4, w 1977 r., kiedy wokół była jeszcze zupełna pustynia. O tym, że w swoim „eremie" z widokiem na Tatry mieszka tu wielki poeta, którego twórczość silnie wpłynie na większość mojego dorosłego życia, miałem dowiedzieć się nieco później.

Pewnego dnia, wychodząc do szkoły, a był to pewnie wiosenny, ciepły poranek, zobaczyłem, że wokół naszego bloku krąży wysoki mężczyzna w białym fraku. Był bardzo podobny do kogoś, kogo widziałem wcześniej w telewizji. Miałem wrażenie, że szuka właściwej klatki, a być może pomylił bloki. Po latach utrwaliłem w pamięci ten epizod jako moje pierwsze spotkanie z Markiem Grechutą. W czasach „Szalonej lokomotywy" lubił on poruszać się po mieście w scenicznym kostiumie i tak też go zapamiętałem – Belzebub we fraku, chodzący po wykopach wokół monstrualnych budynków z wielkiej płyty, szukający właściwej klatki, przez którą dostanie się na dziesiąte piętro do pustelni swojego przyjaciela – Poety.

Tak się złożyło, że kilka lat później byłem już w zespole Piwnicy pod Baranami i napisałem pierwsze kompozycje do wierszy Leszka Aleksandra Moczulskiego: „Ofelia", „Listeczek" (dla Ewy Wnukowej) i „Odjeżdżamy" (dla siebie). Próby (z udziałem Ewy i trębacza Andrzeja Marchewki) odbywały się – ku utrapieniu sąsiadów – w mieszkanku na Meissnera, przy pianinie. Nadal nie zdawałem sobie wtedy sprawy z bliskości siedziby autora tych tekstów. Żyłem jak każdy nastolatek – nie myślałem, nie sprawdzałem, tylko działałem.

Leszka i jego żonę Krystynę, a także syna Mateusza (o którym był „Listeczek"), poznałem tak naprawdę dopiero dzięki „Nieszporom ludźmierskim" – wspólnemu dziełu Leszka i Jana Kantego Pawluśkiewicza. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z tego, jak nieistotna bywa geografia dla ciekawych połączeń. Może byśmy się w osiedlowym sklepie nie zaprzyjaźnili?

Jeśli można o kimś – bez patosu – powiedzieć, że był filozofem, to właśnie o Leszku. Oczywiście nie aspirował do bycia twórcą systemu filozoficznego w sensie naukowym, jednak jego poezja i jego piosenki zasługują moim zdaniem na poważną analizę i filozoficzną, i teologiczną. Był, zwłaszcza w ostatnich latach, niesłychanie oszczędny w formie. Od lat stawał się – jak sam o sobie napisał – „szczęśliwym gawronem".

Jego pracowitość i skromność. Jego urok, czułość, uwaga. Jego czytanie nowych tekstów przez telefon. I mój straszny wstyd, teraz, że idąc ulicą nie dosłyszałem wszystkich słów. Że czasem nie oddzwoniłem.

Wśród wielu naszych wspólnych utworów był jeden najbardziej znaczący: „Soplicowo". Poprosiłem Leszka o napisanie tekstu, który mógłby być kanwą piosenki promującej „Pana Tadeusza" Andrzeja Wajdy. Urodzony w Suwałkach Poeta przysłał mi kilka godzin później arcydzieło, zaczynające się od słów: „O, te jeziora, co wokół rozlane / borów i lasów, i ciszy potęga / to, co się kocha, na zawsze zostaje / otwarta przed nami do czytania księga"...

Bloki na Meissnera. Takie to były czasy. W jednym pan Moczulski, w drugim pan Harasymowicz. W jednym pan Balcerzak, w drugim pan Klimczak. A gdzieś tam ja, klecący swoje pierwsze piosenki. Co poradzić na to, że musimy mówić o sobie, kiedy umierają przyjaciele. Jak by to powiedział Leszek:

*I jest nadzieja, bo jej to jest pieśń,*
*a życie takie jest, jakie jest –*
*egzystencjalny to jest nasz taniec –*
*całuję rękę na pożegnanie –*
*choć różnie bywa – prawda i blaga –*
*tango nadziei*
*tańca wymaga.* ©


## Konkurs dla Czytelników

**5 książek „Hajstry. Krajobraz bocznych dróg" naszego współpracownika Adama Robińskiego**
**trafi w ręce osób, które jako pierwsze na adres promocja@tygodnik.com.pl nadeślą potwierdzenie opłacenia dowolnej prenumeraty „Tygodnika Powszechnego" – zakupu w aplikacji, e-dostępu lub wydania papierowego.**

„Hajstry" to literacki debiut Adama Robińskiego. Autor zbacza z utartych szlaków i wydeptuje własne ścieżki w poszukiwaniu krajobrazowej egzotyki. Wędruje przez polską Saharę, płynie największą z dzikich rzek, a godzinę jazdy od Warszawy odnajduje Arktykę. Czyni to z pokorą dawnych krajoznawców: pieszo, kajakiem, na nartach. Ale najczęściej po prostu przystaje, żeby zobaczyć więcej: ślady tych, którzy przed wiekami wytyczali pierwsze drogi i znakowali szlaki, zdziczałe sady w miejscach wyludnionych wsi, drzewa tak stare, że mogłyby być tolkienowskimi entami.

Stanisław Łubieński pisze o książce tak: „*To hołd złożony krajoznawstwu. Wędrowcom, badaczom, pisarzom. Historii, przyrodzie, krajobrazowi. Literackiej kontemplacji. Mgłom, szadziom i gołoledziom. Cumulusom i cirrusom. Bocznym drogom i ścieżynkom wydeptanym przez zwierzęta*".

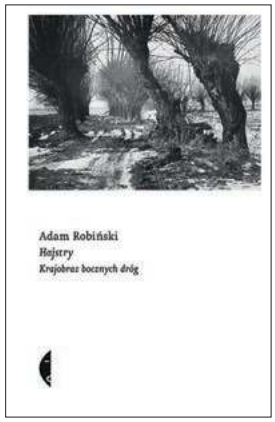


OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# Mleczna droga

JUSTYNA DĄBROWSKA

**Karmienia piersią uczą się i matka, i dziecko. Zamiast straszyć, trzeba o tym rozmawiać.**

Trudno było doczytać „Mleczną drogę przez mękę” Marceliny Szumer-Brysz („TP” nr 50/2017). Emocje brały górę, a kiedy organizm jest w alercie, myśleć trudno. Odłożyłam „Tygodnik”. Potem przeczytałam tekst drugi raz, spokojniej. Doceniłam intencje autorki – chciała dobrze dla matek. Czyli jesteśmy po tej samej stronie. Ja też widzę braki w wiedzy lekarzy i położnych, a nawet doradczyń laktacyjnych. Niestety, dalej dostrzegam już tylko różnice, a przede wszystkim tezę, brak wiedzy i pomieszanie przyczyn ze skutkami.

Skupię się na faktach. W tekście jest ich mało, za to wiele jest mitów i półprawd. Niektóre mogą zaszkodzić – tak jak przywołany na wstępie straszący i anonimowy cytat z internetu. Czy odpowiedzialność dziennikarska nie nakazuje przytaczać takich zdań tylko wtedy, kiedy możemy je skonfrontować z wiedzą?

Autorka pisze o Magdzie, której syn „ma kłopot ze ssaniem”. Chciałabym się dowiedzieć, co się dokładnie wydarzyło. Czy mały był wcześniakiem? A może miał silniejszą żółtaczkę? Czy kłopot był po jego stronie, czy to może Magdzie było z jakichś powodów trudno (np. dlatego, że prężył się przy piersi). Nic właściwie nie wiadomo poza tym, że lekarze „odradzali mieszankę” i „wywierano presję na karmienie”.

### Na nieznanym terytorium

W tekście pojawia się słowo „terror” – trzymając się słownika oznacza to opowieść o przemocy, gwałcie, zastraszaniu.

Mleczna droga przez mękę

Czytamy też o Dorocie, na którą „darła się położna”. Wiem, że bywają niemiłe położne, ale moje zaufanie do bohaterki słabnie, kiedy spotykam zdanie, że „szpitale wypełnione są niedożywionymi niemowlętami, których mamy miały za mało pokarmu”. Skąd ta wiedza? Czy możemy zobaczyć jakieś statystyki? Poprosić o wypowiedź krajowego konsultanta ds. neonatologii? Sama mogłabym przytoczyć kilkaset opowieści o tym, jak w szpitalu dokarmia się mlekiem modyfikowanym bez pytania rodziców o zgodę. Właściwie, znając codzienność pracy polskich położnych, trochę się nie dziwię. Tylko 7 proc. z nich dokształca się w zakresie wiedzy o laktacji.

Z mojej niemal 30-letniej praktyki pracy z matkami małych dzieci wynika, że kwestia karmienia piersią jest bardzo złożona. Kobiety nie wiedzą same z siebie, jak przystawiać dziecko, jak je karmić, ponieważ karmienie piersią nie jest – wbrew pozorom – umiejętnością wrodzoną, lecz taką, której uczymy się przez obserwację. Młode matki rzadko są świadkami tego, jak ich własna matka, ciotka czy siostra karmią piersią. Wyruszają więc na nieznane terytorium – z dużymi oczekiwaniami i marzeniami. Początkowe trudności bardzo przeżywają, bo rzadko kiedy od razu jest idealnie. Tu trzeba – jak w tańcu – aby obie strony się zgrały, metodą prób i błędów znajdując najlepszy dla siebie sposób karmienia.

Trudności mogą pojawić się po stronie dziecka – np. jest senne z powodu wysokiego poziomu bilirubiny, ma problemy z wędzidełkiem i trudno mu się przyssać, część mleka cofa się z żołądka do przełyku, co jest nieprzyjemne (pomoże wtedy zmiana pozycji). Ale mogą także pojawić się po stronie matki – jeśli np. rodziła przez cięcie cesarskie „na zimno”, czyli w wyznaczonym dniu, nie czekając, aż zacznie wydzielać się oksytocyna, proces laktacji może się zaburzyć. Samo to może powodować stres i napięcie, co w efekcie skutkuje wolniejszym wypływaniem mleka.

W tekście czytamy, że w Norwegii i Danii co najmniej do 6. miesiąca 90 proc. matek karmi piersią (zgodnie z zaleceniem WHO), a w Polsce odsetek ten znacząco spada. Skąd ta różnica? Przecież Polki i Skandynawki mają podobne piersi. Mimo że zdecydowana większość Polek deklaruje, że chce karmić naturalnie – wielu z nich się nie udaje. Autorka uważa, iż dlatego, że są „zaszczuwane”, i znów podsuwa straszący cytat i komentarze internautek. Naprawdę nie szkoda na to papieru? Nie lepiej przeczytać, co teoria więzi mówi na temat karmienia piersią: że jest to jeden ze sposobów budowania relacji między matką a dzieckiem? John Bowlby, twórca teorii przywiązania, pisał, że rozwój więzi wspierany jest przez przyjemność, jaką ta relacja przynosi obu stronom.

### Lęk to biznes

Pozostanę przy przekonaniu, że w 99 proc. sytuacji mleko naturalne jest lepsze od modyfikowanego. Ten 1 proc. rezerwowałabym dla kobiet, które są po porodzie w stanie psychotycznym i kontakt z nowo narodzonym dzieckiem mógłby go tylko pogorszyć. Oraz dla tych z czynną, nieleczoną gruźlicą. Nawet w depresji poporodowej zaleca się, by przystawiać dziecko do piersi – także ze względu na matkę. Są już leki, które można w tym czasie stosować, np. sertralina. Nie ma natomiast czegoś takiego jak „uczulenie na pokarm matki”. Są niezmiernie rzadkie przypadki galaktozemii lub wrodzonej nietolerancji laktozy. Ewentualnie można mieć alergię na jakiś składnik diety matki, choć naukowcy spierają się, czy alergeny mogą przenikać do pokarmu kobiecego.

A czy na „karmieniu piersią można dobrze zarobić”? Bardzo dobrze można zarobić na sprzedaży mleka modyfikowanego i nie bez powodu wprowadzono ograniczenia w reklamowaniu go. Nie dlatego, że to „trucizna”, tylko dlatego, że nic się tak dobrze nie monetyzuje jak lęk matki.

©

*Dziękuję Joannie Szulc z Centrum Nauki o Laktacji za merytoryczną pomoc.*

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 w Radio Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.**
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

ANNA

# Dziewit-Meller:
## *Naprawdę dobra zmiana (na włosach)*

Podobno noworoczne postanowienia to jedna z podstawowych potrzeb ludzkiej natury. Człowiek taki już jest, że lubi mieć to (złudne) poczucie, iż nad wszystkim panuje, zwłaszcza nad swoim życiem. Postanowienia typu: „od 1 stycznia rzucam palenie, zaczynam co rano biegać, w każdy czwartek joga, już nie będę żarł nocami przed telewizorem, przestanę tyle pracować i poświęcę więcej czasu ukochanej rodzinie. No dobra, może od 2 stycznia", służą temu – jak mówią psychologowie – byśmy odzyskali poczucie jako takiej sprawczości. Że możemy i że da się, jeśli tylko chcemy. Sylwester wydaje się idealnym momentem na spektakularne zamknięcie tego złego okresu naszej egzystencji, okresu, w którym wyżej wzmiankowane czynności zbyt mocno wpływały na nasze poczucie winy. Patrząc zatem na fajerwerki i wypalając ostatniego papieroska o północy, czujemy nieraz przypływ energii i wiary w samego siebie. I fajnie. Kto nam zabroni pracować nad swoim życiem, choćby tylko przez pierwsze cztery dni Nowego Roku?

Tymczasem, *à propos* postanowień noworocznych, mam dziś dla Państwa opowieść o tym, że czasem naprawdę nie należy się bać zmian, choćby początkowo wyglądały na katastrofę.

A było to tak: dawno dawno temu, gdy po liberalnej stronie mediów wydarzenia takie jak zwolnienie kogoś z pracy za nieprawilne poglądy robiły jeszcze wrażenie, była sobie w TVP wydawczyni i prezenterka programów informacyjnych Małgorzata Serafin. Któregoś dnia odmówiła emisji w TVP Info pewnego materiału pokazanego wcześniej w „Wiadomościach", uznając go za nierzetelny i bez mała propagandowy. Niezłomny dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Mariusz Pilis nie mógł zareagować inaczej niż tylko powiedzieć, że nie ma w TVP miejsca na upolitycznienie anteny: „Nigdy nie będzie u nas cenzury. Nie pominiemy żadnej ważnej informacji. Ale też nie zgodzę się, by szantażem zmuszano nas do niezgodnego z zasadami sztuki dziennikarskiej promowania jakichś inicjatyw politycznych, takich jak KOD". A następnie wylał wydawczynię z roboty. I właśnie wtedy rozpoczyna się nasza doskonała noworoczna opowieść o zmianie.

Małgorzata straciwszy zajęcie w tej najbardziej obiektywnej ze stacji telewizyjnych, chwilę potem znalazła nowe w innej, ale zajęcie potrwało rok. Wtedy właśnie – poprawiając sobie skisły nieco humor w salonie piękności – doszła do wniosku, że może ten pomysł, rzucony w żartach tuż po zwolnieniu z TVP, by rzucić w diabły to cholerne dziennikarstwo i zająć się, owszem, dobrą zmianą, ale wyłącznie tą na włosach innych ludzi, nie jest li tylko żartem. Znajoma właścicielka owego salonu, w którym ją tknęło, rzekła jej wówczas: „Małgosiu, od pięciu lat przychodzisz tu do nas i narzekasz na upadek waszego zawodu, na swoje zmęczenie, na zżerający cię stres, rzuć to. Zostań z nami, dziewczynami".

I tak kilka dni później niegdysiejsza gwiazda dziennikarstwa informacyjnego stanęła obok dwójki 19-letnich absolwentów szkół zawodowych, pochylając się nad gotową do cięcia głową na kursie fryzjerskim, by przez kolejne tygodnie uczyć się technik strzyżenia, degażowania, rozjaśniania, farbowania i pielęgnacji włosów. I nikt nie gadał o Macierewiczu, nikt nie miał czasu na Ziobrę, nawet sam Kaczyński nie pojawiał się w eterze. Z dyplomem ukończenia kursu w ręce zjawiła się w salonie na Żoliborzu, gdzie od stycznia zaczyna pracę.

– Nie tęsknię – mówi stanowczo – przeciwnie, cieszę się, że mnie już nie ma w tym świecie. Owszem, gdy wracałam z kursu po ośmiu godzinach ciągłego stania, byłam zmęczona i bolały mnie nogi, ale to zupełnie inny rodzaj zmęczenia. Nie żyję już w ciągłym stresie, że wydanie specjalne, że gość nie dopisze, że program się wali. To już nie jest mój świat.

Gdy w telewizyjnych czasach chodziła do fryzjera, chemiczny zapach farby do włosów budził pozytywne skojarzenia – już za chwilę będzie lepiej, będzie świeżo, będzie ładnie. Takie emocje były nie do uzyskania w telewizji. Były wyłącznie ich przeciwieństwa.

– Poza tym dziennikarstwo newsowe i polityczne w Polsce umarło – tłumaczy mi Małgosia. – Politycy nie odpowiadają już na pytania, ale komunikują przekazy dnia. Nie chciałam stać się niczyją tubą, chciałam być obiektywna, ale w tych czasach to zaczęło być niemożliwe. Środek nie istnieje. A ja nie widzę się po żadnej ze stron. Nie tam – na barykadzie – powinno być miejsce dziennikarzy. A poza tym w ciężkich czasach lepiej mieć jakiś fach w ręku. Na pytanie o prestiż chyba nawet nie trzeba odpowiadać: zawód dziennikarza jest gdzieś w ogonie zawodów cenionych przez ludzi.

Z okazji Nowego Roku życzę zatem i sobie, i Państwu odwagi w podejmowaniu i realizowaniu postanowień, decydowania się na zmiany, które mogą odmieniać nam życie na lepsze. A niechby zacząć od dobrej zmiany na włosach. ©

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim,** I Wydziale Cywilnym, toczy się postępowanie z wniosku Macieja Rucińskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Otylii Mariannie Golmanowskiej, zm. 4 marca 1986 r. w Skarlinie, gm. Nowe Miasto Lubawskie, ostatnio zamieszkałej w Skarlinie, oraz po Józefie Golmonowskim, zm. 10 października 1986 r. w Skarlinie, gm. Nowe Miasto Lubawskie, ostatnio zamieszkałym w Skarlinie. W skład spadku po wymienionych wchodzi udział w gospodarstwie rolnym.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim i wykazali prawo do spadku pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu. Sygn. akt I Ns 2/15.

# TAK DZIAŁA BÓG

ABP HENRYK MUSZYŃSKI, PRYMAS SENIOR:

Jeśli ktoś w przestrzeni publicznej deklaruje przywiązanie do wiary, a później krzewi strach przed drugim człowiekiem, to mamy do czynienia albo z kiepskimi fundamentami tej wiary, albo ze służeniem fałszywej ideologii.

**BŁAŻEJ STRZELCZYK: Księże Prymasie, jak nie zwariować w nadchodzącym roku?**

**ABP HENRYK MUSZYŃSKI:** Niech pan będzie wierny swoim przekonaniom, niezależnie od koniunktury.

**Łatwo mówić.**

Jeśli pan, już na początku naszej rozmowy, wyraża przekonanie, że będę tu tylko „ładnie mówił", to się zaczynam trochę niepokoić. Chociaż z drugiej strony, taką już sobie wybraliśmy konwencję, w wywiadzie ma być ładnie, pan ma ładnie pytać, ja mam ładnie odpowiadać, a może po prostu mówić szczerze, prosto, bez pozy i udawania.

**Czemu się więc Ksiądz Prymas niepokoi?**

Znam wielu ludzi, którzy ładnie mówią. Mam, wie pan, 85 lat, i słyszałem tysiące osób, które mogły się pochwalić świetną erudycją, a jeszcze bardziej wykwintną elokwencją. Nie jest to zresztą nic nowego, bo już Psalmista mówi: „ma oblicze gładsze od masła, a język napastliwy".

**I co z nimi?**

Mają jedną, kluczową wadę – są całkowicie niewiarygodni. Zna pan takich ludzi? Mają pełne usta fraz o dobru ogółu, o szacunku, o bezpieczeństwie itd., a gdyby się tak nachylić do rzeczywistości, to się okazuje, że są niewiarygodni.

**To też ładne, z tym „nachylaniem się do rzeczywistości".**

To jedyna rzecz w życiu, która nie kłamie. Rzeczywistość jest! Rzeczywistość nie umie oszukiwać, snuć insynuacji, kalkulować. Życie na ogół nie kłamie. Dlatego największy dramat jest wtedy, gdy to, co się mówi, pozostaje w sprzeczności z życiem. Boże, broń nas przed czymś takim. Biblia ostrzega, że nie po słowach, ale po owocach poznaje się jakość drzewa i ludzi.

**A gdy się nie jest wiarygodnym?**

Wtedy traci się zaufanie, a bez zaufania nie da się niczego trwałego i godnego uwagi zbudować.

**Co to jest zaufanie?**

„Tygodnik" wręczał niedawno Medal św. Jerzego panu prof. Adamowi Strzemboszowi, prawda?

**Prawda.**

Dzięki Bogu, że mamy drugiego z mojego, przedwojennego pokolenia człowieka, który może stanąć przed audytorium i powiedzieć: „warto być przyzwoitym", choć, jak zwykł powtarzać prof. Bartoszewski, „warto być uczciwym i przyzwoitym, choć nie zawsze się to opłaca. Opłaca się być nieuczciwym, ale nie warto".

**Ufa Ksiądz Prymas profesorowi Strzemboszowi?**

Nie sposób nie ufać. Przede wszystkim biorąc pod uwagę jego kompetencje. Po drugie – elementarną prawość. Wobec obecnych zawirowań, półprawd, insynuacji, a także – i nie boję się tego powiedzieć – kłamliwych ideologii, musimy mieć takich ludzi jak on. Ludzi, którzy stoją nie na straży swoich przekonań, lecz na straży elementarnej przyzwoitości, prawości i konstytucji. Nie jestem prawnikiem, muszę zatem polegać na osobach kompetentnych, do których mam zaufanie.

My dziś mamy, niestety, ogromny deficyt zaufania. Bo to jest, wie pan, klucz do drugiego człowieka. Jeśli nie ufamy, nie mamy relacji. A człowiek jest istotą relacyjną, „nikt nie jest samotną wyspą", i właśnie w relacji do innych weryfikuje się wymiar naszego człowieczeństwa – na ile jesteśmy ludźmi zasługującymi na zaufanie.

**Nie zwariować, czyli ufać?**

Tak, bo Pan Bóg znając nasze słabości, zaufał nam, a to zobowiązuje. Oczywiście dał nam również rozsądek i mądrość, która nakazuje, by przed kleptomanem nie kłaść pieniędzy. Trzeba zaufać bez wstępnych założeń. Ja się staram każdego ranka wzbudzać w sobie na nowo zaufanie do człowieka. Prof. Strzembosz jest dla mnie człowiekiem w pełni wiarygodnym, szukającym zawsze i wszędzie obiektywnej prawdy. Stąd w sprawach jurydycznych, i nie tylko, mogę na nim polegać. Pomimo

MACIEJ BIEDRZYCKI / FORUM

zmieniających się społeczno-politycznych uwarunkowań zawsze był i pozostał sobą.

**A jak się nie dać koniunkturze?**

Musi pan pogodzić się z tym, że będzie się pan narażał. Jedni będą bili brawo, drudzy będą siać wątpliwości i podważać. W takiej konfrontacji zawsze trzeba zachować spokój i wierność samemu sobie i własnym przekonaniom. Zawsze, gdy zaczną bić brawo albo podważać, należy zachować wzmożoną czujność i spokój. Znane porzekadło głosi: „ponieważ tłum ci klaskał, jest to dowód, żeś nie kłuł, lecz głaskał".

**To czym się kierować, żeby zachować spokój?**

Szukać prawdy. A prawda jest właśnie w rzeczywistości, czyli w zgodności faktów i wydarzeń z obiektywnymi realiami. Kiedy pojawiają się wątpliwości, niech pan natychmiast weryfikuje i sprawdza, czy to, co się wydarzyło, odpowiada obiektywnej prawdzie i rzeczywistości.

**A dlaczego jest tak, że jedni będą bili brawo, a drudzy podważali?**

No właśnie dlatego, że się siebie boimy lub szukamy poklasku i chwały dla własnego „ja". Jesteśmy przekonani, że światem rządzi rywalizacja, że na wierzch ma wypłynąć nie obowiązująca i elementarna prawda, tylko raczej moja racja. I to nam przeszkadza w nawiązywaniu relacji z innymi.

**A mogę zmieniać zdanie?**

Nie! Nie w sprawach zasadniczych. Tylko musi pan wiedzieć, jakie to są sprawy zasadnicze. Życie przyzwoite będzie miało jakby dwa bieguny. Na jednym musimy sobie powiedzieć: „bądź wierny przekonaniom, niezależnie od koniunktury", ale na drugim biegunie: „nie przestawaj być swoim własnym siewcą niepokoju".

**Co to znaczy?**

Zachowuj dystans wobec samego siebie. Umiej spojrzeć na siebie z dystansu i krytycznie, a równocześnie pogłębiaj i udoskonalaj swoje przekonania. Modyfikuj je i podawaj w wątpliwość tam, gdzie nie jesteś pewien.

**Podważaj?**

Niekoniecznie, zazwyczaj wystarczy krytyczna ocena, ale jeśli trzeba, to także podważaj, przede wszystkim ↦

↦ własne, niekoniecznie innych. Przy moralnej ocenie jakiegoś czynu liczy się intencja, a przecież nie mamy klucza do poznania zamiarów drugiego człowieka. Stąd mądra zasada biblijna mówi: „nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni". Ciągle zadawaj sobie pytanie, czy to, co mówisz, jest prawdą. A w sprawach zasadniczych – trwaj!

**Od kogo się tego nauczyć?**

Np. od ks. Adama Bonieckiego. Ja naprawdę nie mogę zrozumieć, skąd się wziął ten nałożony na niego zakaz wypowiadania się w mediach. To dramatyczne nieporozumienie. Znam wiele osób, które mówią: dzięki Bogu, że jest ktoś taki jak ks. Adam, bo jest jednocześnie krytyczny i autentyczny jako chrześcijanin, a to podtrzymuje moją wiarę. „Prawda jest symfoniczna" – pisze Hans Urs von Balthasar. Myślę, że ten zakaz może wynikać właśnie z przekonania, że Kościół zawsze musi „śpiewać unisono". Tymczasem, powiedzmy to sobie wyraźnie: nikt nie może mieć monopolu na prawdziwy katolicyzm. Podobnie nie godzi się osądzać życia człowieka, który już stanął na sądzie Bożym, czyli w obliczu Bożego miłosierdzia. Nie można także nie dostrzec, jak wielkim błogosławieństwem jest modlitwa dla najbliższych, którzy przeżywają dramaty podobne do tych, które są związane z tragiczną śmiercią pana Piotra Szczęsnego. W czasie pogrzebowego kazania ks. Adam głosił Ewangelię nadziei, za co chciałem mu w tym miejscu serdecznie podziękować.

**Ksiądz Prymas dobrze się czuje w świecie?**

Muszę przyznać, że czuję się trochę wyobcowany. Za szybko to wszystko pędzi, chyba na złe sprawy położyliśmy zbyt duży akcent, a nie dostrzegamy dobra, które najczęściej kwitnie w ukryciu, ale niestety nie jest „medialne".

**To znaczy?**

Np. smucę się bardzo, że nie dość słuchamy papieża Franciszka. To jest prorok naszych czasów! Niech pan chwilę poczeka (*wychodzi po notatki, do pokoju obok*). Tu jest to zdanie papieża podsumowujące czasy, w których żyjemy, i od razu dające receptę: „Musimy ponownie odczuć, że potrzebujemy siebie nawzajem, że jesteśmy odpowiedzialni za innych i za świat, że warto być dobrym i uczciwym. Zbyt długo pozostawaliśmy w stanie degradacji moralnej, drwiąc z etyki, dobroci, wierności, uczciwości. Nadeszła chwila, by uznać, że ta radosna powierzchowność na niewiele się nam zdała. To zniszczenie wszelkich podstaw życia społecznego prowadzi do wzajemnej konfrontacji w imię obrony swoich interesów. Powoduje pojawienie się nowych form przemocy i okrucieństwa oraz uniemożliwia rozwój prawdziwej kultury, troski o środowisko naturalne".

**ABP HENRYK MUSZYŃSKI:**

Nie mogę zrozumieć, skąd się wziął ten nałożony na ks. Adama Bonieckiego zakaz wypowiadania się w mediach. To dramatyczne nieporozumienie.

**„Laudato si"?**

Tak, numer 229. Najpierw diagnoza: nie ma pan wrażenia, że żyjemy w świecie egoizmów indywidualnych i zbiorowych? Co to znaczy, że zaczęliśmy dbać niemal wyłącznie o swój własny interes lub interes własnej partii, najczęściej – niestety – kosztem innych? Papież pisze o egolatrii, czyli kulcie własnego „ja". Taka postawa prowadzi do wyobcowania i osamotnienia. Bo kiedy myślimy wyłącznie o własnych interesach i korzyściach, to przestają się liczyć zdanie i dobro drugiego człowieka. „Ja wiem, co należy zrobić". „Znam prawdę tak doskonale, że drugi człowiek jest mi niepotrzebny, albo staje się dla mnie wyłącznie przedmiotem, narzędziem do osiągnięcia tego, co sobie zamierzyłem". Straszne.

**To jaka jest recepta?**

Otworzyć się na Boga i ludzi. Pierwsze otwarcie owocuje doskonałością i świętością, drugie otwarcie – na człowieka – pozwala odnaleźć bliźniego. Człowiek wzrasta i sprawdza prawdziwy wymiar człowieczeństwa właśnie w relacji z drugimi. Nie ma innego wyjścia. Tak jesteśmy stworzeni, że prawie wszystko weryfikuje się w relacjach z innymi. Ale żeby była relacja, to musi być otwartość, gotowość spotkania i miłość.

**Jaka miłość?**

Taka, jakiej doświadczamy ze strony Boga. Św. Jan, apostoł miłości, przypomina, że „miłość nie na tym polega, że my umiłowaliśmy, ale to Bóg pierwszy nas umiłował". Jest to miłość, która wyprzedza sprawiedliwość. Tymczasem my chcemy żyć zgodnie z zasadami, prawami i normami, które sami wyznaczamy i uznajemy je za sprawiedliwe, i w dodatku usiłujemy je także egzekwować.

**Abp Grzegorz Ryś mówił kiedyś, że „sprawiedliwość jest wyznaczana tylko dla satysfakcji tego, kto nakłada karę. A miłość daje szansę na poprawę".**

Jest to być może nieco jednostronne, ale prawdziwe. Bo my byśmy rzeczywiście chcieli, żeby wszystko było tak, jak wymyślimy. A teraz mamy czasy, w których ulegamy tendencji do radykalizmów, biało-czarnych, nieznoszących sprzeciwów postaw. Delikatnie mówiąc, jest to ogromne uproszczenie, bo rzeczywistość jest zawsze złożona i wielowymiarowa. Niedocenianie tego jest groźne, bo rodzi ideologie, a później dyktatury. Historia świata zna przypadki, w których zaczynały rządzić ideologie, a dyktatorzy wprowadzali swoje przekonania za wszelką cenę, nawet za cenę życia drugiego człowieka.

Zanim więc ruszy pan w świat, proszę najpierw sprawdzić swój fundament. Na czym pan stoi i buduje? Bo jeszcze jest czas, żeby ten fundament uformować i wzmocnić. Jak się w świat pójdzie albo z przekonaniem narcyzmu, a zwłaszcza, nie daj Boże, egolatrii, to później modyfikować swoje „ja" będzie trudno i jeszcze po drodze skrzywdzi pan trochę ludzi.

**Na czym stoi Ksiądz Prymas?**

Człowiek jest dla mnie żywą ikoną Świętego Boga. Jedyną w świecie i niepowtarzalną! To daje mi oparcie wobec wszystkich ideologii. Od tej tożsamości uzależniona jest moja otwartość na świat i bliźniego. Jak się pan nie zakotwiczy w tym fundamencie, to się pan zacznie bać i przeżywać frustracje.

**Czego się bać?**

Świata, drugiego człowieka, siebie.

Weźmy wiarę. Jeśli odnoszę się w życiu i w swojej działalności do doświadczenia wiary, a moja wiara ma kiepski fundament i chwieje się w posadach, jeśli moja wiara jest fasadą, a nie fundamentem, wówczas zewsząd będę czuł zagrożenie, drugi człowiek będzie mi się jawił jako wróg i niebezpieczeństwo. Mam takie przekonanie, że człowiek z realną wiarą w swój chrześcijański fundament nie

zaciska pięści, tylko ma dłoń otwartą. Ja używam często obrazu drzewa – drzewo zakorzenione głęboko przetrzyma wszystkie wiatry i nawałnice. Natura tak to urządziła, że tam, gdzie są największe wiatry, tam też są najmocniejsze korzenie.

**Ale ja zewsząd słyszę, że musimy się bronić.**

Kto tak mówi, albo ma problem z zakorzenieniem, albo służy fałszywej ideologii.

**Możemy osądzać czyjąś wiarę?**

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ja nigdy nie posądzam człowieka o złą wolę, bo nie mamy do tego klucza. Powtarzam raz jeszcze: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni". Ale jeśli, dajmy na to, ktoś w przestrzeni publicznej deklaruje swoje przywiązanie do wiary i Ewangelii, a później krzewi strach przed drugim człowiekiem, to mamy do czynienia albo z kiepskimi fundamentami tej wiary, albo ze służeniem fałszywej ideologii. Trzeba zatem zacząć służyć miłości, bo ona jest zasadniczym powołaniem i wypełnieniem sensu życia ludzkiego.

**Miłość to trudne dziś słowo.**

Często zdarza się taki dylemat: przychodzi człowiek i mówi, że potrzebuje np. parę złotych i wyciąga rękę. W naszych głowach od razu rodzi się przekonanie: na pewno przepije te pieniądze. Tak nie wolno myśleć! Za to, co ten człowiek zrobi z naszymi pieniędzmi, odpowiada on sam. Ja jestem odpowiedzialny za to, na ile i w jaki sposób wyszedłem mu naprzeciw. Jeżeli jest bezdomny, czy znalazłem dla niego wolny kąt? Jaki użytek czyni on z otrzymanego daru, za to odpowiada już on.

**To rozrzutność i nieroztropność.**

Nie, jeśli kierujemy się logiką Ewangelii. Wie pan, miłość jest uprzedzająca. Jeśli ktoś prosi mnie o pomoc, to znaczy, że ja już w jakimś sensie zawiodłem. Miłość prawdziwa jest uprzedzająca!

**Co to znaczy?**

Tak działa Bóg. Jeśli ktoś wyciąga do pana rękę i prosi o pomoc, to znaczy, że pan nie wyszedł do tego człowieka, przed tym jego gestem, i nie powiedział pan: „bracie drogi, masz smutne oczy, powiedz, co się dzieje, chcę ci pomóc". Radować się musimy z radującymi i smucić ze smucącymi. Okazało się, że empatia była tylko pozorem, dlatego w tym drugim człowieku zrodziła się myśl: muszę wyciągnąć rękę, bo jeśli tego nie zrobię, zostanę całkowicie sam. A wyciągnięcie ręki i prośba nigdy nie jest czymś łatwym, chyba że stała się stylem życia. Moja empatia nie dorosła do miary smutku tego człowieka.

To jest oczywiście Ewangelia – a Ewangelia zawsze jest wielkim wyzwaniem. Ja całe życie zajmowałem się Biblią. Wykładałem Biblię. Biblia to moja wielka miłość. Teraz przeżywam raczej czas zbierania owoców. Biblia wyraźnie mówi: „Jest czas siewu; czas radości i smutków, ale także czas zbierania owoców". Takim czasem jest właśnie starość. Jako młody naukowiec dziwiłem się często, że ci starzy są zarozumiali! Nie cytują bibliografii. Ja dziś biorę teksty, medytuję nad nimi, i mówię w głębi serca: przepraszam Cię, Panie Boże, że dopiero po tylu latach dostrzegam takie rzeczy – jak m.in. ta uwalniająca prawda, że miłość musi uprzedzać gesty wyciągniętych rąk.

**A często się jeszcze zdarza, Księże Prymasie, że podczas Twojej modlitwy pada ta fraza: „przepraszam Cię, Panie Boże, że dopiero po tylu latach dostrzegam takie rzeczy"?**

Powściągliwość da się pewnie w sobie wypracować, da się z pewnością nauczyć uważności, choćby przez znajdowanie czasu i miejsca na niemówienie. Pan Bóg daje mi długie życie i teraz jest właśnie to zbieranie owoców. I jeśli pan chce spytać, czy ja panu zazdroszczę, że pan jest na samym początku, a ja już schodzę z życia, to muszę powiedzieć, że nie.

Jedna rada: niech pan najpierw przestanie dywagować podczas modlitwy. Niech pan usiądzie spokojnie i czeka. Bo gdy się pan trochę wycofa, to pan zobaczy, że Bóg może mówić nawet wtedy, kiedy milczy, a świat i bez pana kręci się dalej. To lekcja powściągliwości i pokory. Ale, z drugiej strony, przecież różne mamy usposobienia. Nie wolno nie akceptować swoich charakterów. Jeden z moich kolegów miał takie usposobienie, że pewnego razu przyszedł i powiedział: „Słuchaj, ja właściwie powinienem był się na ciebie obrazić, ale już mi przeszło". A inny to by przyszedł i od razu urządził awanturę. Dlatego ja całe życie mówiłem, że nic nam nie wyjdzie w świecie, jeśli nie zaczniemy od słuchania Boga, bo tu otwiera się nowa przestrzeń i nowe możliwości dialogu z człowiekiem.

**I nic już z tego dialogu nie zostało.**

Żyjemy w społeczeństwie pluralistycznym. Pluralistycznym wielorako: wyznaniowo, kulturalnie, politycznie. I nie ma innej drogi jak budowanie wspólnoty poprzez dialog.

Widzimy siebie w odizolowaniu. Daliśmy się uwieść przekonaniu, że jesteśmy jakąś samotną wyspą na mapie Europy, „ostatnimi sprawiedliwymi". W ten sposób zaprzepaszczamy piękną ideę solidarności i współodpowiedzialności. Pozwolę sobie raz jeszcze odwołać się do papieża Franciszka, który do przedstawicieli Europy, do której przecież i my przynależymy, mówił: „Niestety nazbyt często widzimy, że dialog przekształca się w formę starcia, że zastępuje go wykrzykiwanie roszczeń. Odnosi się wrażenie, że w wielu miejscach dobro wspólne nie jest już głównym celem".

**A może formuła dialogu po 1989 r. się wyczerpała?**

Budowaliśmy dialog także później. Jego owocem jest np. preambuła naszej konstytucji, z której jestem dumny. Ona pasuje do świata pluralistycznego. Nikomu niczego nie odbiera i niczemu nie uwłacza, nie ma wierzących i niewierzących, nie zostali nazwani.

Nie ma innej drogi do budowania wspólnoty. Tymczasem dziś nie rozmawiamy. Oskarżamy.

**Dlaczego?**

Bo każdy człowiek jest wrogiem, bo nie mamy kontaktu. I to jest wielki dramat. I psuje się, mam nadzieję, że nie bezpowrotnie, wiele z tego, co zostało zbudowane, przede wszystkim w zakresie zaufania międzynarodowego.

Jako chrześcijanie jesteśmy jednak ludźmi nadziei. Nie wolno nam nigdy zrezygnować z budowania lepszej przyszłości. Nikt bardziej od papieża Franciszka nie odczuwa brzemienia współczesnych czasów, a to właśnie on przypomina ustawicznie, że naszym zadaniem jest wnosić radość tam, gdzie jest smutek, nadzieję tam, gdzie jest zwątpienie, i miłość tam, gdzie panuje nienawiść. ©℗

Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

**ABP HENRYK MUSZYŃSKI** *jest prymasem seniorem, biblistą, w latach 1992–2010 był metropolitą gnieźnieńskim, w latach 2009-10 prymasem Polski, później członkiem Kongregacji Nauki Wiary. Członek Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan. W 1995 r. abp Muszyński razem z kard. Walterem Kasperem zredagowali list Episkopatów Niemiec i Polski na temat dialogu, pojednania i wspólnego świadectwa chrześcijańskiego w budowie zjednoczonej Europy.*

FRANÇOIS GUÉNET / AKG / EAST NEWS

*Matka Boża, XVI-wieczne przedstawienie z Francji, autor nieznany*

# Czy grozi nam pluszowe chrześcijaństwo

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

**Znaki wyrażają Boga i nasze Jego doświadczanie. Duchowość jest taka, jakie są znaki, które ją wyrażają. Co wyraża Jezus przytulanka?**

Katolicki internet w Polsce zdominowały w grudniu dwa tematy: wizerunki Matki Bożej oraz pluszowy Pan Jezus, który przed świętami został wprowadzony na rynek przez częstochowski sklep Dystrybucja Katolicka. Oba tematy można by zignorować, gdyby nie fakt, że są one symptomami szerszego zjawiska, jakim jest pogłębiający się kryzys funkcjonowania i rozumienia kościelnej ikonografii, która dawno już uniezależniła się od instytucji Kościoła i swobodnie dryfuje, niewiele sobie robiąc z założeń i norm teologii.

Jest to zresztą przejaw szerszego zjawiska, jakim jest utrata zdolności symbolicznej interpretacji rzeczywistości. W artykule na temat XIX-wiecznych wizerunków maryjnych Krystyna Moisan-Jabłońska pisała: „Sztuka ta, związana ze swoją epoką (czy raczej epokami), stanowi dokument relacji wyobrażenia plastycznego do panującego typu religijności". W stwierdzeniu tym zawarta jest ważna prawda: duchowość i ikonografia są ze sobą bardzo ściśle powiązane. Co więcej, panuje między nimi sprzężenie zwrotne: ikonografia jest wyrazem duchowości, a ta z kolei domaga się określonych, adekwatnych wizerunków.

Dobrze by było, aby między ikonografią a duchowością znalazło się jeszcze miejsce dla teologii, w tym teologicznej interpretacji całej sfery semiotycznej, sfery znaków.

### Biust Matki Bożej

Zacznijmy od „Madonny" Edvarda Muncha, którą katolicki portal Deon.pl umieścił – obok dwóch innych obrazów – jako ilustrację artykułu pt. „Maryja to kobieta. Jaka była naprawdę?" Michaela S. Neubacka. Obraz wzbudził wiele kontrowersji, słów krytyki, a nawet sprowokował niektórych do oficjalnego protestu. Pod ich wpływem redakcja wizerunek usunęła. Przykład tego obrazu jest o tyle interesujący, że trudno nawet jednoznacznie stwierdzić, czy to w ogóle wizerunek maryjny. Sam malarz tytułował go różnie. W literaturze dominuje raczej przekonanie, że obraz ten nie powstał z religijnej inspiracji. Ukazuje on półleżącą kobietę z odsłoniętym biustem w chwili erotycznego uniesienia. To oczywiste, że połączenie wizerunku kobiety w erotycznej ekstazie z postacią Matki Bożej – a tak sugeruje nie tyle sam malarz, co autor artykułu,

który ten obraz interpretuje – może wywoływać oburzenie. Problemem jednak nie jest sama nagość kobiety – nawet interpretowanej jako wizerunek Maryi – lecz znaczenie owej nagości. I tu właśnie jest miejsce dla teologii, której zadaniem byłaby odpowiedź na pytanie, czy konotowana erotycznie nagość może być odnoszona do osoby Maryi. Ci, którzy poczuli się tym obrazem – a właściwie jego maryjną interpretacją – urażeni, uważają, że nie może.

W sukurs Munchowi przyszła „Gazeta Wyborcza" (z 9 grudnia 2017 r.) piórem Małgorzaty Skowrońskiej, która w tekście o znamiennym tytule „Maryja miała fajny biust. Kobiecość Matki Boskiej" przywołała inne wizerunki Matki Bożej z nagimi piersiami. Obrazy te można było oglądać na wystawie „Maria Mater Misericordiae" przygotowanej przez Muzeum Narodowe w Krakowie we współpracy z Watykanem z okazji Światowych Dni Młodzieży. Dziennikarka zauważa, że „na obrazie Michele da Valony z 1505 r. Matka Boska poi mlekiem dusze w czyśćcu. Na wystawie znalazł się też anonimowy obraz marchijski: Maryja karmi dusze stojące w czyśćcu błotnym, zraszając je mlekiem tryskającym z piersi" (o dziele tym pisała w serwisie internetowym „Tygodnika" Magdalena Łanuszka. Czytaj na powszech.net/mb). Całą wystawę Skowrońska podsumowuje entuzjastycznie: „Ileż tam było nagich biustów, piersi tryskających mlekiem i innych »mocnych« maryjnych obrazów". O jednej bardzo ważnej rzeczy Skowrońska jednak nie napisała: wszystkie te „nagie biusty" Maryi nie były tam pokazane dla nich samych, nie były malowane z potrzeby ukazywania nagości. To nagość na wskroś teologiczna. Żadnego z malarzy tych obrazów – mówiąc banalnie – nie interesowała „goła Matka Boża" i nie mieli zamiaru takiej malować.

Bp Michał Janocha w książce-wywiadzie „A piękno świeci w ciemności", który zrobiła z nim Ewa Kiedio z redakcji „Więzi", wylicza kilka typów nagości obecnej w malarstwie. Jedną z nich jest *nuditas virtualis*, a więc nagość ukazująca cnotę. Ja bym nazwał ten typ nagości *nuditas theologica* – nagością teologiczną, a więc taką, która ma ukazać jakąś teologiczną prawdę. Nie trzeba wielkiej znajomości teologii i ikonografii chrześcijańskiej, by się domyśleć, że mleko jest obrazem łaski, a wizerunek – jak podpowiada tytuł wystawy – ukazuje nam Matkę Miłosierdzia. A nagie piersi? Wystarczy zajrzeć do „Świata symboliki chrześcijańskiej" Dorothei Forstner, by przeczytać: „Piersi (*ubera*) Oblubienicy są wyrazem opiekuńczej i karmiącej matczynej miłości Kościoła". Matka Miłosierdzia to w istocie Eklezja (Kościół) karmiąca łaskami dusze oczekujące zbawienia w czyśćcu. Jedynie nowoczesny, ateologiczny umysł potrafi zobaczyć w karmiących piersiach Matki Bożej wyłącznie „nagi biust". I to w dodatku „fajny".

### Obrazy na metry

Poświęciłem tak dużo miejsca problemowi teologicznej interpretacji nagości w jednym tylko typie wizerunków maryjnych (a jest ich wiele, jak choćby *Maria lactans*, Matka Boża Karmiąca), aby pokazać, że chrześcijańska ikonografia jest faktycznie teologią, a pozbawiona teologii sprowadza odbiorcę na manowce, gdzie zamiast personifikacji cnoty widzi się akt kobiecy. Trzeba jednak powiedzieć, że nie tylko odbiorca sztuki – nazwijmy ją tymczasowo – sakralnej może trafić na manowce. Trafić tam bowiem może także jej twórca: malarz, rzeźbiarz, a także – jak to dzisiaj bywa – producent figur papieża robionych od sztancy.

Odwołując się do znanego podziału dziejów na „erę obrazu i kultu" oraz „erę sztuki", można – za Joanną Winnicką-Gburek – powiedzieć: „Wraz z rozdziałem sztuki i religii (...) na pierwszy plan wysunęła się inspiracja artystyczna, a w konsekwencji – samodzielny wybór tematu przez artystę. Artysta, uwolniony od »przymusowego« niejako tworzenia obrazów przeznaczonych do kultu, może samodzielnie wybrać temat religijny. Dopiero wtedy mogła pojawić się sztuka religijna, czyli sztuka powstająca z indywidualnej inspiracji religijnej. Już nieograniczona ustaleniami teologów (...) i raczej nieprzeznaczona do przestrzeni świątyni". Ale dodajmy – często tam jednak trafiająca. Sztuka sakralna stała się sztuką religijną, a zobiektywizowane prawdy wiary Kościoła ustąpiły miejsca indywidualnemu doświadczeniu i inspiracji artysty. Czasami te inspiracje są trudne i do identyfikacji, i do inspiracji. Chyba najbardziej krytycznie o pomnikach Jana Pawła II wypowiedział się historyk sztuki Kazimierz Ożóg, który w 2009 r. w wywiadzie dla Wirtualnej Polski powiedział, iż „w potężnym procencie jest to koszmarny sen rzeźbiarza na kacu".

Ten stan (do)wolności artystycznej w obrębie sztuki religijnej trwa do dzisiaj. I – być może – nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby rzeczywiście tematyką religijną zajmowali się prawdziwi artyści. W 1906 r. na łamach „Przeglądu Powszechnego", w odpowiedzi na ankietę o sztuce religijnej, Leonard Lepszy, historyk sztuki, pisał: „na malarza religijnego patrzy się z rodzajem politowania jak na głodomora. Sztukę kościelną wykonują pierwszorzędni artyści u nas tylko wyjątkowo, przede wszystkim zajmują się nią biedacy, nie mający skądinąd zarobku, wypełniający wielkie płótna. Za ich tanie a wielkie malunki oblicza się wynagrodzenie według metrów kwadratowych, a nie według wewnętrznej wartości". Trudno mi jest powiedzieć, czy współcześnie rzecz ma się aż tak źle. Może dzisiaj po prostu nie korzysta się już z usług artystów malarzy, wszak obraz można sobie wydrukować, ale może – patrząc na mnożące się pomniki św. Jana Pawła II – ich miejsce zajęli rzeźbiarze, którzy każą sobie liczyć od kilograma albo wysokości postaci?

### Wizerunki bezmyślne i łatwe

Głęboki kryzys ikonografii zaczął się w wieku XIX. Widać to doskonale na przykładzie wizerunków maryjnych. Wspomniana już Krystyna Moisan-Jabłońska pisała przed blisko 30 laty: „Wyidealizowane piękno twarzy Maryi, typizacja Jej stroju i postaci, obecność aniołów o jasnych puklach włosów ubranych w powiewne szaty, liryczne sielankowe krajobrazy, łagodny pastelowy koloryt tła, kwiaty róży i lilii – to wszystko środki służące do wyrażenia piękna duchowego. W XIX wieku rozpoczyna się w sztukach plastycznych kryzys wyobrażeń religijnych. Użyte symbole dyskredytowały rzeczywistość duchową, którą miały wyobrażać". No właśnie, już nie wyrażały, ale dyskredytowały.

Niestety, ta XIX-wieczna symbolika przetrwała cały wiek XX i ma się zupełnie dobrze na początku wieku XXI. Nie wiem, czy moja diagnoza jest słuszna, ale mam wrażenie, że ta idealistyczna ikonografia maryjna swoją żywotność zawdzięcza przede wszystkim prywatnym objawieniom, które utrwaliły takie właśnie wizerunki. Matka Boża z Lourdes, Rue du Bac (cudowny medalik) czy z Fatimy (dodajmy jeszcze Gospę z Medziugorja) w zasadzie odwołują się do jednego modelu przedstawienia, którego prototypem jest Matka Boża Niepokalanie Poczęta. „Inne warianty ikonograficzne o bardziej złożonych treściach teologicznych i skomplikowanej symbolice, nawiązujące do starotestamentowych personifikacji maryjnych, ulegają zapomnieniu. (...) Sztuka nie broni żadnych prawd wiary czy atakowanych dogmatów. Zanikają obrazy o symbolice odsyłającej do tekstów Pisma Świętego (...)" – pisała o maryjnej sztuce XIX wieku Moisan-Jabłońska.

Czy w XXI w. jest inaczej? Wystarczy obejrzeć witryny katolickich księgarń ↦

↦ i sklepów z dewocjonaliami. Dominują tam Madonny z objawień, a nie Maria z kart Ewangelii, z historii zbawienia. Teologiczne wyobrażenie Matki Bożej „odkleja się" od postaci Maryi tak bardzo, że odnosi się czasami wrażenie, że są ich dwie. Że Matka Boża – ta „przychodząca z nieba" – żyje jakimś wręcz niezależnym życiem od ewangelicznej postaci. Nieobecność Jezusa w tych wizerunkach – a przecież w Ewangelii pojawia się ona wyłącznie w Jego kontekście – nie służy utrwalaniu jej teologicznej zależności od Syna. Przeciwko temu występował bardzo często ks. prof. Stanisław C. Napiórkowski, który niejednokrotnie wypowiadał się krytycznie przeciwko upowszechnianiu wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej bez Dzieciątka, np. samej głowy Maryi. „W imieniu własnym, a także Jasnogórskiej Królowej Polski pokornie, ale najmocniej proszę, by nie promować Jej bez Jezusa Chrystusa" – apelował w jednym z tekstów. Maryja z objawień – myślę tutaj o wizerunkach, a nie treści objawień – jest także „bez Jezusa Chrystusa". Chrystocentryczności kultu maryjnego to raczej nie wzmacnia. Wprost przeciwnie.

Stąd już – niestety – niedaleko do kiczu, o którym tak pisała Moisan-Jabłońska: „W krańcowym przypadku utrzymany w konwencji naturalistycznej uduchowiony kicz staje się jakby »ikoną« sztuki Zachodu, wizerunkiem kultowym, od którego co prawda sztuka odejdzie, ale który poprzez oleodruki i dewocjonalia przetrwa aż do naszych czasów". I trwa nadal. Kicz staje się analogiem ikony, ale nie w tym sensie, że spełnia tę samą funkcję teologicznej obecności (hierofanii) właściwą wschodniej ikonie. Jest analogiem, ponieważ z powodzeniem zajmuje centralne miejsce w katolickim kulcie obrazów. Niestety, kicz religijny – który w naszych kościołach ma się wciąż dobrze – nie niesie ze sobą ani treści właściwej dla obiektywnej teologicznie ikony, ani nawet treści, które niosło w sobie wielkie zachodnie malarstwo religijne. Do interpretacji kiczu nie potrzeba skomplikowanej chrześcijańskiej ikonologii, jak to było np. w przypadku wizerunku Matki Miłosierdzia karmiącej swym mlekiem grzeszników. Kicz jest oczywisty, choć chyba bardziej dyskredytuje prawdy wiary, niż je wyraża. Kicz ma w sobie łatwość i ładność, ale nie ma w sobie piękna – ani estetycznego, ani teologicznego. To wizerunki, „na które umysł śpiąc patrzeć może, tak są bezmyślne i łatwe" – jak to dosadnie wyraził Józef Mehoffer.

**Kicz nie wyraża rzeczywistości duchowej,** tylko ją dyskredytuje. Kryzys ikonografii rozpoczął się wraz z pojawieniem się „ładnych" wizerunków Maryi z objawień prywatnych.

### Jezus do zabawy

W tej szerokiej perspektywie trzeba teraz spojrzeć na pluszowego Pana Jezusa. Spytajmy jednak najpierw, czym jest lalka. Aby odpowiedzieć na to pytanie, posłużę się koncepcją Jurija Łotmana, który dokonuje najpierw rozróżnienia na lalkę i statuetkę (figurkę), czyli trójwymiarową rzeźbioną podobiznę człowieka (odnosząc to do religii, może to być np. mała statuetka Jezusa Frasobliwego albo Chrystusa Króla). Odpowiadają one dwóm rodzajom odbiorców: dzieciom oraz dorosłym, którzy podchodzą do tekstów kultury jak do informacji: patrzą, słuchają, czytają. Dzieci podchodzą do tekstu kultury jak do zabawy: dotykają, obracają, próbują do czegoś użyć, rozmawiają. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z odbiorem informacji zakodowanej przez autora w postaci, w drugim – z wytwarzaniem tej informacji w trakcie zabawy przez bawiącego się. W pierwszym przypadku ośrodkiem aktywności jest autor i jego dzieło, w drugim – ośrodkiem aktywności jest odbiorca, a dzieło – w tym przypadku lalka – jest jedynie pretekstem, który prowokuje do zabawy kreującej nowe znaczenia. Figurkę czy statuetkę należy oglądać i kontemplować, lalką trzeba się bawić: dotykać, obracać w rękach, wchodzić z nią w różnorakie interakcje.

Zastosujemy teraz to rozróżnienie do – powiedzmy – dewocjonaliów. Odpowiednikiem figurki przeznaczonej dla dorosłych będzie krucyfiks – krzyż z pasyjką, czyli z figurką martwego Jezusa rozciągniętego na krzyżu. Odpowiednikiem lalki dla dzieci będzie pluszowy Pan Jezus. Krzyż z przybitym do niego Jezusem „informuje" – niesie obiektywne znaczenie, jest nośnikiem prawdy wiary o zbawczej śmierci Jezusa. Domaga się dystansu i kontemplacji. Pluszak Pan Jezus – jak każda lalka – wchodzi w interakcję z tym, w czyich rękach się znajduje. To bawiący się pluszowym Jezusem decyduje o jego „życiu". Może go wziąć na spacer, pobawić się w sklep albo w doktora. Może z nim zrobić, co tylko chce. Pluszak jest we władzy bawiącego się nim. Pluszowy Pan Jezus także. Wszyscy wiedzą, że krzyż „nie jest do zabawy". Pluszak – i owszem.

### Bozia na całe życie

Rozróżnienie zaproponowane przez Łotmana bardzo dobrze się wpisuje w teologię obrazu, którą Kościół wypracował na VII Soborze Powszechnym w Nicei w 787 r. Stwierdził wówczas, że cześć oddana wizerunkowi odnosi się do prototypu. Pierwowzorem jest zawsze niebieski prototyp, a obraz – czy to namalowany, czy rzeźbiony, czy ułożony w kształcie mozaiki – jest jedynie odbiciem, odwzorowaniem tego, co istnieje idealnie. Tylko dlatego kult oddany wizerunkowi przenosi się na prototyp, a kto kłania się przed ikoną Jezusa, kłania się przed Nim samym. Aby ten związek między materialnym obrazem a idealnym prototypem utrzymać, czyli aby obraz „nie kłamał", Kościół wypracował język symboli. Język ten – choć i to się dzisiaj zmienia – nie pozwala na subiektywną interpretację, ale dąży do objawienia obiektywnej prawdy.

Sztuka religijna robi to z coraz większym trudem, gdyż – jak wspomniałem – coraz większe znaczenie ma subiektywne doświadczenie autora, na które odbiorca ma odpowiedzieć równie subiektywnym wrażeniem. Pluszowy Pan Jezus nie ma w sobie już żadnej kanoniczności, jest „wariacją" na temat Jezusa. Co więcej, lalka nikogo nie reprezentuje, jest sobą. Lalka o imieniu Kasia nie reprezentuje żadnej prawdziwej i żywej Kasi, ale jest samą Kasią. Podobnie jest z Jezusem. Wbrew temu, co sądzą niektórzy, pluszak nie spełnia funkcji fotografii czy obrazu, które odwołują odbiorcę do prototypu. Zdjęcie ukochanej osoby – owszem – całuje się, ale tym zdjęciem się nie bawi. Inaczej jest z lalką. Lalka nie jest partnerem, ale przedmiotem. Dziecko nie bawi się „z" Jezusem, ale Jezusem.

Jest jeszcze aspekt pedagogiczny. Łotman pisze, że „przedostając się do świata dorosłych, niesie [lalka] z sobą wspomnienia świata dziecięcego, folklorystycznego, mitologicznego i zabawowego". Tak, niesie wspomnienia, ale to są wspomnienia ze świata, który się porzuciło. Pluszowy Jezus wpisuje się w świat magiczny, w którym spełnia rolę – przepraszam – Bozi. Niestety, czasami ta wiara nie dorośleje. I albo Bozia zupełnie znika, albo już na zawsze

jako Bozia zostaje. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie zastępuje jej żaden poważny i prawdziwy Bóg. Jeśli pluszak Jezus w pewnym momencie nie wyprowadzi się wraz z żołnierzykami, misiem i lalką Kasią na strych, nie zastąpi go ten prawdziwy.

### Zasłona, która odsłania

Mam nadzieję, że ta nieco zawiła podróż przez meandry teologii znaku i obrazu pokazała, jak pilnie potrzeba więcej refleksji nad sferą znaków w chrześcijaństwie, a katolicyzmie w szczególności. Chrześcijaństwo w wersji katolickiej jest nasycone znakami, symbolami, kodem gestów, barw i dźwięków. Z jednej strony spełniają one funkcję zasłony między dwoma światami: materialnym i duchowym, światem człowieka i światem Boga. Nie da się bowiem Bogu patrzeć twarzą w twarz, trzeba przez zasłonę. Z drugiej jednak strony zasłona znaków „tłumaczy" oba te światy wzajemnie. I dobrze, by było, aby je tłumaczyła poprawnie.

Znaki wyrażają nie tylko Boga, ale także nasze Jego doświadczanie. Można by nawet powiedzieć, że duchowość jest taka, jak znaki, które ją wyrażają. Może być to duchowość ikoniczna – gdy w centrum staje obraz jako miejsce Obecności, może być kiczowata – gdy dominuje w niej wyidealizowana ładność oleodruku, a może też być pluszowa – gdy Bóg staje się przytulanką. Nasze znaki i nasze obrazy nas zdradzają. Zdradzają naszą duchowość. Dlatego trzeba je nieustannie poddawać teologicznej ocenie i weryfikacji. Mają bowiem niebezpieczną właściwość: rozpychają się i chętnie zastępują rzeczywistość, którą oznaczają. I tutaj zaczyna się bałwochwalstwo: gdy znak stworzony coraz bardziej „na nasz obraz i podobieństwo", kuszący nas swą łatwością i ładnością, zaczyna zasłaniać samego Boga. A plusz jest taki miły w dotyku. Po co zaraz straszyć dzieci wiszącym nad łóżkiem Ukrzyżowanym? ©

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Korzystałem z: K.S. Moisan, „Ikonografia maryjna w polskiej sztuce XIX wieku", „Studia Theologica Varsaviensia" 1989, nr 27/2; J. Winnicka-Gburek, „Krytyka, etyka, sacrum. W kierunku aksjologicznej krytyki artystycznej", Gdańsk 2015; J. Łotman, „Lalki w systemie kultury", „Teksty: teoria literatury, krytyka, interpretacja" 1978, nr 6 (42).

FRANK PERRY / AFP / EAST NEWS

# Wierny kodeksowi

KS. ADAM BONIECKI

**10 grudnia w Rennes zmarł François Régis Hutin, dziennikarz i dyrektor „Ouest-France", przyjaciel Polski.**

Urodził się w 1929 r. w Rennes. Jego ojciec, Paul Hutin, dawny żołnierz spod Verdun, był przed II wojną światową sekretarzem generalnym republikańskiego dziennika „L'Ouest-Éclair". W czasie wojny Paul Hutin opuścił dziennik, nie chcąc współpracować z okupantem. Po wojnie otwiera nowe pismo – „Ouest-France".

François Régis Hutin po dwuletnim pobycie w seminarium Mission de France zatrudnia się na statku handlowym i odbywa podróż dookoła świata. Po powrocie studiuje w Paryżu socjologię. W 1961 r. rozpoczyna pracę w „Ouest-France" i po czterech latach przejmuje po ojcu, który odchodzi na emeryturę, współkierownictwo pisma.

W 1981 r. powstaje stowarzyszenie Ouest-France Solidarité. Prowadzi ono 30 akcji humanitarnych na wszystkich kontynentach. Dziennik mobilizuje czytelników do angażowania się w akcje pomocy humanitarnej. „Ouest-France" opracowuje prasowy kodeks etyczny. Streszcza się on w zasadach: „Mówić, nie szkodząc; pokazywać, nie szokując; dawać świadectwo bez agresji; ujawniać, nie potępiając".

W 2016 r. François Régis Hutin ustępuje z funkcji dyrektora dziennika i staje na czele założonego przez siebie komitetu wydawniczego. Podczas 32 lat kierowania dziennikiem doprowadził go do wspaniałego rozwoju. Dziś „Ouest-France" zatrudnia 1,3 tys. pracowników, jest dziennikiem o największym nakładzie we Francji – 690 tys. egzemplarzy.

Jego reportaże o trędowatych w Egipcie, o Polsce w stanie wojennym, Etiopii, Rumunii, z Bliskiego i Dalekiego Wschodu, z Ukrainy po tragedii Czarnobyla czy z Somalii budowały międzynarodową solidarność. Mobilizowały do spieszenia z pomocą cierpiącym społeczeństwom. Uwrażliwiał czytelników na dramat biedy w świecie. Upominał się o los uciekinierów z Wietnamu ginących w Morzu Chińskim, zasłynął z uporczywej walki z karą śmierci, i to w kontekście procesu i skazania Adolfa Eichmanna. Hutin postanowił, że więźniowie zachodniej Francji będą dostawali jego pismo gratis, ponieważ dostęp do informacji – głosił – jest początkiem przywrócenia więźnia społeczeństwu.

Polska go pasjonowała. Napisał o niej kilkadziesiąt, jeśli nie więcej artykułów. W naszych problemach zawsze doskonale się orientował. Dodajmy: „Ouest-France" wspierał „Tygodnik" i „Znak". Kiedy przygotowywaliśmy pierwszą zmianę formatu, wspierał nas przysłany z Rennes dziennikarz-specjalista. Jeździliśmy do nich, żeby czerpać z ich ogromnego doświadczenia.

François Régis Hutin znajdował czas na rozmowy z nami. Pamiętam klimat tych rozmów i spokój, którym on promieniował. Był w tych kontaktach ciepły, znał nasze sprawy, od dawna był zaprzyjaźniony z ludźmi „Znaku" i „Tygodnika".

„Ouest-France" jest dowodem na to, że pismo opierające się na zasadach katolickiej wiary nie tylko może dziś trwać, ale też podbić rynek. Wierzę, mam nadzieję, że dziś, gdy odszedł wielki François Régis Hutin, jego dzieło – wierne głoszonym przez niego zasadom – będzie trwało. ©℗

# Delikatność i gniew

BŁAŻEJ STRZELCZYK

**Pomagając biednym, można ugrać pozycję „kogoś wrażliwego". Życie Brata Alberta pokazuje, że chodzi o coś innego.**

Zacznijmy od karnawału. Jest prawdopodobnie rok 1887. Adam Chmielowski, jak donoszą legendy z tamtego czasu, noc spędza w pałacu Pod Baranami, na – to określenie o. Czesława Bogdalskiego, zmarłego w 1935 r. bernardyna i przyjaciela brata Alberta – „raucie u hrabiny Adamowej Potockiej". Chmielowski był już wówczas znanym w mieście malarzem mieszkającym w kamienicy przy ul. Basztowej 4 i prawdopodobnie znużyły go wielkomiejskie dyskusje inteligencji, bo postanowił wybrać się na nocny spacer po Krakowie.

### Wizyta

Leon Wyczółkowski, autor najsłynniejszego obrazu przedstawiającego Brata Alberta, tak wspomina ten wieczór: „Raz, niespodziewanie, po balu w pałacu Pod Baranami, zmusił [Chmielowski] całą gromadę naszą, by, jeszcze we frakach, pojechać do przytułku dla nędzarzy. Ten gwałtowny i nieprzygotowany przeskok z sal balowych do siedliska ostatniej nędzy wstrząsnął nami do głębi. A w Chmielowskim wówczas właśnie zapaść musiała decyzja, o której usłyszeć mieliśmy niebawem. Chmielowski postanowił rzucić sztukę i świat i przywdziać habit świętego Franciszka. Decyzja ta zaskoczyła mnie wówczas tak, że wydawała mi się nieuzasadnioną i dziwaczną".

Panowie – a wśród biesiadników wyrwanych z karnawałowej zabawy oprócz Adama Chmielowskiego miał być jeszcze wspomniany Wyczółkowski oraz oficer Wojska Polskiego Ludwik Dębicki – w drodze z Rynku Głównego na krakowski Kazimierz, do działającego tam od niedawna przytuliska, mieli rozmawiać o kłopotach nędzarzy i o Krakowie – mieście kontrastów: ekskluzywnego Rynku i brudnych uliczek prowadzących na Kazimierz, pławiącej się w bogactwie elity i niedojadającej biedoty. „Miałem wrażenie, że idę zlewiskiem nędzy materialnej i moralnej, a dochodziliśmy do zbiornika tych ścieków, na samo dno nędzy" – tak Dębicki opowiadał o spacerze swojej córce Celinie Bzowskiej. Kiedy panowie dotarli do przytuliska, Dębicki zobaczył to: „W niskiej, brudnej izbie chwycił nas za gardło zaduch wyziewów ludzkich. (...) W tem odrażającym wnętrzu wałęsały się, wylegiwały po tapczanach ponure postacie złoczyńców przebywających chwilowo na wolnej stopie lub schorzałych starców i kalek, gnijących prawie w brudzie. Mieliśmy przed oczami kłąb łachmanów. Łachmany szmaty i łachmany ludzkich egzystencyj".

W tym obrazie nędzy, we frakach, zaciskając pewnie palcami nosy, chroniąc się przed unoszącym się tam smrodem, między alkoholikami, prostytutkami, kalekami i starcami, panowie usłyszeli szept Adama Chmielowskiego: „Tam trzeba wśród nich zamieszkać! Ja ich tak nie zostawię".

Natalia Budzyńska w świetnej, wydanej właśnie nakładem Znaku biografii Brata Alberta opisuje tamten wieczór i zastanawia się, czy podobnych wizyt w przytułku było więcej, ale dodaje po chwili, że to właśnie dzięki bywaniu w takim miejscu jak to, na Kazimierzu, w Adamie Chmielowskim, późniejszym bracie Albercie, zrodzić się musiała myśl: „Z nędzarzami trzeba żyć".

Można oczywiście w wersji pesymistycznej przypuszczać, że Chmielowski, malarz, bywalec nocnego Krakowa, dostrzegł w biedakach „ciekawe zjawisko społeczne", a pomagając im, mógł potraktować to jako przygodę, zabawę w dobroczynność i przy okazji ugrać na tym pozycję „malarza wrażliwego".

Bo przecież można przejąć się losem nędzy, można biedaka namalować, można dać mu kromkę chleba, ale żeby od razu rzucić wszystko i postanowić z nimi zamieszkać? Po co to wszystko? Co złego jest w dostatnim życiu, na które przecież Albert mógł zarobić spokojnie, sprzedając swoje obrazy, a przy okazji, raz w tygodniu, pomóc nędznikowi z ulicy.

Albert – analizuje Budzyńska – doszedł do wniosku: „trzeba z biedakami być, dzielić z nimi życie, żeby obecnością ratować ich człowieczeństwo". I to przekonanie, że już przez samo bycie z osobami biednymi zaczyna się realna pomoc, będzie fundamentem idei, którą Albert zrealizował zakładając ogrzewalnię, rozdając chleb na rogu Rynku Głównego, wreszcie – zakładając zgromadzenie zakonne.

### Zapatrzony w nicość

Na wspomnianym już wcześniej obrazie Wyczółkowskiego Albert trzyma w objęciach przerażone dziecko. Obraz jest niedokończony. Lewa dłoń Alberta tylko naszkicowana, prawa – wyraźna, duża, przyciskająca głowę dziecka do piersi. Kolory na twarzy dziecka sprawiają wrażenie, jakby zostało ono właśnie wyciągnięte z płomieni. Cały obraz zamknięty jest w tym trójkącie: twarz Alberta, jego dłoń i przerażona twarz dziecka, które chowa się, jakby chciało wniknąć w pelerynę Chmielowskiego. O ile na twarzy dziecka rysuje się strach, to Albert wydaje się spokojny, patrzący w nicość, pogodzony z tym, że w zasadzie nic nie może zrobić, nie wyrywa się, żeby ugasić pożar, ale jednocześnie nie jest też bezradny.

Ale to tylko jedna strona Adama. Z drugiej strony Albert to utykający (nogę stracił podczas powstania styczniowego) postawny mężczyzna chodzący po ulicach Krakowa, zaglądający do miejskich zakamarków, w których wyszukuje żebraków. Wchodzi tam, gdzie nikt nie chce wejść. Mieszka z tymi, z którymi nikt nie chce mieszkać. Jednocześnie staje w ich obronie, poniża się, żebrząc dla nich na chleb. Często się złości, może nawet gniewa, nie pozostawia nikomu złudzeń, że ostatecznie ma być tak, jak on sam zdecyduje. Nie ma w jego historii półśrodków, kompromisów i łatwizny.

W Adamie przelewa się czułość i stanowczość. Delikatność i gniew. Zrozumienie i bezkompromisowość. W listach sprzed 1887 r. jest młody, narwany, zezłoszczony na środowisko artystyczne, miejscami także bezradny, może czasem nawet narcystyczny. Później, już jako brat Albert zakładający zgromadzenie i ogrzewalnię dla bezdomnych – karci swoich współbraci za pychę, pogardę dla słabszych, gasi w nich choćby się tylko tlącą potrzebę wygody.

### Próba

Kiedy w 1874 r. jego obraz nie zostaje przyjęty na wystawę w Krakowie, 29-letni Adam pisze list do Lucjana Siemieńskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego: „Bardzo mi przykro, że Panu się mój obraz nie podobał, ale sumienie moje nic mi nie wyrzuca, robiłem, co mogłem". I dodaje, że na świecie wielu jest kiepskich malarzy, którzy jednak są wystawiani i nikt im przecież nie przeszkadza w zarabianiu. W liście do Siemieńskiego Albert nie odpuszcza i wchodzi w konflikt z dyrekcją,

NAC

*Brat Albert (Adam Chmielowski), założyciel Zgromadzenia Braci Albertynów Trzeciego Zakonu Świętego Franciszka*

która odrzuciła jego obraz: „Co do mnie osobiście, to nie bardzo żądny jestem sławy, pieniędzy i powodzenia – a nawet takie pragnienie potępiałbym w sobie. Moje inklinacje i pragnienia są całkiem nawet przeciwne. Ale szanując każdego, z trudnością mi przychodzi znosić lekceważenie choćby osoby zbiorowej, jaką jest dyrekcja".

Biografowie podają, że kilka miesięcy po spacerze z pałacu Pod Baranami do przytułku na Kazimierzu umiera Adam Chmielowski i rodzi się Brat Albert. Abp Grzegorz Ryś w książce „Brat Albert. Inspiracje" sugeruje, że narodziny Alberta następują 25 sierpnia 1887 r. Wówczas Chmielowski przyjmuje habit tercjarski i nowe imię. Do tego czasu maluje, uczy się m.in. w Monachium, ale – co wynika z listów do Siemieńskiego – narasta w nim niechęć do środowiska. „Wszyscy tutaj prawie malowanie i rysunek uważają za rzecz samą, nie za środek, i trudno się dziwić temu, bo bardzo często obraz bez myśli, ale skomponowany i namalowany dobrze, podoba się i robi wrażenie poezji albo marzenia".

Trafia ostatecznie do Krakowa. Nadal maluje. Ale znacznie bardziej niż swoimi obrazami zaczyna przejmować się losem wykluczonych, głodnych i bezdomnych. Abp Ryś dodaje jeszcze, że tak naprawdę zanim Chmielowski dostrzegł biedę, zrozumiał, czym jest łaska. Sama ucieczka od świata pychy, branżowych rozgrywek i handlu talentami sprawiła, że Adam wpadł w świat własnych idei. Dopiero po „półtora roku więzienia w skrupułach, poczuciu własnej beznadziejności – przychodzi Chrystus – i je otwiera. To jest odkupienie. Jezus Chrystus, który zbawia" – pisze abp Ryś.

## Cel

Tak naprawdę momentów „przełomowych" w życiu Adama Chmielowskiego było wiele. Na pewno pierwszym bezdomnym, z którym łączyło go coś więcej niż tylko uliczna, przelotna znajomość, był Wicek. W mieszkaniu na Basztowej Adam zawiesił kotarę dzielącą pokój na dwie części. W jednej było jego łóżko. W drugiej części spał Wicek, który pomagał Adamowi w pracowni malarskiej. Do Wicka dołączali kolejni bezdomni. Mieszkanie na Basztowej zamieniało się powoli w niewielki punkt wsparcia dla uliczników, gdzie miejscy kloszardzi mogli liczyć na nocleg i coś ciepłego do jedzenia. Trwało to jednak krótko, bo mieszkańcy kamienicy zaczęli się skarżyć, aż – ostatecznie – Adam musiał się stamtąd wyprowadzić.

Biografowie mają kłopoty z ustaleniem dokładnej chronologii w każdym razie kilka lat po wyprowadzeniu się z Basztowej Albert, chodzący już w habicie, coraz bardziej znany w mieście z tego, że maluje i żyje z ubogimi, zakłada ogrzewalnię: męską i żeńską, które wchodziły w skład kompleksu budynków klasztoru na Skałce. I zupełnie spontanicznie, bez większych planów, z gromadzących się wokół niego ludzi chcących nieść pomoc powstaje zgromadzenie zakonne.

Albert nie skończył pisać reguły. W Polsce powstawały kolejne domy dla osób bezdomnych. To, o co mu tak naprawdę chodziło, da się wyczytać z listów pisanych już w XX wieku. Do brata Henryka: „To stara bieda, że Brat jest zanadto drobiazgowy, chciałby mieć dom swój jak zegarek uregulowany i fundusze, itd., ograniczoną liczbę ubogich etc., ale taką drogą idąc można oburzyć na siebie i ludzi, i miasto, a co gorzej, i chyba ze Skala [miasto na Ukrainie] się wynosić, bo dom przecie jest ubogich i Pana Jezusa, którego bezwzględnym postępowaniem z ubogimi można obrazić".

List do brata Henryka jest wyjątkowy także dlatego, że w skondensowany sposób Albert tłumaczy, co jest celem jego pracy i co stało się tak naprawdę programem dla ludzi, którzy dziś niosą pomoc: „Więc każdego biedaka, co pode drzwi przyjdzie u Braci czy u Sióstr, trzeba przyjąć na dłużej czy na krócej i dać, co można, choćby przez to trochę biedować albo reszcie obroku ująć". ©℗

Korzystałem z książki „Brat Albert. Biografia" Natalii Budzyńskiej.

# Spór o obelisk Marii Panny

TOMASZ MAĆKOWIAK

**W 2017 r. w Czechach powróciły hasła sprzed stulecia, kiedy młoda Czechosłowacja walczyła z resztkami austrokatolicyzmu. Wydawało się chwilami, że odżyła wojna między katolikami a husytami.**

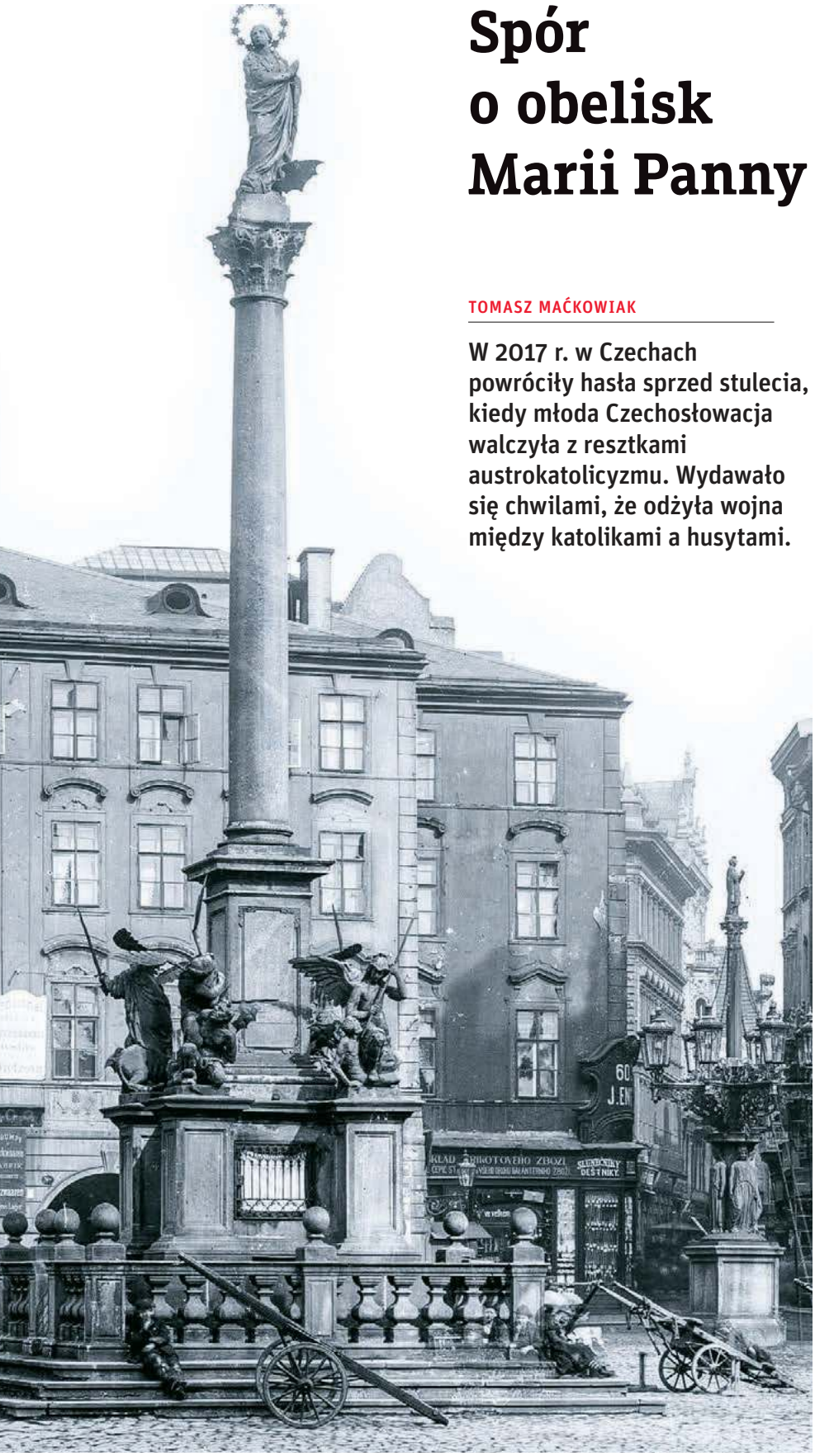

WIKIPEDIA.ORG

*Kolumna z Matką Bożą, Rynek Starego Miasta w Pradze, 1900 r.*

W tym zsekularyzowanym społeczeństwie raz po raz wybucha albo religijna zimna wojna, albo religijna ekstaza. Ostatni raz było tak w 2015 r., kiedy Czesi celebrowali rocznicę spalenia na stosie reformatora Kościoła, mistrza Jana Husa.

Teraz gwałtowny spór wybuchł jesienią 2017 r. Czesi zaczęli nagle wojować o to, czy na rynku Starego Miasta w zabytkowym centrum stolicy odbudować barokowy obelisk poświęcony Marii Pannie, zburzony przed prawie stu laty. Jedni uważali, że chodzi tylko o estetykę przestrzeni, inni, że to katolicka ofensywa, jeszcze inni widzieli w tych planach akt narodowego pojednania z trudnym dziedzictwem. Najdziwniejsze w tym wszystkim chyba jednak było to, że takie kwestie nadal budzą emocje, i to spore.

Postawienia kopii obelisku domaga się od wielu lat środowisko skupione wokół Towarzystwa na rzecz Odnowienia Obelisku Marii Panny na Rynku Starego Miasta w Pradze. Sama rzeźba już jest właściwie gotowa, bo od ponad 10 lat w swojej pracowni przygotowywał ją rzeźbiarz Petr Váňa. W międzyczasie trwały publiczne zbiórki pieniędzy na rekonstrukcję, zbierano też podpisy do władz kraju i miasta pod petycjami o zgodę na odbudowę. Wreszcie w lipcu 2017 r. nagle urzędnicy wydali odpowiednie zezwolenie. W mediach gruchnęło, że obelisk – po czesku nazywa się „Mariánský sloup" – znowu stanie na Rynku, kilkadziesiąt metrów od dominującego na tej przestrzeni pomnika Jana Husa z 1915 r. autorstwa Ladislava Šalouna.

Wtedy okazało się, że wcale nie jest to kolejny zwykły pomnik, tylko symbol – stary spór rozgorzał na nowo. Sięgano po argumenty nawet z XV w., do wojen husyckich, a atmosfera dyskusji przypominała chwilami czasy walki z austrokatolicyzmem w XIX i na początku XX w. Kilkakrotnie doszło do publicznych demonstracji, rozemocjonowani ludzie w centrum miasta zbierali podpisy pod petycjami za i przeciw.

### Symboliczne zniszczenie

Rzeźba Marii Panny na kamiennej kolumnie stała w centrum Pragi przez 268 lat. 3 listopada 1918 r. obelisk został powalony. Tłum demonstrantów przy pomocy grupy strażaków zarzucił stryczek na szyję figury Matki Boskiej. Rzeźba i obelisk roztrzaskały się o bruk. Ktoś nieznany zabrał do domu głowę

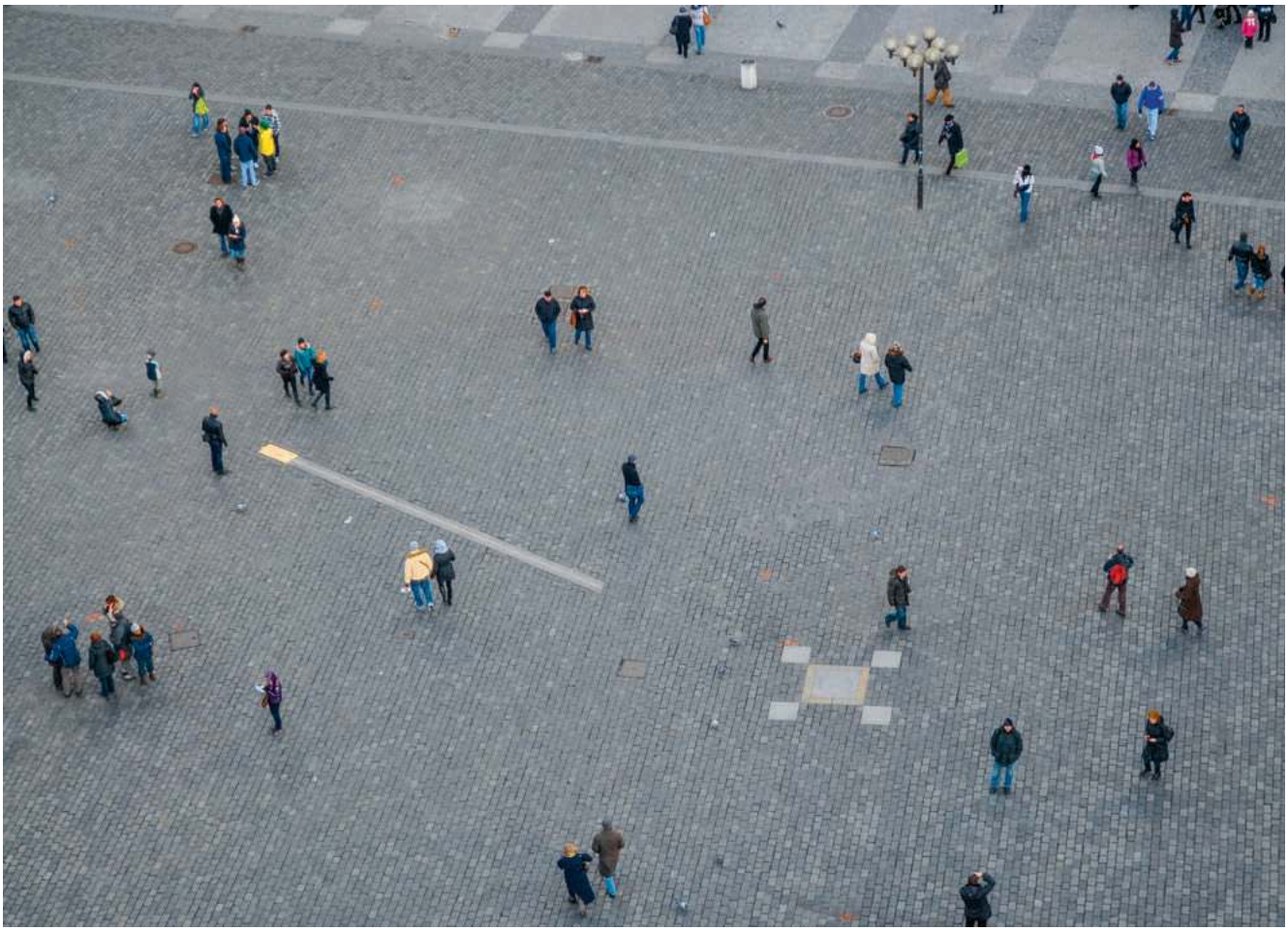

KATEŘINA JANOUŠKOVÁ

*Na bruku Rynku Starego Miasta zaznaczono miejsce, gdzie stała barokowa kolumna Matki Bożej, oraz cień, jaki rzucała (tzw. praski południk).*

Panny Marii – odnalazła się przypadkiem po ponad 30 latach. Resztę gruzu uprzątnięto, a rzeźby składające się na podstawę do dziś można oglądać w Lapidarium Muzeum Narodowego.

Ten akt zniszczenia w czeskiej pamięci narodowej został uznany za rewolucyjny początek nowych czasów, niemal moment odbudowy czeskiej państwowości. Obelisk bowiem środowiska nacjonalistyczne traktowały jako symbol katolickiej dominacji w społeczeństwie, które wtedy skłaniało się ku narodowej ideologii wiążącej czeskość z husytyzmem. Teoretycznie nikt tej demonstracji nie zorganizował, a akcja była spontaniczna. W praktyce jednak demolka była zaplanowana wcześniej przez grupkę anarchistów i narodowców. Dowodził nimi pochodzący z Žižkowa Franta Sauer.

Kilka dni wcześniej, 28 października, ogłoszono deklarację niepodległości Czechosłowacji, a w kraju zapanowała euforia. W rewolucyjnej atmosferze przez miasto przewalały się kolejne demonstracje, podczas których dochodziło m.in. do niszczenia symboli władzy Habsburgów. 3 listopada 1918 r. zgromadzenie na Białej Górze – miejscu, gdzie w 1620 r. doszło do ostatecznej, przegranej bitwy z wojskami Habsburgów – zwołali czescy socjaldemokraci oraz narodowi socjaliści. To stamtąd tłum, rozemocjonowany skandowaniem patriotycznych i antyaustriackich haseł, ruszył do centrum. Był wśród nich wspomniany Franta Sauer. Cała operacja nie przebiegła bez kłopotów – spora grupa prażan zaprotestowała przeciw próbie obrazoburstwa, na miejscu doszło do solidnej bójki. Mimo to obelisk w końcu upadł.

### Słup obrosły w legendy

Ten akt destrukcji w 1918 r. wcale nie wywołał jednoznacznego zachwytu. Obradujący wtedy parlament – Narodowa Rada Czechosłowacka – potępił gest wandalizmu i wezwał obywateli nowej republiki do zaprzestania podobnych działań. Sami autorzy dzieła zniszczenia ponoć z Rynku Starego Miasta wybierali się na most Karola, by zrzucać stojące na nim figury świętych do Wełtawy, ale powstrzymało ich wojsko.

Poparł ich za to założyciel nowego państwa, Tomáš Masaryk. „Cieszę się, że prażanie tę figurę obalili, bo ona była naszą polityczną hańbą!" – skomentował.

Od samego początku też zapowiadano odbudowę Sloupa, ale sprawa zaczęła się odwlekać. Republika Czechosłowacka była programowo antykatolicka. Plac po obelisku zostawał zatem pusty, choć kilkukrotnie przymierzano się do jego odbudowy.

Obelisk był szczególnie znienawidzony przez nacjonalistów, bo krążyła wokół niego nie do końca prawdziwa legenda, jakoby został on postawiony po austriackim triumfie pod Białą Górą i symbolizował katolicką dominację nad krajem. Prawda była inna: Czechy w tamtym czasie wcale nie były „protestanckie" ani „husyckie", tylko religijnie podzielone, a sam Sloup postawiono z wdzięczności za odparcie oblężenia Szwedów w 1648 r., co było jednocześnie ostatnim akordem wojny trzydziestoletniej. ↦

↦ Legendy obrastały Sloup także po jego powaleniu. Za komunizmu katolicy chodzili modlić się do stojącego obok kościoła Panny Marii przed Tynem, w którym wystawiono obraz Panny Marii Ryneckiej – wcześniej przez 300 lat znajdował się on na podstawie 16-metrowego obelisku. Ktoś go podniósł z bruku, zaniósł do kościoła i tam już został.

Część środowisk katolickich traktowała destrukcję obiektu jak obrazoburstwo. Przez dekady krążyły opowieści o tym, że wśród napastników była też m.in. jedna z najważniejszych osobowości czeskiej polityki XX w., związana z narodową demokracją Milada Horáková. To współczesna ikona czeskiego patriotyzmu, prześladowana za czasów okupacji i po wojnie zamordowana przez komunistów.

– Zarzuciła Matce Bożej stryczek na szyję, to i sama skończyła na stryczku, jak wszyscy, którzy brali w tym udział – tłumaczyła mi kiedyś pobożna starsza prażanka. Co światlejsi katolicy reagują oburzeniem na takie opowieści o okrutnej zemście Boga za ludzkie nieprawości.

### „Tak wam teraz damy po mordzie!"

Pomysł odbudowy Sloupa przeżył czasy komunizmu. W 1955 r., na zamówienie środowisk emigrantów politycznych we Włoszech, wykonano marmurową kopię rzeźby. Dziś stoi ona w ogrodzie klasztoru na praskim Strahowie i zwana jest Panną Marią z Wygnania.

Po upadku komunizmu wydawało się, że dawne spory religijne już odeszły w przeszłość, a pouczone doświadczeniem państwowego ateizmu i okrutnych prześladowań Kościoła społeczeństwo jest gotowe na pojednanie.

WIKIPEDIA.ORG

*Obalona kolumna Matki Bożej, 1918 r.*

Pomysł odbudowy wracał w kolejnych debatach od początku lat 90. Zwolennicy generalnie argumentowali względami artystycznymi. – Ten obelisk jest wyjątkowo piękny, a poza tym była to pierwsza barokowa rzeźba w Czechach – tłumaczy artysta Petr Váňa, wykonawca kopii Sloupu. – To jest klucz do sztuki baroku w całym naszym kraju.

Ale nawet historia sztuki jest uwikłana w czeską politykę – barok, w Czechach wyjątkowo okazały, przez nacjonalistów był traktowany jako sztuka obca, narzucona przez habsburskich najeźdźców. Woleli oni nie pamiętać o tym, że religijne podziały przed wiekami szły w poprzek podziałów etnicznych, a wielcy artyści baroku pozostawali Czechami, jednocześnie wyznając katolicyzm.

Za odbudową obelisku opowiedział się czeski prymas, kard. Dominik Duka. Do argumentów estetycznych dołożył ideowe i zaproponował, aby ta rekonstrukcja stała się symbolem pojednania narodowego. W jego zamyśle katolicy mieli odzyskać właśnie obelisk Panny Marii, a strona przeciwna symbolicznie miała odzyskać niedaleki kościół Panny Marii przed Tynem – na froncie tej ważnej świątyni miał pojawić się znowu symbol husytów, kielich. W XVI w. bowiem w podzielonych religijnie Czechach sąsiadowały z sobą kościoły katolickie z utrakwistycznymi. Centrum tego dojrzałego husytyzmu był właśnie kościół Panny Marii przed Tynem. Złoty kielich nad jego wejściem symbolizował jeden z głównych postulatów husyckich – komunię pod obiema postaciami.

Pomysł Duki jednak się nie przyjął. Urzędnicy, którzy wydali zgodę na odbudowę Sloupa, uzasadnili decyzję tak, że w zasadzie obiekt został zniszczony, dlatego jego ponowne ustawienie nie wymaga żadnego pozwolenia na budowę. Tę decyzję oprotestowała grupa radnych i sprawa trafiła pod obrady rady miejskiej. Debata trwała trzy godziny i była transmitowana przez telewizję. Prym wiódł związany z partią Zielonych radny Matěj Stropnický. „Ten obelisk nie ma tylko wartości estetycznej, ale też znaczenie polityczne" – mówił. „U podstawy tego obiektu są figury aniołów przebijających pikami diabły i te diabły miały symbolizować protestantów czy utrakwistów" – ostrzegała w telewizji przedstawicielka Kościoła husyckiego Hana Tonzarová.

Ostatecznie radni przegłosowali zalecenie dla urzędu miasta, aby wypowiedział wszelkie umowy, jakie zawarł kiedykolwiek w związku z planowaną odbudową Sloupa. Sprawa jest zatem zamknięta i to raczej na długo, jeśli nie na zawsze.

Cały spór przytomnie skomentował filozof i katolicki ksiądz, prof. Tomáš Halík. „Zniszczenie Mariánskiego sloupa było bez wątpienia barbarzyńskim aktem antykatolickiego uniesienia, które wraz z antyniemieckimi i antysemickimi stereotypami tworzą nieświętą trójcę uprzedzeń, towarzyszących czeskiemu nacjonalizmowi" – pisał w „Lidovych Novinach". Z drugiej strony katoliccy zwolennicy odbudowy zachowują się – pisze Halík – jakby się metod działania uczyli od Szwejka: „Jakeście nam urazili Najświętszą Panienkę, tak wam teraz damy po mordzie!".

„Obie strony sporu łączy absurdalne wyobrażenie, że odbudowa sloupa może w jakikolwiek sposób zwiększyć u nas poziom religijności" – kontynuuje Halík. „Różni ich to, że jedni oczekują tego z nadzieją, drudzy się tego boją – w obu wypadkach jednak nadaremnie. Dzięki odbudowie sloupa naród czeski nie stałby się ani o włos bardziej katolicki, niż jest teraz. (...) A Madonna nad tym wszystkim składa ręce i odwracając oczy ku niebu pyta: »Dzieci moje, dokądże chcecie wrócić?«". ©

TOMASZ MAĆKOWIAK

POŻEGNANIE

Ze smutkiem żegnamy

Ś.† P.

## Pana Profesora Jerzego Kłoczowskiego

Twórcę i wieloletniego kierownika Instytutu Geografii Historycznej Kościoła w Polsce Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II

Wielkiego Człowieka Uniwersytetu, który niósł przez dziesięciolecia jego dobre imię w Ojczyźnie i w Świecie

**PROF. DR HAB. HENRYK GAPSKI**

DYREKTOR INSTYTUTU I OŚRODKA BADAŃ NAD GEOGRAFIĄ HISTORYCZNĄ KOŚCIOŁA W POLSCE KUL ZE WSPÓŁPRACOWNIKAMI

REKLAMA

# ŚWIATOWY ZJAZD ABSOLWENTÓW KUL

od 100 lat jest KUL

# ŚWIĘTUJ Z NAMI

**8-9 czerwca 2018**

**KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI**
JANA PAWŁA II

Formularz zgłoszeniowy dostępny na stronie absolwentkul.pl

SZYMON

# Hołownia:
## *Plan na nadchodzący rok*

Na przełomie roku kilka pism, które staram się czytać regularnie, publikuje specjalne wydania z prognozami na najbliższe 12 miesięcy. Zasadą jest, że w periodykach polityczno-społecznych dominuje fatalizm, zaś w tych poświęconych kulturze albo technologiom – marzycielstwo. Pierwsze, jak choćby „The Economist", czyta się z rosnącym przygnębieniem. Czytelnik czuje się jak podczas wizyty u lekarza, gdy po pierwszych kiepskich wiadomościach słyszy: „ale to jeszcze nie wszystko". W „The Wired" odwrotnie: co strona, to zdumienie z drugiego końca skali. Ile rzeczy udało się już osiągnąć, jak daleko jesteśmy w stanie przesunąć horyzont możliwości!

Oto Pierre Yves Paslier z firmy Skipping Rocks Lab przekonuje, że rok 2018 trafi do historii jako data początku końca nadprodukcji plastiku (łączną masę plastikowych śmieci wyrzuconych już do oceanu lub zakopanych w ziemi szacuje się na ponad 6 mld ton). Ma się to udać za sprawą przyrastających o trzy metry dziennie wodorostów, których plantacje rozwijają się na Morzu Wschodniochińskim, a z których z powodzeniem produkuje się już butelki do napojów, kubki, opakowania na perfumy, a nawet meble (ulegające biodegradacji w ziemi w maksymalnie dwa miesiące). W 2018 r. szwedzka firma Einride rozpocznie testy bezzałogowej ciężarówki mogącej przewieźć duże ładunki na dystans do 200 km. Inżynierowie i architekci z MIT Senseable City Lab i Carlo Ratti Associati dopieszczą swój – testowany już – projekt ogrzewania biur poprzez tworzenie indywidualnych chmur ciepła (lub zimna), otulających konkretne osoby pożądanym przez nie klimatem (co podobno zmniejszy zużycie energii nawet o 40 proc.). Serce rośnie, gdy czyta się, jak bardzo mogą się rozwinąć systemy dostarczania leków, krwi, surowic za pomocą dronów do oddalonych wiejskich klinik w Tanzanii, Kenii czy Malawi (lokalny lekarz zamawia, co trzeba, esemesem, po kilkunastu minutach dron zrzuca przy klinice paczkę z zamówieniem i wraca do bazy). Jakie genialne skutki przynosi współpraca „biohakerów" dopuszczonych do udoskonalania oprogramowania sterującego rewolucyjną nowinką medyczną: sztuczną trzustką, która monitoruje poziom cukru we krwi osoby chorej na cukrzycę i automatycznie dawkuje insulinę.

Jasne, eksperci „The Wired" opisują też zagrożenia: czekające nas już za chwilę na masową skalę fałszerstwa ludzkich głosów, wykrawanie sobie przez tych, których na to stać (sieci hoteli, deweloperów) części zmienionego przez nich krajobrazu (np. z genetycznie modyfikowanymi owadami, szytymi na wymiar nasionami) i zastrzeganie go jako produktu chronionego, albo kolejne epidemie fake newsów, które mogą doprowadzić do pandemii którejś z dawno wygaszonych chorób (gdy po raz kolejny wybuchnie w internecie histeria, napędzana „sprawdzonymi" opowieściami o rzekomej szkodliwości szczepionek).

Wśród opisanych w tym numerze „The Wired" zagrożeń mam swojego faworyta – jest nim skonstruowana przez naukowców z Karoliny Północnej waga łazienkowa przygotowana z myślą o ludziach, którzy cierpią na nadmiar informacji i wpadają w obłęd, próbując powyciągać z tych wszystkich danych spójne wnioski. Lider projektu, profesor psychologii i ekonomii behawioralnej Dan Ariely wyjaśnia, że ludzie nie zdają sobie sprawy, jak wiele czynników wpływa na to, czy dziś będzie nas pół kilo mniej czy więcej, jak procesy chudnięcia czy otłuszczania są rozłożone w czasie. Waga profesora Ariely'ego pokazuje więc nie cyfry, lecz pięć komunikatów: „Jest bez zmian", „Jest odrobinę gorzej", „Jest gorzej", „Jest ciut lepiej", „Jest lepiej!" (uwzględniając przy tym opisane wyżej opóźnienia w reakcji organizmu, ale też np. przebieg cyklu menstruacyjnego). Testy dowiodły, że ludzie korzystający z takiej formy otrzymywania informacji o postępach swoich starań chudną efektywniej niż ci bombardowani feerią szybkozmiennych, detalicznych informacji. Czy to nie mówi nam czegoś ważnego o sposobie, w jaki powinniśmy zarządzać wszechnadpodażą informacji w ogóle?

Czas na „The Economist". Tu czytam o ostatniej kadencji Władimira Putina (zacznie się niemal na pewno po marcowych wyborach). Główne pytanie, które będzie jej przyświecać, nie brzmi przecież „co dalej z Rosją?", lecz „co dalej z Putinem?". Ogłosi się carem? Wywoła wojnę, by zachować władzę? Wyznaczy delfina, a sam będzie trząsł wszystkim jako Honorowy Prezes Rosyjskiego Związku Judo?

Wielka Brytania, przez Brexit, przestaje być Wielka. Postępuje upartyjnianie gospodarki w Chinach. Udręczona rządami tragikomicznego Jacoba Zumy RPA stacza się w ekonomiczną przepaść. Agencje humanitarne zajmujące się kolejnymi kryzysami (Syria, Sudan Południowy, Jemen, Afganistan) bezskutecznie błagają rządy o wsparcie (w 2017 r. prosiły o 23 mld dolarów, to mniej więcej połowa światowego rynku lodów spożywczych; dostały ułamek tego). Tak, są światełka nadziei – choćby przeżywająca chyba kolejne zmartwychwstanie w swym „twardym" rdzeniu Unia Europejska. Pytanie jednak, czy będziemy w stanie (przez wszechobecny smog) dostrzec jakiekolwiek światełka, skoro gospodarzem kolejnego szczytu klimatycznego ONZ (w Katowicach) będzie kraj, którego minister środowiska ma wizje i wiedzę sprzed mniej więcej sześciu dekad: przyrodę najchętniej widzi w formie steków lub ułożonych przez drwali stosów, śni o rzekach płynących w betonowych lejkach i proponuje, byśmy „nie katowali, a cieszyli się tym", że umiemy tak wspaniale spalać węgiel kamienny i brunatny.

Czytam i zachodzę w głowę: jak to jest, że skoro na świecie jest tylu wizjonerów zmieniających nasz los na lepszy, wygodniejszy, jaśniejszy – ludzkość, w ośmiu przypadkach na dziesięć, oddaje rządy nad sobą karierowiczom, miernotom bez właściwości, klaunom albo chorym na władzę ideologom od społecznej inżynierii. Dlaczego światu nadają ton nie postaci opisane w „The Wired", lecz bohaterowie „The Economist"? Dlaczego tamci obsługują w naszej zbiorowej wyobraźni rubrykę ciekawostek, a ci dział „Samo życie"? Przecież nie może chodzić tylko o pieniądze, grę grup interesów, większy talent do PR-u. To mechanizm tak stary i tak powtarzalny, że należy chyba przyjąć tezę, iż ludzkość to produkt naprawdę nieudany, a jedyna nadzieja, niezmiennie, od tylu tysięcy lat, tkwi w człowieku. Otaczać się inspirującymi ludźmi, przywracać nadzieję na kolejnych pięciu centymetrach kwadratowych globu, cieszyć się z każdego, detalicznie, spotkania. Szerokim łukiem zaś omijać zakochany w Trumpach tłum, pozwolić mu – skoro tak bardzo to lubi – znów być mądrym po szkodzie. Plan na 2018 r. ©

# PO CO NAM ZDROWIE PSYCHICZNE?

REKLAMA

pozytywny rozwój

**Nie wstydzimy się** mówić głośno o byciu „fit" i utrzymywaniu zdrowej diety. To dlaczego tak trudno nam rozmawiać o tym, jak utrzymać dobrą kondycję psychiczną?

**Definicja zdrowia** psychicznego funkcjonuje nie od dziś. Światowa Organizacja Zdrowia w 1948 r. przyjęła, że jest to pełny dobrostan fizyczny, psychiczny i społeczny człowieka. Definicja ta jest rozumiana niejednoznacznie z uwagi na różnice kulturowe, indywidualne odczucia oraz różnorodne podejścia naukowe. Jednak większość ekspertów zajmujących się tą problematyką zgadza się co do tego, że zdrowie psychiczne i zaburzenie psychiczne nie są wobec siebie przeciwstawne – brak rozpoznanej choroby psychicznej nie musi oznaczać zdrowia psychicznego. Dla każdego człowieka wyraża się to przez konieczność odczuwania subiektywnego poczucia dobrostanu, a nie tylko braku choroby.

**Styl życia,** a także środowisko naturalne i społeczne, w którym żyjemy, powodują, że nasze zdrowie psychiczne narażone jest na wiele zagrożeń. Jeśli czujesz, że stan twojego zdrowia psychicznego się pogorszył, powinieneś poszukać pomocy u specjalistów.

**Pamiętaj, że** także sam możesz zadbać o siebie w ramach codziennych działań profilaktycznych – dbanie o swoje zdrowie psychiczne jest tak samo ważne jak profilaktyka zdrowego odżywiania lub okresowe badania lekarskie. Bez zdrowia psychicznego nie możesz także fizycznie być zadbany.

**W życiu każdego z nas** pojawiają się stany zmęczenia, smutku, senności, niepokoju czy lęku. Odczucia te, jeśli pojawiają się w związku z konkretną, trudną sytuacją lub wyzwaniem, przed jakim stajemy, są naturalną reakcją naszego organizmu i nie powodują dezorganizacji naszego życia. Należy jednak zwrócić uwagę na objawy związane z tymi stanami emocjonalnymi i obserwować samego siebie, aby nie doprowadzić do rozwinięcia się poważniejszych zaburzeń. Co czwarty Polak doświadczył więcej niż jednego z zaburzeń psychicznych, a liczbę osób, które zmagały się z kilkoma zaburzeniami, szacuje się na blisko ćwierć miliona[1].

**Pamiętajmy, że** nasz organizm daje nam fizyczne znaki, że coś psychicznie się z nim dzieje. Objawy psychosomatyczne mają już dzieci siedmio-, ośmioletnie. Z wiekiem ich występowanie się zwiększa i prowadzi do poważnych długotrwałych problemów zdrowotnych.

**Istotą zaburzeń** psychosomatycznych jest trudny do określenia wpływ psychiki na ludzkie ciało. Należy przede wszystkim podkreślić, że zaburzenia psychosomatyczne są prawdziwą chorobą ciała. Jednocześnie konieczne jest odróżnienie zaburzeń psychosomatycznych od objawów zarówno w przypadku histerii, jak i innych zaburzeń somatoobjawowych, kiedy to nie występuje żadne uszkodzenie organów ciała. W przypadku zaburzeń psychosomatycznych ma miejsce rzeczywiste uszkodzenie określonego organu. Zaburzenia psychosomatyczne występują szczególnie często w społeczeństwach uprzemysłowionych, rozwijających się w szybkim tempie. Wymogi cywilizacji, tj. szybkie tempo życia, konieczność ciągłych wyborów, brak czasu, wywiązywanie się z licznych obowiązków, nadążanie za nowinkami technologicznymi i ciągłe bycie „na topie", obniżają odporność psychiczną i niekorzystnie wpływają na nasz stan fizyczny, powodując stan stresu. Czynniki, które zaburzają obraz świata, a zwłaszcza obraz samego siebie, wywołują niepokój i lęk. Upokorzenie, poczucie ograniczenia wolności, przeżywanie samotności, utrata pracy, kłopoty finansowe, utrata bliskiej osoby, brak akceptacji, poczucie winy, stany rezygnacji, przewlekłe przygnębienie, niska samoocena – sprzyjają trwałym konfliktom wewnętrznym, których objawem mogą być zaburzenia psychosomatyczne.

**Niestety może to** prowadzić do pogorszenia się funkcji intelektualnych, zmniejszenia odporności na stres, rzadszego podejmowania nowych wyzwań, uległości w stosunkach międzyludzkich lub wyolbrzymiania sytuacji mało trudnych. Zdrowie psychiczne określa w znacznym stopniu postawę wobec szkodliwych zagrożeń oraz wobec samego procesu leczenia. To właśnie czynniki psychiczne, indywidualnie określane dla każdego z nas, określają, a nawet wręcz wyznaczają styl życia. Czynniki emocjonalne, co udowodniono[2], są w korelacji ze zwiększonym ryzykiem zapadania na takie choroby jak choroba wrzodowa, wysokie ciśnienie krwi, zaburzenia równowagi, zawroty głowy, nieżyt jelit, bóle krzyża, otyłość, astma, alergia, choroby układu oddechowego, zaburzenia funkcjonowania płuc i wielu innych.

Więcej informacji: **pozytywnyrozwoj.org** i **instytutep.pl**

[1] Badanie „Epidemiologia zaburzeń psychicznych a dostęp do opieki – EZOP Polska", które przeprowadzono na dziesięciotysięcznej reprezentatywnej próbie.

[2] https://www.unibas.ch/en/News-Events/News/Uni-Research/Helping-pays-off--People-who-care-for-others-live-longer.html

Ministerstwo Zdrowia

NPZ NARODOWY PROGRAM ZDROWIA

FUNDACJA INSTYTUT EDUKACJI POZYTYWNEJ

Artykuł przygotowany w ramach kampanii informacyjno-edukacyjnej na rzecz zdrowia psychicznego „Pozytywny Rozwój".
Zadanie finansowane ze środków Narodowego Programu Zdrowia na lata 2016–2020.

„TP" 48 / 2017

**Pomóżmy chronić dzieci**

Piszę głęboko poruszona artykułem „O przestrzeń bez lęku", choć poruszenie to dotyczy być może innego obszaru, niż zamierzali autorzy, Agnieszka Grzywa i Artur Sporniak. Szczerze mówiąc, nieporadność polskiego Kościoła instytucjonalnego w sprawie tak powszechnego problemu, jak dokonywanie przez duchownych nadużyć emocjonalno-seksualnych względem dzieci i młodzieży nie zaskoczyła mnie. Ze smutkiem pokiwałam głową. Autorzy wspominają w kilku miejscach o wykładach i szkoleniach organizowanych dla księży czy wspólnot zakonnych. Piszą o wyrażanej przez Kościół chęci współpracy z radami pedagogicznymi, co szeroko rozumiem jako placówki oświatowe. Czytając jednak artykuł, nie natknęłam się na wypowiedź kogokolwiek, kto wspominałby o konsultowaniu treści wykładów lub tworzonych kodeksów z ludźmi, którzy mają najwięcej doświadczenia w obcowaniu z dziećmi – czyli z rodzicami. To właśnie brak wzmianki o tego rodzaju konsultacjach poruszył mnie najbardziej. Nie po raz pierwszy czuję, że mój Kościół chce zorganizować szlachetny projekt nie prowadząc dialogu z samymi zainteresowanymi, czyli rodzinami, co ogromnie mnie frustruje. Mam obawę, że brak tego dialogu sprawi, iż dobra idea zagubi się gdzieś w urzędowym języku diecezjalnej biurokracji, przez co dzieci i młodzież zostaną sprowadzeni do roli obiektów, z którymi należy postępować „tak a tak". Znaczna większość księży nie posiada własnych dzieci, a jedynie wyobrażenia na temat organizacji rodziny, na podstawie których udziela rad, rozgrzesza, mówi kazania, nie zdając sobie sprawy z tego, że ich „dane" kompletnie nie przystają do rzeczywistości. Wielu ma też problemy z najprostszą empatią.

Wydaje mi się, że aktywne włączenie rodziców w prace nad kodeksami i raportami z konferencji mogłoby być nie tylko PR-owym posoborowym gestem, ale najzwyczajniej w świecie podniosłoby skuteczność prewencji. Naprawdę możemy pomóc księżom chronić nasze dzieci przed nadużyciami.

LENA KOZIEJ-WAWRZYNEK


## „Tygodnik Powszechny" nagrodzony!

**12 grudnia, podczas gali Grand Press, najważniejszego lauru dziennikarskiego w Polsce, nagrodę w kategorii „publicystyka" odebrał ANDRZEJ STANKIEWICZ,**

autor naszego okładkowego tekstu „W imię brata" („TP" 34/2017), w którym na licznych przykładach pokazał, jak bardzo bieżąca polityka uprawiana przez Jarosława Kaczyńskiego odstaje od idei, które głosił jego brat, były prezydent Polski.

**PIOTR MUCHARSKI, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego",** znalazł się w pierwszej piątce finału konkursu na Dziennikarza Roku, wybieranego przez polskie redakcje prasowe, radiowe i telewizyjne.

Ponadto nominowani byli nasi dziennikarze:

**ANNA GOC** za reportaż „Laleczka się nie boi" („TP" 39/2017),

**ŁUKASZ LAMŻA** za tekst „Szara strefa onkologii" („TP" 17/2017)

oraz **WOJCIECH PIĘCIAK** za wywiad z Marcinem Reyem pt. „Obywatelski kontrwywiad patrzy na Rosję" („TP" 43/2017).

Wszystkie materiały można przeczytać na stronie powszech.net/press.

NOMINOWANYM ORAZ LAUREATOM SERDECZNIE GRATULUJEMY!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

## Konkurs dla Czytelników

**Premierową płytę „NIEOCZEKIWANIE" Michała Łanuszki**

**otrzyma pierwsza osoba, która odpowie na pytanie, kto jest autorem większości tekstów na płycie artysty, i nadeśle odpowiedź na adres promocja@tygodnik.com.pl.**

Trasa koncertowa z piosenkami z nowego albumu na stronie **lanuszka.pl**.

„Tygodnik Powszechny" jest patronem medialnym albumu.

lanuszka.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# KUP PRENUMERATĘ PAPIEROWEGO WYDANIA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NA 2018 ROK

i otrzymaj **PREZENT NA POWITANIE – bestsellerową książkę Szymona Hołowni „Instrukcja obsługi solniczki”*** – o wartości 22,90!

Tylko do końca roku 2017!

Dodatkowo, przy odnowieniach i zamówieniach nowej prenumeraty, **można zamówić w niższej cenie: 14 zł i z przesyłką do domu** wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” pt. „Do Betlejem!”** – przewodnik po tajemnicy świąt Bożego Narodzenia na 170 stronach bogato ilustrowanej, wyjątkowej publikacji, która jest w sprzedaży w cenie 19,90 zł.

**CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:**

| Prenumerata | EKONOMICZNA | EKONOMICZNA + „Do Betlejem!” | PRIORYTET | PRIORYTET + „Do Betlejem!” |
|---|---|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 299 zł | 299+14=**313** zł | 349 zł | 349+14=**363** zł |
| Półroczna (26 numerów) | 189 zł | 189+14=**203** zł | 209 zł | 209+14=**223** zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 99 zł | 99+14=**113** zł | 109 zł | 109+14=**123** zł |

**Prenumeratę można zamówić przez:**
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym, Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków, Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

**PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ** można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

**UWAGA! Oferta ważna do końca 2017 r., po tym terminie nie ma gwarancji otrzymania książki.**

*„Instrukcja obsługi solniczki”, wydanie papierowe, cena rynkowa 22,90 zł – wydanie pierwsze, WAM 2017.
Wysyłka książek będzie realizowana w styczniu 2018 r. bez dodatkowych opłat.
**„Wydanie specjalne – Do Betlejem!” ukazało się 15 listopada w sprzedaży kioskowej w cenie 19,90 zł.
Wysyłka pocztowa będzie realizowana w grudniu 2017 r. – na terenie kraju na koszt Wydawcy.
Oferta ważna do wyczerpania promocyjnych egzemplarzy wydania specjalnego.

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

WAM

TYGODNIK
Z ODDECHEM

# OPOWIEŚĆ SYLWESTROWA

Zaparkował po lewej stronie obok mnie. Szyby były czarne jak połyskująca smoła. Ta w drzwiach opuściła się. Zobaczyłem dłoń, która pokazała, żebym opuścił swoją. Zrobiłem to.

ANDRZEJ STASIUK

Czasami wstaję przed świtem. W zimie nie jest to takie trudne. Lubię to robić zwłaszcza w niedzielę. Mam wtedy pewność, że wokół będzie cicho i nieruchomo. Wyobrażam sobie, że tylko ja zbudziłem się ze snu, idę do kuchni, robię sobie kawę i patrzę w czarne okno. Reszta świata jeszcze śpi, przewraca się z boku na bok, naciąga kołdrę, szuka ciepła w głębi pościeli. Śpią psy w domach i budach, śpią koty w zakamarkach, śpią bydlęta w stajniach, śpią płowe bezbronne sarny i drapieżniki śpią w głębiach lasów, ptaki na gałęziach, krety pod ziemią, owady w kokonach, woda na brzegach strumieni powoli zamarza i nawet światło za bardzo nie kwapi się ze wstawaniem, przygaszone, przyprószone szarym, przycupnięte i poszarzałe jak mysz pod miotłą późnego grudnia. Jednym słowem, wszystko śpi. Jak u Josifa Brodskiego w „Wielkiej elegii". Tylko ja robię sobie kawę i nasłuchuję wpatrzony w czarny prostokąt okna, za którym, tak sobie wyobrażam, wszystko to się odbywa, przynajmniej w granicach naszej strefy czasowej.

Tak. Zwłaszcza w niedzielę, gdy ludzie nie muszą wcześnie wstawać. Dopijam kawę, ubieram się i wychodzę do samochodu. Zgarniam śnieg, zapalam, czekam, aż się trochę zagrzeje. Zjeżdżam w dół do szosy. Asfalt pokryty jest czarnym błotem. Powoli, jak najciszej wyjeżdżam ze wsi. Jak uciekinier, jak złodziej. Żeby nikogo nie zbudzić. W światłach las jest bajkowo biały, ale po paru minutach, w dole, śnieg powoli znika i jest tylko czerń nocy z tymi wszystkimi domami gdzieś w głębi. Z kutymi bramami, tralkami, żywopłotami, foliowymi chochołami, z kamiennymi figurami Piłsudskiego, papieża i Matki Boskiej w uśpionym ogrodzie po prawej. Najpierw na północ, by po piętnastu kilometrach skręcić na północny wschód. Tutaj też znam na pamięć niemal każdy dom, każde podwórko, każdy mostek przez strumień wiodący, każde obejście na wzgórzach po drugiej stronie wody i białego forda fiestę stojącego od lat w tym samym miejscu z kartką, że na sprzedaż. No ale tego wszystkiego nie widać.

**WYOBRAŻAM SOBIE CIEPŁE WNĘTRZA ZATOPIONE W CIEMNOŚCI,** legowiska, jaskinie, człowiecze gawry, przegrzane i duszne schronienia. Boazerie, dywany, tapety, kilimy, obrazy na ścianach, półeczki z duperelami i pierdoletami, wytapicerowane, wypościelone, wybite i wyłożone, z ekranami na ścianach z migotaniem diod, z bezdźwięcznym pikaniem, że czuwa, że jest. Żeby tylko zimny i czarny kosmos nie wtargnął, żeby jakieś obce ludzkie się nie wkradło. I tylko tu i tam lśniły lucyferycznie girlandy lampek, jeśli ktoś dla oszczędności nie wyłączył.

No ale pojechałem dalej. W Rozdzielu skręciłem w 933 – wiodącą już prosto na wschód, do Żmigrodu. Naprzeciw nadciągającym dniom, bo przecież stamtąd się biorą, stamtąd wstają i nadchodzą, by przybliżyć nas do śmierci. Góra Cieklinka ↦

*Okolice Dukli, Beskid Niski*

DANIEL PACH / FORUM

↦ w łagodnym zagłębieniu skrywała przysiółek Wałaskie. Nazwany od wołoskich pasterzy, którzy przywędrowali w te strony setki lat temu. Ledwo kilka domów wyglądających na północ, na otchłanną i piękną dolinę, którą zamyka rozłożysty Liwocz. Jakby ją brał w ramiona i chronił wszystkie domy, kościoły i remizy strażackie. Ale koniec końców był znakiem zagłady, bo któregoś dnia, któregoś roku miał wszystko zagarnąć do swojego wnętrza, zamienić w minerał, w pył, w związki i pierwiastki, i koniec końców sam miał też przepaść, osypując się do wnętrza ziemi.

Lecz nie widziałem ani Liwocza, ani kościelnych wież, ani strażackich remiz. Wyobrażałem sobie po prostu. Wiedziałem, że tam są, po lewej, w zapadlisku, w uskoku ziemi. Może tak będzie wyglądała śmierć? Że będziesz wiedział, ale nie będziesz widział? To były poważne myśli, ale jak się wstaje przed świtem, pozornie bez powodu, to przecież nie po to, by marnować czas. Może będziesz wiedział, ale nie będziesz niczego widział. Ani Cieklinki, ani Wałaskiego, ani drogi 993, ani skrzyżowania na Folusz, skąd roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków świata. Uwięziony jak robak w czarnym bursztynie będziesz.

Tak się pocieszam w tej jeździe na spotkanie dnia i na spotkanie kolejnego roku przy okazji. Gdzieś za Pielgrzymką noc granatowieje. Nawet gdy byłem młodym śpiochem i leniem, potrafiłem doczekać świtu, by wyjść na puste ulice i patrzeć, jak nie wiadomo skąd zaczyna się sączyć światło. Jak się skądś przesącza. Pierwsze, puste jeszcze, tramwaje na Grochowskiej wyglądały tak, jakby je wiozły, transportowały z Żerania na Gocławek i z powrotem. Prawie bez pasażerów, tylko z tym złotawym, uformowanym w sześcian blaskiem w środku. Wsiadałem do któregoś i jechałem w stronę Wschodniego, by złapać żółto-niebieski podmiejski w którąkolwiek stronę. Na przykład do Żyrardowa, do Skierniewic. Z wiaduktu nad Targową, z mostu miasto wyglądało ponuro i pięknie. Półmartwe, sczerniałe, jakby się czołgało. Połowa lat 80. Tak mogło być w istocie. Dlatego lubiłem je opuszczać.

Jechałem zimnym pociągiem wpatrzony w okno i czekałem, aż podniesie się ciemność. Aż znikną domy, torowiska, bocznice, magazyny, cała rozpacz przedmieść i zjawi się sucha trawa, nagie drzewa, mgła i namiastka horyzontu o sto, o dwieście metrów od torów kolejowych. Ludzie jechali do pracy. Wyglądali na zmęczonych, jakby z niej wracali. Wsiadali po drodze na małych stacyjkach. Po nieprzespanej nocy też byłem zmęczony i mogłem udawać przed sobą, że jestem kimś w rodzaju klasy robotniczej. „Duchowym proletariuszem" w podmiejskim pociągu zmierzającym w stronę niejasnego oświecenia. Do Żyrardowa, do Skierniewic, przodem do kierunku jazdy, ze słońcem wstającym gdzieś za plecami. Mężczyźni grali w tysiąca na położonej na płask teczce, kobiety siedziały w milczeniu z rękami splecionymi na torebkach, konduktor nie nadchodził. Nie miałem biletu. W tamtych czasach dawało się złotówkę albo dwa złote. Powoli jaśniało i wyobrażałem sobie, że oglądam kolejne stworzenie świata. Że świat znowu się odmyka, że przetrwał nocną zagładę, bura trawa przetrwała, betonowe słupki wzdłuż nasypu, druty trakcji, opłotki, chatynki, człowiek wsparty o czarny rower na przejeździe, wierzby wzdłuż mętnawych rzeczułek, prostokąty oświetlonych okien, psy przy budach, pani dróżniczka salutująca pomarańczową chorągiewką i nieodgadniona dal Równiny Łowicko-Błońskiej, i my, w tym pociągu, przetrwaliśmy. Ale chyba nikt prócz mnie tego nie dostrzegał. Mężczyźni wciąż grali, karty padały z cichymi plaśnięciami. Kobiety siedziały jak posągi. Tylko mój podekscytowany bezsennością umysł wyglądał znaków w okolicach Żyrardowa.

**A TERAZ PIELGRZYMKA I ZARAZ SAMOKLĘSKI.** Długi podjazd, a za wzniesieniem po prawej Biedronka na przedmieściach Żmigrodu. Pali się na żółto. Nigdy nie gaśnie. Jak latarnia morska. Żebyśmy nie zbłądzili w grudniową noc. Żebyśmy bezpiecznie dotarli na skraj roku, na jego brzeg jak na skraj lodowej kry, z którego będziemy wyglądać następnej, która nas poniesie w nieznane. Ale dziś otworzą dopiero o ósmej. Parking jest pusty, czarny, z resztkami śniegu. Szampan i sushi na każdą kieszeń.

Pamiętam kury na żmigrodzkim rynku. Dreptały, grzebały, wydziobywały coś z trawy. Wiele sylwestrów temu. Dni nie miały wtedy końca. Leniwie nadciągały jeden za drugim, ale czas stał nieruchomo, jak letni upał nad żmigrodzkim rynkiem. Się czekało. Na autobus do Rozstajnego, do Grabiu, na autobus do Jasła. Albo na nic. Na gorący wschodni wiatr wiejący od Dukli. Nie miałem jeszcze pojęcia, z jak dalekich stron wieje. Siedziałem na ławce i popijałem piwo z butelki. Ludzie wyglądali zupełnie inaczej niż dzisiaj i było ich niewielu. Wysiadywali tak samo jak ja i wypatrywali zdarzeń. Zdarzenia zaś nadchodziły niespiesznie albo nie nadchodziły wcale. Na przykład w 1988 r. Nawet w 1995 r. zanadto się nie tłoczyły. Dlatego ten wiatr, to rozpędzone powietrze tak bardzo przyciągało uwagę. Można powiedzieć, że przykuwało wzrok. Chciało się patrzeć w głąb ogromnej doliny, chociaż z ławki na rynku nie było jej widać. Ale wiedziałem, że tam jest, że już za ostatnimi zabudowaniami otwiera się tak rozlegle, że ledwo starcza nieba, by ją przykryć. I Liwocz po lewej próbuje ją ogarnąć, ale nawet jemu nie starcza potęgi. Tak. W 1995 r. nie miałem pojęcia, skąd ten wiatr i ta przestrzeń nadciągają. Siedziałem, piłem piwo i myślałem, że świat zaczyna i kończy się w Dukli. Że stamtąd bije światłość wiekuista. Może nie z tych czterech ulic na krzyż, ale właśnie tamtędy znajduje ujście. Skąd miała przychodzić? Nie wiedziałem, ale wydawało mi się, że z bardzo daleka, z odległych czasów, i że przypomina nieśmiertelność. Że ogarnie Duklę z jej czterema uliczkami na krzyż, dolinę, górę Liwocz, przetoczy się jak płomień przez żmigrodzki rynek, spopieli domy i domki, biało-żółty autobus do Grabiu, grzebiące kury, kiosk w betonowym baraczku, kościół Apostołów Piotra i Pawła. I nawet mnie z piwem na ławce, by wszystko ponieść jako napowietrzne, przejrzyste obrazy gdzieś w nieskończoność, gdzie nigdy nie zapada mrok, a rzeczy nie rzucają cienia. Siedziałem i wyglądałem gorącego wichru, ognistej fali niosącej unicestwienie i ocalenie zarazem. W 1995 r., a może nawet rok wcześniej.

**A TERAZ BIEDRONKA JAK LATARNIA MORSKA,** nad którą wstawał świt. Był bury. Ledwo podbity jakimś biedablaskiem. Naszym, ojczystym, polskim. Miałem 57 lat i dobrze już znałem mój kraj, i nie oczekiwałem zbyt wiele. Przywykłem do półmroku. Do świąt w listopadzie i grudniu. Żółty napis jaśniał jak płomień nad rafinerią, jak nieruchomy sztandar zatknięty na skraju Dołów Jasielsko-Sanockich. Żebyśmy nie pobłądzili. Żebyśmy nie minęli. No to zajadę i poczekam, aż otworzą, pomyślałem. Stanę i powspominam 1995 r. i inne lata pełne mistycznych uniesień. Tak zrobiłem. Zaparkowałem trochę z boku i puściłem cichutko Jarretta z Hadenem jak „'*Round Midnight*" grają. Wydawało mi się, że to pasuje do powiatu jasielskiego o świcie. Silnik cichutko mruczał, siedziałem w cieple i patrzyłem, jak robi się jasno. W oddali u Piotra i Pawła odezwał się dzwon. „'*Round Midnight*" kołysało łagodnie i musiałem się zdrzemnąć.

Kiedy się obudziłem, zajeżdżały kolejne samochody. Od miasteczka szli też na piechotę. Głównie kobiety. Niosły puste torby. Stawiały kołnierze. Szły pochylone, pod wiatr. Z aut wysiadały całe rodziny. Dzieci dopadały wózków i pchały je w jasną

czeluść sklepu. Wciąż było jakoś ciemnawo. Ni to poranek, ni to zmierzch – jak okiem sięgnąć, jakby słońce się jednak rozmyśliło i pozostało gdzieś tam za górami, za lasami. Jarrett z Hadenem przestali grać. Pomyślałem, że powinienem wysiąść i też coś kupić, ale nie wiedziałem co. Niektórzy już wychodzili z pełnymi wózkami, pakowali towar do bagażników i odjeżdżali, a na ich miejscu zjawiali się nowi. Wyglądało na to, że w Żmigrodzie przybyło mieszkańców. No ale były święta, rodziny się zjeżdżały, a i pewnie cała okolica, bo ruch od Samoklęsk był całkiem spory. Normalna rzecz, pomyślałem. Tylko jakby ciemniej cały czas się robiło, a w każdym razie nie jaśniało. Stagnacja dziennego oświetlenia nastąpiła. Trochę się nad tym zastanawiałem, ale też nad tym, czy jednak czegoś nie kupić, a nie tak siedzieć i się odcinać za pomocą wspominania 1995 roku oraz innych ulubionych dat. Niczego niby nie potrzebowałem, ale przecież kupić mogłem. Tylko trochę się bałem, że mnie jednak rozpoznają. Że

ADAM GOLEC / AGENCJA GAZETA

*Andrzej Stasiuk wypatruje*

oni wszyscy naprawdę, a ja na niby. Nawet mi się wydawało, że już na mnie patrzą, że tak siedzę i nic. Że coś knuję.

**CZARNY SAMOCHÓD ZAJECHAŁ. ELEGANCKI, DŁUGI I NISKI.** Podwozie miał podświetlone na czerwono, tak jak sobie chłopaki teraz na wsiach robią, żeby w sobotni wieczór szyku zadać. Ale chłopaki na ogół na fioletowoniebiesko, a ten na czerwono miał, i w lepszym gatunku to światło było. Żadna chińszczyzna. Zrobił rundę po parkingu, zawracając przypalił gumę, a z czterech rur wydechowych strzelił ogień. Klienci zatrzymali wózki i patrzyli z podziwem. Objechał jeszcze raz, jakby kogoś szukał, a może, żeby wszyscy widzieli.

Nie znałem tej marki, ale tuning czyni przecież cuda. Blachy też miał dziwne. Czerwono-czarne. Jak islandzkie tymczasowe. Promem to musiał przywieźć. No ale święta, przywiózł, rodzinie się pochwali, a potem zarejestruje w Wydziale Komunikacji w Jaśle i będzie się z chłopakami ścigał. Ale teraz tylko na zawrotkach palił, a potem już spokojnie, pomiędzy rzędami aut zagrożenia nie czyniąc. W końcu zaparkował. Po lewej stronie obok mnie. Szyby były czarne jak połyskująca smoła. Ta w drzwiach opuściła się. Zobaczyłem dłoń, która pokazała, żebym opuścił swoją. Zrobiłem to.

Z wnętrza dobiegł głos: „Wsiadaj". Drzwi otworzyły się bezszelestnie. „Jak to wsiadaj? Do obcego auta?". „Wsiadaj. Takim nie jechałeś" – powiedział głos. Ze środka świeciło ni to różowo, ni to czerwono i wytworny zapach się wydobywał. Żeby zyskać na czasie zapytałem: „A co to w ogóle jest?". „Wsiadaj. Zobaczysz. Niezły". Biłem się z myślami, ale co tu gadać, pokusa była silna. Wygramoliłem się, zamknąłem i podszedłem. Na masce miał emblemat w guście maserati, ale jakiś inny i też pełgał na czerwonawo. Wsiadłem, drzwi się same zamknęły z cichym, zmysłowym odgłosem. Miał koło czterdziestki i pasował do auta. I koszula pasowała, i garnitur, i spinki mankietów. Pod tyłkiem czułem ciepłą, czerwoną skórę. Ruszyliśmy. Ech, płynęło to, nie jechało. Może frunęło jak poduszkowiec, zarazem trzymając się drogi jak przyklejone. Skręciliśmy do Rynku, a potem w lewo na Duklę.

„Chciałbyś taki" – bardziej stwierdził, niż zapytał. „Mam swój" – odpowiedziałem, jak mi się wydawało, obojętnie. „To paździerz" – mruknął. „Paździerz? Na Gobi był. Twojemu by dupę oderwało pięć kilometrów za Ułan Bator, albo już na Uralu".

Nic nie powiedział, tylko dodał gazu. Tym razem auto naprawdę oderwało się od szosy. Zobaczyłem wieżę kościoła w Starym Żmigrodzie i wydawało mi się, że w oddali widzę Cergową. „O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać" – powiedział poważnie. „O lataniu? A w ogóle to potrafisz tym wylądować? Latać każdy potrafi" – zaszarżowałem. „Nie. O tej Gobi" – odpowiedział, znowu depnął i jakąś figurę akrobatyczną wykonaliśmy nad przysiółkiem Pietrówka. „Dinozaury cię interesują?". „Chciałem cię zapytać, po co ty tam jeździsz? Na te pustkowia, na jakieś płaskowyże cztery tysiące metrów, gdzie ani trawa, ani kąkol nie rosną i woda nie chce się zagotować. Po co? A potem jeszcze o tym książki piszesz i ludziom w głowach mieszasz". „A co? Czytałeś?" – spytałem od niechcenia. „Wieczorami. Dla przyjemności, ale też z obowiązku. Taka praca" – westchnął nieznacznie i wyrównał kurs. „Po co tam jeździsz, a potem wypisujesz te dyrdymały, że nic, tylko marność i gonitwa za wiatrem, jak mówi klasyk. Przecież młodzi cię czytają".

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale miałem to przećwiczone na spotkaniach autorskich: „Wiesz, ja po prostu lubię jeździć i nie moja wina, że tam nic nie ma. Lubię jeździć autem". „Mógłbyś jeździć lepszym" – powiedział i dyskretnie zawiesił głos. „To jest całkiem dobre". „Mógłbyś jeździć najlepszym". „Nie wiem, czy wiesz, ale najlepsze to u nas w kraju zaraz kradną" – odpowiedziałem z lekką wyższością w głosie. „Twojego nikt by nie ruszył" – powiedział z bezgłośnym uśmiechem. „Nikt. Nawet jak ze srebra będzie, z dwunastoma rurami wydechowymi ze złota i felgami z magnezu".

Odczekałem chwilę wyobrażając sobie, jak wjeżdżam tym do Ułan Bator. Przetrzymałem go jeszcze chwilę i powiedziałem: „Rozumiem, że to jest oferta. Jakie są warunki?". Przycisnął mocniej i wykonaliśmy beczkę albo korkociąg, nigdy się na tym nie znałem. Wcisnęło mnie w fotel i tym razem chyba rzeczywiście zobaczyłem Cergową, tyle że do góry nogami. „Chodzi o to – powiedział – żebyś nieco zmienił perspektywę. Żebyś zamiast o piachu, kurzu i owczych bobkach zaczął pisać na przykład o pięknie ludzkiego geniuszu". „Znaczy co? – zapytałem. – O tym, żeśmy penicylinę i turbosprężarkę wynaleźli?". „No coś w tym rodzaju. Że wciąż wynajdujemy coraz lepsze i piękniejsze rzeczy, które powinniśmy posiadać, bo bez nich jesteśmy jak te kozie bobki na pustyni. Powinieneś sławić cud stworzenia oraz widzialnego świata, zamiast jakieś zadupia, gdzie psa z kulawą nogą nie uświadczysz, bo tam ci niby ma się coś objawić. To jest droga donikąd. Spójrz na młodych pisarzy! Czym jeżdżą, jak wyglądają, w telewizji występują. Właśnie, ostatnio cię nie widać..." – zawiesił nieco ↦

↦ szyderczo głos. „No taaa – mruknąłem. – Też im się ten piach i bobki znudziły”.

Trochę odpuścił i lecieliśmy teraz mniej więcej pionowo nad wsią Łysa Góra. Powiedziałem, żeby dał trochę w lewo, bo chciałem na Liwocz popatrzeć; kto wie, czy nie ostatni raz. „Znowu ta przyroda” – mruknął wzgardliwie. „Jak się dogadamy, to telewizja sama do ciebie przyjdzie. Tylko musisz perspektywę zmienić. Pieprzyć przyrodę, tylko cywilizacja się liczy! Taka biotechnologia na przykład. Napisałbyś coś o biotechnologii. Nie chciałbyś żyć trzysta lat? Albo czterysta? To też zresztą da się załatwić...”.

Pomilczałem chwilę, jakbym się zastanawiał, i powiedziałem: „No ale co bym robił przez te trzysta lat?”. „Jak to co? Wszystko, co byś chciał. Na przykład jeździł na magnezowych felgach, a nie tym struclem...”. „No, no, no...” – podniosłem głos. Uniósł obie dłonie, a ja chciałem odruchowo złapać za obciągniętą czerwoną skórą kierownicę. „Dobra, dobra, dobra... – powiedział. – Jeździj, czym chcesz, dokąd chcesz. Tylko pisz inaczej. Młodzież cię czyta. Charaktery im wypaczasz. Mętną mistyką serca im zatruwasz. Wieczność, nieskończoność, krowie placki. Kogo to obchodzi?”.

Rzuciło nami trochę, gdy przelatywaliśmy nad starożmigrodzkim kościołem. Chwycił kierownicę i przyspieszył, żeby wymknąć się turbulencji. „I widziałem, że nie ma nic lepszego dla człowieka nad to, by radował się ze swych dzieł – powiedział z emfazą. – Dlatego dzieła powinieneś sławić oraz człowieczą potęgę!”.

W oddali widać było Duklę i Bernardynów na wzgórzu. „Trochę ten 22 werset z kontekstu wyrwany i komunizm mi przypomina” – powiedziałem. Z Teodorówki niecierpliwa kawalerka odpaliła zielony fajerwerk. „Komunizm nie był taki zły – powiedział trochę do siebie. – Kapitalizm też nie jest najgorszy. Ale najlepiej, jakby było jedno i drugie”. Zatoczyliśmy szeroki łuk i lecieliśmy teraz na południe wzdłuż Wisłoki. „Nie wiem, jak często u nas bywasz, ale ostatnio się zanosi”. Zerknął na mnie z zainteresowaniem: „Naprawdę tak uważasz? Mógłbyś o tym napisać. Wiesz, w takim dyskretnym tonie...”.

Wylądowaliśmy jakiś kilometr przed miastem. Na szosie było akurat pusto i całkiem zgrabnie mu poszło. Wolno przejechaliśmy przez Rynek, a potem w lewo i na parking. „No, jak będzie?” – zapytał. „Muszę pomyśleć” – odpowiedziałem. „Wiesz, to nie jest takie proste, zmiana stylu, nowy czytelnik, pewnie nowy wydawca. Pisanie to delikatna sprawa”. „Wiem. Mogę trochę zaczekać” – odpowiedział. Poczułem, że wyciąga w moją stronę dłoń, ale na wszelki wypadek udałem, że nie widzę. „Szczęśliwego Nowego Roku” – powiedział. „Nawzajem” – odpowiedziałem. Drzwi otworzyły się z cichym, niskim cmoknięciem. Jak w ogromnej lodówce.

**PATRZYŁEM W ŚLAD ZA NIM.** Przy wyjeździe na szosę nie włączył kierunkowskazu, jakby się nie mógł zdecydować, w którą stronę chce jechać. W końcu pojechał w stronę Gorlic. Wsiadłem do swojego auta, zapaliłem silnik i czekałem, aż się trochę zagrzeje. Ludzie ze sklepu wynosili baterie wyrzutni rurowych o nazwie Mistrzowie Ognia oraz Nosferatu. ©

ANDRZEJ STASIUK

# Latająca Kuba

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

**Ptaków mieszkających na tej wyspie nie znam, nie przygotowałem się, mogę tylko porównać tutejsze gatunki do naszych, rodzimych. Czuję się jak XIX-wieczny zoolog zdany wyłącznie na intuicję i beztrosko popełniam te same błędy.**

DEPOSITPHOTO

**RANKIEM, NA DRZEWIE NAPRZECIWKO OKNA,** siedzą napuszone, granatowe gawrony. Zimno mi, kiedy tak podkulają nogi pod brzuchem. One są nieszczęśliwe czy to długi, melancholijnie zagięty dziób nadaje im ten wyraz? Nie ma wątpliwości, że ludzie są szarzy i bardzo nieweseli. Przemykają jak spłoszone zwierzęta między swoimi kryjówkami. Co jakiś czas słońce, oddajmy sprawiedliwość, zaświeci zimnym, słowiańskim błękitem, ale na krótko, na moment. Promienie nie dają już ciepła, trudno uwierzyć, że ta sama, znajoma ziemia zrobiła się tak niegościnna. Nie wiem nawet, która jest prawdziwa: ta gościnna czy ta niegościnna?

Słowiański błękit to luksus, zwykle szare światło wpada tylko na chwilę, na parę godzin, spod zaspanej powieki słońca, które jakby nie chciało się na dobre obudzić. Czasem jeszcze, w mglistą noc, słychać kastaniety rudzika. Jakiś spóźniony wędrowiec, oszołomiony światłami miasta, przysiada w krzakach i w ciemności nawołuje rodaków. Pewnie raźniej by było we dwójkę przetrwać do rana.

**W TAKICH OKOLICZNOŚCIACH PRZYTRAFIA MI SIĘ WYJAZD,** daleki, egzotyczny. Z palmami. To jedno z tych miejsc, gdzie władza od lat ze słabnącym przekonaniem wmawia własnym obywatelom, że żyją w najlepszym ze światów. Że wszystko, co otacza ich wyspę, pogrąża się w dekadencji, moralnej zgniliźnie, oddaje się mamonie i cielcom. Że tylko na wyspie panuje sprawiedliwość, równość i rewolucja. Że jeszcze jeden mały krok, jedno wyrzeczenie, jeden wysiłek i... Nie wiem, co jest na końcu tej drogi, ale podobno coś pięknego, coś, czego nikt jeszcze nie widział. Ale tu chyba już nikt nie ma złudzeń, nikt już od dawna nie wierzy w tę bajkę. Nawet gdy powietrze i morze są ciepłe, nie może się dobrze żyć za 20 dolarów miesięcznie, szczególnie że upadły świat chytrze mruga z reglamentowanego internetu, łasi się i kusi niedostępnymi promocjami. A tu w sklepach głównie półki, sprzedawcy i kasy.

To nie jest wyjazd ornitologiczny – to wyjazd nieornitologiczny po oblazłych z farby miastach, po biednych, nadmorskich wioskach, gdzie cherlawe koniki ciągną nędzne zaprzęgi. Ale gdziekolwiek bym pojechał, zawsze zadzieram głowę i nadstawiam ucha na nieznany głos, ja już nie potrafię inaczej. A nowe miejsce to nowe ptaki. Tu prawie wszystkie są nowe, ze znajomych widzę tylko identycznie wścibskie wróble i subtelne sierpówki z pijacko zachrypniętym głosem. Oba gatunki przywieźli tu zresztą Europejczycy. Ale Stary Świat jest gdzieś daleko, za wielką wodą. Tych miejscowych ptaków nie znam, nie przygotowałem się, mogę tylko porównać tutejsze gatunki do naszych, rodzimych. Czuję się jak XIX-wieczny zoolog zdany wyłącznie na swoją intuicję i beztrosko popełniam te same błędy.

**PODOBNO, JEŻELI PÓJŚĆ DO GÓRY ULICĄ G,** to gdzieś tam będzie park. Nie mam mapy, nie mam internetu, muszę zrezygnować tu ze swoich przyzwyczajeń, muszę po prostu iść ulicą G, aż natrafię na park. No więc idę, wdychając spaliny z 60-letnich diesli, zapach morza i śmieci, a niebo nad ulicą patrolują sępy. Skrzydła w literę V jak u naszych błotniaków. Sępy kojarzą się jakoś nieszczególnie, ale gdyby nie one, w tym klimacie co chwila wybuchałyby epidemie. Sępy, a właściwie sępniki różowogłowe, to bardzo ochocza Ochotnicza Służba Oczyszczania Miast i Wsi. Wydaje się, że mieszkańcy mają do nich mało emocjonalny stosunek, ot po prostu taki duży, czarny ptak z malutką, łysą głową, znajomy i codzienny jak u nas bułeczki na śniadanie. Przystaję i patrzę przez lornetkę na tę paskudną, charcio wąską czaszkę i duży dziób z otworem nosowym. To w nim ukrył się bardzo czuły ośrodek powonienia, bezbłędny wykrywacz truchła. Na ten jego nieomylny nos zdaje się choćby pozbawiony węchu kuzyn, sępnik czarny. Po prostu podąża za różowogłowym w poszukiwaniu padliny.

*Piwik karaibski*

To ja idę za sępnikiem, jak jakiś mniej obdarzony sępnik. Tam, gdzie on leci, musi być coś interesującego. I tak z zadartą głową wchodzę na środek wielkiego skrzyżowania, gdzie stare graty trąbiąc radośnie cieszą się, że jeszcze jadą. Ja tymczasem niezdarnie wycofuję się na chodnik i tak przypadkiem chyba trafiam do celu. To nie jest żaden znajomy park, to nie monotonne szpalery drzew, to nie nudne-schludne rabaty, to nie pedantyczne płaszczyzny trawnika ani nawet nie pordzewiałe, metalowe drabinki z wydeptanym klepiskiem dookoła. To kotłowanina połamanych gałęzi, kłębowisko szmat, ludzkich odchodów i zużytych prezerwatyw. Europejskich śmieci jest tu mało. Nie ma puszek ani nieśmiertelnych PET-ów, nie ma pieluch i podpasek. Są za to białe schody, pokruszone jak chudy biały ser. Ścieżka omija je starannym łukiem. O, a na szczycie leży martwy żółw bez głowy. Ktoś mi później wytłumaczy, że to huragan zrobił ten bałagan, ale naprawdę trudno to wszystko zwalić na huragan.

Stoję i myślę, że to jakiś antypark, i kiedy robię trzy kroki, spod drzewa zrywa się ptak. Mały i szary, niepozorny jak nasza muchołówka. Jakiś inny od bajecznie kolorowych kolibrów i lasówek, demonicznych wilgowronów czy wspaniałych fregat, jaskółek oceanu. Ten jest tak niepozorny, że jakoś znajomy. Przysiada na badylu i zastyga w oczekiwaniu. Wydaje się obrażony, nastroszył nawet pióra na głowie, bo oderwałem go od ważnych spraw, ale kiedy posiedzimy tak ze sobą kilka chwil, przestaje zwracać na mnie uwagę. Znowu jest skupiony na robocie. Atakuje błyskawicznie, goni w powietrzu motyla, kłapie głośno dziobem, pudłuje jednak i wraca zaraz na swoją czatownię. Zawsze w to samo miejsce. Zupełnie jak muchołówka.

Patrzę przez lornetkę. Jakiś nieważny, słaby wzorek na skrzydłach, sylwetka przysadzista, może bardziej zwarta, ale to znowu wypisz, wymaluj muchołówka. Frapuje tylko wyraźnie biały sierp, opasający czarny koralik oka, jakby odbicie mojego ludzkiego oka. Gdybym go właśnie odkrył, pewnie nazwałbym go muchołówką parkową, *Muscicapa hortensis*. Ale w domu widzę już, że to był piwik karaibski, z rodziny tyrankowatych. Z muchołówką nie ma nic wspólnego. Wyewoluował jako jej tutejszy odpowiednik. To się nazywa konwergencja. Występowanie analogicznych cech u organizmów niespokrewnionych, żyjących w podobnym środowisku. Konwergencja wszędzie. Nawet w antyparku. Nawet na drugim końcu świata. ©

# Kram z piosenkami

IRENA SANTOR, PIOSENKARKA:

**Dostaję białą kartkę papieru, ołówek i nie umiem nic wyczarować. A dźwięku mogę nie mieć, ale potrafię go sobie wyobrazić.**

**KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie jest pierwsze Pani wspomnienie z dzieciństwa?**

**IRENA SANTOR:** Z Solca Kujawskiego, gdzie mieszkałam przez pierwsze dziewięć lat życia. To urokliwe miejsce – lasy, Wisła i spokój małego miasteczka. Mało potem spotykałam takich miejsc przyjaznych, gdzie z lasu można się utrzymać i gdzie dzięki Wiśle można nieźle się najeść.

Najbardziej lubiłam iść właśnie do lasu. Choć samej nie wolno mi było – lasy były przepastne, a ja od dziecka absolutnie nie orientuję się, gdzie jestem. Gubię się na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich.

Ale las był mi potrzebny do echa.

**Sprawdzała Pani w lesie potęgę swojego głosu?**

Mama nauczyła mnie „Po nocnej rosie", to była moja ukochana piosenka. W lesie wyśpiewywałam się, potem dopiero po latach dowiedziałam się, że napisał ją wielki kompozytor. W naszym domu Moniuszko nie miał imienia i nazwiska, był „domowy". Lubiłam śpiewać go w lesie.

**A inne wspomnienie?**

Już z początku lat 50. Z Mazowszem jesteśmy w Częstochowie i o piątej rano idziemy na Jasną Górę. Otwiera się obraz i... jak gruchną organy, to myślę sobie: „To jest już wszechświat".

**Dźwięk organów jest wszechświatem?**

W ogóle dźwięk. W Solcu był park, ale taki szczególny, z muszlą, do której chodziło się tańcować i śpiewać. Boleję, że dzisiaj dzieci nie mają lekcji śpiewu. Dziecko powinno śpiewać i słyszeć swój własny głos. Jeżeli śpiewa w chórze, to słyszeć głos kogoś, kto stoi obok. Nie wydzierać się i udowadniać, że ja mogę głośniej, tylko słyszeć akord, który składa się z poszczególnych dźwięków. Uczono mnie tego w podstawówce. Nie mogę wtrącać się w to, że młodzi słuchają teraz muzyki mechanicznej, bo wyjdę na starą ciotkę. Ale mnie dobra muzyka w życiu nie zaszkodziła.

**Jak wyglądały lekcje muzyki w podstawówce?**

Przychodził pan i grał na skrzypcach. A skrzypce to instrument, który sam „śpiewa" – słychać, jak ktoś gra, i głos tego, który temu towarzyszy. Człowiek umie dostroić się, zaśpiewać całą frazę poprawnie słysząc siebie – na tym właśnie polega śpiewanie.

**Pani rodzice muzykowali w domu?**

Nie mieli wykształcenia muzycznego – mama była krawcową, tata – flisakiem. Lubili śpiewać na dwa głosy, gdy robili coś razem. A kolędowanie to już był obowiązek.

**Opowie Pani o świętach w Solcu?**

Szczególnie jeden obrazek utkwił w pamięci: tata i ja jeszcze jesteśmy w łóżku, obok stoi choinka, oczywiście ozdobiona wszystkim, co Pan Bozia dał – i jabłuszkami, i cukierkami, i pierniczkami. I jeszcze palą się świeczki, których nie było dużo, bo pewnie brakło pieniędzy, by kupić więcej. Mama krząta się w kuchni, a my z ojcem łasujemy i co chwila z choinki coś znika – a to pierniczek, a to jabłuszko. I to jest nasza tajemnica.

**Nie dziwię się, że właśnie ta scena utkwiła Pani w pamięci.**

Kiedyś przyszedł Gwiazdor, a ja się przeraziłam, bo był duży, ponury i w ręku trzymał rózgę. I ja sobie chyba na tę rózgę zasłużyłam, bo kryłam się za babcią, by on mnie nie widział. Czyli coś miałam na sumieniu.

No i obowiązkowo szło się na pasterkę, nawet jak było się bardzo sennym. Zimno, świat nieprzytulny, ale gdy organista grał „Bóg się rodzi" , to żyć się chciało.

**Mówi Pani, że na tę rózgę zasłużyła?**

Dzieckiem byłam niesfornym, trudno mnie było ujarzmić. Uwielbiałam bujać się na podwórkowej bramie – w czasie okupacji wyrzucono nas z mieszkania i wylądowałyśmy z mamą w kurzej chatynce, nie stały w okolicy żadne huśtawki. W parku w Solcu były jakieś wieszadełka i ja wiecznie wisiałam głową w dół. Ubóstwiałam chodzić po drzewach – zdzierałam buty, darłam sukienki. Mama miała ze mną morze kłopotów. Gdy zasłużyłam sobie, to potrafiła mnie gonić, by przylać ścierką. Gdyby tylko mogła mnie dogonić, toby mi przylała. Ale ja mimo to kochałam ją nad życie.

**A tata jaki był?**

Nie pamiętam go dokładnie, zginął, gdy miałam pięć lat. Pod koniec października 1939 r. – został zamordowany, razem z grupą 49 innych mężczyzn. W tym mordzie brała udział osoba, którą znała moja rodzina. Przed wojną ten człowiek przychodził do nas do domu, był przyjacielem ojca.

A ojciec mnie rozpieszczał. Na Pomorzu był taki zwyczaj, że mężczyźni oddawali swoje zarobione pieniądze kobietom, bo to one prowadziły dom. Tata miał swoje zaskórniaki – w tajemnicy przed mamą chodziliśmy na lody.

I jeszcze pamiętam, że siostry z ochronki, do której sama maszerowałam, uznały, że jestem za mała, by w Boże Ciało sypać kwiatki. Miałam charakterek i tak długo ryczałam, aż mama musiała mi przez noc uszyć sukienkę, taką krakowską. I siostra zakonna szła za mną w procesji, żebym nie zrobiła jakiegoś głupstwa, ale kwiatki sypałam. W przeddzień poszliśmy z tatą na łąkę nad Wisłą i razem zrywaliśmy kwiatki. Duży mężczyzna skubał kwiatuszki do mojego koszyczka.

**Piękne obrazy – można nimi sycić wspomnienia.**

Tym bardziej że rodziców miałam krótko. Mama zmarła, gdy miałam 16 lat, długo chorowała. Byłam wtedy w internacie, chodziłam do Szkoły Zdobienia Szkła, w Polanicy, gdzie się przeprowadziłyśmy w roku 1947. To była szkoła zawodowa, ale uczono porządnie.

Nie uprawiałam wyuczonego zawodu, bo mam kłopoty z rysunkiem – kreska prosta to dla mnie niedostępna tajemnica. Na to wyobraźni nie mam, ale na dźwięk mam. Kiedy dostaję białą kartkę papieru i ołówek, to nie umiem nic wyczarować. A dźwięku mogę nie mieć, ale potrafię go sobie wyobrazić.

**Jakie było towarzystwo w tej szkole?**

Dziwna szkoła – miałam kolegów powstańców warszawskich, byłam jedną z młodszych uczennic. Pamiętam dobrze Tadeusza – walczył w batalionie Parasol. Zresztą mówiliśmy na niego „Parasol". Był wysoki. ↦

MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA GAZETA

↦ Języka rosyjskiego uczyła mnie Ewa Kurecka, „akówka", zesłana na Syberię. Tam nabawiła się gruźlicy, przywieźli ją do Polski na noszach w nadziei, że ona tego nie przeżyje, lecz ładnie będzie wyglądało: Polka wróciła do Polski. Ale ona zawzięła się, mimo gruźlicy kości. Jakim cudem wyżyła – tego nikt nie wie. Była moją wychowawczynią w internacie, miała ogromny wpływ na moje wychowanie, imponowała mi jako człowiek, była patriotką, matkowała mi po śmierci mamy. Ona i ci parasolowcy śpiewali wtedy wszystkie piosenki powstańcze. Gdy potem, w 1951 r., przyszłam do Mazowsza i zapytano mnie, jakie znam piosenki, a zaczęłam śpiewać „zakazane piosenki", to koledzy mnie uciszali: „Tego nie śpiewaj, nie wolno!". Z czasów szkolnych znałam „Pałacyk Michla, Żytnia, Wola". Nie wiedziałam, co to „Michla", nie mogłam sobie tego wyobrazić i śpiewałam „Mila". „Żytnia" to było dla mnie coś od słowa „żyto". „Wola" też mi się nie kojarzyło – nikt specjalnie tego nie tłumaczył.

**Tę piosenkę napisał w sierpniu 1944 r. Józef Szczepański, pseudonim „Ziutek". 1 września został ciężko ranny w czasie osłaniania ewakuacji oddziałów powstańczych ze Starego Miasta. Przeniesiono go kanałami do Śródmieścia, do szpitala powstańczego, w którym zmarł 10 września.**

Mój pierwszy mąż – Stanisław Santor, skrzypek, w pierwszych dniach powstania zachorował na czerwonkę i całe dnie spędzał bez leków i bez nadziei na wyzdrowienie w mieszkaniu przy ul. Złotej. Gdy odzyskał nieco sił, zakopywał ciała powstańców na warszawskich podwórkach. Więc czynnie w powstaniu udziału nie brał, ale walczyło jego rodzeństwo. Siostra Mira Santor, pseudonim „Maria" – łączniczka Armii Krajowej, i 12 letni brat – Jasio. Jasio to było żywe srebro, wszędzie był z powstańcami – roznosił, przynosił, zanosił. Raz Jasio usiadł na czołgu, który powstańcy zdobyli na Starym Mieście. Mira biegła w jego stronę krzycząc: „Jasiu, mama cię woła!". I w tym momencie nastąpił wybuch – impet rzucił Mirą w zaułek. Tylko dlatego się uratowała. Bo Jaś zginął.

Choć nie byłam w powstaniu, zawsze byłam z nim duchowo związana.

**Tylko że w Polsce stalinowskiej to był temat, za który można było trafić do więzienia.**

Żeby tylko za powstanie! Kiedyś do szkoły przyszedł młody człowiek w oficerkach, ze szpicrutą. Duża przerwa, lato, i ja, 16-latka, jestem wezwana na dywanik. Zobaczyłam roztrzęsionego dyrektora – to był anioł, ale strachliwy. Poszło o korespondencję.

Z koleżanką, z którą chodziłam do szkoły powszechnej w Solcu, a potem ona wyprowadziła się do Gdyni, ja do Polanicy, pisywałyśmy do siebie listy. W jednym napisałam, by nie jadła pomidorów, bo wszyscy mówią, że one są szkodliwe i od tego się choruje. Drobiazg, prawda? Ale wtedy nawet korespondencja uczniów była sprawdzana. Ten pan pytał, czy znam dziewczynę o takim nazwisku, a ja w ogóle nie rozumiałam, w czym rzecz. Chodził tam i z powrotem po gabinecie dyrektora, widziałam, że ma kaburę, a w niej pistolet. Krzyczał i krzyczał. Gdy poszedł, pierwsze co zrobiłam, to powiedziałam o wszystkim Ewie „akówce". Ona na to: „Nigdy o tym nikomu nie mów".

ZOFIA NASIEROWSKA / REPORTER

*Irena Santor, 1978 r.*

**W Mazowszu panował podobny klimat? Ich założyciele – Tadeusz Sygietyński, kompozytor zafascynowany folklorem, oraz Mira Zimińska-Sygietyńska, aktorka przedwojennej sceny, w ruinach bombardowanej Warszawy przyrzekli sobie, że jeśli przeżyją wojnę, założą zespół czerpiący z bogactwa narodowych tańców, piosenek i przyśpiewek.**

Mazowsze to był jeszcze dziwniejszy świat, jak z bajki. Mogliśmy w nim ukończyć szkołę średnią muzyczną, doprowadzeni byliśmy do matury. Dzieci z małych miasteczek i ze wsi pod wodzą Tadeusza Sygietyńskiego. To był wybitny muzyk,

wspaniały człowiek, prawdziwy patriota, pan wielkiej kultury. Miał zostać lekarzem, ale w końcu nie podszedł do egzaminów końcowych, na szczęście wybrał muzykę.

Wywierał na nas ogromny wpływ, uwielbialiśmy go, trochę baliśmy się i zabiegaliśmy wszelkimi siłami, by nas tylko z Mazowsza nie wyrzucił. Kiedy ktoś coś przeskrobał, to mówił: „Idź do pani Marii po bilet do domu". Potem, jak ten delikwent z biletem na dworcu stawał w kolejce, by wrócić do domu, to on pojawiał się niczym duch i mówił: „A dokąd to panienka?". „No bo pan dyrektor...". „Co pan dyrektor? Ja? O ile pamiętam, to ty masz w tej chwili matematykę, tak? To co tu robisz?". I kara była za to, że ktoś się wyrwał z matematyki.

**Uhm.**

Wiem, wiem – różnie o tym można myśleć, ale w sumie było to takie ojcowskie. On potrafił do nas przyjść w nocy, by zobaczyć, czy śpimy. Mieszkaliśmy w internacie, a państwo Sygietyńscy obok, w białym domku w Karolinie. Jak ktoś chory leżał w izolatce, to dyrektor sprawdzał gorączkę i przynosił herbatę. Sygietyński wpoił mi miłość do muzyki ludowej.

**A Mira Zimińska?**

Prawdziwa artystka przedwojenna. Jeszcze dziennikarka – ze skamandrytami się wodziła i pisała cięte felietony.

To jej zostało – do śmierci język miała ostry. Gdy trzeba było pójść i utorować drogę, by ministerstwa pozwalały zaistnieć Mazowszu, to ona potrafiła powiedzieć ministrowi, który mówił głupstwa: „A pan jest głupi". I wychodziła. Nic nie można było jej zrobić, bo artystka. W ten sposób pomagała Sygietyńskiemu – bez niej on by Mazowsza nie udźwignął. Jej wielką zasługą było też to, że jako artystka przedwojenna doceniała kostium, dawniej się mówiło: „kieckę".

W zdobywaniu tych autentycznych kiecek ludowych pomagała babcia Wojtka Młynarskiego, pani Modzelewska, etnograf. Pani Modzelewska wyglądała jak wróżka z Disneya – korpulentna, miła, grzeczna. Gdy jechała na wieś, to wyciągała od kobiet z kufrów znakomite rzeczy. Bo jak przyjeżdżała Zimińska i pytała: „Czy macie, kobieto...", to one nic nie miały. A pani Modzelewska przywoziła cały stos. Zimińska niczego w kieckach nie zmieniała, dbała tylko o to, by każda z nas wyglądała jak księżniczka. Buty miały być identyczne, a kiecka jak kostium teatralny – dobrze osadzona w talii, cyrkiel równiutki. Kłóciły się o to Zimińska z Modzelewską.

**Kłóciły się?**

Kłóciły. O detale – ale one były kluczowe.

Np. w prawdziwym kostiumie było spoiwo przy kołnierzyku zarówno męskim, jak i żeńskim. Chodziło o kokardkę, tyle że one były różnej wielkości. Według Miry kokardka musiała być mała i każda tej samej wielkości, a pani Modzelewska uważała, że powinna być większa i różnoraka. To działo się na naszych oczach. Ale rację miała Mira. Gdyby stał chór i wszystkie osoby miały różne kokardki, to nikt z widowni nie zobaczyłby kostiumu.

**Ducha przedwojennej Polski musieli wnieść do Mazowsza Sygietyński z Zimińską.**

I jeszcze nas uczyli historii. Oczywiście nie takiej, jaką by chcieli, bo o powstaniu głośno nie wolno było mówić. Ale wszelkie podteksty fruwały w powietrzu – swoje wiedzieliśmy.

> Może powinnam być astronomem albo biologiem? Byłoby **poważniej** i **pożyteczniej**. A takie po prostu śpiewanie piosenek – co to w ogóle jest?

Z Mazowsza odeszłam po śmierci Sygietyńskiego – bo to już nie było to samo Mazowsze. Zimińska oczywiście prowadziła zespół według wskazań Sygietyńskiego, ale atmosfera się zepsuła. Zimińska przecież z wykształcenia nie była muzykiem, tylko aktorką, dla której priorytetem było, aby pięknie wszystko wyglądało, podobało się, było popularne i efektowne.

Wtedy zaczęłam solową pracę estradową.

**Tak od razu?**

A gdzie tam! Byłam zawieszona w pustce, nie wiedziałam, co będę robić. Mój pierwszy mąż pracował w radiu, w orkiestrze pod kierownictwem Stefana Rachonia. Powiedział mu kiedyś, że żona odeszła z Mazowsza. Rachoń: „Panie Stanisławie, niech pan ją przyprowadzi do radia, zobaczymy, czego ją w tym Mazowszu nauczyli".

Dali mi taśmę przygotowaną do nagrania dla Sławy Przybylskiej, która wyjechała wtedy na jakiś festiwal. I o siódmej rano, kiedy jeszcze nie zebrała się orkiestra, zaśpiewałam piosenkę z przedwojennego filmu „Wrzos".

Rachoń z tym nagraniem poszedł do Szpilmana, dał mu to do przesłuchania, a ten pyta: „Kto to jest? Nie znam tego głosu". Bo Władysław Szpilman znał wszystkie głosy, to był naprawdę wielki muzyk. Gdy dowiedział się, że jestem z Mazowsza, powiedział: „Wiesz, Stefan, ona niewiele umie, ale niech się uczy".

**A zanim do tego doszło, Szpilman dał Pani do zaśpiewania „Walc Embarras".**

Kiedy pozwolił mi nagrywać z mniejszymi i większymi zespołami oraz orkiestrą symfoniczną, zaczęłam śpiewać zupełnie inną muzykę, o której w Mazowszu niewiele wiedziałam. Ale mogłam terminować. Dopiero po latach zrozumiałam, jakiego Pana Boga za nogi złapałam, którego pamięci się teraz kłaniam.

Radio było wtedy producentem piosenek, cały repertuar szedł na antenę. Jedno nagranie wychodziło mi gorzej, drugie lepiej; zdarzały mi się rzeczy może mniej ciekawe, nie od razu wielkie, ważne i nadzwyczajne. Śpiewałam naiwniutko, prościutko. Miałam dobry słuch, niezły głos i uczyłam się.

Wtedy cenzorem dla wszystkich wykonawców była publiczność. Do radia przychodziły tony listów, natychmiast było to komentowane – ta śpiewa dobrze, a ta gorzej. To z anteny ściągamy, to zostawiamy.

**A kiedy Pani poczuła, że to Pani śpiewanie naiwne już nie jest?**

Tu nie ma daty, wszystko działo się pomalutku. Po tym pierwszym, próbnym nagraniu, zwróciłam się do aktorki Basi Fijewskiej, by mi powiedziała, jak śpiewać cywilny tekst.

**Cywilny?**

Tak go nazwałam. Orientowałam się w śpiewie ludowym, gdzie moja prawda łatwa była do wyrażenia; to umiałam. Ale gorzej było właśnie z piosenką cywilną.

Basia mówi: „Kochana, widzisz, tu masz piosenkę »Maleńki znak«. Przeczytaj ją". Zaczynam czytać i własnego głosu nie poznaję, kompletnie nie idzie mi recytacja. ↦

MARIAN SOKOŁOWSKI / PAP

*Irena Santor, Wrocław, 1967 r.*

↦ Do tekstu potrzebna jest mi muzyka, wiersza bez niej nie przeczytam. To były dla mnie himalaje trudności, które musiałam pokonywać. W tamtym czasie pracowałam jeszcze w Teatrze Syrena, m.in. z Kwiatkowską, Sempolińskim, Janowską, Górską, Brusikiewiczem. Stałam za kulisami i nie mogłam się ich nasłuchać – jak oni to robią, że każdego dnia tę samą piosenkę wykonują troszeczkę inaczej? To były moje uniwersytety.

A jeszcze wcześniej, zanim trafiłam do Syreny, terminowałam w Ateneum, gdzie Basia Fijewska wystawiała „Kram z piosenkami". Śpiewałam tam w chórku.

**Jak to Pani wspomina?**

Z czułością i rozrzewnieniem. I pierwsze moje wrażenia, kiedy słuchałam aktorów śpiewających, były: „Brrr". Myślałam: „Dlaczego oni tak trochę fałszują? Ale dlaczego to mi się tak podoba?".

**No, dlaczego?**

Bo interpretowali. Ich słowo nabierało wagi niezależnie od muzyki – dzisiaj w ten sposób mówili, jutro to samo, ale już inaczej. Hanka Skarżanka, wielka aktorka, poza wszystkim fantastyczna kobita, taka do tańca i do różańca, w „Kramie" śpiewała młodopolskiego „Walczyka katarynkowego". Gdy była w formie, było to drapieżne i krwiste jak befsztyk, a jak jej się nie chciało czy była zmęczona, to mówiła: „Irenko, słuchaj dziecko, tak się źle czuję. Zaśpiewaj tego walczyka za mnie, tak cię proszę, tak cię proszę...". Śpiewałam, oczywiście. Ale w moim wykonaniu to był inny walczyk, bez tego mięsa.

**Ale zaśpiewany czysto!**

Ona prosiła mnie o to zastępstwo po koleżeńsku, wiedziała, że do Ateneum przyszłam się uczyć. We mnie była wtedy jakaś powściągliwość, wydawało mi się, że nie wolno się tak otwierać, pokazywać do końca swoich uczuć. Ale interpretacja Hanki Skarżanki bardzo mnie frapowała. I olśnienie – przecież tekst, który śpiewam, jest tylko materiałem do interpretacji. Na tym polega kunszt zawodowca, by stwo-

rzyć magię, złudzenie, że to, co robisz, jest prawdą o tobie.

Moi koledzy dokuczali mi. Mówili, że śpiewam hermetycznie, bez wyrazu, właśnie za czysto. I musiałam się trochę od czystości odzwyczaić. Długo uczyłam się wyrażania siebie w piosence.

**Ale już w 1961 r. na festiwalu w Sopocie ,,Walc Embarras" i „Walczyk na cztery ręce" tak znakomicie Pani zinterpretowała, że dostała pierwszą nagrodę.**

Przed występem miałam śmiertelną tremę. Działo się to w hali stoczni, której już dziś nie ma. Ławy, na nich publiczność, dwie orkiestry na scenie, przejścia brak, wszystko duszne, techniczne warunki strasznie. Nie wiem, jakim cudem wyszłam na scenę i zaśpiewałam.

**Pięć lat później wygrywa Pani Opole piosenką „Powrócisz tu". Bardzo lubię pierwszą zwrotkę: „Gdy los cię rzuci gdzieś w daleki świat, / Gdy zgubisz szczęście swe i poznasz życia smak, / / Zatęsknisz do rodzinnych stron / / I wrócisz tu, wrócisz, gdzie twój dom".**

A wie pani, że ja jej nie chciałam śpiewać? Uważałam, że jest dla mnie za ostra. Przyszedł kompozytor Piotr Figiel i zagrał mi ją. Mówię: „Daj spokój, nie umiem tak śpiewać". A on na to: „To twoje frazowanie było nudne jak flaki z olejem, masz śpiewać krótką frazę". „Ale jak ja mogę krótko śpiewać?" – myślę, ale też wiem, że to „krótko" jest ważną wskazówką. Poszłam na próbę. I jak orkiestra zagrała wstęp, to myślę sobie: „Na pohybel, wszystko jedno, idę na śmierć, na całopalenie".

**A taka Pani ukochana piosenka ze wszystkich, które Pani śpiewała?**

Nie umiem powiedzieć, że jest ta jedna dla mnie najpiękniejsza. Każdą piosenkę mam śpiewać najlepiej, jak umiem, bez względu na to, jak się dziś czuję i co myślę. A ta najpiękniejsza przyjdzie jutro.

Ta dyscyplina i wstrzemięźliwość mogą być bardzo pomocne w różnych trudnych sytuacjach. Człowiekowi jest ciężko, ale ma wykonać pracę. Trzeba spionizować się, zdystansować od własnych cierpień...

**Ale pasję to trzeba mieć w Pani zawodzie.**

Może powinnam być astronomem albo biologiem? Byłoby poważniej i pożyteczniej. A takie po prostu śpiewanie piosenek – co to w ogóle jest?

**WOJCIECH MŁYNARSKI**

## *Starość to nie jest wiek*

*Starość to nie jest wiek*
*Czasem nie palę światła*
*I w zmierzchu patrzę szarość*
*I wraca myśl niełatwa:*
*„Odpowiedz – czym jest starość?"*
*Trudne pytanie, fakt*
*Odpowiedź zaś brzmi tak...*

*Kolejny wiosenny śnieg*
*Do morza popłynął Wisłą*
*Starość to nie jest wiek*
*Starość to stan umysłu*
*Kolejny misterny ścieg*
*Drzewom korony pozmieniał*
*Starość to nie jest wiek*
*Starość to punkt widzenia*

*A życie jest tak ciekawe*
*I taką treść ma i formę*
*I umie być tak jaskrawe*
*Tak piękne, tak niepokorne*
*Że każdym z życia kolorów*
*Zachwycam się od początku*
*I dokonuję wyboru*
*Wybieram coś na pamiątkę*

*Czy jabłoń była słodsza*
*Ptak leciał bardziej szparko*
*Kiedy ja byłam młodsza*
*I gdy nosiłam warkocz?*
*Może to prawda, lecz*
*Jest jeszcze inna rzecz...*

*Zielony wiatr z nieba zbiegł*
*Zielonym zaśpiewał listkom*
*Starość to nie jest wiek*
*To zimna myśl, że wiesz wszystko*
*Otoczył blask chmurki brzeg*
*I za nią wyruszył w pościg*
*Starość to nie jest wiek*
*To długie dni bez radości*

*A ja swe szanse oceniam*
*Błyszczy w pasjansie król karo*
*I myśli stan, punkt widzenia*
*U mnie nie zmienia się w starość*
*Bo ja wśród barwnych różności*
*W życiu jak w sklepie za szybą*
*Umiem nie wybrać starości*
*A przecież starość to wybór* ©

Pocieszam się, że Julian Tuwim napisał dla Ordonówny: „Śpiewam ludziom piosenki na pocieszenie". Usprawiedliwiam swoje śpiewanie słowami Tuwima.

**Trudno jednak mi uwierzyć, że Pani nie ma ulubionej piosenki.**

No dobrze, powiem pani. Cztery lata temu poprosiłam Wojtka Młynarskiego, by napisał tekst o starości, wówczas nie miałam pojęcia, że jest ciężko chory. On zdumiony zapytał: „Dlaczego?". Ja: „Bo ty jeden mnie tak świetnie znasz, a chciałabym, by ta piosenka była też o mojej starości".

Przecież wszyscy wiemy, że ona nie jest cudowna – zaczynając od emerytur, przez NFZ, kończąc na tym, że nikt się specjalnie nami nie opiekuje. Przeżyliście swoje, a teraz dziękujemy państwu, do widzenia, było miło...

I Wojtek napisał „Starość to nie jest wiek". Może „Tygodnik" wydrukowałby ten tekst obok naszej rozmowy?

**Pewnie, że wydrukuje. „A przecież starość to wybór" – głosi jeden z wersów tej piosenki.**

Starość nie może być bezczynna. Mam przyjaciółkę, którą wiele rzeczy boli, a ona mówi: „Biorę jedną pastylkę, drugą, trzecią i idę. Muszę się wyrwać, by się temu nie dać". Przychodzi pewien moment bezwzględny, w którym trzeba się pożegnać ze światem, i na to nie ma rady. Ale dopóki jeszcze to się nie dzieje, to zobaczmy, jak wokół intensywne jest życie.

Niestety, ludzie starzy rezygnują z wielu swoich możliwości. Znajdują na to tysiące wymówek.

**Nie mają siły, a ciało odmawia posłuszeństwa.**

Mam coraz więcej zmarszczek, jestem coraz mniej sprawna – dawniej przeskakiwałam tu i tam, teraz muszę odpoczywać. Ale kiedy wchodzę na scenę, to dostaję takiego kopa, bo nie mogę pokazać nikomu, że mnie boli. Jak ta moja przyjaciółka.

Do życia jestem przywiązana jak zwierzę, na życie jestem żarłoczna.

Parę razy byłam ciężko chora. Rak sprzed nastu lat to nie jedyna sprawa. Ale za każdym razem miałam ogromną wolę wydostania się z matni. Najchętniej to bym żyła 120 lat, ale tylko w błysku umysłu. ©

Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

**IRENA SANTOR** *(ur. 1934) jest piosenkarką.*

# REJS DO RAJU

Kiedyś nieuniknione były tylko śmierć i podatki.
Dziś elity finansowe globu jeszcze nie potrafią kupić sobie nieśmiertelności,
za to płacenie podatków scedowały na maluczkich.

MAREK RABIJ

Witamy na pokładzie. Proszę tylko uważać na palmę pośrodku hallu. Tak – jest prawdziwa. Wszyscy nowi goście o to pytają. Do Państwa dyspozycji oddaliśmy 146 luksusowych kajut. A gdybyście szukali czegoś większego, przygotowaliśmy też 19 apartamentów wykończonych w standardzie, przy którym pierwsza klasa na Titanicu prezentuje się jak wiejska gospoda.

Sześć restauracji przez całą dobę serwuje dania kuchni wszystkich kontynentów. Na zakupy zapraszamy do pokładowego centrum handlowego. Jest tam także bar, klub fitness oraz kasyno, a jeśli zgnuśniejecie przy ruletce, proponujemy partię tenisa na pełnowymiarowym korcie. Tak. Basen również jest. Miałoby go zabraknąć na pokładzie 196-metrowego statku, na którym zmieściło się nawet pole do minigolfa i szpital?

YA BRESSE / EAST NEWS

O ceny proszę nie pytać. Ostatni z apartamentów sprzedaliśmy w 2006 r. Wiemy jednak, że kilka z nich można aktualnie odkupić od właścicieli w cenie od 6 do 10 mln dolarów. Gdybyście byli zainteresowani, doliczcie do tej kwoty kilkaset tysięcy dolarów rocznie za wyżywienie, paliwo, opłaty portowe i inne koszty utrzymania tej wyjątkowej jednostki, na pokładzie której możecie zamieszkać nawet na stałe.

Jeśli wolicie dołączać do nas na krócej, wystarczy sprawdzić w rozkładzie rejsu miejsce naszego najbliższego postoju. I przypominamy, że trasę oraz czas pobytu w poszczególnych portach ustalamy co jakiś czas w głosowaniach, w których mogą uczestniczyć wszyscy klienci. W zeszłym roku odwiedziliśmy ponad setkę portów w 30 krajach. W 2012 r. staliśmy kilka dni na kotwicy daleko za kołem podbiegunowym. W grę naprawdę wchodzi każda lokalizacja.

Bo mowa przecież o jednostce MS The World, która w zamyśle twórcy, Knuta Klostera, ma być czymś w rodzaju transgranicznej Arki Noego dla multimilionerów...

### Kapitał żegluje po świecie

Zwodowany 17 lat temu, MS The World zbudowała na zlecenie firmy z Florydy stocznia ze szwedzkiej Landskrony. Stamtąd przetransportowano go do Norwegii, gdzie bliźniaczy zakład w Rissie zadbał o stosowne wyposażenie.

Na co dzień statek pływa pod banderą Barbadosu – państewka położonego na Małych Antylach, archipelagu wysp na Atlantyku – co każdego stałego mieszkańca jednostki czyni automatycznie rezydentem tego raju podatkowego.

Multimilionerzy, którzy kupili sobie na nim kajuty, pochodzą z 19 krajów. Trudno o lepszy symbol tego, czym stała się współczesna gospodarka, w której kapitał również żegluje bez przeszkód po całym świecie, w poszukiwaniu jak najwyższej stopy zwrotu. Dziś inwestujemy w mongolskie kopalnie miedzi, jutro gramy na wzrost lub spadek cen tajlandzkiego ryżu, pojutrze kupujemy akcje amerykańskiego producenta dronów, a za tydzień – jednostki francuskiego funduszu, obstawiającego rosnące zainteresowanie zdrową żywnością.

Waluta? W zglobalizowanym świecie państwa nadal cieszą się monopolem na emisję monet i banknotów. Problem w tym, że dolar czy złoty w obiegu rynkowym coraz rzadziej mają poczciwy awers i rewers z godłem kraju emitenta, a coraz częściej przybierają cyfrową formę porcji danych, której państwowa afiliacja jest właściwie zbędna.

Przy olbrzymiej nadpłynności rynku kapitałowego, który rokrocznie dokonuje transakcji wartych jakieś 12 razy więcej od PKB całego świata, zamiana praktycznie dowolnej sumy dolarów czy złotych w mongolskie tugriki, bangladeskie taka czy kolumbijskie peso jest tylko kwestią kilku kliknięć w komputerze. W kontekście rosnącego zainteresowania kryptowalutami, na które zamieniono do tej pory równowartość przeszło 500 mld dolarów, nawet przydatność państwa w roli gwaranta stabilności pieniądza staje się dyskusyjna.

Skoro kapitał świetnie radzi sobie bez pomocy państwa i bez narodowej przynależności, to nie mogą spoczywać na nim również tak archaiczne powinności jak podatki...

### Ucieczka do Edenu

Absurdalne? Jeśli wierzyć socjologom, właściciele fortun wyhodowanych na globalizacji już od jakiegoś czasu uznają ten pogląd za jeden z filarów wolnego rynku.

„Trzymanie pieniędzy w granicach własnego państwa (...) dotyczy dziś tylko tych, którzy mają ich niedużo i nadal płacą podatki. W 2007 r. jedna trzecia spośród stu największych brytyjskich firm nie zapłaciła w kraju ani funta podatku, mimo że wcześniejszy rok stał pod znakiem boomu gospodarczego" – pisał cztery lata temu w głośnej książce „Offshoring" John Urry, brytyjski socjolog badający procesy globalizacyjne.

John Urry koncentrował się w swych rozważaniach na korporacjach, na które przepisy giełdowe nakładają obowiązki informacyjne i czynią łatwiejszymi do prześwietlenia. Jednak socjolog zdawał sobie sprawę, że problem nie może dotyczyć jedynie firm.

Dziś miałby już pewność. Królowa Elżbieta II, prezydent Kolumbii Juan Manuel Santos, piosenkarka Madonna czy lider zespołu U2 Bono – to tylko kilka spośród 127 osobistości, których nazwiska pojawiły się niedawno w tzw. Paradise Papers, kolejnym wielkim wycieku danych o klientach rajów podatkowych.

Wiosną 2016 r. skandal wokół podobnego wycieku informacji – wtedy nazwanego Panama Papers (gdyż chodziło o klientów pewnej firmy świadczącej usługi właśnie z Panamy) – ujawnił m.in. brudy kuchni finansowej największej gwiazdy FC Barcelona Lionela Messiego, ↦

↦ słynnego reżysera Pedra Almodóvara, znanego brytyjskiego producenta telewizyjnego Simona Cowella oraz żony sir Seana Connery'ego, Micheline Roquebrune.

Wśród klientów panamskiej kancelarii pojawiły się wtedy także nazwiska współzałożyciela TVN Mariusza Waltera, biznesmena Marka Profusa oraz byłego polityka Platformy Obywatelskiej Pawła Piskorskiego. Każdy z nich tłumaczył się identycznie: chodziło o oszczędności podatkowe w granicach legalności wyznaczonych przez polskie prawo.

– I niestety w wielu takich postępowaniach prokuraturze pozostaje wziąć tego typu zapewnienia za dobrą monetę – uśmiecha się prof. Dominik Gajewski, były doradca Komisji Europejskiej do spraw przeciwdziałania międzynarodowemu unikaniu opodatkowania. – Ucieczkę do rajów podatkowych zbyt długo traktowano jako nieuchronny efekt uboczny swobody gospodarczej. W rezultacie wiele krajów, zwłaszcza rozwijających się, nie radzi sobie z walką z tym procederem – dodaje profesor.

### Podatkowe otrzeźwienie

W czerwcu 2017 r. ponad 60 krajów świata przyjęło konwencję, która umożliwi harmonizację międzynarodowych klauzul o unikaniu podwójnego opodatkowania bez konieczności renegocjacji i ratyfikacji każdej z nich oddzielnie. Dzięki temu poszczególne kraje będą mogły w swoich przepisach podatkowych usunąć luki, na które szczególnie skarżą się partnerzy.

Wcześniej, w lipcu 2016 r., weszła w życie klauzula, która pozwala naszej skarbówce zdecydować, czy operacje księgowe podjęte przez podatnika nie służyły wyłącznie uniknięciu zapłaty podatku. Polski fiskus może dzięki niej dobrać się np. do tego, co podatnikowi wypracowała spółka zagraniczna działająca w kraju z zerową stawką podatku dochodowego – o ile skarbówka udowodni, że zagraniczna spółka powstała tylko po to, aby uciec przed podatkiem. Przedsiębiorcy oczywiście alarmują, że małpa, jaką jest rzekomo fiskus, dostanie w ten sposób do ręki brzytwę uznaniowości. Tylko czy w grę wchodzi coś innego? Czy problem da się rozwiązać bez sięgania po drakońskie środki?

Bank Światowy szacuje, że suma depozytów zgromadzonych we wszystkich rajach podatkowych wzrosła z 11 mld dolarów w 1968 r. do ponad 21 bln dolarów pod koniec 2010 r. Budżety wszystkich krajów świata tracą przez to rocznie około 200–250 mld dolarów niezapłaconych podatków.

## Czym jest raj podatkowy?

**Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju wskazała w 1998 r. cztery kryteria do uznania danej jurysdykcji za raj podatkowy:**

- brak podatku dochodowego lub podatek o minimalnej stawce;
- istnienie prawnych lub administracyjnych praktyk uniemożliwiających skuteczną wymianę informacji dla celów podatkowych z innymi krajami;
- wysoki poziom uznaniowości przepisów;
- brak wymogu prowadzenia działalności na terytorium raju podatkowego przy rejestracji firmy.

Z globalnej perspektywy rachunek wciąż się zgadza: straty wydają się małe w porównaniu z przychodami zglobalizowanego handlu detalicznego (7,94 bln dolarów), wpływów firm motoryzacyjnych (2,7 bln) czy nawet marnych 694,7 mld dolarów, które w 2016 r. wpłynęły na konta wszystkich producentów elektroniki użytkowej na świecie.

### Który fiskus ile traci

Problem w tym, że to, co w skali globu może jeszcze uchodzić za elastyczność wbudowaną z premedytacją w wolny rynek, z perspektywy poszczególnych krajów coraz częściej wygląda na błąd systemu.

Globalizacja nie jest dla biednych, co dobitnie ukazują dane Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Wynika z nich, że w wyniku optymalizacji podatkowej kraje rozwinięte tracą średnio 0,6 proc. PKB rocznie. Kraje rozwijające się – już niemal 2 proc. PKB.

Jak wypada w tym zestawieniu Polska? Nie wiadomo. Nad Wisłą skarbówka – jak stwierdziła niedawno Najwyższa Izba Kontroli – skoncentrowała się na ściganiu nadużyć VAT-owskich. Na 370 skontrolowanych przez NIK postępowań tylko 13 dotyczyło innych form unikania opodatkowania. Straty z tego tytułu dla budżetu wyniosły 1,3 mld złotych. Ale sami kontrolerzy piszą we wnioskach, że skoro Czesi swoje manko podatkowe oszacowali pięć lat temu na równowartość 8,5 mld zł rocznie, to w Polsce, choćby z racji różnic wielkości obu gospodarek, straty nie mogą być mniejsze.

O tym, że należne polskiemu fiskusowi pieniądze wypływały i nadal wypływają do rajów podatkowych, pośrednio świadczy także relacja podatku CIT płaconego przez firmy do polskiego PKB. Jeszcze w 2007 r. stosunek ten kształtował się na poziomie 2,7 proc., natomiast w 2016 r. spadł do ok. 1,8 proc. Mimo że polska gospodarka rosła wtedy w tempie 2,8 proc., aż 147 tys. podatników CIT wykazało w 2016 r. przed fiskusem straty na łączną kwotę aż 55,4 mld złotych!

Czy aż tyle kosztowały rodzime firmy szybko rosnące koszty pracy, ewentualnie – coraz większe wydatki na badania i rozwój? A może części pieniędzy należy szukać na wyspie Man, na Antylach Holenderskich, Kajmanach, Bermudach lub w którymś z kilkudziesięciu rajów podatkowych rozsianych po całym świecie?

### Podatkowy przemysł

Prom do Saint Helier płynie z angielskiego portu Bournemouth pięć i pół godziny. Z Francji do głównego miasta wyspy Jersey jest raptem 2,5 godziny. Ale to nie położenie – a tym bardziej kapryśny klimat – jest głównym atutem tego niewielkiego terytorium zależnego od Wielkiej Brytanii.

Największe wrażenie na przybyszach robi system podatkowy Jersey: zerowa stawka podatku CIT dla podmiotów zarejestrowanych na wyspie i prowadzących działalność gospodarczą poza nią. Oraz arcyciekawa oferta podatkowa dla zamożnych klientów indywidualnych: 20 proc. od dochodu do 625 tys. funtów rocznie, a powyżej tej sumy – tylko 1 proc. Powtórzmy: jeden! Tymczasem w Londynie dochód w tej samej wysokości opodatkowany zostanie stawką aż 45 proc.!

To właśnie na Jersey – jak wynika z materiałów Paradise Papers – chciała przenieść europejskie operacje księgowe firma Apple po tym, jak pod naciskiem Komisji Europejskiej Irlandia odebrała jej ulgi podatkowe. Od 2003 r. koncern Apple płacił Dublinowi zaledwie 1 proc. podatku dochodowego, w 2014 r. stawka spadła do abstrakcyjnego poziomu 0,005 procenta. Przeciętna firma w Irlandii musiała w tym czasie pogodzić się ze stawką CIT na poziomie 12,5 proc. (co i tak nie jest w Europie stawką wygórowaną).

Tylko w ten sposób w latach 2003-14 amerykański koncern zaoszczędził aż 13 mld euro. Gdy o sprawie zaczęły mówić media, Apple ogłosił, że finansowej przeprowadzki z Irlandii ostatecznie nie będzie. Przy okazji opinia publiczna dowiedziała się jednak, że kancelaria prawna obsługująca giganta z Cupertino przeana-

lizowała system podatkowy kilkudziesięciu rajów i urządziła władzom tych krajów niemal regularny przetarg, zanim ostatecznie wskazała klientowi wyspę Jersey.

Raje podatkowe to dziś potężna i samodzielna gałąź światowej gospodarki, której klientelę stanowią nie tylko duże koncerny, ale też grupa ok. 12-13 mln osób posiadających co najmniej milion dolarów w formie rozmaitych aktywów. To z myślą o nich powstają kancelarie prawne, biura podróży i rozmaite spółki wydmuszki, zajmujące się wyłącznie pośrednictwem w „agresywnej optymalizacji podatkowej" – jak zwykło się nazywać ucieczkę przed podatkami.

Swoistym rekordzistą pod tym względem jest jeden adres w miasteczku Wilmington w amerykańskim raju podatkowym, jakim jest stan Delaware (na wschodnim wybrzeżu USA), pod którym działa – rzecz jasna tylko na papierze – ponad 300 tys. firm.

### Mechanizm optymalizacji

Całą operację trudno sprowadzić do jednego uproszczonego schematu. W zależności od grubości portfela i skłonności do ryzyka klientom szyje się na miarę portfel usług polegający – przykładowo – na założeniu fikcyjnych firm, znalezieniu rzekomych kontrahentów, wyprodukowaniu kosztów itp.

Wszystko to służy przeprowadzeniu łańcucha operacji księgowych, który rozpoczyna oficjalny transfer pieniędzy klienta z konta w ojczystym banku, a kończy przelaniem ich na docelowy rachunek w raju podatkowym, gdzie będą one niewidoczne dla fiskusa. Po drodze kapitał nierzadko okrąża glob nawet kilka razy w szalonej karuzeli fikcyjnych operacji zakupu, sprzedaży, aportu, leasingu i innych trików. Prawnicy zwą to zabawą w „konta i myszkę".

– Proceder opiera się na zręcznym wykorzystywaniu różnic w systemach podatkowych krajów – tłumaczy prof. Gajewski. – Doradcy przygotowujący strategie agresywnej optymalizacji wiedzą nawet, które urzędy skarbowe nie są przygotowane do weryfikacji tak skomplikowanych konstrukcji podatkowych.

Pączkowanie spółek rozsianych po świecie, przez które przepuszcza się dochody, aby uzyskać produkt finalny w postaci zysku wolnego od podatku, jest dziś również codziennością większości międzynarodowych koncernów. Organizacja pozarządowa ActionAid, ścigająca kapitał ukrywający się przed fiskusem, szacuje, że na 100 największych firm notowanych na londyńskiej giełdzie sieć spółek zależnych w krajach uznawanych za raje podatkowe utrzymuje aż 98. I tak, przykładowo, w 2013 r. wielki bank HSBC miał ich 496. Paliwowy gigant BP – 457. Firma ubezpieczeniowa Lloyds – 259. Rekordzistą w tym gronie okazała się nie tak znowu duża agencja reklamowa WPP, która utrzymywała za granicą aż 618 spółek zależnych.

**Suma depozytów** zgromadzonych w rajach podatkowych przekroczyła 20 bln dolarów. Budżety wszystkich krajów świata tracą przez to rocznie około 200–250 mld dolarów niezapłaconych podatków.

### Podatkowa krucjata

Nic dziwnego, że sukcesy w wojnie z rajami podatkowymi na razie sprowadzają się tylko do wygranych bitew, a nie całej kampanii.

Bo co z tego, że administracja prezydenta USA Baracka Obamy w 2009 r. wymusiła ostatecznie na Szwajcarii porzucenie słynnej tamtejszej tajemnicy bankowej, która ułatwiała ukrywanie przed fiskusem miliardów dolarów w tym alpejskim kraju? Na pierwszy rzut oka zmiany zadziałały, bo od 2007 r. – kiedy Waszyngton po raz pierwszy zażądał od Berna pełnej bankowej transparentności – wartość depozytów należących do cudzoziemców spadła w szwajcarskich bankach z 4,1 do 3,2 bln dolarów. Tylko z Credit Suisse i UBS – dwóch wizytówek helweckiej bankowości – klienci z zagranicy wycofali w latach 2011-15 około 75 mld dolarów.

Sukces? Bynajmniej. Szwajcaria zmienia po prostu model optymalizacji. W jednym z kantonów inwestorzy, którzy założą w banku odpowiednio dużą lokatę i kupią nieruchomość, uzyskują oficjalnie hojną ulgę podatkową, do której amerykański fiskus nie może się przyczepić...

Raj podatkowy to dziś bowiem pojęcie bardzo elastyczne. Mieści się w nim zarówno bananowa republika Panamy, jak też Luksemburg. W tym niewielkim państwie – dumnym z tego, że w 1957 r. należało do grona sześciu założycieli Wspólnot Europejskich, poprzedniczki dzisiejszej Unii Europejskiej – swoje siedziby ma 150 banków z 27 krajów, w których sami tylko Amerykanie trzymają 1,25 bln dolarów.

Dalej, rajem podatkowym jest zarówno malutka wysepka Labuan, którą Malezja zmieniła niedawno w międzynarodowe centrum finansowe z 3-procentową stawką podatku od dochodów, jak też szanowana londyńska City, korzystająca z królewskich przywilejów podatkowych nadanych jej kilka wieków temu.

Nawet religia niewiele tu zmienia. W Bahrajnie Koran zabrania wprawdzie lichwy, milczy jednak na temat inżynierii podatkowej, co władcy tego szejkanatu wykorzystali do przekształcenia swego kraju w centrum optymalizacji podatkowej dla świata arabskiego. Protestancka Holandia żyje na co dzień etosem pracowitości i oszczędności, ale nie gardzi podatkowymi trikami, jedynie dla zachowania pozorów przenosi je do swoich terytoriów zamorskich. Dwa lata temu amerykańskie organizacje Citizens for Tax Justice oraz Public Interest Research Group ujawniły, że ojczyzna van Gogha stała się ulubionym rajem podatkowym dla największych firm amerykańskich z listy Fortune 500.

### Rynek nie zna próżni

Do 2011 r. kryteria raju spełniała także Polska. Rodzime przepisy regulujące działanie tzw. spółek komandytowych wprost zapraszały do wyprowadzania dywidendy z akcji zyskownych przedsiębiorstw właśnie przez takie spółki. Lukę załatano, pojawienie się innych jest jednak kwestią czasu.

O walce z rajami podatkowymi politycy chętnie mówią, ale robią niewiele, zdając sobie sprawę ze skali wyzwania. Oraz z tego, że na konkurencji podatkowej między państwami można zyskać punkty polityczne.

– Obawiam się, że po Brexicie liderem podatkowego dumpingu w Europie stanie się Wielka Brytania – mówi prof. Dominik Gajewski. – W kuluarach negocjacji Londynu z Brukselą raz za razem pojawia się informacja, że po wyjściu z Unii Wielka Brytania obniży stawkę CIT do 7,5 proc., żeby zniechęcić wielkie korporacje finansowe do przenosin z Wysp do Europy.

Jak to mówią w biznesie, rynek nie znosi próżni. ©℗

MAREK RABIJ

# Rosja na progu

ANNA ŁABUSZEWSKA

**Po pierwsze – wybory prezydenckie. Po drugie – mistrzostwa świata w piłce nożnej. Program Kremla na 2018 rok jest klarowny i przewidywalny: żadnych zmian czy nowości, tylko sukces.**

Jak najwięcej wiary w geniusz przywódcy, jak najmniej dociekliwości i kreatywności – to hasła na nową sześcioletnią kadencję niezmiennego prezydenta, Władimira Władimirowicza Putina. System ma trwać. Tylko czy dynamiczne wyzwania współczesnego świata nie zmuszą Rosji do przyspieszenia? Czy pogrążający się w marazmie Kreml znajdzie skuteczne recepty? Czy zdoła utrzymać kurs na niezmienność?

### W czwartą rocznicę

Po długich i ciężkich przymiarkach Putin ugiął się pod naporem ludu pracującego miast i wsi – i na początku grudnia zakomunikował, że zgłosi swą kandydaturę w wyborach.

Wybory Putina wyznaczono na dzień 18 marca 2018 r. Data nie jest przypadkowa – to rocznica przyłączenia Krymu do Federacji Rosyjskiej cztery lata temu. Będzie to dodatkowa okazja, aby wyborcy mogli zamanifestować poparcie dla głównego wydarzenia mijającej kadencji Władimira Władimirowicza. Amok „krymnasza" mocno się już jednak wypalił. Czym Putin zamierza wypełnić pustkę swojej polityki? Czy ktoś będzie w stanie podważyć jego absolutną władzę?

Użyte powyżej wyrażenie „wybory Putina" nie jest przejęzyczeniem. Głosowanie ma być wszak plebiscytem poparcia dla jedynego słusznego kandydata, rytualną akceptacją wszechmocy, aktem wiary w omnipotencję przywódcy. „Putin to *constans* rosyjskiej polityki. Toteż z wyborami nie wiążą się nadzieje na zmiany. Potencjalni wyborcy nie oczekują ani wielkich inicjatyw, ani sukcesów. Przejście z trzeciej kadencji w czwartą nie zmienia nic w sytuacji zwykłych obywateli. Alternatywy brak. Jedyne, co może zaproponować Putin, to zachowanie *status quo*, oby tylko nie było gorzej" – tak Andriej Kolesnikow (Carnegie.ru) opisuje stan na trzy miesiące przed wyborami w Rosji.

Wybory to zwykle moment ożywienia w polityce, nowe powiewy, zażarta walka o względy elektoratu. Tymczasem w zabetonowanym pejzażu politycznym putinowskiej Rosji to fasadowy rytuał, mający potwierdzić legitymację lidera. I to się nie zmienia w kolejnych elekcjach Putina.

Także teraz cały zapał sztabu wyborczego ma polegać na zapewnieniu jak największej frekwencji i odpowiednio wysokiego wyniku. W mediach można już dziś przeczytać, jaka będzie pożądana frekwencja (60-70 proc.) i wynik głosowania (65-70 proc. głosów oddanych na Putina). Czeczenia pod rządami Ramzana Kadyrowa prawdopodobnie zapewni tradycyjnie stuprocentowe poparcie. Ale i dla innych regionalnych naczelników właściwe parametry wyborów będą sprawdzianem ich przydatności i sprawności organizacyjnej.

### Masa uwierzytelniająca

Formalnie wybory nie są bezalternatywne: startuje w nich nie tylko Putin, ale również inni kandydaci. Jak i w poprzednich elekcjach, swoich ludzi wystawiają partie koncesjonowanej opozycji: komuniści, Sprawiedliwa Rosja, LDPR Żyrinowskiego. Tę listę uzupełnia tolerowana partia Jabłoko i jej lider Grigorij Jawliński. Każdy z nich zbierze zapewne po kilka procent głosów, uwierzytelni hasło o demokratyczności wyborów i zyska prawo do uzgodnionego istnienia w ramach systemu.

Ci kandydaci niczym nie zaskoczą – ani wyborców, ani Kremla. Wypełnią swoją misję *massa tabulettae*. Władimir Żyrinowski znów może trochę pokrzyczy, kogoś obleje podczas telewizyjnych debat sokiem i tyle. W tym teatrze marionetek, pociąganych za sznurki przez kremlowskich inżynierów dusz, spektakl jest tak nudny, że widzowie zasypiają jeszcze przed podniesieniem kurtyny, nieciekawi odgrywanych ustawek.

W stojącej od lat wodzie potrzeba choćby imitacji świeżego nurtu. Zabiegiem wprowadzającym pewne modyfikacje w scenariusz jest pojawienie się na scenie Kseni Sobczak. Córka byłego protektora Putina, Anatolija Sobczaka, skandalizująca swego czasu celebrytka, dziennikarka i prezenterka telewizyjna, kilka tygodni temu oznajmiła swój zamiar startu. Hasłem jej kampanii jest: „Przeciwko wszystkim". Śmiało i o niczym. Większość obserwatorów uznała Ksenię Sobczak za „projekt Kremla". Jej udział miałby w zamyśle autorów projektu odebrać wyborców potencjalnemu kandydatowi spoza oficjalnej

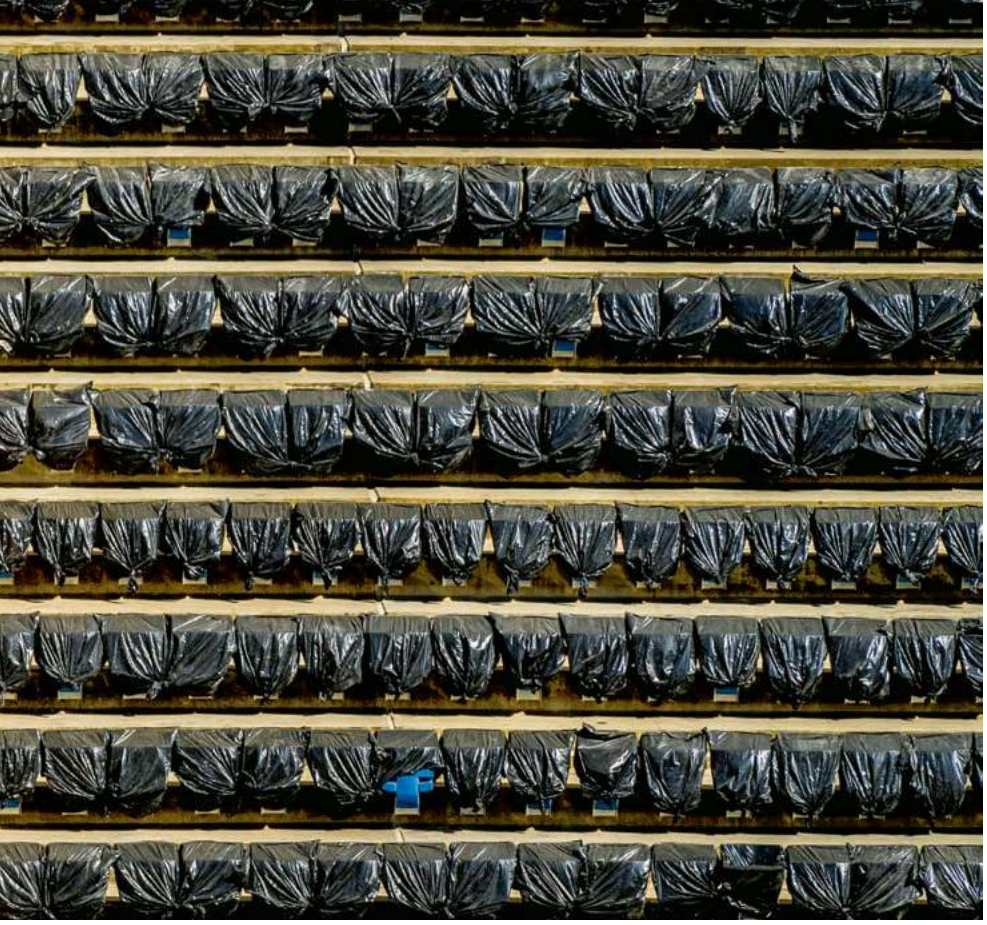

MLADEN ANTONOV / AFP / EAST NEWS

*Przed mundialem: nowy stadion w Rostowie nad Donem, wrzesień 2017 r.*

sceny politycznej – Aleksiejowi Nawalnemu.

### Ciało obce

Nawalny od lat walczy o uwagę Rosjan, prowadząc kampanię antykorupcyjną. Jego Fundacja Walki z Korupcją pokazuje liczne patologie systemu, śledzi nielegalne działania polityków korzystających z „renty korupcyjnej".

Aleksiej Nawalny jest politykiem nowego typu, apelującym do młodego audytorium. Głosi hasła oczyszczenia polityki, a przede wszystkim zapewnienia podmiotowości obywatelowi z jego prawem do zdobyczy socjalnych. Dlatego Nawalny to ciało obce w biurokratycznym układzie, nastawionym na nieodmienne trwanie i ssanie. Jako kandydat miałby prawo do wystąpień w telewizji, czego teraz jest pozbawiony.

Kreml jednak najwyraźniej nie chce pozwolić choćby na takie ryzyko jak dotarcie z przekazem do telewidzów – Nawalny najprawdopodobniej nie zostanie dopuszczony do wyborów. Ciąży na nim wyrok za malwersacje finansowe (wydany w ustawionym procesie), a zatem jest pozbawiony biernego prawa wyborczego.

Aleksiej Nawalny od kilku miesięcy działa jednak tak, jak gdyby ten zakaz nie był ostateczny, i przygotowuje się do startu. Jeździ po kraju, otwiera sztaby wyborcze (choć lokalne władze uprzykrzają mu życie, jak mogą), rozbudza nadzieje na zmiany. Czy to wystarczy? Sondaże dają mu kilka procent w granicach błędu statystycznego.

Ale Nawalny ma coś, czego nie mają inni kandydaci – odwagę i perspektywę. Teraz walczy o to, co będzie po kolejnej kadencji Putina. Jest młody. Znamienne jest, że sam Putin jak ognia unika wymieniania nazwiska Nawalnego. Tak było np. podczas ostatniej wielkiej konferencji prasowej. Nawalny uosabia sprzeciw wobec skorumpowanego putinowskiego systemu, walczy o poszerzenie grona zwolenników (nie popiera go cała antyputinowska opozycja, rozproszona i zajęta własnym lansem). A to poszerzenie nie będzie łatwe: Putina popierają zwolennicy „wiecznotrwania", bez zmian i wstrząsów. A imię ich legion.

### Dziadek narodu

Na wspomnianej konferencji prasowej dziennikarka z Tatarstanu trzymała wielki plakat z napisem „Putin Babaj". Prezydent zapytał żartem, czy to oznacza „Putin, bye, bye", na co otrzymał poważną odpowiedź: „Po tatarsku to słowo oznacza »dziadek«".

Spostrzeżenie na czasie. Bo choć scenariusz wyborów Putina jest znany, a kurs na utrzymanie niezmiennego kursu pewny, to jednak upływ czasu i sytuacja międzynarodowa wymuszają zmiany i dyktują warunki. Jak zauważają rosyjscy politolodzy, Putin nie jest już ojcem narodu, lecz stał się nestorem, patronem, dziadkiem właśnie.

Jednak system nie jest w stanie sprostać problemom, działa siłą bezwładu, a następną fazą będzie przejście na autopilota: siedzący na szczycie piramidy władzy nie jest w stanie kontrolować choćby rywalizujących między sobą grup wpływu – twierdzi Kolesnikow. Tymczasem tort do podziału się kurczy, zachodnie sankcje są mocno dolegliwe, walka o dostęp do *kormuszki* (koryta) będzie coraz bardziej zacięta.

Jaka będzie kampania wyborcza, zapowiadająca najważniejsze trendy kadencji 2018-24? Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że słowem kluczem będzie „łagodność", przynajmniej zadeklarowana. Putin postawi na bliski kontakt z ludem, będzie kreował się na władcę mądrego, stabilnego, pochylonego z troską nad obywatelem (zapowiedź rosyjskiego wariantu programu 500 plus jest zwiastunem innych socjalnych obietnic). Dobrotliwy, pełen miłości człowiek-prezydent, prezydent-człowiek. Kolejny wizerunkowy lifting i kandydat na prezydenta jak nowy. To dotyczy wersji nie tylko na użytek wewnętrzny, ale także na zewnątrz.

Na początku grudnia Putin poleciał do Syrii, gdzie zapowiedział wycofanie większości rosyjskich sił (choć dwie rosyjskie bazy zgodnie z podpisanymi z prezydentem Asadem umowami pozostają) i ogłosił zwycięstwo w syryjskiej wojnie (choć do tego jeszcze daleko). Sygnał był jasny: jestem gołębiem pokoju, niosącym narodom wolność i porządek, ze mną można, a nawet trzeba rozmawiać, głos Rosji w koncercie mocarstw jest warunkiem niezbędnym uregulowania sytuacji konfliktowych. To przesłanie dotyczy także, a może przede wszystkim, sytuacji na Ukrainie.

### Sport na dopingu

Podczas uroczystości otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich w Soczi, na początku 2014 r., nastąpiła chwila konsternacji, gdy nie udał się trik polegający na rozwijaniu się w koła olimpijskie białych śnieżynek. Jedna z nich nie rozwinęła się i symbol olimpiady pozostał kaleki. Symbolika tej organizacyjnej wpadki powróciła teraz, po latach, gdy Międzynarodowy Komitet Olimpijski zdecydował się zareagować na skandal związany z dopingiem.

Po długich badaniach, śledztwie i konsultacjach MKOl ogłosił, że dyskwalifikuje Rosyjski Komitet Olimpijski i nie dopuszcza go do udziału w zimowych igrzyskach w południowokoreańskim Pjongczangu, ↦

↦ które mają się odbyć w lutym 2018 r. Powodem jest afera dopingowa. Ze zdobytych przez rosyjskich sportowców w Soczi medali zakwestionowano i odebrano aż jedenaście. W Pjongczangu mają się odbyć dekoracje olimpijczyków, którym należne medale przyznano po zdyskwalifikowaniu rosyjskich oszustów.

Przed olimpiadą w Soczi eksperci od sportów zimowych plasowali rosyjską kadrę na piątym-szóstym miejscu. Zadziwiające więc było to, że w klasyfikacji medalowej Rosja zajęła pierwszą lokatę. Teraz wiadomo, jak to się stało – realizowany przy współudziale FSB program wspomagania naszpikowanych dopingiem rosyjskich sportowców umożliwił im sięgnięcie po nienależne laury.

Rosyjscy działacze sportowi i politycy gniewnie fukają na MKOl za pozbawianie „zdopingowanych" Rosjan medali olimpijskich; sekretarz prasowy Putina oznajmił, że Rosji nikt nie odbierze zwycięstwa. Zdemaskowani sportowcy natomiast śmieją się MKOl-owi w nos i mówią, że swoich medali nie oddadzą. Nikomu jakoś nie jest przykro, że doszło do grubego przekrętu, nikt za to nie przeprasza. Przykrość delikwenci odczuwają jedynie z powodu odebrania ukradzionych splendorów i zakazu ze strony MKOl.

Po ogłoszeniu decyzji o dyskwalifikacji Rosji nastąpiła krótkotrwała konsternacja – jak wtedy, gdy w Soczi nie rozwinęła się śnieżynka. Reakcja rosyjskich oficjeli była wszakże więcej niż stonowana. Tylko nazajutrz po ogłoszeniu decyzji MKOl odbyła się burzliwa dyskusja w Dumie – wybrańcy narodu dali upust świętemu oburzeniu, wielu wzywało do bojkotu olimpiady, darło patriotyczne pierze, odgrażało się odwetem. Jedna z deputowanych na Twitterze przypomniała w tym kontekście, że Rosja ma broń atomową.

Atom atomem, ale Kreml nie zdecydował się nawet na użycie procy. Głos zabrał sam Putin i łagodnym głosem dziecięcego dentysty oznajmił, że choć Rosyjski Komitet Olimpijski został zdyskwalifikowany, to MKOl pozostawił czystym rosyjskim sportowcom furtkę: mogą pojechać do Pjongczangu i wystąpić pod flagą olimpijską. I niech jadą, bo nie wolno odbierać ludziom szansy na sportowy sukces, na który pracowali latami. Znowu: mąż stanu pokój miłujący.

### Mundial na rany

Sport to w Rosji więcej niż tylko sport – w pojęciu i władz, i dużej części społeczeństwa to jeden z ważnych komponentów składających się na mocarstwowość.

**Sportowy styl życia** Putina od lat stanowi jeden z głównych rysów jego wizerunku. Czy nadal „babaj Putin" jest w stanie sprostać wyzwaniu? Bo zdrowie już nie to.

Zimowe igrzyska w Soczi miały pokazać światu, że Rosja jest otwarta i gościnna, pod przewodem umiłowanego przywódcy zmierza ku świetlanej przyszłości. Rosjanom natomiast miały zademonstrować, że ich przywódca należy do pierwszej światowej ligi politycznej, że siedząc na trybunie honorowej obok najważniejszych liderów jest „swoim chłopem", jednym z nich. Ale z różnych względów ci najważniejsi zbojkotowali olimpiadę w Soczi, a po latach ze sportowego prestiżu zwycięskiej Rosji wyszły wstydliwe pakuły przekrętu.

Nie jest to dobre tło dla mistrzostw świata w piłce nożnej, które mają się odbyć w 2018 r. w Federacji Rosyjskiej. W zamyśle gospodarzy miało to być kolejne świadectwo potęgi Rosji, powód, dla którego reszta świata będzie ją podziwiać, okazja do zbratania się, do poprawy wizerunku nadszarpniętego aneksją Krymu i agresją na wschodnią Ukrainę.

Tymczasem w prasie (głównie angielskiej i niemieckiej) od dawna obecny jest temat bojkotu mistrzostw – bo Krym, bo sankcje, bo bezpieczeństwo. Wreszcie – bo doping. Tak, wedle enuncjacji prasy, również rosyjski futbol nie jest wolny od „dawania w palnik".

FIFA na razie zachowuje daleko posuniętą powściągliwość. Przewodniczący organizacji Gianni Infantino przyjeżdża do Rosji i fotografuje się z Putinem i Witalijem Mutką, eksministrem sportu, obecnie wicepremierem – i nie komentuje rewelacji o dopingu wśród rosyjskich piłkarzy, nie krytykuje też Mutki.

Tymczasem wedle raportu Światowej Agencji Antydopingowej to Mutko był patronem programu dopingu dla rosyjskich sportowców w Soczi. MKOl dożywotnio zakazał mu udziału w igrzyskach. Mimo ciążących na nim zarzutów o wspieranie programu dopingu Mutko nadal zachowuje stanowisko w rządzie. I – co znamienne – wciąż odpowiada za przygotowania do mundialu. Kolejny skandal wisi na włosku.

### Piłowanie „babła"

Podobnie jak o przygotowaniach obiektów olimpijskich w Soczi, wiele pisze się w światowej prasie o budowie obiektów na mundial.

Przed 2014 r. liczono miliony rubli z budżetu, które osiadły na kontach przyjaciół Putina, realizujących lukratywne olimpijskie kontrakty. A już w trakcie igrzysk łamy gazet zdobiły liczne zdjęcia śmiesznych niedoróbek w pokojach olimpijczyków. Krytykowano budowę olimpijskich aren w rezerwatach, wskazywano na wszechobecną inwigilację zawodników oraz kibiców itd.

Z podobnymi zjawiskami mamy do czynienia teraz. Do „piłowania babła" (forsy) z budżetu dochodzą niejasne afery z wykorzystaniem niewolniczej pracy gastarbeiterów z Azji na nowo budowanych arenach czy pokraczne przeróbki stadionów, którym powiększa się trybuny zgodnie z wymogami FIFA.

Podczas zorganizowanego w Moskwie losowania grup mundialu 2018 Putin zapewniał, że Rosja – „piękny i gościnny kraj" – z radością przyjmie kibiców. Czy tak będzie? Nawet gdy reprezentacja gospodarzy zostanie obciążona zarzutami o stosowanie niedozwolonych środków? Nad imprezą jeszcze wiszą znaki zapytania i wcale nie jest powiedziane, że wszystko pójdzie zgodnie z planem Kremla.

### Wszystko jest możliwe

Od lat sportowy styl życia Putina stanowi jeden z głównych rysów jego wizerunku. Czy nadal „babaj Putin" jest w stanie sprostać wyzwaniu? Bo zdrowie już nie to. Na prezentowanych w telewizji migawkach z gospodarskich wizyt prezydenta w zakładach pracy widoczne było, że Putin ma trudności w poruszaniu się, że znowu utyka. Raziło sztucznością zadane przez jednego z uczestników spotkania wazeliniarskie pytanie o dobrą formę fizyczną człowieka, który powłóczy nogą, jednocześnie ze wszystkich sił starając się tę nieudolność zamaskować.

W związku z tym, a może całkiem bez związku, w mediach pojawiły się rozważania, że przez kręgi decyzyjne rozważany jest scenariusz B: Putin rezygnuje i przekazuje insygnia władzy wyznaczonemu następcy. Tylko nie bardzo wiadomo, kiedy miałoby to nastąpić – przed wyborami Putina czy po nich. Ale, wedle słów samego Putina, „w Rosji wszystko jest możliwe". ©

ANNA ŁABUSZEWSKA

NABU

*Funkcjonariusze Narodowego Biura Antykorupcyjnego (NABU) zatrzymują urzędnika podejrzanego o korupcję, grudzień 2016 r.*

# Ukraińska kontrrewolucja

WOJCIECH KONOŃCZUK

**Choć od rewolucji na Majdanie minęły prawie cztery lata, korupcja pozostaje jednym z głównych problemów Ukrainy. Do walki z nią nie ma jednak politycznej woli.**

Kijów, początek czerwca 2014 r. Petro Poroszenko, nowo wybrany prezydent, w wystąpieniu inauguracyjnym mówi z trybuny parlamentarnej, że Ukraina znalazła się w wyjątkowo trudnym momencie dziejowym. Demokratyczna rewolucja obaliła wprawdzie dyktaturę, ale Ukraińcy muszą poradzić sobie z agresją rosyjską oraz zbudować nowe państwo, oparte na wartościach europejskich.

Choć całe przemówienie utrzymane jest już w dostatecznie podniosłym tonie, to w pewnym momencie głos prezydenta jeszcze bardziej nabiera siły. Patrząc na zgromadzonych na sali, Poroszenko woła: „Musimy zniszczyć korupcję!". Przerywają mu burzliwe oklaski. „Potrzebujemy ogólnonarodowego paktu antykorupcyjnego między władzą a narodem. Jego istota jest prosta – urzędnicy nie biorą, ludzie nie dają". Kolejne owacje. Dalej prezydent mówi, że każdy powinien zacząć od siebie, bo inaczej nie uda się podołać kryzysowi państwowości. Po kilku dniach, w kolejnym przemówieniu, Poroszenko nie pozostawia wątpliwości: „Bez walki z korupcją jakikolwiek rozwój państwa zostanie zablokowany".

Początek grudnia 2017 r. Amerykański Departament Stanu wydaje nagłe oświadczenie: „Ostatnie wydarzenia budzą obawy co do zobowiązania Ukrainy w kwestii walki z korupcją. Wyglądają one na działania podważające niezależność instytucji antykorupcyjnych, które USA popierają. (...) Muszą być one wspierane i obronione. (...) Wyeliminowanie korupcji jest kluczowe dla osiągnięcia stabilności, bezpieczeństwa i rozwoju Ukrainy".

Dzień później w podobnym tonie wypowiada się Bruksela, nie pozostawiając wątpliwości, że Unia Europejska nie żartuje: „Walka z korupcją jest kluczowa dla rozwoju stosunków unijno-ukraińskich, od tego zależy także sukces innych reform".

To sytuacja bez precedensu. Po obaleniu reżimu Janukowycza Zachód nie używał dotąd wobec Kijowa tak mocnego języka – aż do teraz. Co tylko dowodzi powagi sprawy. A to jedynie widoczna publicznie część krytyki. Wiadomo, że w trakcie poufnych rozmów telefonicznych na linii Kijów–Waszyngton i Kijów–Bruksela używano już mniej dyplomatycznych słów.

### Korupcja: systemowa i totalna

Aby zrozumieć, co takiego wydarzyło się na Ukrainie w temacie korupcji, niezbędne jest przypomnienie kluczowych faktów i ich szerszego kontekstu.

Elita, która objęła władzę po Rewolucji Godności (jak nazwano Majdan), a której Petro Poroszenko jest najsilniejszym przedstawicielem, doskonale zrozumiała, że w społeczeństwie istnieje ogromne zapotrzebowanie na walkę z korupcją. Od wielu już lat Ukraina znajduje się wśród najbardziej skorumpowanych państw świata. Transparency International w swoim najnowszym rankingu postrzegania korupcji umiejscowiło ją na 131. miejscu wśród 176 badanych krajów – i na najniższym miejscu w Europie. Tuż przed Majdanem sytuacja była jeszcze gorsza: Ukraina zajmowała 144. pozycję, niechlubnie dystansując Rosję.

Niezgoda na rozpowszechnione praktyki korupcyjne była zresztą jedną z przyczyn wybuchu rewolucji. Ukraina nie jest bowiem „po prostu" skorumpowana. Korupcja jest tam systemem, bez którego całe sfery życia gospodarczego, społecznego i politycznego nie mogłyby funkcjonować. Choć w niektórych bytowych przypadkach zjawisko to traktowane jest jako coś oczywistego, to jego konsekwencje są bardzo negatywne. W sferze funkcjonowania państwa korupcja ma wręcz charakter totalny co do skali „wyprowadzania" publicznych pieniędzy przez polityków i urzędników. Rozmiar złodziejstwa przeraża. Nic więc dziwnego, że jest to jedna z przyczyn obecnego stanu państwa ukraińskiego – obok Mołdawii najbiedniejszego w Europie – oraz ważny czynnik wstrzymujący jego rozwój i dalszą demokratyzację.

### Instytucje i intencje

Żądania społeczne w kwestii walki z korupcją spotkały się z oczekiwaniami instytucji międzynarodowych, które od utworzenia agencji antykorupcyjnych uzależniły swoje wsparcie finansowe dla Ukrainy oraz – w przypadku Unii – także zniesienie reżimu wizowego.

Rezultatem tego było przyjęcie przez parlament w październiku 2014 r. pakietu ustaw antykorupcyjnych, które m.in. powoływały Narodowe Biuro Antykorupcyjne (NABU). Zostało ono pomyślane jako wyspecjalizowana służba specjalna, przeznaczona do tropienia korupcji wśród urzędników i polityków. W marcu 2015 r. ↦

↦ powołano także Narodową Agencję ds. Przeciwdziałania Korupcji (NAZK), której celem jest weryfikacja deklaracji majątkowych urzędników państwowych wszystkich szczebli, którzy zostali zobligowani do ich corocznego składania. Po kilku miesiącach utworzono dodatkowo Specjalną Prokuraturę Antykorupcyjną (SAP), autonomiczną strukturę w ramach Prokuratury Generalnej.

Ponadto powstał centralny elektroniczny system przetargów państwowych każdego szczebla, zwany wdzięcznie „Prozorro" (dosłownie: „przejrzyście", „transparentnie"). Wszystkie zakupy dokonywane przez urzędy i instytucje publiczne od pewnej sumy muszą być organizowane za pomocą tego portalu. W ukraińskich warunkach, gdzie wcześniej o wszystkim decydowały ustalenia nieformalne, była to rewolucja.

Doszło również do przecięcia wielu zakorzenionych schematów korupcyjnych, z których jednym z najstarszych i najbardziej intratnych był handel rosyjskim gazem. Tradycyjnie stanowił on, z jednej strony, źródło wielomiliardowych dochodów dla ukraińskiej elity, z drugiej zaś strony był dla Moskwy sposobem na korumpowanie polityków nad Dnieprem.

### Retoryka a rzeczywistość

Działania Kijowa wymierzone w korupcję w pierwszym okresie po Majdanie wyglądały więc obiecująco i władze ukraińskie zaczęły zbierać pochwały od instytucji zachodnich. Niebawem jednak okazało się, że choć wprowadzono ważne zmiany, to rzeczywistość nie nadąża za retoryką polityczną i wszędzie kryją się jakieś „ale".

Pierwsze zastrzeżenie dotyczyło znaczących opóźnień w tworzeniu NABU, które rozpoczęło działalność dopiero rok po jego powołaniu. Amerykanie dopilnowali jednak, aby jego szef został wybrany w niezależnym konkursie. Został nim 36-letni prawnik Artem Sytnyk. Kadry NABU również dobierano metodą konkursową. Przy tym jest to tak atrakcyjne miejsce pracy, że na niektóre stanowiska zgłaszało się po 2 tys. osób na miejsce. Wszyscy kandydaci byli wielokrotnie sprawdzani, również wariografem. W efekcie zabiegów Zachodu powstała więc pierwsza w warunkach ukraińskich instytucja prawdziwie niezależna od polityków.

Gorzej wyglądała sytuacja z Narodową Agencją ds. Przeciwdziałania Korupcji, której szefowa Natalia Korczak została wybrana dopiero w 2016 r. Portal, poprzez który należy składać oświadczenia majątkowe, ruszył z kilkumiesięcznym opóźnieniem jesienią 2016 r. Szybko okazało się, że NAZK, mimo udzielanego jej przez instytucje zachodnie wsparcia finansowego i szkoleniowego, jest instytucją w niewytłumaczalny sposób niewydolną. Po roku jej działalności sprawdzono... około stu deklaracji majątkowych – z półtora miliona złożonych.

Najgorsze jednak wydarzyło się w połowie listopada. Dyrektorka wydziału kontroli finansowej Agencji, Hanna Sałamatina, niespodziewanie zwołała konferencję prasową, podczas której oświadczyła, że w NAZK dochodzi do fałszowania deklaracji majątkowych osób lojalnych wobec władz, oraz że Natalia Korczak jest osobą w pełni podległą administracji prezydenckiej. Mit o niezależności NAZK prysnął jak bańka mydlana. Zachód wycofał swoją pomoc dla tej instytucji, zaś NABU wszczęło śledztwo i przyznało ochronę Sałamatinie.

### „Ukraińskie CBA" wchodzi do akcji

Inaczej niż NAZK, w międzyczasie NABU nabierało sił i osiągnęło pełną gotowość operacyjną.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Aresztowany został Roman Nasirow, szef Państwowej Służby Fiskalnej i jak dotąd najwyższy rangą urzędnik zatrzymany z powodu podejrzeń korupcyjnych. Biuro postawiło również zarzuty m.in. synowi Arsena Awakowa, szefa MSW i jednego z najpotężniejszych polityków w państwie, oraz Mykole Martynence, oligarsze, osobie z bliskiego otoczenia byłego premiera Arsenija Jaceniuka. Zaczęły się również kontrole w niektórych firmach powiązanych z prezydentem Poroszenką.

Sprawy prowadzone wobec tak wpływowych osób wywołały zadowolenie w społeczeństwie, zwiększając poparcie dla NABU – oraz szok u wielu polityków. Władze wciąż nie są przyzwyczajone, aby jakakolwiek instytucja państwowa robiła cokolwiek poza ich kontrolą.

Ale choć NABU działa coraz odważniej, zbierany przez jego detektywów materiał dowodowy kierowany jest do sądów, które nadal są skrajnie skorumpowane – i zależne od władz. Podobnie wygląda sytuacja z Prokuraturą Generalną, na czele której stoi Jurij Łucenko, wcześnie szef frakcji prezydenckiej w parlamencie i osoba dyspozycyjna wobec prezydenta Poroszenki.

POŻEGNANIE

29 listopada 2017 w Moskwie odeszła

*Ś.† P.*

## Ksenia Starosielska

Wybitna tłumaczka najlepszej polskiej literatury, którą kochała.
Laureatka Nagrody Transatlantyk w roku 2008.
Jej talent i miłość do polskiej literatury były darem dla Polski.
Była piękną, mądrą i dobrą osobą, pełną ciepła, przyjaźni dla ludzi
i melancholijnego poczucia humoru.
Uwielbialiśmy Ją.
Darzyła nas swoją przyjaźnią.
Jej miejsca w naszych sercach i pamięci nie wypełni nikt inny.

Igor Biełow, Natalia Bryżko-Zapór, Stefan Chwin i Krystyna Lars,
Jerzy Czech, Joanna Czudec, Jan Andrzej Dąbrowski, Bożena Dudko,
Al Filipowicz z rodziną, Grzegorz Gauden i Krystyna Piotrowska,
Paweł Goźliński, Katarzyna Humeniuk, Paweł Huelle, Elżbieta Kalinowska,
Izabella Kaluta, Szymon Kloska, Hanna Krall i Jerzy Szperkowicz, Ryszard Krynicki,
Irina Lappo, Ryszard Markiewicz, Piotr Mitzner i redakcja „Nowej Polszy",
Wiesław Myśliwski, Andrzej Nowakowski, Wojciech Ornat, Agata Picheta,
Tomasz Pindel, Adam Pomorski, Anna i Marek Radziwonowie,
Agnieszka Rasińska-Bóbr, Michał Rusinek, Paula Sawicka, Ryszard Skrzypczak,
Mariusz Szczygieł, Monika Sznajderman i Andrzej Stasiuk, Małgorzata Szniak,
Olga Tokarczuk i Grzegorz Zygadło, Elżbieta i Bogdan Toszowie,
Elżbieta Wierzchowska, Adam Wodnicki, Ewa Wojciechowska,
Natalia Woroszylska, Adam Zagajewski, Anna Żebrowska

To nie koniec problemów. Zachód od dłuższego czasu wzywa Kijów do utworzenia specjalnego Sądu Antykorupcyjnego, który miałby przejąć sprawy sądowe związane z korupcją. Byłoby to dopełnienie wyłomu w systemie, jakim stało się już powołanie NABU. Kłopot w tym, że władze – choć niezmiennie deklarują konieczność walki z korupcją – faktycznie nie są tym zainteresowane i nieustannie lawirują. Głowa państwa kilkukrotnie zmieniała zdanie w sprawie Sądu Antykorupcyjnego i aktualnie uznaje, że należy go utworzyć, ale jest to tylko gra na czas. Chodzi bowiem o to, aby maksymalnie opóźnić proces jego powoływania – a gdy już powstanie, utrzymać nad nim kontrolę.

### System kontra NABU

Solą w oku władz jest jednak NABU. Do elity rządzącej dotarło, że ta instytucja antykorupcyjna posiada potencjał, aby fundamentalnie zmienić scenę polityczną – poprzez wysłanie do więzienia polityków i urzędników. A to oznacza, że NABU stało się dla nich śmiertelnym zagrożeniem.

Skutkiem tego jest wypowiedzenie NABU nieformalnej wojny, której odgłosy są ostatnio coraz głośniejsze. W tę swoistą kontrrewolucję włączyły się wszystkie instytucje siłowe kontrolowane przez władze, w tym przede wszystkim Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU). W ostatnim czasie podjęła ona szereg działań zmierzających do skompromitowania 700-osobowego zespołu NABU, w tym nawet storpedowania (sic!) niektórych jego operacji. Co więcej, SBU ujawniła dane niektórych detektywów NABU pracujących „pod przykryciem", zdekonspirowała lokale operacyjne i regularnie odmawia zgody na zakładanie podsłuchów.

Jednocześnie Prokuratura Generalna wszczęła postępowanie przeciwko Artemowi Sytnykowi, oskarżając go o ujawnienie tajemnicy państwowej. NABU odwinęła się, inicjując postępowanie wobec Jurija Łucenki (o nielegalne wzbogacenie się).

Mogłoby się wydawać, że – w sytuacji ataku całej machiny państwowej – NABU jest bez szans. I tak by może było, gdyby nie jeden ważny szczegół: wsparcie Zachodu. USA i Unia Europejska zdają sobie sprawę z sytuacji – i stanęły jednoznacznie po stronie Biura.

To właśnie wspomniane wyżej oświadczenia amerykańskie i unijne doprowadziły do fiaska planu władz, którego celem była błyskawiczna zmiana ustawy o NABU i wprowadzenie do niej przepisów, które umożliwiłyby odwołanie szefa Biura. Zgodnie z obecnymi zapisami jest to możliwe tylko w przypadku niekorzystnego wyniku audytu tej instytucji.

**Transformacja** Ukrainy nie zakończy się sukcesem, jeśli korupcja pozostanie problemem systemowym i nie dojdzie do znaczącej wymiany elit politycznych.

W obliczu krytyki Zachodu władze w Kijowie musiały wykonać krok wstecz – projekt nowego prawa, mającego *de facto* zneutralizować NABU, w środku nocnego posiedzenia parlamentu wycofano z porządku obrad. Przynajmniej na razie...

### Jak Dawid z Goliatem

Kwestia nastawienia elity rządzącej do NABU wiele mówi o sytuacji na Ukrainie. Niestety jest to wniosek bardzo smutny. Władze nie są zainteresowane, aby realnie wesprzeć walkę z korupcją, gdyż dostrzegają w tym (słusznie) niebezpieczeństwo dla własnej przyszłości. Ich celem jest przejęcie kontroli nad NABU, aby „walczyć z korupcją" już na własnych warunkach, czyli w sposób selektywny i jedynie w szeregach politycznych przeciwników.

Tymczasem trudno jest oczekiwać, że transformacja Ukrainy może zakończyć się sukcesem, jeśli korupcja pozostanie problemem systemowym i nie dojdzie do znaczącej wymiany elit politycznych.

Od dawna jest już jasne, że obecnie rządzący chcą widzieć jedynie takie reformy, które nie podważają fundamentów ich władzy – i nie stanowią zagrożenia dla ich interesów, często korupcyjnych. A wszystko to, rzecz jasna, w otoczce narracji proeuropejskiej, która coraz bardziej przypomina technologię utrzymania się przy władzy niż realny projekt polityczny opierający się na wartościach europejskich. Wprowadzone dotychczas zmiany, wybiórcze i niewystarczające, nie naruszyły bowiem solidnych fundamentów starego systemu.

Efektem jest wysoka frustracja społeczna. Według niedawnych badań Ukraińcy uznają korupcję za najpoważniejszy problem kraju. Nawet wojna z Rosją jest na drugim miejscu. Ponad 80 proc. obywateli twierdzi, że od Rewolucji Godności w walce z korupcją nie zmieniło się nic.

### Czekając na przełom

Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że na Ukrainie praktycznie rozpoczęła się już kilkunastomiesięczna kampania wyborcza – w 2019 r. odbędą się zarówno wybory prezydenckie, jak też parlamentarne.

Celem Petra Poroszenki jest wybór na kolejną kadencję. Aby zwyciężyć – co być może jest misją niewykonalną – urzędujący prezydent potrzebuje nie tylko instytucji, które już teraz kontroluje, ale również zneutralizowania NABU. Jeśli detektywi Biura będą mieć swobodę działalności, mogą wywrócić obecny układ rządzący do góry nogami. Działalność rumuńskiej Krajowej Dyrekcji Antykorupcyjnej pokazała, że niezależna instytucja antykorupcyjna może realnie odmienić państwo.

Gdy Rada Najwyższa podejmowała niedawno próbę zmiany ustawy o NABU, jego szef Artem Sytnyk – przebywający zresztą wówczas w Stanach Zjednoczonych – pozwolił sobie na wyjątkowo szczerą wypowiedź. Mówił, że władze „boją się, że zacznie się to, czego jeszcze nigdy nie było na Ukrainie. Jeśli się to stanie, to będzie to prawdziwy przełom. Cała ta skorumpowana elita polityczna po prostu się rozsypie. I dlatego teraz próbują oni zastosować wszelkie możliwe środki dla kontrataku".

W istocie „ukraińskie CBA" ma potencjał, aby stopniowo zmieniać państwo ukraińskie i doprowadzić do demontażu systemu, który Rewolucja Godności jedynie osłabiła.

Ale choć starcie „władze kontra NABU" przypomina opowieść o walce Dawida z Goliatem, to pozostaje mieć nadzieję, że skończy się nie gorzej niż biblijna przypowieść. Od tego będzie bowiem zależało to, ile jeszcze czasu straci Ukraina. ©

WOJCIECH KONOŃCZUK

*Autor jest kierownikiem zespołu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, stale współpracuje z „TP".*

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**WOJCIECH KONOŃCZUK** będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM we wtorek 2 stycznia o godz. 16.20.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

# Tysiąc dni

MARCIN ŻYŁA

**Trzy plagi – wojny, głodu i chorób – spadły na Jemen, już wcześniej najuboższy kraj arabski. „To dziś najgorsze w świecie miejsce dla człowieka" – mówią „Tygodnikowi" pracownicy organizacji humanitarnych i mieszkańcy stołecznej Sany.**

Na początek zapomnijmy o liczbach: o czterystu tysiącach uchodźców, o siedmiu milionach ludzi, którzy nie wiedzą, kiedy dostaną następny posiłek, oraz o dziesięciu minutach, co które – statystycznie – umiera w Jemenie dziecko. Wrócimy do nich później.

Zaczniemy od małego chłopca, Dżamala. Oraz człowieka, który uratował mu życie.

Nazywa się on Ahmad Algohbary, ma 24 lata i jest dziennikarzem. Wiosną 2017 r. wyjechał na północ Jemenu, aby dokumentować skutki bombardowań, które prowadzą tu Arabia Saudyjska i jej sojusznicy. Algohbary jest fanem Twitte-

GILES CLARKE / UN OCHA / GETTY IMAGES

*Kiedy przyjęto ją do szpitala w Al-Hudajdzie z objawami skrajnego niedożywienia, czteromiesięczna Saleh ważyła 2,5 kg. Takich jak ona jest dziś w Jemenie ponad 400 tys. Opieka w centrach dożywiania jest bezpłatna, lecz mieszkańców oddalonych miejscowości zwykle nie stać na dojazd.*

ra. Gdy opublikował zdjęcie, na którym widać, jak Dżamal, zapłakany i skrajnie wychudzony czterolatek, musi być podtrzymywany przez ojca, aby usiąść – ktoś z zagranicy przysłał pieniądze. Ahmad kupił za nie benzynę, zawiózł dziecko i jego rodziców do ONZ-owskiego ośrodka dożywiania i dopilnował, aby zostali tam miesiąc.

### Łańcuch dobrych ludzi

Pół roku później profil Algohbary'ego na Twitterze obserwuje już kilka tysięcy osób. Dzięki ich darowiznom Ahmad pomógł kilkorgu kolejnym dzieciom. Jest wciąż w ruchu, nie zawsze z dostępem do internetu. Gdy nawiązujemy kontakt, proponuje mi, że przez komunikator WhatsApp będzie wysyłać wiadomości głosowe.

W pierwszej z tych wiadomości opowiada o Muhammadzie, niemowlęciu wygłodzonym tak bardzo, że niedobór białka we krwi spowodował ucieczkę wody do wnętrza czaszki. Ucisk na mózg zagrażał życiu. Znów: apel w internecie, zbiórka pieniędzy. Tydzień później dziecko było w szpitalu. Ale infekcji nie udało się zatrzymać. Za zgodą rodziny dziecka do sieci trafił film, na którym widać, jak Ahmad podaje ojcu Muhammada małe lniane zawiniątko, a ten kładzie je do grobu.

Kolejna opowieść: o Batul, która miała pięć lat i ważyła pięć kilogramów. Spotkał ją w szpitalu w dniu, w którym umarł Muhammad. Rodzina nie miała pieniędzy na opłacenie pobytu dziecka w szpitalu, zabrała ją do domu. Kilka dni później Ahmad przyjechał po dziewczynkę. A pod koniec maja, gdy skończyła terapię, pokazał zdjęcie, na którym, już odżywiona, Batul nieśmiało się uśmiecha. Ale i tu nie ma happy endu: Batul zmarła w lipcu, na cholerę.

Z kolei los Dżamala – chłopca, od którego zaczął się łańcuch pomocy Ahmada – znów jest niepewny. Aresztowano jego ojca, żywiciela rodziny, gdy próbował zarobić, sprzedając środki halucynogenne.

### Miliony w potrzebie

Mutasim Hamdan jest dyrektorem jemeńskiego biura Norwegian Refugee Council, organizacji pomagającej uchodźcom. – To, co się tu dzieje, pod wieloma względami jest gorsze od wojny w Syrii – mówi „Tygodnikowi". – Jemeńczycy nie mają dokąd uciekać. Granica z Arabią Saudyjską jest zamknięta, zablokowano wszystkie porty. Ten kraj jest dziś największym w świecie obozem koncentracyjnym, w którym przetrzymuje się ponad 27 mln ludzi.

Niestosownie jest może porównywać ze sobą wojny. Ale Hamdam przypomina, że na tragedię Syrii i Iraku społeczeństwa zachodnie w dużej mierze zwróciły uwagę za sprawą uchodźców. – Z Jemenu do Europy nie trafia nikt, jest więc wrażenie, jakby problemu nie było – przekonuje. – Tymczasem bardzo powoli dogasa tu największa po II wojnie światowej epidemia cholery, na którą zachorowało ponad milion ludzi. Notujemy wzrost zgonów na dur brzuszny. Najsłabsi, czyli dzieci, umierają z niedożywienia. Przewlekle chorzy nie mają lekarstw, nie mogą się leczyć za granicą – wylicza Hamdan.

– Nawet przed ostatnią eskalacją przemocy Jemen był najbiedniejszym państwem arabskim. Kryzys zaczął się z bardzo niskiego poziomu, już wcześniej ludzie mieli tu małą zdolność radzenia sobie bez pomocy z zewnątrz. Wojna to zintensyfikowała – dopowiada w rozmowie telefonicznej z Ammanu Sarah Hilding z Biura Narodów Zjednoczonych ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej (OCHA). I dodaje: – Pilnego wsparcia potrzebuje teraz ok. 22 mln Jemeńczyków, czyli trzy czwarte populacji. Proporcjonalnie to tak, jakby od dostaw żywności, paliwa i lekarstw było uzależnionych prawie 31 mln Polaków.

### Poboczny front regionalnej rywalizacji

Wszystko zaczęło się prawie sześć lat temu, kiedy protesty doprowadziły do odsunięcia od władzy prezydenta Ali Abd Allaha Saliha. Jego następca, Abd Rabbuh Mansur Hadi, chciał w Jemenie powtórzyć scenariusz z Tunezji: sojusz najważniejszych stronnictw, zawiązany pod hasłem „narodowego dialogu". Nie udało się, ponieważ zwrócili się przeciwko niemu Huti – mieszkająca na północy kraju społeczność szyicka. Utrzymując, że nowa władza ich dyskryminuje, chwycili oni za broń i zajęli część kraju – w tym Sanę, stolicę.

W marcu 2015 r. w zamachach samobójczych, których celem był meczet w Sanie, zginęło prawie 150 ludzi. Tydzień później sunnicka Arabia Saudyjska – formalnie stojąca na czele koalicji z udziałem Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Egiptu, Kuwejtu, Maroka, Kataru, Jordanii, Bahrajnu i Sudanu – rozpoczęła naloty przeciwko Hutim. Dla Saudów jemeńscy szyici są nieoficjalnymi bojówkami Iranu (także, jak Huti, szyickiego), który jest rywalem saudyjskiego królestwa w regionie – rywalem ideologicznym, politycznym i historycznym. Bo na konflikt irańsko-saudyjski można patrzeć również i w tej perspektywie, jako na współczesne oblicze sporu sunnicko-szyickiego, trwającego niemal od początku istnienia islamu.

Szturmując stolicę i południowy Jemen, oddziały Huti dopuszczały się okrucieństw. Ale zachodnie organizacje praw człowieka oskarżają o zbrodnie – m.in. ↦

↦ atakowanie szkół i szpitali – głównie siły antyszyickiej koalicji.

Już w sierpniu 2015 r., gdy bomby uszkodziły port Al-Hudajda, „kroplówkę Jemenu", przez którą do kraju trafiała większość importu (Jemen sprowadza z zagranicy ok. 90 proc. żywności), było jasne, że ofiarą saudyjskiej ofensywy z powietrza będą głównie cywile.

Według opublikowanego niedawno opracowania prof. Marthy Mundy, socjolożki z London School of Economics, przez pierwszy rok wojny celem koalicji były przede wszystkim jemeńskie wsie, a same naloty były obliczone na zniszczenie systemu produkcji żywności. Do dziś niewiele się zmieniło. W listopadzie 2017 r. brytyjski „Guardian" pisał, że śmigłowce koalicji ostrzeliwują jemeńskie kutry rybackie na Morzu Czerwonym. Cytowany przez gazetę szef związku rybaków w Al-Hudajdzie twierdzi, że od początku 2017 r. zniszczyły one lub uszkodziły 250 statków, i że zginęło 152 ludzi.

### Zaprojektuj miłość

Ahmad przysyła kolejną wiadomość: „Tamten pierwszy chłopiec, Dżamal, po terapii dożywiania wyglądał naprawdę nie do poznania. Zyskał nową, zdrowszą twarz. Zmieniło się mu życie: wcześniej nie mógł się bawić z innymi dziećmi, cały czas tylko płakał. Był tak słaby, że nie chodził. Kiedy wyszedł z ośrodka dożywiania, był jak nowo narodzony, choć wcześniej znajdował się na skraju śmierci".

Twitter sprawił, że do Ahmada zgłosili się ludzie gotowi pomóc także w rozpropagowaniu jego osobistej akcji. Jedna z brytyjskich aktywistek zaczęła prowadzić mu stronę internetową. Namówiła go do założenia jednoosobowej organizacji humanitarnej: Yemen Hope and Relief. Z kolei Ahmed Dżahaf – młody grafik, który podczas tej wojny stracił 26 krewnych – zaprojektował jej logo, na którym kontury Jemenu przechodzą łagodnie w profil twarzy dziecka.

– Projektowanie jest dla mnie metodą oporu wobec wojny – mówi „Tygodnikowi" Dżahaf w rozmowie telefonicznej. – Zacząłem pracować jako grafik tuż przed jej wybuchem. Gdy się zaczęła, zobaczyłem, że moje obrazy trafiają do świadomości ludzi szybciej niż słowa. Do dziś opublikowałem w internecie ponad pół tysiąca grafik.

Jego grafiki opierają się na prostych skojarzeniach. Oto księżyc zaćmiony bombą. Zdjęcie umierającego z głodu dziecka, z wyciętą twarzą i napisem: „Wklej tu zdjęcie swojego syna". Zegar, na którego tarczy zamiast godzin są czołgi i karabiny. Mapa świata z Jemenem jako osobnym kontynentem pośrodku wielkiego oceanu, do tego podpis: „Drogi świecie, zostaw nas samych, tak jak to uczyniły twoje media".

Gdzieś pomiędzy tweetami dokumentującymi wojnę Ahmed Dżahaf pokazał też swoje zdjęcie z trójką własnych dzieci. – Mimo wszystko jestem optymistą. Trzeba być optymistą. Choćby dlatego, że smutek tylko pogłębia ból – mówi. I pokazuje inną grafikę: ekran smartfona z trzema „aplikacjami", których symbolami są kałasznikow, bomba lotnicza i serce. „Włączona" jest tylko ostatnia.

### Zachód nie bez winy

Ahmada (dziennikarza) i Ahmeda (grafika) łączy jeszcze coś: złość na Zachód. Za to, że, jak mówią, nie przejmuje się on jemeńską wojną i wciąż sprzedaje Saudyjczykom broń.

Przykładowo, w 2017 r. brytyjski przemysł zbrojeniowy zagwarantował sobie kontrakty na łączną kwotę ponad miliarda funtów (w październiku 2017 r. brytyjski sekretarz obrony ubolewał, że krytykowanie Arabii Saudyjskiej „nie pomaga" w finalizowaniu sprzedaży myśliwców Eurofighter Typhoon tamtejszej armii). Amerykańska administracja wezwała wprawdzie Saudów do zakończenia blokady jemeńskich portów, ale obrońcy praw człowieka podają w wątpliwość szczerość jej intencji, wskazując m.in. ciepłe relacje, jakie łączą Donalda Trumpa z saudyjskim następcą tronu księciem Muhammadem bin Salmanem. A także – zaostrzenie kursu Białego Domu wobec Iranu, który dozbraja w Jemenie Hutich.

Amerykańscy i brytyjscy doradcy wojskowi uczyli Saudyjczyków, jak precyzyjnie prowadzić naloty, jednak z raportów Amnesty International nie wynika, aby szkoleni wzięli sobie nauki do serca: tylko w ciągu pierwszego półrocza wojny celem lotnictwa koalicji padło m.in. 40 ośrodków zdrowia. Bombardowane były place handlowe, a nawet meczety. Raporty oskarżają też Arabię Saudyjską o używanie tzw. broni kasetowej, znanej z walk o syryjskie Aleppo i powodującej duże ofiary wśród cywilów.

Celem nalotów są również szkoły. Według danych Norwegian Refugee Council zniszczono ich już ponad 1600.

– Niektóre dzieci uczą się pod gołym niebem, z tablicą ustawioną pod drzewami – opowiada Mutasim Hamdan, przedstawiciel tej organizacji. – W innych regionach nie mają nawet takiej możliwości. Tam, gdzie możemy, stawiamy duże namioty lub proste szałasy, w których dzieci mogą się uczyć. Zapewnienie dostępu do edukacji jest dla nas ratowaniem ich życia, ochroną przed wcieleniem siłą do oddziałów zbrojnych. Dwa miliony dzieci w wieku szkolnym nie chodzi na lekcje.

Tymczasem Zachód wciąż nie reaguje. Ostatnią (październik 2016 r.) próbę utworzenia niezależnej komisji ONZ, której zadaniem byłoby przygotowanie raportu na temat zbrodni wojennych w Jemenie, zablokowała Wielka Brytania.

### Giną dzieci

Adnan Hizam, rzecznik Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Sanie, mówi „Tygodnikowi": – Podczas trzech lat wojny ludzie starali się dostosować do sytuacji. Ale nie mają już siły, zwłaszcza gdy patrzą na niepewną przyszłość swoich dzieci. Jemen to jedno z najuboższych państw świata, gdzie większość pracowników państwowych nie dostała pensji od ponad roku. Tylko z pozoru ten konflikt jest prosty. Oprócz wojny mamy tu do czynienia z upadkiem gospodarki i międzynarodowym kryzysem politycznym. A wyniszczony kraj zamieszkany przez zmęczonych wojną ludzi atakują choroby.

Epidemia cholery powoli już dogasa, za to teraz w kraju notuje się śmiertelne przypadki duru brzusznego. – Ten kraj jest dziś najgorszym miejscem dla człowieka na świecie – dopowiada Mutasim Hamdan z NRC.

Niektórzy próbują uciec do sąsiedniej Somalii, gdzie ONZ szacuje liczbę jemeńskich uchodźców na ok. 440 tys. ludzi. Ale Hamdanowi sen z powiek spędzają tzw. uchodźcy wewnętrzni i migranci z Afryki, dla których Jemen od dawna był państwem tranzytowym w podróży za pracą do krajów Zatoki Perskiej. Tylko do października 2017 r., mimo działań wojennych, dotarło tu ponad 85 tys. takich ludzi, w większości z Etiopii i Somalii.

Korzystali oni z usług przemytników w Zatoce Adeńskiej – jedynym dziś w świecie akwenie, po którym łodzie szmuglerów pływają wypełnione w obie strony. Zajęte wojną służby państwowe pozostawiają przemytnikom dużo swobody. Efekt? Bezprawie na morzu. Latem 2017 r. woda wyrzuciła na jemeński brzeg ponad 50 ciał migrantów – ocaleni z tego samego rejsu mówili, że wyrzucono lub zmuszono ich do wyskoczenia za burtę, gdy przemytnicy dostrzegli na brzegu ludzi, których uznali za policjantów.

– Pomagamy Jemeńczykom, którzy uciekli do krewnych, opłacamy czynsz tym, których nie stać na wynajęcie poko-

ju – mówi Mutasim Hamdan z NRC. – Niektórzy żyją pod gołym niebem, przykryci czymś w rodzaju namiotu z plastykowych siatek, bez dostępu do czystej wody. Większość z nich żyje tak już trzeci rok.

Według ONZ od początku zbrojnej interwencji koalicji pod egidą Arabii Saudyjskiej w Jemenie zginęło 8670 ludzi, a niemal 50 tys. zostało rannych.

W porównaniu z liczbą śmiertelnych ofiar wojny w Syrii, idącą w setki tysięcy, to może wydać się niewiele. Jednak statystyka ofiar wojny (tj. tych, którzy zginęli na skutek bezpośrednich działań wojennych) nie oddaje istoty problemu w Jemenie. A tym są skutki wojny dla funkcjonowania tego pustynnego kraju. Naloty spowodowały brak prądu, z kolei z powodu braku prądu przestały działać pompy wodne. Ludzie zaczęli korzystać z niepewnych źródeł wody.

Skutek to epidemie. Organizacja Save the Children twierdzi, że od stycznia do połowy listopada 2017 r. w Jemenie zmarło 50 tys. dzieci, w większości na cholerę. To także ofiary wojny. Tymczasem – gdyby sięgnąć po dane UNICEF o dzieciach, które zginęły od kul i bomb – otrzymamy liczbę 139 zabitych dzieci od 1 listopada do 11 grudnia 2017 r. (zginęły one w wyniku nalotów, walk ulicznych, min lub niewybuchów).

To nie koniec smutnej statystyki. Aż 1,8 mln dzieci cierpi na tzw. umiarkowane niedożywienie – stan, który choć nie wymaga hospitalizacji, domaga się specjalistycznego regularnego dokarmiania w specjalnych ośrodkach. Wprawdzie taka pomoc jest bezpłatna, ale niewielu rodziców stać na dowóz dzieci do centrów dożywiania. Aż 400 tys. z nich pozostaje więc na skraju wyczerpania z braku jedzenia.

### Rok 2018: coraz gorsze scenariusze

W ostatnich tygodniach 2017 r. wydarzenia w Jemenie przyspieszyły.

Na początku grudnia członkowie ruchu Huti zabili byłego prezydenta Saliha – po tym, jak wypowiedział im posłuszeństwo. Wcześniej, na początku listopada, Arabia Saudyjska wprowadziła blokadę jemeńskich portów.

– Zamknięcie portów w kraju, który importuje 90 proc. jedzenia, sprawiło, że nasze prognozy dotyczące kryzysu są niedoszacowane. W 2018 r. będzie jeszcze gorzej – mówi „Tygodnikowi" Sarah Hilding z ONZ. I przytacza czarne prognozy na najbliższe miesiące: ponad 8 mln Jemeńczyków „tylko jeden krok" dzieli od klęski głodu. Co to oznacza w praktyce? – To, że każdy z tych 8 mln ludzi nie wie, czy i kiedy zje następny posiłek. To paraliżuje codzienne funkcjonowanie, uniemożliwia planowanie, odbiera siły. Gdy ceny żywności idą w górę, Jemeńczycy muszą włożyć jeszcze więcej wysiłku, aby ją zdobyć – mówi Hilding.

Zabójstwo byłego prezydenta zbiegło się w czasie z eskalacją walk w stolicy kraju. Teraz wojna przenosi się na wybrzeże Morza Czerwonego. W październiku, tuż przed początkiem blokady, do portu w Al-Hudajdzie zawinęło 58 statków. W pierwszej połowie grudnia tylko sześć. Część statków jest przekierowywana do Adenu, portu na południu kraju, a organizacje humanitarne mają plan awaryjny na wypadek coraz bardziej prawdopodobnego scenariusza: wybuchu walk w samej Al-Hudajdzie, od której, jeśli wierzyć katarskim mediom, oddziały walczące z Huti są już tylko kilkadziesiąt kilometrów. Czerwony Krzyż ostrzega, że w miejscowościach na wybrzeżu walki trwają w dzielnicach mieszkalnych.

Rzecznicy organizacji humanitarnych, już i tak od miesięcy stopniujący przymiotniki, mówią, że walki w mieście miałyby skutki „wykraczające poza wyobraźnię".

– To kryzys w całości wywołany przez człowieka – mówi Mutasim Hamdan z NRC. – Każde dziecko, które głoduje, każdy starszy człowiek, który umiera z braku dostępu do lekarstw, każda rodzina, która ucieka ze swojego domu... Wszyscy robią tak, ponieważ zmusił ich do tego inny człowiek.

### Ahmad będzie pomagał

To już ostatnia wiadomość od Ahmada Algohbary'ego: „Kiedy zaczynałem pomagać dzieciom, dwoje z nich umarło. To złamało mi serce. Pomyślałem, że nie mogę pomagać dalej, bo któregoś dnia umrze kolejne dziecko, którym się zajmę".

Ponoć wtedy ktoś znów go przekonał, że warto, że trzeba. Ahmad zebrał się w sobie. Przygotował z okazji ramadanu paczki żywnościowe. Kilkadziesiąt rodzin dostało po 25 kg mąki, 10 kg cukru, 10 kg ryżu i 2 litry oleju. To wystarczy, aby przetrwać przez kilka tygodni.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 2017 r. minęło tysiąc dni od początku jemeńskiej wojny. ©℗

MARCIN ŻYŁA

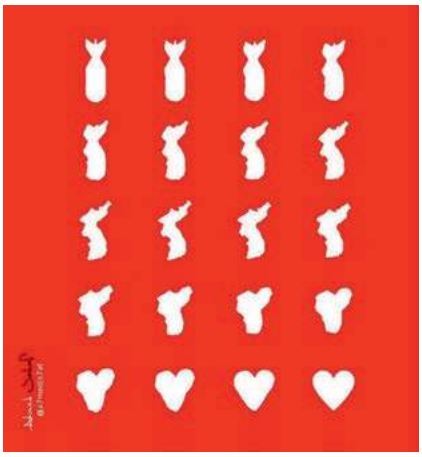

AHMED JAHAF x 4

*Antywojenne grafiki Ahmeda Dżahafa. Na górze: zaprojektowane przez niego logo organizacji Yemen Hope and Relief.*

# PIERWSZEGO STYCZNIA ROKU OSIEMNASTEGO

Wojna trwa, Piłsudski jest w niewoli, bolszewicy umacniają swą władzę. Polski nie ma i nic nie wskazuje, aby powstała... Tak wyglądał nasz świat sto lat temu.

TOMASZ TARGAŃSKI

Pierwszy stycznia 1918 roku przypada na wtorek. Od kilku dni w części Europy Środkowej utrzymuje się wysoka temperatura. We Lwowie, stolicy Galicji, w południe jest osiem stopni Celsjusza, w prowincjonalnym Krakowie sześć. Stołeczny Wiedeń dla odmiany walczy z niespotykanym od dekad atakiem zimy. Pokrywa śnieżna na ulicach sięga pół metra, komunikacja miejska została sparaliżowana. Do walki z żywiołem rząd rzuca 15 tys. robotników i żołnierzy.

W Nowy Rok Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie wystawia „Cyrulika sewilskiego". Wileński Teatr Polski gra farsę „Żołnierz królowej Madagaskaru" Stanisława Dobrzańskiego – „krotochwilę w trzech aktach", jak reklamuje „Dziennik Wileński". We Lwowie popularnością cieszą się wystawiane na deskach Teatru Miejskiego jasełka „Betlejem polskie" autorstwa Lucjana Rydla.

### Nowy Rok w cieniu wojny

Mimo wojny – trwającej już trzy i pół roku – w Warszawie oblężenie przeżywają za to kinematografy, a konkurencja prowadzi do nieuczciwych praktyk. „Kurier Warszawski" ujawnia, że w niektórych lokalach pod pretekstem wadliwej taśmy filmowej seanse są przerywane, a publiczność wypraszana „tylko po to, by szybciej uczynić miejsce na kolejny pokaz"...

Popularnością cieszą się świąteczno-noworoczne wyjazdy. Oblegane jest Zakopane. Powroty do domu prowokują tam dantejskie sceny. Wrota transportowych piekieł otwierają się już na zakopiańskim dworcu, gdzie, jak pisze wysłannik „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", „ścisk, zamieszanie, rwetes i ogólny chaos" czynią niemożliwym „dotarcie do wagonu". W nieogrzewanych pociągach pasażerowie jadą ściśnięci, „szafując hojnie epitetami pod adresem kolei".

Przybywających pod Tatry zaskakuje panująca w Zakopanem drożyzna. Jeden z czytelników skarży się, że w znanej cukierni Przanowskiego choć ciastka kosztują koronę i 80 halerzy, to „mikroskopijna ich wielkość żywo przypomina pewną cukiernię krakowską".

Wojna wojną, ale branża restauratorska przeżywa w tych dniach oblężenie. Ale nie wszystkim jest do śmiechu. W noworocznym numerze „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" znany krakowski restaurator Jan Bisanz informuje, że zaprzestaje prowadzenia kawiarni w pałacu przy ul. Dunajewskiego 4. Ten otwarty dekadę wcześniej lokal cieszył się opinią najprzedniejszego w Krakowie, a Bisanz tak reklamował się w prasie: „Wody mineralne. Likwory i wódki zagraniczne. Wina i koniaki najlepszej marki. Piwa: Okocimskie, Pilzneńskie, Bawarskie" (Bisanz z Krakowa nie zniknie, w okresie międzywojennym wydzierżawi nawet budynek Grand Hotelu).

Ale nie dajmy się zmylić prasie – po pierwsze, cenzurowanej. A po drugie, opisującej to, co może się wydać ciekawe czytelnikowi, dla którego wojna – w tym momencie przebiegająca już od ponad dwóch lat gdzieś daleko – może zdać się elementem codzienności.

Bo nawet jeśli polskie rodziny nie drżą o kogoś, kto – zwykle zmobilizowany, z poboru – walczy na froncie wschodnim, zachodnim, bałkańskim czy włoskim, to sytuacja wojenna powoduje, że kwestie materialne i bytowe są na ustach wszystkich.

Pieniądze stale tracą na wartości, nie opłaca się trzymać gotówki w banku. Świadectwem pogarszających się warunków w kasach oszczędności są informacje, jakie drukuje noworoczny numer „Gazety Lwowskiej": „Dyrekcja Komercjalnego Zakładu Kredytowego w Sanoku uchwaliła zniżyć stopę procentową od wkładek oszczędnościowych do 3,5 proc". Tożsame ogłoszenia zamieszczają Ludowy Bank dla Rolnictwa, Handlu i Przemysłu w Mościskach oraz Powiatowa Kasa Oszczędności w Brzeżanach.

Wraz z pogarszaniem się położenia Niemiec i Austro-Węgier trzymanie oszczędności w markach i koronach jawi się jako ryzykowne. W prasie na okupowanych przez Niemców i Austriaków terenach zaboru rosyjskiego coraz częściej pojawiają się ogłoszenia, jak to: „Kupię złoto, srebro, brylanty, perły, fortepiany i antyki".

### Europa walczy i głoduje

Mieszkańcy ziem polskich – jakkolwiek by je definiować – muszą borykać się nie tylko z wojennymi zniszczeniami (po tym,

ROSSEFORP / BEW

*„Mimo wojny, popularnością cieszą się świąteczno-noworoczne wyjazdy...". Zdjęcie z roku 1918, miejsce wykonania fotografii nieznane.*

jak w latach 1914-15 front przesuwał się kilka razy przez Kongresówkę i Galicję), lecz przede wszystkim z bolesnymi brakami w zaopatrzeniu.

Ceny zwyżkują. Ale u progu roku 1918 coś zaczyna się zmieniać. Prasa donosi, że w związku z zawieszeniem broni na froncie wschodnim w Kownie czy Grodnie tanieją artykuły luksusowe, jak kawa i herbata. W Warszawie znów pojawia się czekolada, której „w ostatnich czasach w ogóle nie było widać". Spada też cena mąki. Oczekuje się na zniżkę cen sardynek, bo ewentualny pokój z Rosją (czy też, precyzyjniej, z bolszewikami, dla których pokój na froncie zewnętrznym jest kluczowy dla sukcesu w rozwijającej się wojnie domowej) rzuciłby na rynek wielkie ilości tych ryb ze Wschodu.

W skali całej Europy sytuacja zaopatrzeniowa jest jednak dramatyczna. W sylwestra 1917 r. Wielka Brytania – jako ostatni z krajów uczestniczących w wojnie – zaczyna reglamentować żywność. W pierwszej kolejności kartki wydaje się na cukier (225 g na osobę tygodniowo). W lutym 1918 r. system kartkowy obejmie bekon (140 g tygodniowo), masło (50 g) i smalec (90 g).

W Niemczech kartki na chleb obowiązują już od 1915 r. W wyniku brytyjsko-francuskiej blokady morskiej w niemieckim cesarstwie brakuje wszystkiego. Przemysł twórczo rozwija artykuły zastępcze, erzace: jest więc sztuczny miód, a nawet sztuczna kiełbasa... Już zimą 1917 r. w kilku niemieckich miastach doszło do głodowych rozruchów.

Ale do największych takich protestów dochodzi właśnie teraz – w styczniu i lutym 1918 r. Wobec kolejnego ograniczenia racji mąki najpierw burzą się berlińczycy, miejscowi robotnicy ogłaszają strajk. Niespokojnie jest także w Norymberdze i Monachium.

Niejeden próbuje na tej sytuacji się dorobić – historie spekulantów to *leitmotiv* prasowy. Wiedeńska policja aresztuje w tych dniach jednego z największych handlarzy drobiu, Szymona Hungerleidera. Oskarżony zostaje o podbijanie cen gęsi, które kupował tanio na Węgrzech i z wielkim zyskiem sprzedawał w stolicy. Na tym procederze Hungerleider zarobił setki tysięcy koron (dowiedziono, że aresztowany miał także decydujący głos w komisji badania cen w Wiedniu).

Ale również ludność państw Ententy ma dość wojny. W całym roku 1917 liczba strajkujących we Francji przekroczyła 100 tys. osób. Londyński „The Observer" donosi o ataku setek zdesperowanych kobiet na wagon kolejowy przewożący ziemniaki na stacji Wrexham.

Obniżenie racji żywnościowych i zagrożenie głodem wywołuje też „powstanie kobiet" w bułgarskim Asenowgradzie (luty 1918 r.). Grupa licząca ponad 200 niewiast zaatakowała miejscowy urząd, domagając się podwyższenia racji żywnościowych oraz powrotu mężów i synów z frontu.

### Piłsudski pisze wspomnienia

Tymczasem Józef Piłsudski wita Nowy Rok w twierdzy magdeburskiej. Przebywa tam już czwarty miesiąc. Oficjalnie aresztowano go za „tajną agitację przeciw dowództwu sojuszniczych wojsk ↦

↦ niemieckich", ale faktycznym powodem był tzw. kryzys przysięgowy: w lipcu 1917 r. większość żołnierzy polskich Legionów odmówiła złożenia przysięgi wierności cesarzom.

W Magdeburgu Piłsudski odcięty zostaje od informacji z frontu, nie dostaje gazet, nie mogą go odwiedzać podkomendni. Listy z domu otrzymuje raz w miesiącu, co jest obciążające tym bardziej, że żona Aleksandra jest w ciąży (o narodzinach córki, Wandy, Józef dowie się dopiero w marcu).

Poza odcięciem od świata zewnętrznego warunki, w jakich Piłsudski przebywa, są znośne. Ma do dyspozycji sypialnię i pokoje: dzienny i gościnny. Może korzystać z przyległego do budynku ogrodu, przysługuje mu prawo do godzinnego spaceru.

Piłsudskiemu doskwierają długie zimowe wieczory. „Zaczynam żyć nierealnym życiem" – pisze. Chcąc sprawdzić siłę własnej woli, stara się rzucić palenie (bezskutecznie). Znajduje sposób na uwolnienie się od ciężaru tęsknoty: zaczyna spisywać wspomnienia, opisujące pierwszy etap walk legionowych. Po latach ukażą się drukiem pt. „Moje pierwsze boje".

### Trocki wychodzi z pokoju

Tymczasem na froncie wschodnim utrzymuje się zawieszenie broni. W połowie grudnia podpisali je przedstawiciele nowego bolszewickiego rządu z niemiecką generalicją.

Wszystko wskazuje na to, że Rosja pod nową władzą chce się z wojny wycofać – pewna popularność bolszewików zasadza się na obietnicy zawarcia pokoju i oddania ziemi chłopom. Ze swojej strony Niemcy liczą, że z chwilą zawarcia pokoju przerzucą stąd swe dywizje na zachód, gdzie zdecydują się losy wojny z Anglią i Francją.

Do tego jednak jest daleko. Przez cały grudzień w Brześciu Litewskim (dziś: Brześć nad Bugiem) toczą się negocjacje. Bolszewicki rząd reprezentuje Lew Trocki. Już w drodze do Brześcia orientuje się, że nie może negocjować z pozycji siły, rosyjskie okopy pustoszeją, armia carska jest w rozsypce, a bolszewicka Armia Czerwona dopiero powstaje.

Jedyna nadzieja w przeciąganiu rozmów – swoją taktykę Trocki określi potem jako „ani wojna, ani pokój". Niemcy wysuwają daleko idące żądania terytorialne: wschodnie granice ich Cesarstwa mają objąć Polskę, Litwę i Łotwę, a nawet znaczną część Ukrainy.

Trocki prosi o przerwanie rozmów i wraca do Petersburga, by naradzić się z resztą bolszewickich przywódców. Lenin z premedytacją postanawia grać na czas, nie upoważnia więc Trockiego do podejmowania wiążących decyzji.

Niemieccy dyplomaci nie kryją konsternacji – wszak to niemieckie pieniądze i wsparcie niemieckiego wywiadu pomogło Leninowi! Jeden z nich, Richard von Kühlmann, zdobywa się na stwierdzenie, że w cywilizowanym świecie wojny nie mogą kończyć się bez porozumień. Trocki uprzejmie oświadcza, że wyczerpał swe plenipotencje, po czym on i jego towarzysze wychodzą z pokoju.

Uczestnicy tego spotkania raczej nie domyślają się, że zarówno w polityce, jak też w dyplomacji skończył się wiek XIX.

### Brześć rzuca ponury cień

Rokowania w Brześciu rzucają cień na całe życie polityczne ziem polskich. Wiodący politycy z zaboru austriackiego, Ignacy Daszyński i Wincenty Witos, są ogromnie zaniepokojeni faktem, że Niemcy porozumiewają się z bolszewikami ponad głowami Polaków i we własnym gronie chcą decydować o granicach w tej części Europy.

W tej właśnie sprawie Witos zwołuje do Krakowa nadzwyczajne posiedzenie posłów PSL do galicyjskiego autonomicznego Sejmu Krajowego. Spotkanie kończy się podjęciem rezolucji głoszącej, że „państwo polskie ma pełne prawo do wzięcia udziału w układach pokojowych, jakie się rozpoczęły z Rosją". Witos pełen jest obaw, że w razie zawarcia w Brześciu korzystnego dla Niemiec układu „rozwałkują oni" ziemie polskie i uczynią z nich swoją „kolonię".

Daszyński z kolei jedzie do Warszawy, gdzie spotyka się z członkami Rady Regencyjnej, administrującej Królestwem Polskim z mocy państw centralnych. Do konferencji dochodzi w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, Daszyński przekonuje, że „jest rzeczą niemożliwą, aby Polska pozwoliła wyłączyć się od obrad, prowadzonych na polskiej ziemi, i żeby nie miała nawet oficjalnego prawa protestu przeciwko decyzjom, które tam zapadną".

W ostatnich dniach roku 1917 atmosfera w Warszawie jest zresztą ponura. Jak pisze Daszyński we wspomnieniach: „Policja masakrowała studentów, a nawet poraniła studentki. Przekupstwo i oszustwo przy dostawach i w ogóle w życiu publicznym było ochraniane przez Niemców. (...) Za drutami obozów [niemieckich – red.] ciągle jeszcze siedziały setki legionistów. Bieda i brak żywności dokuczały masom straszliwie".

W prasie polskiej pojawiają się pierwsze alarmujące ostrzeżenia przed „bolszewickim niebezpieczeństwem". Nosicielami tej groźnej fali mają być przenikający przez linię frontu „różnej maści agitatorzy".

### Rosyjska demokracja umiera, zanim się narodziła

W Nowy Rok w Piotrogrodzie, stolicy Rosji i centrum bolszewickiej rewolucji, atmosfera jest wyjątkowo napięta. Utworzona przez Lenina Rada Komisarzy Ludowych nie panuje nawet nad stolicą, realną władzę mają robotniczo-żołnierskie rady. Miasto pełne jest uzbrojonych grup i zrewoltowanych żołnierzy.

1 stycznia Lenin przemawia na wiecu w Maneżu Michajłowskim. W drodze powrotnej do Instytutu Smolnego towarzyszą mu siostra Maria i szwajcarski socjalista Fritz Platten. Nie ujechali nawet kilometra, gdy huczą strzały. Kule przeszywają karoserię, wybijają szyby w aucie. Kierowca przyspiesza i auto się oddala. Leninowi nic się nie stało, jedynie Platten odniósł niegroźną ranę w rękę. Sprawcy nie zostają ujęci.

Bardziej niż o swoje życie przywódca bolszewików obawia się jednak, że władza jego partii upadnie równie szybko, jak się zaczęła. 5 stycznia rozpoczynają się obrady Zgromadzenia Konstytucyjnego – pierwszego w dziejach Rosji demokratycznie wybranego parlamentu.

Bolszewicy upatrują w Zgromadzeniu konkurencję, dlatego rozpuszczają pogłoski, że posłowie Konstytuanty są narzędziem w ręku kontrrewolucji. Pierwsza strona „Prawdy", organu prasowego partii bolszewickiej, grzmi: „Dziś hieny kapitału i ich najmici chcą wydrzeć władzę z rąk rad!".

Kilka godzin po inauguracji obrad, w nocy z 5 na 6 stycznia, posłowie bolszewiccy opuszczą posiedzenie, ogłaszając, że Zgromadzenie opanowali kontrrewolucjoniści. Chwilę później kontrolowana przez bolszewików straż – mająca w teorii ochraniać budynek parlamentu przed tłumem – oświadczy pozostałym posłom, że „jest zmęczona" i nakaże im opuścić salę obrad.

Osamotnieni parlamentarzyści odroczą posiedzenie do następnego dnia. Ale Zgromadzeniu nie będzie już dane zebrać się ponownie. Żywot rosyjskiego parlamentaryzmu potrwa jeden dzień.

### Pershing gra w golfa, Patton się frustruje

A na drugim końcu Europy codzienne komunikaty z frontu zachodniego od kilku tygodni niosą ten sam lakoniczny przekaz: „nic nowego".

Wykrwawieni w trzeciej bitwie pod Ypres alianci z niecierpliwością wygląda-

ją wejścia do boju Amerykanów. Ci jednak przybyli do Europy dopiero przed kilkoma miesiącami i wciąż nie osiągnęli stanu gotowości bojowej. Ich wojska w większości tkwią w obozach na tyłach, teraz korzystając z okresu świątecznego.

I tak, generał John Pershing, głównodowodzący Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych, sylwestra spędza w Monte Carlo. Na tamtejszym polu golfowym oddaje się ulubionemu zajęciu (rozegra dokładnie 18 dołków). Po południu przez pół godziny gra na pianinie, po czym udaje się do sali gimnastycznej, gdzie spędzi trzy kwadranse. Wieczorem „ze względu na zalecenia lekarza", jak zaznaczy w swym dzienniku, zażywa gorącej kąpieli w tureckiej łaźni (półtorej godziny).

Podwładnym gen. Pershinga jest 32-letni George S. Patton. Później jeden z najsłynniejszych amerykańskich generałów II wojny światowej, już teraz uznawany jest za najbardziej zapalczywego i najmniej zdyscyplinowanego oficera armii amerykańskiej.

Patton terminuje jako dowódca szkoły czołgów w prowincjonalnym Bourg. Na razie szkolenie na nowej broni ogranicza się do wykładów na temat taktyki. Czołgi miały w armii wielu wrogów, ale rozegrana w połowie listopada 1917 r. bitwa pod Cambrai, kiedy 300 brytyjskich maszyn dokonało wyłomu w niemieckich liniach, uświadomiła sceptykom ich niszczycielską siłę.

Patton ma problem: nie dysponuje ani jednym czołgiem. Jego ludzie muszą zadowolić się makietami z dykty, co w emocjonalnym dowódcy budzi frustrację. Aby przeciwdziałać demoralizacji i znaleźć podwładnym twórcze zajęcie, Patton poleca im stworzyć projekt naszywki dla powstającego Korpusu Czołgów. „Chwalimy się, że posiadamy siłę ognia artylerii, ruchliwość kawalerii i zdolność do utrzymania terenu właściwą piechocie. Z tych względów cokolwiek zaprojektujecie, musi zawierać trzy kolory". Krótko po 1 stycznia kilku poruczników przedstawia mu swoją propozycję. To żółto-czerwono-niebieski trójkąt (do dziś symbol wojsk pancernych USA).

### Chiński kulis na francuskim froncie

Wojna toczy się nie tylko na froncie. Na zapleczu frontu zachodniego rośnie zapotrzebowanie na ręce do pracy. Rozwiązaniem okazuje się sprowadzenie z Chin robotników kontraktowych. Pod koniec 1917 r. jest ich już 140 tys. Utworzony przez chińskich kulisów korpus pracy podlega naczelnemu dowództwu i wykonuje zadania pomocnicze.

**W prasie polskiej** pojawiają się pierwsze ostrzeżenia przed „bolszewickim niebezpieczeństwem", którego forpocztą mają być „różnej maści agitatorzy".

Trudne warunki, skąpe racje żywnościowe i brutalność niektórych podoficerów prowadzą do napięć, a nawet niewielkich rebelii. W grudniu 1917 r. buntują się Chińczycy i Egipcjanie pracujący przy rozładunku transportów przypływających do portu w Boulogne. Dowódca Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych Douglas Haig zezwala na otwarcie ognia, ginie 27 strajkujących (żaden nie był uzbrojony).

Tuż przed Bożym Narodzeniem kilku chińskich robotników ze 151. batalionu zabija w okolicach Bailleul znienawidzonego brytyjskiego sierżanta. Zorientowawszy się w grożących konsekwencjach, podejmują próbę ucieczki, ale zostają ujęci. Represje są masowe: do aresztu trafia ponad 90 osób, sąd wojenny skazuje na śmierć osiem z nich.

### Hiszpanka rodzi się w Stanach

Tymczasem za oceanem szaleje zima stulecia. W całych Stanach Zjednoczonych temperatury spadają do rekordowo niskich poziomów i nic nie wskazuje, aby miało tam dojść do znaczących wydarzeń.

Niemal nikt nie zwraca więc uwagi, gdy w styczniu 1918 r. do szpitala w hrabstwie Haskell (stan Kansas) przyjęci zostają pacjenci, u których wystąpiła sięgająca 40 stopni gorączka. Wkrótce połowa z nich umiera.

Przezornością wykazuje się jedynie miejscowy lekarz. Doktor Loring Miner zawiadamia Departament Zdrowia w Waszyngtonie, ostrzegając, że być może mają do czynienia z ogniskiem epidemii. Wkrótce wirus zaatakuje na większą skalę – tak zacznie się śmiercionośny pochód „hiszpanki", jednej z największych epidemii XX w., która zabije ponad 50 mln ludzi na całym świecie (czyli kilka razy więcej, niż zginie do końca I wojny światowej na wszystkich jej frontach).

### Ciąg dalszy nastąpił...

Któż może przypuszczać, że rok później, 1 stycznia 1919 r., Europa i świat będą wyglądać już zupełnie inaczej?

Że od końca października 1918 r. trwać będzie coś, co historycy powinni w zasadzie nazwać najbardziej udanym polskim powstaniem. Bo niepodległość nie zostanie dana w prezencie – trzeba ją będzie wywalczyć, politycznie i militarnie, a potem bronić, jeszcze przez kolejne dwa lata. Choć rozpadną się trzy zaborcze cesarstwa, rodząca się Polska długo będzie krajem bez granic, zagrożonym z wielu stron.

Piłsudski, w listopadzie 1918 r. zwolniony z Magdeburga i mianowany naczelnikiem powstającego z własnego wysiłku państwa, gorączkowo będzie więc organizować wojsko. Powstające oddziały, początkowo złożone z ochotników, często nastoletnich, po sformowaniu od razu będą szły w bój (ci, którzy do niedawna służyli w armiach zaborczych i mieli to szczęście, że przeżyli, często będą chcieć tylko jednego: wrócić do rodzin).

1 stycznia 1919 r. na froncie galicyjskim będą więc trwać zmagania z Ukraińcami o Lwów – wojna, której wynik przekreśli marzenia galicyjskich Ukraińców (będących tam większością ludności) o swym państwie i zaciąży dramatycznie na ich relacjach z Polakami. W Poznaniu i innych miastach zaboru pruskiego od paru dni będą trwać walki z Niemcami (nazwane potem powstaniem wielkopolskim). Gorąco będzie na Śląsku Cieszyńskim i zamieszkanym przez Polaków Zaolziu, do którego aspirować będą Czesi. Na Górnym Śląsku, gdzie zapowiedziany zostanie plebiscyt, będzie się rozwijać polska konspiracja. Wkrótce zaczną się też pierwsze starcia z bolszewikami...

Jednak oczy całego kontynentu zwrócone będą na Paryż, w tym momencie dyplomatyczne centrum globu, gdzie zwycięskie mocarstwa – podpisawszy 11 listopada rozejm na froncie zachodnim – decydować będą o kształcie Europy i świata. Nowy ład zostanie wkrótce przypieczętowany – przynajmniej na papierze – w serii traktatów; z których najważniejsze będą te podpisane w Wersalu (z Niemcami), Saint-Germain-en-Laye (z Austrią) i Trianon (z Węgrami).

Trauma najkrwawszej jak dotąd wojny w dziejach świata zrodzi nadzieję na pokój, który miałby położyć kres nowym wojnom. Ale w rzeczywistości odliczanie do kolejnej już się rozpoczęło. ©

TOMASZ TARGAŃSKI

# By człowiek przeżył

MICHAŁ OKOŃSKI

**Jeśli przypadki pomagania Żydom podczas niemieckiej okupacji zamieniamy w zjawisko masowe, a bohaterskie jednostki klonujemy, czyniąc z nich setki tysięcy, nie tylko fałszujemy rzeczywistość – sprzeniewierzamy się pamięci Sprawiedliwych.**

*„To, co tu słyszę, nie bardzo »pasuje« do rzeczywistości tamtych czasów. Albowiem pewne jest, że w okupowanej Warszawie dużo łatwiej było znaleźć miejsce w salonie, gdzie by pod dywanem został ukryty duży czołg, niżby znalazło się miejsce dla jednego małego dziecka żydowskiego”.*

IRENA SENDLEROWA

EAST NEWS

*Irena Sendlerowa – działaczka społeczna, Sprawiedliwa wśród Narodów Świata*

Podczas okupacji niemieckiej na ziemiach polskich trwał prawdziwy festiwal. Albo jeszcze lepiej: igrzyska. Oprócz skoków narciarskich i piłki nożnej, ulubioną dyscypliną Polaków stało się wówczas ratowanie Żydów. Sport ten uprawiali masowo, odnosząc gigantyczne sukcesy i to mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych oraz kłopotów ze sprzętem.

Że tak się pisać nie godzi? Że nie można robić sobie żartów tam, gdzie chodziło o ludzkie życie – nie tylko o życie ocalałego, ale i ocalającego?

A czym, jeśli nie robieniem sobie żartów była wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego w sejmowym *exposé* o „setkach tysięcy Polaków, którzy ratowali Żydów w czasie drugiej Apokalipsy”? A czym, jeśli nie robieniem sobie żartów, była konferencja „Pamięć i Nadzieja”, zorganizowana we wzniesionym przez o. Tadeusza Rydzyka sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II, z udziałem ówczesnej pani premier i obecnego premiera, ministrów i marszałków, z listami od prezydenta i prezesa PiS, który zechciał przy okazji wspomnieć o kwestii „wieloletniego hołdowania przez polski establishment pedagogice wstydu i wynikającego z niej prowadzenia polityki – by tak rzec – antyhistorycznej”? Czym, jeśli nie żartem, było zdanie wygłoszone wówczas przez Beatę Szydło, że „Żydzi i Polacy wspólnie mieszkali w Polsce, budowali polskie państwo, współpracowali, byli sąsiadami – żyło się im dobrze; pewnie mieli swoje kłopoty, problemy – jak to zawsze”.

Naprawdę, mieli tylko „swoje kłopoty”?

### Wybili, panie

Ach tak, oczywiście, to nie żarty, tylko polityka. Powinniśmy się już przyzwyczaić, że w polityce rzadko chodzi o prawdę. Że pamięć o przeszłości bywa w niej użytecznym narzędziem. Że próba przedstawienia Polski jako kraju, który najbardziej ze wszystkich ucierpiał w czasie II wojny światowej, może być zwyczajnie opłacalna: w czasach, gdy Europa przygląda się z niepokojem próbom ograniczania niezależności naszego sądownictwa czy mediów, można wobec niej użyć moralnego szantażu w stylu Mrożkowej „Monizy Clavier” („A przecież chciałem tylko uprzytomnić im w sposób jasny i przystępny, niejako poglądowy, cierpienia mojego narodu – czytamy w opowiadaniu, wierzyć się nie chce, z 1967 r. – To, że najwidoczniej nie doceniali martyrologii, bardzo mnie rozgniewało”). Nie przypadkiem chyba tak często w ostatnich miesiącach politycy PiS szermują wypowiedziami o niemieckich zbrodniach na terenach Polski i podnoszą kwestie reparacji.

Na marginesie można by zauważyć, że Jarosław Kaczyński i jego podwładni nie są bynajmniej pionierami w kwestii upominania się o domniemane krzywdy na polu stosunków polsko-żydowskich.

O „żydowskiej niewdzięczności i polskim miłosierdziu", by użyć frazy Michała Głowińskiego, mówiono wiele w Marcu '68. Już w inaugurującym kampanię antysemicką przemówieniu z czerwca 1967 r. Gomułka przypominał, że wśród Żydów „uratowali się tylko ci, których Polacy z narażeniem własnego życia przechowywali". W przedstawianie „prawdziwej historii naszych heroicznych zmagań" włączał się ZBOWiD i stojący na jego czele Mieczysław Moczar. Chętnie wydawany w PRL-u Władysław Smólski we wstępie do opublikowanej w 1981 r. książki „Za to groziła śmierć" pisał, że liczba miliona ratujących „nie będzie przesadna". Można by właściwie odetchnąć z ulgą, że premier Morawiecki nie próbował go przebić.

Można by, gdyby nie fakt, że cudowne rozmnażanie Polaków ratujących Żydów w czasie II wojny światowej oznacza obrazę pamięci ludzi naprawdę bohaterskich i słusznie nazywanych Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata. Ludzi, których sprawiedliwość i bohaterstwo zrozumie się w pełni nie tylko powtarzając jak mantrę, że za to, czego się podjęli, groziła z rąk niemieckiego okupanta kara śmierci, ale także pokazując kontekst, w jakim przyszło im dokonywać wyboru.

Kontekst bierności, obojętności czy wręcz wrogości otoczenia. Strachu nie tylko przed karą ze strony okupanta, lecz także przed zdradą sąsiada.

### Kłopotliwe ikony

Jednym z licznych paradoksów tej historii jest ten, że symbole polskiej szlachetności i pomocy dla Żydów kiepsko nadają się na PiS-owskie sztandary.

Zostawmy już na boku Władysława Bartoszewskiego, którego zasługi, jako członka Żegoty i współautora pierwszej książki zbierającej świadectwa o Sprawiedliwych pt. „Ten jest z ojczyzny mojej...", zostały dawno przesłonięte przez polityczne zaangażowania w ostatnim okresie życia. Nie mówiąc o jego pamiętnym zdaniu z wywiadu dla „Die Welt", że bardziej niż Niemca w czasie wojny obawiał się polskiego sąsiada, jeśli ten zauważył więcej niż zwykle kupionego chleba.

Nie kto inny, jak Jan Karski – legendarny kurier AK niosący światu wieści o dokonującej się na ziemiach polskich Zagładzie – pisał w raportach z okupowanego kraju, że (cytuję wersję nieocenzurowaną): „»Rozwiązanie kwestii żydowskiej przez Niemców« – muszę to stwierdzić z całym poczuciem odpowiedzialności za to, co mówię – jest poważnym i dosyć niebezpiecznym narzędziem w rękach Niemców do »moralnego pacyfikowania« szerokich warstw społeczeństwa polskiego", oraz że ta kwestia jest czymś w rodzaju „wąskiej kładki, na której przecież spotykają się z g o d n i e Niemcy i duża część polskiego społeczeństwa". Albo że stosunek Polaków do Żydów jest „przeważnie bezwzględny, często bezlitosny. Korzystają w dużej części z uprawnień, jakie nowa sytuacja im daje. Wykorzystują wielokroć te uprawnienia – często nadużywają je nawet. Zbliża ich to w pewnym stopniu do Niemców".

Także Irena Sendlerowa, bohaterka wydanej w 2017 r. biografii Anny Bikont, na ikonę dzisiejszej polityki historycznej nadaje się tak sobie. Przedwojenna, można by powiedzieć, feministka, pracując w poradni prawnej Sekcji Pomocy Matce i Dziecku przy Obywatelskim Komitecie Pomocy Bezrobotnym pomagała – także w kwestiach związanych z edukacją seksualną i zabezpieczenia przed kolejną ciążą – matkom nieślubnych dzieci i prostytutkom. Opinią „komunistki-filosemitki" cieszyła się już na studiach, a odwiedzając próbujące do końca żyć godnie getto, uczestniczyła w zorganizowanych tam konspiracyjnie, w prywatnym mieszkaniu, obchodach rocznicy rewolucji październikowej, gdzie recytowało się Broniewskiego i wykonywało „Etiudę rewolucyjną" Chopina. Po wojnie przez kilka dekad należała do PZPR, pracowała nawet w Wydziale Socjalno-Zawodowym Komitetu Centralnego tej partii; można by zapytać, czy nie podlega aby ustawie dekomunizacyjnej?

Sendlerowa, z Kościołem bynajmniej niezwiązana, dwukrotnie zamężna – w przypadku drugiego małżeństwa, w czasach PRL ukrywała fakt, że jej mąż i ojciec jej dzieci był Żydem, a jedno z nich poczęło się przed rozwodem z pierwszym małżonkiem, który wojnę spędził w oflagu. I nie było to jedyne przemilczenie, nieścisłość czy koloryzowanie opowieści o własnym życiu przez kierowniczkę referatu dziecięcego podziemnej Rady Pomocy Żydom – Anna Bikont tyleż starannie, co z niezwykłą empatią rekonstruuje biografię swojej bohaterki, podważając np. wiarygodność jej przepięknego skądinąd opisu Korczaka prowadzącego dzieci na Umschlagplatz, albo wielokrotnie powtarzaną historię, że po Marcu '68 córka i syn Sendlerowej nie dostali się na studia ze względu na jej okupacyjne zaangażowanie w pomoc Żydom.

### W ukryciu

Co w tym ważniejsze (i co nie umniejsza odkryć biograficznych Anny Bikont) – książka o Irenie Sendlerowej, tym polskim symbolu Sprawiedliwych, symbolu pomocy Polskiego Państwa Podziemnego dla ofiar Zagłady, jest w gruncie rzeczy opowieścią o straszliwej samotności. Samotności zarówno samej Sendlerowej, jak grupy dzielnych kobiet i mężczyzn, z którymi ratowała żydowskie dzieci.

„Muszę stwierdzić, że uzyskiwaliśmy pomoc jedynie pod pretekstem akcji patriotyczno-polskiej – wspominała bohaterka książki Bikont. – Nauczeni doświadczeniem, nie ujawnialiśmy, że dzieci są żydowskie, podawaliśmy jedynie, że są to dzieci polskie po działaczach niepodległościowych". Przytaczała też słowa jednego ze spotykanych podczas okupacji znajomych: „Sendlerowa, takich jak wy to po wojnie my będziemy wieszać na latarni pod Ratuszem". Albo otrzymywane już po 1945 r. anonimy, np.: „Ty Żydówico, wynoś się jak najprędzej do Palestyny, bo jak nie wyjedziesz, to ci zabijemy twoje ukochane dzieci".

„Sendlerowa nie jest symbolem bohaterstwa narodu polskiego, [ona] była w swoim bohaterstwie przeciwko swemu narodowi" – podsumowuje lapidarnie Bikont. Dużo mocniej wyrażają to jej ocalałe rozmówczynie.

„Sendlerowa ratowała mnie z rąk innych Polaków. Ona sama była przerażona Polakami" – to słowa Renaty Skotnickiej-Zajdman, skądinąd po wojnie zaangażowanej w dialog polsko-żydowski w Kanadzie. W jej świadectwie o życiu w kryjówce nie zabraknie opowieści na temat gwałtów, których dopuszczali się przychodzący do wsi, jak mówiła, „partyzanci" („Ten mój był kuzynem gospodarzy i zachodził do nich często. Jak pierwszy raz poszedł za mną do stodoły, chciałam krzyczeć, a on: »Cicho siedź, Rebeka«"). Albo o dialogu z pociągu, toczonym bez skrępowania obecnością współpasażerów: „Kupiłam Żyda, a ten skurwysyn nie miał nawet złotego zęba". „Następnym razem weź Żydowicę młodą, one w piździe mają złoto".

Pytanie, jakie Skotnicka-Zajdman zadaje Annie Bikont, brzmi: co by było, gdyby zgłosiły się do niej dzieci gwałciciela, że chcą dla ojca medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. „Uratował mi życie. Powiedz, co ty myślisz? Że mam mu być wdzięczna?".

### Awers i rewers

To jeden z kontekstów toruńskiej konferencji o. Rydzyka i *exposé* premiera Morawieckiego. Jeden, bo w niemalowanej historii polskiego pomagania jest ich dużo więcej. Choćby ukrywanie Żydów za pieniądze: czy ów dość szeroko ↦

↦ rozpowszechniony „przemysł pomocy", jak określił go historyk Holokaustu Jan Grabowski, powinien podpadać pod kategorię „ratowania"? Jakiekolwiek byłyby motywy człowieka decydującego się dać ściganym schronienie, rzeczywiście ryzykował on własnym życiem – i jeśli wywiązał się z umowy, ich życie ratował. Zresztą: kogo było stać na karmienie ludzi miesiącami na własny koszt, bez kartek, gdy żywność trzeba było kupować na czarnym rynku?

Inny kontekst: skomplikowanie psychologicznej relacji między ratującym i ratowanym. W roczniku „Zagłada Żydów" z 2008 r. Barbara Engelking opisywała jej powikłanie na przykładzie prowadzonego w ukryciu dziennika Feli Fischbein, ukrywanej przez Katarzynę Dunajewską we wsi Wola Komborska: wielomiesięczne uzależnienie od osoby udzielającej pomocy doprowadziło tam do powstania straszliwego resentymentu. „Zupełnie zdani jesteśmy na nich, tylko co oni zechcą, to z nami zrobią. A boimy się ich, naprawdę mówiąc" – pisała Fischbein. I podsumowała: „Gospodarz chce duszę, gospodyni chce dom nasz, córka starsza nie miesza się, nie chce nas, nie chce naszych pieniędzy, młodsza chce rękawiczki (za to gotowa nas wydać), a syn szalenie lubi nasze pieniądze, a nas nienawidzi serdecznie".

Oczywiście – zwraca uwagę kilka stron dalej tego samego numeru „Zagłady Żydów" Joanna Tokarska-Bakir i jest to kolejny kontekst opowieści o ratowaniu – „żydowska niewdzięczność" nie jest do końca zmyśleniem. Stanowi raczej rewers polskiej opowieści, przedstawiającej wyłącznie rycerskich i szlachetnych supermenów. „Żydzi, których pamięć wypełniona jest bólem po Zagładzie, w odruchu krzywdy zdają się w ogóle zaprzeczać istnieniu Sprawiedliwych" – zauważa Tokarska-Bakir, ale jej tekst pełen jest również relacji o strachu tych, którzy decydowali się na ukrywanie Żydów; strachu, że dowiedzą się o tym sąsiedzi. Strachu trwającym jeszcze przez lata powojenne.

Powiedzmy i to: nawet rodzina Ulmów z Markowej, której w ostatnich latach nasze państwo – jakże słusznie – oddaje honory, zginęła na skutek donosu polskiego policjanta. Przypomnijmy też, że Irena Sendlerowa była w czasie okupacji aresztowana na podstawie donosu sąsiadki (trzymana na Pawiaku, została w końcu wypuszczona podczas drogi na rozstrzelanie, dzięki łapówce zapłaconej przez podziemie). I że kilka miesięcy później znalazła się na liście proskrypcyjnej sporządzonej przez Referat Żydowsko-Komunistyczny Centrali Służby Wywiadowczej Narodowych Sił Zbrojnych. Pod koniec lat 50. rozważała nawet emigrację do Izraela, prosząc jedną z uratowanych przez siebie osób o sprawdzenie, czy mogłaby się tam urządzić, „ponieważ jej dzieci są Żydami, a ona ma kłopoty od sąsiadów".

**Niemalowana historia** polskiej pomocy dla Żydów to same paradoksy. I pytania, na które trudno odpowiedzieć. Lepiej być powściągliwym w strzelaniu do siebie statystykami.

### Na szali

Ilu było ratujących? Z pewnością nie setki tysięcy – jeśli już, to bardziej na miejscu byłaby fraza „dziesiątki tysięcy".

Są tacy, którzy próbują to policzyć. Są tacy, którzy zwracają uwagę na fałszywość założenia, że w ratowanie jednej osoby musiało być zaangażowanych kilkanaście osób (bywało odwrotnie – kilkanaście osób ratowało się dzięki jednej; na prowincji – jak szacowała niegdyś Zuzanna Schnepf-Kołacz, współautorka książki „Zarys krajobrazu", wydanej przez Centrum Badań nad Zagładą Żydów – na dziesięciu Sprawiedliwych przypadało dwunastu ocalałych). W sumie na terenach polskich Zagładę przeżyło kilkadziesiąt tysięcy Żydów; wielu zginęło mimo udzielanej im pomocy. Czy kilkadziesiąt tysięcy to dużo? Mało? Czy w ogóle godzi się zadawać takie pytania, zwłaszcza w kontekście liczby tych, którzy nie przeżyli?

Mieszkam od niedawna w Niepołomicach. Na tutejszym cmentarzu żydowskim znajduję tabliczkę: „Kochani rodacy, tu spoczywa pierwszy rabin w Niepołomicach, ok. 58 lat, ś.p. Josef Tetelbaum. B. proszę szanować ten grób – wdzięczny Eliasz Richter, Jesodot, Jisrael, jedyny z rodziny pozostały z Zagłady Hitlera". Zdanie „b. proszę szanować ten grób" czytam też jako apel o powściągliwość w strzelaniu do siebie statystykami.

### Pytania bez odpowiedzi

Lepiej opowiadać pojedyncze, ludzkie historie – zwłaszcza tak, jak robi to Anna Bikont. Nie pomijając kwestii najtrudniejszych. „Dlaczego nie kochali mnie tak, żeby chcieć ze mną umrzeć?" – pyta autorkę „My z Jedwabnego" Margarita Turkow o swoich rodziców, którzy w trakcie likwidacji warszawskiego getta zdołali odesłać ją na aryjską stronę właśnie dzięki pomocy Ireny Sendlerowej. Ukrywana przez polską i chrześcijańską rodzinę dziewczynka była bita, poniżana i molestowana. Czy w świecie operującym pojęciami „pedagogika wstydu" i „polityka – by tak rzec – antyhistoryczna" można znaleźć odpowiedź na jej pytanie?

Jasne: była wojna. Życie ludzkie staniało. Demoralizacja była gigantyczna. Walka o przetrwanie miała wymiar dosłowny, także materialny. Trzeba też pamiętać, że antysemityzm był w ostatnich latach II Rzeczypospolitej ideologią niemal państwową, antyjudaizm zaś – kościelną. Nas, dziś żyjących, nie sprawdzono. Nie wiemy, jak byśmy się w podobnych okolicznościach zachowali. Marek Edelman zauważał, że aby przetrwać, Żyd musiał mieć pieniądze, „dobry" wygląd i znajomych po aryjskiej stronie. Samo słowo „pomaganie" również brzmi sucho – nie oddaje istoty rzeczy. Szaleńczej odwagi. Uczciwości. Miłości bliźniego. Altruizmu. Poświęcenia.

„Jaka siła sprawiła, że chociaż w tej samej wsi spłonęło gospodarstwo razem ze znalezionymi tam Żydami i ukrywającą ich rodziną chłopską, Pagosowie zde-

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

*Kaplica Pamięci Męczenników Polskich, Sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II, Toruń, listopad 2017 r.*

cydowali się dalej przechowywać braci Weitów? – zastanawia się Jacek Leociak w książce „Pomaganie", opisując historię ze wsi Gruszów pod Dąbrową Tarnowską. – Abram po latach relacjonował: »Stanisław się wtedy załamał, ale nie powiedział, żebyśmy poszli. 'Moje życie jest związane z waszym życiem' – rzekł i nic więcej«".

### W płomieniu

Tym bardziej trzeba mówić i pisać ostrożnie. Tym bardziej trzeba oddawać sprawiedliwość takim ludziom jak niepiśmienna Marianna Barańska ze wsi Sabinów. „Podczas okupacji przechowywałam u siebie Żyda Łaska Oszera prawie trzy lata – relacjonowała po wojnie. – Przed tym go nie znałam. Zrobiłam to dlatego, by człowiek przeżył. Prócz tego przebywał u mnie Majerholc rok czasu. Pieniędzy u nich nie brałam. Chciałam ludzi ratować, życie jest drogie".

Innymi słowy: heroizm nie jest normą społeczną i nie wyznacza powszechnie obowiązujących standardów zachowania. Jest, jak przypomina Leociak, „odstępstwem od normy" i przeciwstawieniem się instynktowi samozachowawczemu w imię wartości wyższych niż zachowanie własnego życia. Jeśli zamienimy opowieść o pomaganiu w zjawisko masowe, a bohaterskie jednostki sklonujemy, nie tylko zafałszujemy rzeczywistość: pogrążymy Sprawiedliwych w odmętach banału. „Naturalnym odruchem każdego z nas jest cofnięcie ręki, kiedy znajdzie się w pobliżu płomienia – pisze autor „Pomagania". – Ci, którzy odważyli się pomagać Żydom, narażając życie swoje i bliskich, potrafili trzymać rękę w płomieniu i nie cofać jej".

To perspektywa moralisty. Może ją, niestety, uzupełnić obserwacja historyka.

Kiedy w 1942 r. w Delegaturze Rządu na Kraj trwały rozmowy o stworzeniu organizacji pomocy Żydom, reprezentanci Stronnictwa Narodowego byli przeciwni i sprawa się przeciągała. Decyzja o uruchomieniu – niewystarczających, rzecz jasna – pieniędzy (5 proc. całego budżetu opieki społecznej Państwa Podziemnego) i utworzeniu Komitetu Pomocy Społecznej dla Ludności Żydowskiej zapadła dopiero 27 września 1942 r., trzy lata po wybuchu wojny i kilka dni po zakończeniu „Grossaktion Warschau". „Większość polskich Żydów już wtedy nie żyła – pisze Anna Bikont. – Zginęli rozstrzelani w czasie likwidacji gett albo zagazowani w obozach śmierci".

### Prawdziwy pomnik

Tak, Irena Sendlerowa jest bohaterką. Jedną z największych, jakie Polska wydała w XX wieku. Ze wszystkim, co o niej wiemy.

Ze społecznikowsko-lewicowym zaangażowaniem, demonstrowanym przecież nie tylko w czasie niemieckiej okupacji, ale także przed i po wojnie. Z bezgraniczną odwagą i fantastycznym zorganizowaniem zarazem – bo przecież trzeba dodać, że większość uratowanych dzięki niej żydowskich dzieci nie widziała jej na oczy, a ona sama zajmowała się głównie logistyką operacji wyprowadzania ich z getta i organizowania bezpiecznych kryjówek. Z bezlitośnie trzeźwą obserwacją, że swoją popularność w ostatniej dekadzie życia (zmarła w 2008 r., damą Orderu Orła Białego została 5 lat wcześniej) zawdzięczała temu, że „po Jedwabnem potrzebny był bohater" („Jestem narodowym alibi" – pisała w jednym z listów). Ze wspomnianymi już zmyśleniami i koloryzowaniem okupacyjnych historii (z pełnym przekonaniem powtarzała np., że uratowała 2,5 tys. dzieci – Bikont udowadnia, że ta liczba też jest potężnie zawyżona). W końcu: z ceną, jaką zapłaciła w swoim życiu osobistym.

„Irena mówiła, że się rozwodzą, potem się schodzą, potem znów rozwodzą, i tak to trwało" – powie jedna z jej przyjaciółek Annie Bikont. W końcu mąż, ten drugi, wyprowadzi się, a ona wróci do pierwszego, z którym po latach kolejny raz się rozwiedzie (jego syna zaś odda w międzyczasie do domu dziecka). Własne dzieci matki w zasadzie nie widywały. „Swoje uczucia, swój czas oddawała innym, a ze mną i z bratem uprawiała pedagogikę telefoniczną: kontrola zjedzonego posiłku, odrobionych lekcji. Kiedy szłam do pierwszej klasy, ani mama, ani ojciec nie mieli dla mnie czasu, odprowadziła mnie przyjaciółka mamy" – opowiada córka Ireny Sendlerowej autorce jej biografii. Puentując jeszcze mocniej: „Niezwyczajność mojej mamy polega na tym, że wszystkie dzieci miały mamę, a ja mamy nie miałam". Sama napisze zresztą o tym, robiąc pod koniec życia rachunek sumienia: „Oni nigdy mnie np. dziś nie pocałują, bo mówią: »Teraz chcesz nas całować – a gdzie byłaś?? jak myśmy byli mali i czekaliśmy na Twe pocałunki??«".

Na okładce książki Anny Bikont, ze zrobionego w 1943 r. zdjęcia Irena Sendlerowa spogląda jednym okiem – drugie jest poza kadrem. Jakby chciała powiedzieć, że patrzymy na historię w sposób ograniczony. Że, choć trzeba próbować, nigdy nie da się jej w pełni zobaczyć, zrozumieć i opowiedzieć.

Naprawdę, lepiej nie zamieniać jej w polityczny oręż. ©℗

MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK
NAUKA

# ZACZĘŁO SIĘ

Po cichu i konsekwentnie sztuczna inteligencja wdziera się w kolejne dziedziny naszego życia. Najlepiej sobie radzi, gdy w jej samorozwoju nie przeszkadzają ludzie.

ŁUKASZ LAMŻA

CHRIS MCGRATH / GETTY IMAGES

*„Archive Dreaming", artystyczna instalacja Refika Anadola z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, Stambuł, maj 2017 r.*

27 maja 2017 r. został zamknięty ważny rozdział w historii sztucznej inteligencji. Program komputerowy AlphaGo pokonał Ke Jie, najlepszego dziś zawodnika w chińskiej grze planszowej go. Od 1997 r., kiedy DeepBlue pokonał Garriego Kasparowa w szachy, to właśnie go stanowiło ostatni bastion dominacji człowieka nad maszyną na gruncie klasycznych gier logicznych. W uznaniu swoich zasług AlphaGo otrzymał od koreańskiej federacji Korea Baduk Association honorowe 9 dan – najwyższy stopień, jaki można uzyskać w światowym rankingu tej gry.

Niespełna rok wcześniej, w czerwcu 2016 r., algorytm AIVA został wpisany na listę francuskiego Stowarzyszenia Autorów, Kompozytorów i Wydawców Muzycznych SACEM – tamtejszego odpowiednika ZAiKS-u. Uznano, że utwory AIVY, która specjalizuje się w komponowaniu muzyki filmowej, są na tyle swoiste, że stworzone przez nią kompozycje powinny być podpisywane jej „własnym" imieniem, a nie nazwiskami programistów. W kwietniu 2017 r. utwory AIVY zostały wykonane przez orkiestrę symfoniczną w Awinionie.

Rok 2017 był też interesujący ze względów medycznych. Na początku czerwca na spotkaniu Amerykańskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej (ASCO) ogłoszono postępy IBM w rozwijaniu algorytmu pomagającego lekarzom wybierać optymalną ścieżkę terapeutyczną w leczeniu niektórych nowotworów. W wielu szpitalach na świecie program ten („*Watson for Oncology*") jest obecnie badany pod kątem jakości proponowanych przez niego diagnoz i terapii. Amerykański portal medyczny STAT (www.statnews.com) podał jednak, że lekarze w mongolskim szpitalu Songdo w Ułan Bator, w którym nie pracuje ani jeden specjalista onkolog, postępują praktycznie zawsze zgodnie ze wskazówkami Watsona.

Czy mamy się bać? Cieszyć? A może – jak zwykle – nie przejmować się za bardzo? Przecież nic strasznego się nie dzieje... Prawda?

## Kartonik średnio tłustego mleka

W powieściach i filmach sztuczna inteligencja (*artificial intelligence*, AI) to głównie zbuntowane maszyny zapędzające ludzkość do podziemi albo śliczna androidka błagająca o kolejny rok życia. Czy to kwestia tradycji literackiej, czy po prostu naszego naturalnego nawyku wybiegania w przyszłość – AI szczególnie lubi się z *science fiction*. Stąd poczucie, że sztuczną inteligencję można włożyć sobie do tej samej mentalnej szufladki, w której spoczywają maszyny do teleportacji, latające samochody i nadświetlne statki kosmiczne. Nastawienie to może nas jednak podświadomie znieczulić na obecność AI w życiu codziennym i rzeczach przyziemnych.

A to przecież AI pomogło nam dzisiaj rano znaleźć najbliższe kino, przeprowadziło nas przez proces zakupu biletu, wyznaczyło nam trasę, a następnie kierowało nami w korku. Każdy, komu system kontroli trakcji pomógł kiedykolwiek uniknąć poślizgu, zawdzięcza swoje zdrowie, a może i życie, sztucznej inteligencji.

John McCarthy, zmarły w 2011 r. pionier współczesnej komputerowej sztucznej inteligencji, definiował ją bardzo ostrożnie: jako sztukę i praktykę tworzenia inteligentnych maszyn, a w szczególności inteligentnych programów komputerowych. Inteligencję zaś jako „obliczeniowy aspekt zdolności do osiągania celów w świecie". To bardzo pojemna definicja, która sprowadza nas przy tym na ziemię. Mamy zwykle tendencję, zwłaszcza gdy przychodzi do porównywania się z komputerami, do utożsamiania inteligencji z najwyższymi, najbardziej zaawansowanymi mocami człowieka: wytwórczością artystyczną, kreatywnością językową czy zdolnością do prowadzenia dysput filozoficznych. A przecież przejawem inteligencji jest też umiejętność zawiązania sznurowadła albo nabycia w sklepie małego kartonika mleka średnio tłustego.

Raymond Kurzweil, informatyk i futurolog, zidentyfikował kiedyś ironicznie „model standardowy" każdego kolejnego kroku w rozwoju AI. Najpierw uznaje się pewne ludzkie osiągnięcie intelektualne za niewykonalne dla maszyny. Następnie pojawia się program dokonujący tego osiągnięcia. Następnego dnia eksperci ogłaszają, że nie świadczy to wcale o inteligencji, a rzeczywistym kamieniem milowym jest coś zupełnie innego. *Da capo al fine*. Za schematem tym kryje się prosta prawidłowość psychologiczna: gdy już wiemy, w jaki sposób zrekonstruować pewną czynność „w krzemie" (*in silico*), przestaje być ona dla nas tajemnicza i nawet w naszym własnym wykonaniu jawi się jako „po prostu wykonanie pewnego zestawu kroków" (czyli algorytmu).

Obserwacja ta mówi nam tyleż o rozwoju AI, co o nas samych. Mamy tendencję do mierzenia AI standardami, które są nie tylko z każdym rokiem coraz wyższe, ale także coraz bardziej nierealistyczne nawet w zastosowaniu do ludzi. Ilu z nas, czytając przywołane na wstępie trzy przykłady, nie pomyślało w cichości ducha: „Ten AlphaGo, ta AIVA, ten Watson – to po prostu głupie programy, które przetwarzają, może i w bardzo skomplikowany sposób, treści, których same nie wygenerowały"? Z odruchem tym są dwa podstawowe problemy. Po pierwsze, o których naszych ↦

↦ czynnościach intelektualnych nie można powiedzieć tego samego? Na czym właściwie polega proces uczenia – gracza w go, muzyka, onkologa – jeśli nie na przyswajaniu olbrzymiej ilości konkretnych przypadków, a następnie „przetwarzaniu ich w bardzo skomplikowany sposób"? Po drugie, zjawisko kreatywności – rzeczywistego, zaskakującego ekspertów nowatorstwa – powoli zaczyna występować w AI.

### Klęska uniwersalnego geniusza

Zanim przyjrzymy się obszarom, w których AI naprawdę może nas zadziwić w 2018 r., wspomnijmy o dziedzinie, w której AI ponosi, jak na razie, klęskę. Mowa o ideale „uniwersalnego sztucznego umysłu", czyli czegoś, co realizuje właściwą ludziom ogólność rozwoju: przeciętny człowiek potrafi przynajmniej jako tako poradzić sobie w sklepie i u lekarza oraz owinąć szmatą cieknącą rurę. Naukowcy szybko zidentyfikowali źródło tej uniwersalności: wynika ona z nagromadzonej przez przeciętnego człowieka niewyobrażalnej wręcz objętości wiedzy zdroworozsądkowej. Najsłynniejszym projektem odtworzenia „uniwersalnego umysłu" *in silico* był projekt o frapującej dla polskiego ucha nazwie „*Cyc*".

„*Cyc*" (wym. *sajk*) to środkowy człon słowa „*encyclopedia*". Twórca tego projektu, Douglas Lenat, rozpoczął w 1984 r. tytaniczną pracę gromadzenia bazy „wiedzy powszechnej", która pozwoliłaby maszynie osiągnąć inteligencję dorosłego człowieka. Jaka to wiedza? Drzewa to rośliny. Rośliny potrzebują wody. Woda jest mokra. Mokre ubrania są niewygodne. Ludzie nie lubią nosić rzeczy niewygodnych. I tak dalej. W 2002 r. system ten zawierał 6 tys. pojęć i 60 tys. faktów. Dzięki pomocy społeczności internetowej w ciągu 10 lat baza danych OpenCyc urosła do 239 tys. pojęć i 2,1 mln faktów. Chociaż losy projektu Cyc są zawiłe i trudno je jednoznacznie podsumować, większość ekspertów zgadza się, że w taki czy inny sposób był on porażką. Metodą tą nie udało się nauczyć maszyn „zdrowego rozsądku" i do dziś nie powstał program, który wykazywałby choćby w minimalnym stopniu ogólną „umysłowość typu ludzkiego".

Praktyczną realizacją ideału uniwersalnej AI miały być boty konwersacyjne: programy komputerowe, z którymi można porozmawiać „jak człowiek z człowiekiem". Od lat organizowane są konkursy, w trakcie których coraz bardziej wyrafinowane programy sprawdzane są ze względu na to, czy obserwator ludzki potrafi odróżnić pogawędkę z nimi (za pośrednictwem komunikatora tekstowego) od rozmowy z drugim człowiekiem. Jest to praktyczna realizacja tzw. testu Turinga, opisanego w 1950 r. przez matematyka i pioniera informatyki Alana Turinga. I choć z roku na rok przedstawiane są coraz to bardziej wyrafinowane boty konwersacyjne (czempionem ostatnich lat jest np. sympatyczna botka Mitsuku), wystarczy kilka minut rozmowy, by obnażyć ich ograniczenia. Ja sam, nawet przy najlepszych chęciach, rozmawiając ze wszystkimi komputerowymi mistrzami konwersacji z ostatnich lat (Mitsuku, Rose, ALICE czy Jabberwacky), po chwili czułem znużenie i irytację.

**W powieściach i filmach**

AI to głównie zbuntowane maszyny zapędzające ludzkość do podziemi albo śliczna androidka błagająca o kolejny rok życia.

### Dobre zagranie

Pogawędka z komputerem może na razie należeć do nieosiągalnych marzeń, ale przecież formą komunikacji jest też jednak gra. Gdy patrzy się na pogrążonych w rozgrywce szachistów, trudno oprzeć się wrażeniu, że na szachownicy dochodzi do znacznie bardziej intensywnego, intymnego i emocjonującego kontaktu niż na płaszczyźnie werbalnej.

Już w 1952 r. Arthur Samuel z IBM napisał pierwszy program grający w warcaby, ponoć nie najgorzej. W 1968 r. pojawił się pierwszy program (MacHack) grający w szachy na poziomie początkującego zawodowca (ok. 1500 punktów w skali Elo). W 1994 r. program Chinook pokonał już mistrza świata w warcaby angielskie (te z trzema rzędami pionów), a w 1997 r. nastąpiła słynna porażka Garriego Kasparowa z DeepBlue. Do historii przeszedł wywiad z Kasparowem, w którym arcymistrz, zdruzgotany po porażce, stwierdził, że przez całą ostatnią partię miał nieodparte wrażenie, że walczy z kimś, a nie z czymś. Wrażenie to było na tyle silne, że Kasparow oskarżył później IBM o oszustwo, sugerując, że w rzeczywistości niektóre ruchy wykonywał człowiek, a nie maszyna.

W tym samym 1997 r. w niewielkim, 2,5-milionowym chińskim mieście Lishui urodził się Ke Jie, który od 2014 r. zajmuje pierwsze miejsce we wszystkich najbardziej prestiżowych rankingach go. Ta starochińska gra łączy w sobie prostotę zasad z niebywałą złożonością rozgrywki, która odbywa się na planszy (*goban*) składającej się z 19 linii poziomych i 19 pionowych, tworzących 361 przecięć, na których gracze kładą naprzemiennie białe i czarne kamienie. O ile Kasparow do dziś dąsa się na DeepBlue (jeszcze w wywiadzie z 2005 r. stwierdził, że podejrzewa oszustwo), Ke Jie po swojej ubiegłorocznej porażce z AlphaGo z chęcią wziął udział w długiej analizie rozgrywek, komentując je krok po kroku i testując, wraz z twórcami AlphaGo, alternatywne ruchy, które mógł był wykonać.

Bezpośrednio po majowej przegranej i po żmudnej analizie swoich rozgrywek z komputerem Jie wygrał 22 kolejne spotkania z ludzkimi graczami – wyczyn, który nawet w przypadku arcymistrza należy do rzadkości. Jie mówi wprost, że inspiruje się AlphaGo zwłaszcza na najwyższym poziomie strategicznym: „AlphaGo widzi cały wszechświat Weiqi [chiń. „go"]; ja widzę tylko jego mały obszar".

Ponieważ go od dekad uważano za najtwardszy orzech do zgryzienia dla sztucznej inteligencji, wynik rozgrywki AlphaGo–Jie można uznać za symboliczny początek nowej relacji pomiędzy ludźmi a maszynami w świecie gier planszowych. Kwestia wyższości maszyn nad człowiekiem w tej konkretnej dziedzinie naszego życia intelektualnego została ustalona. Pytanie – co z tym faktem zrobić?

Twórcy AlphaGo nie poprzestali na go. Jego zasady działania są zwodniczo proste: po ręcznym zaprogramowaniu elementarnych reguł gry przez człowieka algorytm uczy się sam, rozgrywając partie przeciwko samemu sobie. Jest to na tyle ogólna metoda, że na początku grudnia kuzyn AlphaGo, AlphaZero, został nauczony szachów, aby zmierzyć się z najlepszym dotychczas programem szachowym Stockfish 8 (bo przecież nie z człowiekiem...). Proces uczenia się królewskiej gry zajął cztery godziny (!), po których przeprowadzono kolejno 100 rozgrywek. AlphaZero wygrał 28 i zremisował 72 razy. Drugi w światowym rankingu szachowym Duńczyk Peter Heine Nielsen, zapoznawszy się z zapisem tych partii, powiedział zdumiony: „Zawsze zastanawiałem się, jak by to było, gdyby jakiś wyżej rozwinięty gatu-

nek wylądował na Ziemi i pokazał nam, jak gra w szachy. Teraz chyba wiem". Co istotne, zwycięstwo to nie wynika po prostu z brutalnej siły obliczeniowej. Stockfish 8 rozważa ok. 70 mln możliwych ruchów na sekundę, AlphaZero – tylko 80 tys. To nie jest triumf oparty tylko na szybszym procesorze i pojemniejszej pamięci, lecz raczej na zupełnie nowej, „organicznej" metodzie uczenia.

### Sztuka, rzemiosło i wszystko, co pomiędzy

AlphaGo wykazał się wprawdzie nowatorstwem, jeśli nie po prostu kreatywnością, trzeba jednak przyznać, że go czy szachy należą do tych silnie intelektualnych przejawów ludzkiej aktywności. W tym sensie triumf maszyny nad człowiekiem – choć wspaniały i umykający nam przez dziesięciolecia – nie jest aż tak bardzo zaskakujący. Co jednak ze sztuką, która wydaje się domagać nie tylko kreatywności, ale również zmysłu estetycznego i wrażliwości emocjonalnej? Obecność AI w tej dziedzinie, paradoksalnie, jest z roku na rok większa – ale to tylko dlatego, że Wielka Sztuka zsyłana na nas przez Muzy i Aniołów jest po sąsiedzku z tą całkiem zwyczajną, codzienną sztuką, zsyłaną przez Deadline i Przetarg Otwarty Nieograniczony.

Ot, AIVA. Wspomniany już algorytm tworzy naprawdę miło brzmiące kompozycje – zwłaszcza, kiedy zostaną one zaaranżowane i wykonane przez profesjonalną orkiestrę symfoniczną. Polecam sprawdzić samodzielnie, wpisując w ulubioną wyszukiwarkę frazę „AIVA Genesis" („Genesis" to tytuł fantazji symfonicznej w a-moll, op. 21). To muzyka, która mogłaby świetnie sprawdzić się jako filmowa – po to zresztą stworzono AIVĘ. W maju 2017 r. na konferencji dla początkujących firm PYSU 2017 jej twórcy śmiało stwierdzili: „Następny krok: Hollywood". I choć nikt nie spodziewa się, że AIVA stanie się następnym Brianem Eno czy Johnem Williamsem, nie zapominajmy, że w samym tylko Hollywood powstaje ok. 500 nowych filmów rocznie.

Ze szczególną ostrością ilustruje to fakt często zapominany w dyskusji nad AI: bywa ona po prostu narzędziem mającym spełniać określoną funkcję. Nie wszyscy twórcy AI mają przed oczami filozoficznie ekscytujące, abstrakcyjne cele. Sztuczna inteligencja ma również dostarczać rzeczy, które są poprawne i funkcjonalne, jak choćby 40 minut przyzwoitej muzyki filmowej, która będzie stanowiła odpowiednie tło dla zmagań pewnego policjanta, który postanowił rzucić wyzwanie chińskiej mafii, nawet jeśli będzie to oznaczało złamanie prawa i podłożenie paru ładunków wybuchowych.

**Czy to tak wielka sztuka** napisać, jaki był wynik zakończonego meczu? Podbijanie przez AI nowych terytoriów mówi tyleż o kreatywności maszyn, co nas samych.

W 2018 r. może więc naprawdę ukazać się film, dla którego muzykę napisze jakiś algorytm. Jest też względnie prawdopodobne, że któreś z polskich mediów zdecyduje się powierzyć sztucznej inteligencji pisanie krótkich tekstów dziennikarskich raportujących względnie nieskomplikowane fakty. „The Washington Post" we wrześniu 2017 r. zamknął trwający rok pilotażowy projekt o nazwie Heliograf, będący automatycznym generatorem krótkich treści dziennikarskich, głównie tweetów. Umówmy się – czy to naprawdę tak wielka sztuka napisać, jaki był wynik zakończonego właśnie meczu futbolowego? Podbijanie przez AI nowych terytoriów mówi nam tyleż o poziomie kreatywności maszyn, co o nas samych.

### Doktor Watson

Istnieje wiele powodów, dla których sztuczna inteligencja wydaje się być stworzona dla zastosowań medycznych; większość z nich ma związek z kwestią potężnej ilości danych, jaka jest obecna w naukach medycznych i w praktyce lekarskiej. Obróbka danych to zaś naturalny żywioł komputerów. Przeprowadzenie pięciominutowej pogawędki o polityce i sporcie przekracza możliwości wszystkich komputerów świata razem wziętych, ale każdy z nas posiada pod ręką urządzenie, które potrafi zapamiętać milion artykułów naukowych i w ciągu paru sekund przywołać wszystkie miejsca, w których padają w nich słowa „guz tarczycy". To potęga, którą wręcz trudno sobie wyobrazić. Problemem jest oczywiście zapanowanie nad tymi danymi i doprowadzenie ich do postaci „użytecznej".

Rok 2017 był wyjątkowy dla AI m.in. dlatego, że po raz pierwszy upublicznione zostały udane przykłady właśnie takiego „pożytku" z dużych danych. W styczniu na Uniwersytecie Stanforda opisano algorytm analizujący zdjęcia zmian skórnych, który potrafi równie dobrze, co dermatolodzy (i to bardzo dobrzy dermatolodzy, którzy wiedzieli, że biorą udział w badaniu naukowym), oceniać prawdopodobieństwo, że dana zmiana ma charakter złośliwy. Co ważne, testowana była zdolność programu do analizy zdjęcia wykonanego telefonem komórkowym. Jest to tak oczywista bomba etyczna, że narzucający się projekt upublicznienia tego algorytmu w postaci darmowej aplikacji został wstrzymany na czas nieokreślony. Nikt nie wie, w jaki sposób poradzić sobie z problemem naturalnie wynikającej z takiego wynalazku erozji zaufania do lekarza czy odpowiedzialności prawnej „sztucznego lekarza".

Wspomniany na wstępie Watson to drugi „gorący kartofelek", który na razie pozostaje niezdarnie przerzucany między środowiskiem informatyków a lekarzy. Istnieją wstępne raporty, które pokazują, że ścieżki terapeutyczne „sugerowane" przez ten algorytm bywają podobne, a czasem praktycznie identyczne, do tych wybieranych przez wykwalifikowanych onkologów. O ile, czysto teoretycznie, każdy pacjent jest inny, o tyle ograniczenia czasu i dostępności personelu sprawiają, że często istnieją „standardowe ścieżki postępowania", względnie łatwe do przewidzenia. Jest to szczególnie bolesny problem choćby w Indiach, gdzie na milion obywateli przypada 1,5 onkologa (dla porównania: w Polsce jest to 57 onkologów na milion mieszkańców; średnia UE to 32). W idealnym świecie prawdopodobnie nie byłoby miejsca na „diagnozę z komputera". Nie żyjemy jednak w idealnym świecie i już w kilkudziesięciu szpitalach w Indiach lekarze konsultują się z Watsonem przy podejmowaniu decyzji. Teoretycznie ma to postać alternatywnego, pilotażowego eksperymentu. Jak jednak pokazuje wspomniany przypadek mongolski, często jest to wybór między brakiem procesu decyzyjnego a niedoskonałym procesem *in silico*.

Ta prawidłowość sprawdza się akurat znakomicie już od dekad: najszybciej upowszechniają się te formy AI, które są po prostu wygodne. Nie ma to żadnego związku z debatą etyczną, filozoficzną czy futurologiczną, która następuje zawsze po fakcie, podobnie jak nieświadome i niekontrolowane było zdominowanie naszego świata przez wynalazek druku czy internetu, wraz ze wszystkimi właściwymi dla nich przemianami naszego sposobu życia i myślenia. ©

ŁUKASZ LAMŻA

# Przedszkole AI

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

**Emmanuel Mogenet, inżynier AI: Dysponujemy systemami, które działają wspaniale, ale nie wiemy jak. Bo uczą się same.**

Biurowiec przylegający do dworca w Zurychu to miejsce, w którym maszyny mają nauczyć się myśleć. Ich nauczycielem ma być Emmanuel Mogenet. 50-letni Francuz pracował wcześniej dla Apple'a, zajmował się efektami specjalnymi, a teraz w europejskim centrum badawczym Google Research ma zmieniać fantastykę w rzeczywistość. Choć z fantastyką nie zawsze mu po drodze, co staje się oczywiste, kiedy próbuję zacząć rozmowę od pytania o film „Blade Runner 2049".

– Nie widziałem go jeszcze – przyznaje. – Co tam jest?

– Rozumne hologramy, programy z uczuciami. To w takim kierunku idziemy?

– Wszystko jest możliwe przy wystarczająco odległej perspektywie – odpowiada Mogenet. – Ale dzisiaj sztuczna inteligencja budzi ogromne emocje. Czasami oparte na faktach, często na fantastyce.

On sam zajmował się AI jeszcze we wczesnych latach 90., kiedy komputery były po prostu za słabe. Dopiero błyskawiczny wzrost mocy procesorów w XXI wieku otworzył drogę do poważnych badań.

– Od kiedy istnieją komputery, próbowaliśmy nauczyć je myśleć tak jak my. I ponosiliśmy klęski – mówi. – Był czas, kiedy naukowcy niemal całkiem zaniechali prac. Dopiero w ciągu ostatnich dziesięciu lat doszło do odrodzenia. Udało się nam stworzyć coś, co nazywamy nauczaniem nadzorowanym. I robić rzeczy, które wydawały się niemożliwe.

### Jak rozpoznać kota

Cała stołówka Google Research jest zastawiona przykładami. Na rozstawionych tu komputerach pracują algorytmy wykorzystujące formy uczenia maszynowego, ale na całkowicie różne sposoby. Jeden jest akompaniatorem, odpowiadającym na grane na syntezatorze nuty swoimi nutami. Inny rozpoznaje obiekty rysowane w szkicowniku. Jeszcze inny analizuje zdjęcia dzieł sztuki i szuka motywów łączących, powiedzmy, autoportret van Gogha z chińską ceramiką. To zabawki – ale ilustrujące subtelne sposoby, w jakie sztuczna inteligencja już dziś działa za kulisami internetowych serwisów: od wyszukiwarek po programy do katalogowania fotografii. Oraz to, jak odlegli jesteśmy od czasów, gdy komputer był jedynie maszyną niewolniczo wykonującą linie programu.

– Musimy nauczyć komputery wykonywać zadania – tłumaczy Mogenet. – Do niedawna jedyny znany nam sposób nazywaliśmy programowaniem. Ono jest jak skomplikowany przepis z książki kucharskiej. Zrób to, potem tamto. Czasami sprawdza się doskonale. Ale czy potrafisz mi wytłumaczyć, jak chodzisz? Jak kolejno działają wszystkie mięśnie w twoim ciele? Robisz to bez zastanowienia, ale założę się, że zupełnie nie potrafisz wytłumaczyć, w jaki sposób.

– Nawet nie wiedziałbym, jak zacząć – przyznaję.

– Inny przykład – kontynuuje. – Jeśli dam ci zdjęcie i spytam, czy jest na nim kot, odpowiesz natychmiast. Każdy człowiek odpowie. Ale czy wytłumaczysz mi, skąd to wiesz? Wszędzie tam, gdzie możesz wytłumaczyć, jak rozwiązać problem, wystarczy programowanie. Ale jest wiele zadań, które są dla nas zupełnie naturalne, a których wytłumaczyć nie potrafimy. I przez to one były bardzo trudne dla komputerów.

W rozmowie o maszynowym nauczaniu rzadko używamy terminów takich jak „program". Zamiast tego mówimy o „uczeniu".

– Dziś umiemy uczyć komputer na przykładach. Zamiast tłumaczyć krok po kroku, pokazujemy, jak coś zrobić. Weźmy kota. Robimy mnóstwo zdjęć i na każdym dajemy adnotacje: na tym zdjęciu kot jest, na tamtym go nie ma. Tę bazę dajemy komputerowi do przejrzenia i krok po kroku budujemy system, który nauczy się rozpoznawać kota na zdjęciach tak jak człowiek. Nie pokazujemy metody osiągnięcia rozwiązania. Pokazujemy przykłady.

– Komputer sam musi znaleźć rozwiązanie?

– O to chodzi. To metoda kija i marchewki. Za nieprawidłową odpowiedź komputer odrobinę karzemy. Polega to na drobnej zmianie parametrów. Jeśli odpowie dobrze, nagradzamy. Po milionach powtórzeń komputer zaczyna rozumieć, jak rozpoznać kota. Nazywamy to głębokim uczeniem. Głębokim, bo naśladujemy naszą własną korę wzrokową. Rezultat to system, co do którego, tak jak w przypadku naszego mózgu, nie do końca wiemy, jak działa.

– Nie może nam wytłumaczyć, jak rozumuje?

– To aktualnie bardzo ważny temat badań: próba przeprowadzenia „sekcji" sieci neuronowej, żeby komputer wytłumaczył nam swój proces wnioskowania. Jesteśmy blisko rozwiązania, ale na razie faktycznie mamy systemy, które działają wspaniale, ale nie jesteśmy pewni jak. Bo uczą się same.

### Nauka chwytania

Co prowadzi do intrygujących sytuacji. Jak ta sprzed roku, kiedy okazało się, że algorytmy serwisu Google Translate, żeby ułatwić sobie tłumaczenie z, powiedzmy, urdu na słowacki, stworzyły własny, nieznany ludzkości metajęzyk, pośredniczący w przekazywaniu znaczeń.

– Standardowo uczymy się języka, poznając gramatykę i słownictwo. Próbowaliśmy takiego podejścia w translatorze. Wyobraź sobie tłumaczenie z polskiego na japoński przez programowanie. Nie działa. Teraz robimy to poprzez przykłady. Miliardy przykładowych zdań. Prawdziwa magia tkwi w tzw. generalizacji. Kiedy uczysz system uczenia maszynowego, pokazując mu miliardy przykładów, on najpierw stara się po prostu zapamiętywać. Powie: „Już mi to pokazywałeś, więc znam odpowiedź". Ale w którymś momencie zaczyna uogólniać. Pokazujesz mu coś nowego, a system mówi: „To trochę przypomina coś, co już kiedyś widziałem". Będzie tłumaczyć zdania, których nigdy wcześniej nie widział. Bo jest w stanie dojść do prawidłowego tłumaczenia na przykładach.

Łatwo przypisywać tak działającym sieciom neuronowym ludzkie cechy, ale Mogenet przestrzega przed ich „uczłowieczaniem". Są bardzo dobre w tym, co robią – ale do „Blade Runnera" droga daleka.

– Na czym polega różnica między systemem, który rozpoznaje na zdjęciu plamę i mówi: „Tak, to kot", a systemem, który wie, co to jest kot?

– To dobre pytanie, bo pokazuje ograniczenia naszych modeli. Musimy zrozumieć, że dzisiejsze systemy AI są bardzo

WIKIPEDIA.ORG

**„CHIŃSKI POKÓJ”** to słynny eksperyment myślowy zaproponowany w 1980 r. przez Johna Searle'a. W zamkniętym pokoju siedzi osoba nieznająca języka chińskiego. Dostaje ona kartkę z ciągiem chińskich symboli. W pokoju znajdują się podręczniki zawierające zestaw reguł, które wyjaśniają, jakie symbole należy zapisać w odpowiedzi na otrzymane symbole. Korzystając z podręczników, osoba z pokoju odpowiada na otrzymany tekst. Z perspektywy kogoś, kto jest na zewnątrz, może się wydawać, że człowiek w pokoju zrozumiał chiński tekst, podczas gdy w rzeczywistości „jedynie” stosował się do ciągu reguł przekształcania jednych symboli w inne. Tzw. argument chińskiego pokoju miał uzasadnić, że semantyki (rozumienia) nie da się sprowadzić do syntaktyki, dlatego przetwarzające symbole maszyny będą tylko symulować rozumienie. Argument ten do dziś jest dyskutowany w filozofii. ©

wąskie. Robią jedną rzecz doskonale, ale nie potrafią niczego innego. System, który rozpoznaje kota, nie zrobi niczego innego. Inny system zajmuje się tylko tłumaczeniami. My mamy wspólny model umysłowy świata. Mówię „kot”, a w twoim mózgu pojawiają się obrazy, które znasz z doświadczenia. Widziałeś koty, dotykałeś ich, wiesz, że są drapieżnikami... Długa jest lista rzeczy, które o nich wiesz. Ja dysponuję podobną. To właśnie semantyczny poziom zrozumienia, czym jest kot. Komputer powie ci: „to jest kot” albo „to nie jest kot”, bo to jedyne zadanie, które wykonuje. Ale nie rozpozna np. dziecięcego rysunku kółka z dwoma trójkątnymi uszami jako kota, nawet jeśli dla człowieka to oczywiste. Takie rozumowanie na wyższym poziomie nie jest dla komputerów dostępne z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mają tego współdzielonego umysłowego modelu świata. My go zdobywamy przez całe życie. Po drugie, nie potrafią wnioskować. Przykład: wiem, że jesteś z Polski, wiem, że przyjechałeś do Zurychu, mogę wywnioskować, że w którymś momencie wsiądziesz do samolotu i wrócisz do Polski. Skąd to wiem?

– Z doświadczenia.

– Dokładnie. Mogę wyciągnąć wnioski, konstruować scenariusze i przewidywać przyszłość. AI nie ma o tym pojęcia. Nie ma zdrowego rozsądku i nie potrafi wyciągnąć wniosków.

– Czy to kwestia naszego podejścia? Mocy obliczeniowej?

– To kwestia danych. Widzisz osiem obrazów na sekundę przez powiedzmy dziesięć godzin dziennie. Od urodzenia. To mnóstwo danych. Do tego otrzymujesz skompresowane informacje przetworzone dla ciebie przez innych ludzi. To jedna z rzeczy, których tutaj próbujemy: chcemy nauczyć komputery zdrowego rozsądku dzięki analizie obrazów. Muszą się uczyć o świecie w taki sam sposób jak my. A my nie tylko patrzymy. Czasami wsadzamy palce do kontaktu, żeby zobaczyć, co się stanie. Komputery też muszą, jeśli mają zdobyć zdrowy rozsądek.

– Powinniśmy stworzyć maszynę, która potrafi się bawić? – pytam.

– Mamy laboratorium, w którym próbujemy rozwiązać jeden jedyny problem: jak złapać obiekt. Moje roczne dziecko właśnie tego próbuje. Przyglądam mu się i widzę, że to tak trudne, aż boli. Zajmie mu to dwa lata, a i tak nie będzie w tym doskonałe. Tego samego próbujemy nauczyć roboty. Mamy coś, co nazywamy „farmą rąk”. To pokój pełen mechanicznych ramion, które przez cały dzień próbują łapać piłki. Pudłują, pudłują, pudłują, aż raz na jakiś czas któremuś się udaje i zapamiętuje, jak to zrobił. Po długim czasie maszyna z grubsza rozumie, jak złapać przedmiot, ale to bardzo trudny problem. Nie doceniamy tego, jak skomplikowany jest świat. Jesteśmy bardzo złożonymi maszynami, które są produktem milionów lat ewolucji.

### Egzoszkielet dla umysłu

Roy Amara, zmarły w 2007 r. amerykański naukowiec i futurysta, stwierdził, że „zwykle przeceniamy wpływ, jaki nowa technologia będzie miała w krótkim terminie, ale nie doceniamy jej wpływu w dłuższej perspektywie”. W przypadku AI mieliśmy już do czynienia z kilkoma cyklami fascynacja-zachwyt-rozczarowanie. Ze słów Mogeneta wynika, że czeka nas wiele kolejnych.

– Dysponujemy podstawowymi klockami. Udaje nam się naśladować pewne cechy naszej inteligencji. Budujemy bardzo wąskie, choć czasami bardzo głębokie systemy, które w konkretnych kwestiach są już od nas lepsze, np. jeśli idzie o grę w szachy czy w go. Ale pomyśl, jak uniwersalni jesteśmy. Umiemy chodzić, mówić, śpiewać, tworzyć. Co ważniejsze, umiemy przenosić umiejętności, które zdobyliśmy w jednym miejscu, na inną dziedzinę. Kiedy nauczysz się jeździć na rowerze, łatwiej ci się potem będzie nauczyć prowadzenia auta. Maszyny nie umieją stosować umiejętności w nowym kontekście. Gdzie będziemy za 5-15 lat? Nawet nie wiem, gdzie zacząć spekulacje. Ale droga do inteligencji dorównującej ludzkiej jest bardzo, bardzo długa. Jesteśmy pewnie 50-100 lat od celu. Jeśli ktoś mówi ci coś innego, blefuje.

– Po co właściwie je tworzymy?

– Na pewno nie po to, żeby nas zastąpiły. Sztuczne inteligencje będą rozszerzeniem nas, narzędziami, które zwielokrotnią moc naszego umysłu. Egzoszkieletem dla niego – odpowiada Mogenet. – Dzięki wsparciu technologii będziemy lepszymi ludźmi. ©

*Autor jest dziennikarzem Polsat News, gdzie prowadzi autorski program popularnonaukowy „Horyzont zdarzeń”. Stale współpracuje z „Tygodnikiem”.*

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

# PRAWA STRONA JĘZYKA

Język prawicy jest dziś w ofensywie nie za sprawą tych, którzy w niego szczerze wierzą, lecz dzięki tym wszystkim, którzy go na własny użytek oswoili.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

„Królestwo za narrację!" – wołał Przemysław Czapliński podczas rozpolitykowanego Kongresu Kultury w 2016 r. Był to apel o opowieść, która łączyłaby Polaków mimo katalogu różnic kulturowych, religijnych i tych doskwierających chyba najmocniej, czyli politycznych. Chodziło o fundament, choćby i lichy, na którym można budować anemiczną i cherlawą, ale jednak rzeczpospolitą.

Swoisty list gończy za narracją wysyła Czapliński także w ostatniej książce pt. „Poruszona mapa", przekonując, że „nie istnieje aktualna i adekwatna wobec skumulowanych kłopotów [Europy i Polski] opowieść o obecności Polski w Europie". Trzeba tę integrującą Polaków opowieść dopiero napisać za pomocą wspólnego kodu kulturowego, najlepiej językowego. Ten jednak jest w dużej mierze fantomem – czymś, czego nie można pochwycić, a jego brak boli. Zanim powstanie opowieść, trzeba więc zawołać: królestwo za język, korona za słownik, który z jednej strony nie kąsałby obsesyjnie przeciwnika, a z drugiej nie był beznamiętnym żargonem elit ani profesjonalną technomową.

Co się stało z językiem publicznym, tym podstawowym dobrem wspólnym? Z ust liberalnych i lewicowych publicystów często słyszy się pełną lęku diagnozę, że został on przez prawicę zawłaszczony, przejęty, skradziony albo wręcz unicestwiony. Tak stawiając sprawę, popadają w nostalgiczną iluzję, że kiedyś ten język był prawdziwy, czysty i rzeczywiście wspólny. A on zawsze był bardziej czyjś, a czyjś mniej. Jedne racje admirował, drugie wykluczał. Dzisiaj prawicowa mowa jest w ofensywie, ale nie dlatego, że brutalnie podbiła komunikację publiczną, lecz dlatego, iż liberałowie i lewica przegrali ten mecz walkowerem. Skupieni na językowych gierkach i „skrzydlatych" inwektywach, na „kaczyzmie", „pisuarach" i „moherach", oddali bez walki wielkie pojęcia, jak „naród", „suwerenność" czy „patriotyzm". Założenie, że same się obronią i zawsze będą definiowane tak, a nie inaczej, okazało się jednym z najbardziej brzemiennych błędów elit III RP.

### Prawico ty moja!

Hegemonia języka prawicowego nie zaczęła się wraz z „dobrą zmianą". Już dziesięć lat temu Rafał Matyja przekonywał, że w pierwszej dekadzie XXI w. nastąpiła rewolucja semantyczna zmieniająca sposób opisu oraz argumentacji w debacie o III RP. Głównym punktem odniesienia stało się pytanie o patologię nowego systemu, mającego chronić dawne komunistyczne elity i ich przywileje. O powodzeniu rewolucji semantycznej, zainicjowanej przez rządzącą w latach 2005-07 koalicję PiS-Samoobrona-LPR, świadczy choćby to, że nawet obrońcy pozytywnej oceny transformacji albo jej krytycy wywodzący się z lewicy zaczęli posługiwać się w stosunku do przeciwników rzuconymi przez prawicę wyrazistymi hasłami, jak „układ", „sitwa" czy „salon". Własnych propozycji albo nie było, albo nie zdołały się przebić do głównego nurtu dyskursu.

Zresztą już wcześniej prawicowa diagnoza polskiej polityki zawojowała media. Słynne określenie „TKM" padło z ust Jarosława Kaczyńskiego w kontekście plotek o antyrynkowym programie gospodarczym Akcji Wyborczej Solidarność. W rozmowie z Witoldem Gadomskim Kaczyński próbował rozwiać te obawy, a wywołał jeszcze większe. „W końcu powiedziałem krótko, że program to TKM. Nie ja wymyśliłem ten skrót. Usłyszałem go po raz pierwszy od Marka Kuchcińskiego w 1990 r. (...) Zapytałem go, jaka partia jest u niego [w Przemyślu] najsilniejsza. Zastanowił się przez chwilę, roześmiał i powiedział – najsilniejsza jest TKM. Nie znałem tego skrótu. Marek go rozszyfrował, mówiąc o grupie ludzi bez żadnych określonych poglądów i przeszłości politycznej, którzy się pchają. (...) No i wypaliłem. Wkrótce ukazał się duży artykuł Gadomskiego, gdzie zostałem zacytowany. Sprawa stała się powszechnie znana, powiedzenie było powtarzane i oczywiście wykorzystano to przeciwko mnie" – wspomina w książce „Porozumienie przeciw monowładzy. Z dziejów PC".

Relacja Kaczyńskiego pochodzi z 2016 r. i jest opakowana w typową dla dobrej zmiany retorykę oblężonej twierdzy. Ale, ale... dlaczego piszę o „dobrej zmianie", a nie o rządach Prawa i Sprawiedliwości albo prawicowym populizmie? Dlatego że te w gruncie rzeczy techniczne określenia nie mają przewrotnego uroku „dobrej zmiany" – bezwstydnego zaklęcia, którego autorzy nawet nie kryją się z tym, iż tylko niektóre żaby zmieni ono w książęta, a wiele żab trzeba będzie po nim zjeść.

Za sukcesem języka, który kolonizuje zbiorowe postrzeganie życia politycznego ↦

↦ i społecznego, stoi to, że słownik prawicy, choć konserwatywny obyczajowo, nie jest skostniały kulturowo ani klasowo. Dopasowuje się do zdemokratyzowanych czasów, wsłuchuje się w mowę potoczną, gra na emocjach. Bywa prostacki, mizoginiczny i ksobny, niekiedy odczłowiecza przeciwnika. Ale zawsze jest jakiś. Budzi aplauz albo opór, nie pozostawia obojętnym.

Modelowym przykładem majstersztyku, dla jednych trafiającego w punkt, dla innych żenującego, było już zawołanie „Mordo ty moja!". Zwrot zapożyczony od Janusza Rewińskiego pojawił się w spotach PiS w kampanii wyborczej w 2007 r. Spoty zatytułowane „Układ" i „Salon" sugerowały tajny alians między politykami PO i szemranymi biznesmenami. Na odpowiedź nie trzeba było czekać. Mordy dorabiano kolejnym walczącym ze sobą politykom, a rykoszetem dostało się Aleksandrowi Kwaśniewskiemu po zakrapianych występach na Ukrainie – co ciekawe, tym razem nie od prawicy, lecz od Marka Borowskiego, który mówiąc o byłym prezydencie „Olek, mordo ty nasza" zaszkodził ich wspólnej inicjatywie, Lewicy i Demokratom. Chociaż „mordy" nie przyniosły wtedy PiS-owi zwycięstwa, w przeciwieństwie do konstruktywnych, lecz nudnych haseł PO zawładnęły wyobraźnią speców od reklamy, komików i internautów. Okazało się, że język prawicy nie musi być ani świętoszkowaty, ani tradycjonalny, ani „moherowy".

Jednak określenie „Mordo ty moja" należy już do zamkniętego rozdziału komunikacji publicznej. W poprzedniej dekadzie prawica używała swojego języka do spekulowania, rzucania aluzyjnych uwag i insynuowania ukrytych motywów stojących za działaniami adwersarzy. Wykorzystywała perswazyjną siłę niedomówień, co – zgodnie z analizami Ruth Wodak – było typowe dla europejskich dyskursów populistycznych przełomu XX i XXI w. (np. dla Austriackiej Partii Wolnościowej Jörga Haidera). Aktualny język prawicy wspiera się na innych filarach. Po pierwsze, na jednoznacznościach. Cytując klasyka Mariusza Maxa Kolonkę, za pomocą tego języka mówi się, jak jest, a nie jak podejrzewa się, że może być. Białe jest białe, a czarne jest czarne (albo na odwrót, jak przekonywał niegdyś Jarosław Kaczyński) – lecz nie może być szare, ponieważ niuanse i ambiwalencje pozwalałyby relatywizować podawane w tym języku diagnozy i wyroki. I tak, knajacka, lecz wciąż niedosłowna „Mordo ty moja" (w mafiosa wcielił się w spocie aktor) została zastąpiona niczym niezawoalowanymi „zdradzieckimi mordami" wycelowanymi w konkretną grupę osób wprost z mównicy sejmowej.

Po drugie, choć często mu się to przypisuje, język prawicy nie jest i nie może być całkowicie skierowany przeciw elitom, gdyż jednocześnie wspiera się na autorytecie części z nich, przypisując im monopol na prawdę. Dopiero ta ostatnia cecha czyni go populistycznym we współczesnym sensie. „Oprócz bycia przeciw elitom, populiści są zawsze przeciw pluralizmowi. Twierdzą, że to oni i tylko oni reprezentują naród. (...) Najprościej mówiąc, populiści nie głoszą: »99 procent to my«. Sugerują raczej, że »my to 100 procent«" – podkreśla badacz populizmu Jan-Werner Müller. Brzmi znajomo? Suweren, na którego legitymację obecna władza chętnie się powołuje, nie jest synonimem wspólnoty, lecz symbolem nieugiętości wobec kontropinii, protestów i skarg.

**Prawica selekcjonuje tematy,** do których druga strona musi się odnieść, zanim je podważy i zaproponuje inny sposób widzenia świata.

### Od słów do głów

O prawicy i o świecie w ogóle mówią dziś językiem prawicy także ci, którym jest z nią nie po drodze. Nie jest to specyfika tylko polskiej debaty. Podobne zjawisko opisywał amerykański językoznawca George Lakoff na przełomie wieków, analizując komunikacyjne przyczyny kolejnych porażek Demokratów w starciu z pozornie przaśnymi i medialnie nieporadnymi Republikanami. Jednak to tym ostatnim udało się narzucić nie tylko słownik debaty, ale także jej ramy interpretacyjne i schematy argumentacji.

To prawica selekcjonuje tematy i sposoby ich obrazowania, do których druga strona musi się odnieść, zanim je podważy i zaproponuje inny sposób widzenia świata – a na ten ostatni etap w mediach zwykle brakuje czasu. W rezultacie zawsze wybrzmiewa porządek wartości, od którego nieprawica chciałaby się odciąć, a dla jej propozycji często nie ma już miejsca.

Polskim przykładem tego paradoksu są dyskusje o projekcie ustawy zakazującej aborcji na podstawie – no właśnie – „przesłanki eugenicznej". Określenie to, choć brzmi naukowo, jest propozycją jednej ze stron sporu, retorycznie bardzo skuteczną. Pojęcie eugeniki odbierane jest jednoznacznie źle i uruchamia skojarzenia z nazizmem. I choć nieodwracalne uszkodzenie płodu z eugeniką nie ma wiele wspólnego, przeciwnicy zaostrzania ustawy antyaborcyjnej sami często posługują się hasłem „przesłanki eugenicznej", próbując je zneutralizować. Tym samym bezwiednie naturalizują spieranie się o aborcję w kategoriach działań eugenicznych.

Już pojedyncze słowa liczą się dla kształtu debaty publicznej. Wzorem krajów anglosaskich i Francji również w Polsce wybierane jest słowo roku. Kapituła złożona z wybitnych językoznawców szuka wyrażeń, które w danym roku pojawiały się w mediach najczęściej i budziły najwięcej emocji. Przyjrzyjmy się laureatom ostatnich edycji plebiscytu.

W 2011 r. zwyciężyła „prezydencja", a na dalszych miejscach znalazły się „kryzys", „katastrofa" i „krzyż". Wygrało słowo odnoszące się do obiektywnej rzeczywistości (Polska sprawowała unijną prezydencję w drugiej połowie 2011 r.), ale tuż za nim uplasowały się określenia symbolizujące zbiorowe emocje, poczucie krzywdy lub zgorszenia. W kolejnych latach szala przechyliła się na stronę tych ostatnich.

W 2012 r. na pierwszym miejscu znalazł się „parabank", a za nim ponownie „kryzys" oraz „leming", „ministra", „trotyl" i „zamach". Sprawa Amber Gold, afera z parabankiem w roli głównej, okazała się najgoręcej dyskutowaną właśnie dlatego, że dotyczyła krzywdy szeregowych obywateli wykorzystanych przez badziewną, ale jednak elitę ekonomiczną. „Lemingi" odpowiedziały na tę krzywdę wytykaniem poszkodowanym głupoty i naiwności. Od tamtej pory, w cieniu „zamachu" i „trotylu" coraz więcej wyrażeń elektryzujących debatę publiczną to określenia skonfliktowanych i nieszanujących się grup społecznych.

Słowem 2013 r. okazał się „gender". To nie wykładowczynie *gender studies* zaprowadziły to pojęcie pod strzechy. Uczynili to hierarchowie i księża Kościoła katolickiego, przy wsparciu oburzonych polityków prawicy. Zwrot „ideologia gender" (zamiast neutralnego „teoria gender") przyjął się do tego stopnia, że powtarzają go także ci, którzy nie podzielają katolickiej wizji ról płciowych.

W 2014 r. w mediach rządziły skandale z udziałem polityków, a laureatką została „kilometrówka", wyprzedzając m.in. „taśmy". W kolejnej edycji wskazano na „uchodźcę" symbolizującego stan polskiego ducha – niechętnego wobec obcych i stawiającego swoją chatę z kraja. W 2016 r. kapituła nagrodziła „trybunał", a wyróżniła „Brexit", „demokrację", „dobrą zmianę", „miłosierdzie", „postprawdę", „(czarny) protest" i „suwerena". Swojego faworyta wskazali też internauci. Łeb w łeb ścigały się „pięćset plus" z „czarnym protestem". Wygrało „pięćset plus". Trudno o lepszą metaforę współczesnych relacji polsko-polskich. O tytuł słowa minionego roku (werdykt poznamy w styczniu) rywalizują m.in. „puszcza", „smog" i „reforma", ale biorąc pod uwagę ostatnie miesiące, murowanym kandydatem powinna być „rekonstrukcja".

Z tego przeglądu płyną przynajmniej dwa wnioski. Po pierwsze, język prawicy to nie tylko krzykliwe inwektywy i ryzykowne metafory, ale przede wszystkim tematy dnia zanurzone w określonym systemie wartości, a także spory, które mobilizują przeciwników do doraźnego tworzenia własnych nazw (jak „czarny protest"). Po drugie, zasadą tego języka jest eksploatowanie flagowych słów jak „reforma" czy „rekonstrukcja", aby same przychodziły do głowy i stawały się naturalnym środkiem opisu rzeczywistości.

Cena za wszechobecność pewnych słów to czynienie z nich obiektu „śmieszkowania", na które reaguje się przesadnym oburzeniem, przedłużając tym samym życie wyświechtanych, ale „prawych" haseł. Inaczej mówiąc, język prawicy naturalizuje rzeczywistość, w której wyklęty jest ten, kto żartuje z żołnierzy wyklętych, ale jeszcze bardziej wyklęci są ci, którzy o żołnierzach wyklętych woleliby zapomnieć i wymazać ze słownika publicznych przemów.

### Autokarykatura

Siła języka prawicy kryje się w jeszcze jednej jego cesze. Jest on autokarykaturalny. Takie hasła jak „dobra zmiana", „Polska w ruinie", „oderwani od koryta", „wstawanie z kolan" czy „niepokorni" (o dziennikarzach mediów sprzyjających rządzącym) trudno odczytywać śmiertelnie poważnie. Są gotowym materiałem na skecz, mem lub hasztag. Dla krytyków władzy stanowią one parodię samą w sobie.

Nieprzypadkowo popularne „Ucho prezesa" jest nazywane satyrycznym serialem dokumentalnym. Jego twórcy nie wymyślają oryginalnego języka dla zilustrowania współczesnej polityki. Wystarczy odtworzenie mowy prezesa i jego ludzi na podstawie kompilacji autentycznych wypowiedzi. Można też czerpać z bujnej wyobraźni ministrów, nawiązujących relacje dyplomatyczne z San Escobar, lub karmić się sarmacką fantazją nowego premiera o rechrystianizacji Europy.

Język prawicy tak jawnie zaklina rzeczywistość, iż rozbraja najsubtelniejszych ironistów, obraźliwe etykiety, jakimi obdarza nieprawicę, są zaś przez nią z łatwością oswajane. Dehumanizująca fraza o „najgorszym sorcie Polaków", która padła w wywiadzie Jarosława Kaczyńskiego dla Telewizji Republika w grudniu 2015 r., wciąż żyje dzięki tym, którzy czuli się jej adresatami. Przywłaszczyli sobie „najgorszy sort" i zmienili jego sens z uwłaczającej inwektywy w ironiczny znak rozpoznawczy oponentów PiS-u.

> Rozsmakowani w drwinach z manipulacji zawartych **w paskach TVP Info,** krytycy dyskursu obecnej władzy i jej mediów żyją we własnej bańce.

Gorzej poszło opozycji parlamentarnej z „totalną opozycją". Hasło rzucone przez Grzegorza Schetynę jako kontra dla „totalnej władzy" zostało przez nią przechwycone, pozbawione grama ironii i przerobione w dosłowną obelgę wobec innych partii. Rozpaczliwe próby Schetyny, by odzyskać utraconą cześć za pomocą „totalnej propozycji" programowej, spaliły na panewce.

Język prawicy skutecznie prowokuje do gier, przeróbek i przejęć, ale zarazem rozleniwia i zniechęca do poszukiwania alternatywnego sposobu opisu świata, który nie dzieliłby nas na wyznawców „dobrej zmiany" i przedrzeźniających ją krytyków.

### Dwie Polski?

Na marginesie utyskiwań na język dzisiejszej debaty pojawia się pytanie: czy gdyby prawica zaczęła nagle mówić inaczej, debata publiczna by się odmieniła? Wszak, jak mówił prezydent Andrzej Duda inaugurując obchody stulecia odzyskania niepodległości: „Nadeszła pora, aby istotą naszego życia publicznego przestało być nieustanne, wyniszczające starcie wrogich plemion. Czas na rzeczową debatę w gronie rodaków. Na rozmowę pomiędzy depozytariuszami bezcennego dobra, którym jest nasze wspólne, niepodległe państwo. Polska nie jest niczyją własnością".

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że pod tymi słowami mogłoby się podpisać wiele osób o bardzo różnych światopoglądach. Płonne jednak nadzieje. Nasza pamięć komunikacyjna nie jest taka krótka. Liczy się kontekst całego ciągu przeobrażeń polskiej demokracji, do których prezydent oraz parlament przyłożyli ręce. Dlatego sceptycy podpiszą się prędzej pod głosem internauty Mojnicka, który na portalu „Gazety Wyborczej" tak podsumował orędzie prezydenta: „Pitu, pitu... A potem i tak PiS zrobi swoje".

Ów język, bez względu na to, czy cyniczny, czy życzeniowy, nie jest jednak nieistotnym pitu, pitu. Uwiarygodnia obraz świata, którego tak naprawdę nie ma. Rozsmakowani w drwinach z manipulacji zawartych w paskach TVP Info, krytycy dyskursu obecnej władzy i jej mediów żyją we własnej bańce. W tym przypadku nie chodzi o typową bańkę informacyjną, gdyż to właśnie prawicowi autorzy i nadawcy stają się dla liberalno-lewicowych publicystów obiektem osobliwego kultu. Doniesienia z „prawego" podwórka są rezerwuarem nonsensów, fantasmagorii oraz dowodów na brak kultury komunikacyjnej i otwartości w kręgach władzy. Efektem wspomnianej bańki jest natomiast to, że wielu z nas wierzy bez zastrzeżeń w najbardziej podstawową myśl przekazywaną w języku prawicy, a bezrefleksyjnie powielaną przez nieprawicę. Jest to myśl o tym, że są dwie Polski, dwa obozy, dwa systemy wartości, dwie hierarchie spraw ważnych i nieważnych – a pomiędzy nimi przepaść i nic więcej. Takie binarne widzenie świata kusi swoją totalnością, a prawa strona języka ma dziś status mrocznego doppelgängera samej idei komunikacji publicznej.

Paradoks polega na tym, że to ów fantom się dziś urealnia, a złożona rzeczywistość coraz mniej zza niego wystaje. Zamykając oczy i uszy na wielość głosów oraz sprowadzając je do prawicy i antyprawicy, wybieramy, chcąc nie chcąc, tę prawą stronę języka publicznego kosztem mniej spektakularnej, ale polifonicznej rzeczywistości. Na razie raczej fantazjujemy o tym, że zwyczajni Polacy z dwóch Polsk skaczą sobie do gardeł, lecz może przyjść chwila, kiedy sami do nich skoczymy, bo „kto nie skacze, ten...". ©

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

# La-Lita

AGNETA PLEIJEL

**Nigdy nie czytałam wiersza, który w tak wnikliwy i dokładny sposób opowiada o warunkach, w jakich pisząca kobieta odnajduje siebie i swój język.**

Tadeusz Peiper, poeta, krytyk i wpływowy członek polskiej awangardy poetyckiej, twierdził: „Podajcie mi trzy metafory w utworze jakiegoś poety bezpośrednio po sobie następujące, a powiem wam o tym poecie tyleż, co najobszerniejszy jego biograf". Przejdę zatem do twórczości Zuzanny Ginczanki – czy Zuzanny Ginzburg – za pomocą jej własnych metafor.

Urodziła się w Kijowie, w roku rewolucji – 1917. Rodzina uciekła do miasta Równe, dziś Rivne na Ukrainie. Jako ośmiolatka została porzucona przez rodziców, ojciec wyjechał do USA, mama wyszła za mąż w Hiszpanii. Wychowała ją babka. Zaczęła pisać w wieku dziesięciu lat, jako nastolatka doczekała się pierwszych publikacji. Nie mając nigdy nadanej tożsamości narodowej, w pisaniu wybrała język polski.

Jej młodzieńcze wiersze o nastoletniości uderzają niesłychaną sensualnością i śmiałością w opisach zakazanych uczuć. Z wiersza „Bunt piętnastolatek": „Już nie mamy nazbyt długich nóg / ni sterczących, kościstych łopatek. / Nocą skronie krwi rozsadza huk, / kiedy księżyc przez okno się skrada – / ktoś przyjeżdża z Buenos Aires w aucie / i zagląda siną twarzą przez szyby – / wysrebrzone szafy chcą nas gwałcić / (ratuj, Boże!! – a gdyby... a gdyby...) / Zamknąć oczy – wtulić głowę po kark / pod poduszki rozedrganą głuszę / i od strachu rozpaloność warg / pocałunkom oddawać poduszek. / Jakże trudno wiosennymi rankami / uspokoić serc wzburzoną krew, / gdy wmawiają w nas troskliwe mamy, / że treść serca to tylko as kier / A czy wiedzieć można – a czy zbadać można, / jak wygląda sasanek rozpuchnięta zalążnia, – / a czy można wiedzieć – a czy można poznać, / jak bolesną bywa ziółkowata wiosna? – / Na kępkach wiosennych mchów / boleśnie leżą bez tchu / omdlałe, liliowe sasanki, / w wiosny podmuchu świeżym / przypłynął żal bezbrzeżny / na pośródleśną polankę".

Pożądanie dojrzewającej dziewczynki zderza się ze spojrzeniami matek i wizją przyszłego spotkania z mężczyzną. Widzimy, jak jej pragnienie staje się paradą dwuznaczności i strachu. Dwuznaczność w seksualności, gwałtowne antytezy w języku i przemiany w metaforach odkrywają przed nami narażoną pozycję dziewczynki.

**A NARAŻONA BYŁA GINCZANKA Z RÓŻNYCH POWODÓW.** Ci, którzy ją znali, zaświadczają o jej olśniewającej urodzie – wysoka, szczupła, z ciemną cerą, czarnymi włosami i czarującym spojrzeniem, jedno oko zielone, drugie brązowe. Skóra jak u mulatki, napisze ktoś. Nie mogła zatem pozostać niezauważona; wygląd zdradzał jej żydowskie pochodzenie. Rozpoznawano ją, czy tego chciała, czy nie. Z Równego przeprowadza się do Lwowa. To kosmopolityczne miasto o zróżnicowanej ludności: poza Polakami i Ukraińcami Żydzi, Ormianie, Czesi, Słowacy.

Jako nastolatka w jednej bajeczce nadaje sobie pseudonim na długo, zanim Nabokov nazwie uwodzicielską dziewczynkę Lolitą – Ginczanka nazwie się La-Litą. Porównuję ją do nieco starszej Edith Södergran z Finlandii – tej, która nie chce być kobietą, ale „rodzajem nijakim, tą, która chce być siecią na wszystkie ryby żarłoczne", która nazywa się „ogniem i wodą w prawym związku na swobodnych zasadach". Södergran – podobnie jak Ginczanka – „idzie po słońcu, stoi na słońcu" i wie, że „nie ma nic poza słońcem", podczas gdy pożera ją gruźlica.

W wierszu „Przypadek" Ginczanka pisze: „mam szesnaście lat. / Wyrzeźbiła mi ciało harmonia, / wyrzeźbiła mi rysy duma – / Można miłość zdobyć jak świat / w rozmarzeniach, w dzwonnych zadumach / i w kwitnących wiosną jabłoniach / gdy za kwiatem opada / kwiat". I dalej, jakby tym samym pociągnięciem pióra, przenosi się w ciało innej kobiety: „Ona / ma szesnaście lat. / Wykoślawił jej ciało tryper, / wypokraczył jej rysy / syfilis. / (...) Wiem to tylko, że miała już dziecko, / że jej wóz cztery palce urwał, / że tradycję ma starą, szlachecką: / jest po matkach i po babkach / kurwą".

Ginczanka zna różnice klasowe, społeczne przepaści i niepewne warunki życia kobiety, w których uroda może być ułomnością i pułapką. Wiersz o tworzeniu przez kobietę – w przeciwieństwie do tworzenia męskiego – nosi tytuł „Wyjaśnienie na marginesie": „Nie powstałam / z prochu, / nie obrócę się / w proch. / Nie zstąpiłam / z nieba / i nie wrócę do nieba. / Jestem sama niebem / tak jak szklisty strop. / Jestem sama ziemią / tak jak rodna gleba. / Nie uciekłam / znikąd / i nie wrócę / tam. / Oprócz samej siebie nie znam innej dali. / W wzdętem płucu wiatru / i w zwapnieniu skał / muszę / siebie / tutaj / rozproszoną / znaleźć".

Kobieta, poetka musi stworzyć siebie – bez pomocy. Nigdy nie czytałam wiersza, który w tak wnikliwy i dokładny sposób opowiada o warunkach, w jakich pisząca kobieta odnajduje siebie i swój język.

W latach 30. Ginczanka mieszka w Warszawie. Zaczyna współpracę z satyrycznym czasopismem „Szpilki", u boku wielkich polskich poetów, Antoniego Słonimskiego, Juliana Tuwima i komediopisarza Mariana Hemara. Spędza czas w warszawskich kawiarniach, prowadzi dysputy z Witoldem Gombrowiczem, spotyka Brunona Schulza.

I tworzy wiersze. To czas między dwiema wojnami, cisza przed burzą. „Żyliśmy, jakbyśmy mieli umrzeć" – napisze Gombrowicz. Nie tylko Ginczanka, także inne kobiety próbują zrzucić z siebie kajdany płci – są teraz śmielsze, otwierają się, lecz tym samym stają się bardziej narażone.

W kilku gwałtownych wierszach odbierających dech w piersiach kreśli opis ewolucji, jaką jest okrutne stworzenie świata, aby w kolejnym momencie znaleźć się wewnątrz człowieka, bezbronnego i lękliwego. Świat się rozpada, ona również. Z rozbawionych salonów wiersz wchodzi prosto w ciemność, wystarczy jeden krok, a raj zamienia się w piekło.

**JEDEN Z WIERSZY NOSI TYTUŁ „O CENTAURACH".** Ciało centaura, pół mężczyzny, pół ogiera, przypomina poetce o połączeniu namiętności i mądrości: „Wyznaję dostojną harmonię męskiego torsu i głowy / z rozrosłym ciałem ogiera i cienką pęciną nogi – / – do żeńskich chłodnych policzków / i kłębów okrągłych kobył / galopują wspaniałe centaury / w dzwonie podków z łąk mitologii".

Wiersz ten można czytać jako hymn do piękna i oddania w akcie seksualnym, w którym na moment zapomina się o we-

ZBIORY MUZEUM LITERATURY W WARSZAWIE / EAST NEWS

*Zuzanna Ginczanka, Klewań, ok. 1930 r.*

wnętrznej wyrwie. Ale także jest on pełen dwuznaczności: nie wędrujemy już po łąkach mitologii, kopyta zadeptują kwiaty, podczas gdy zmysły pozostają rozedrgane przez letnie pożądanie. Jak odnaleźć złączenie mądrości i oddania?

„Nikt w polskiej poezji nie miał tak sensualnej wyobraźni" – pisze Eliza Kącka w posłowiu do angielskiego wydania jej poezji. „Ginczanka widzi uniwersum jako manifestację życia, przeszywającego wszystko, jest niepowstrzymane i autonomiczne. To namacalna fantazja, pełna cielesności. Rozchyla kielichy kwiatów, przesuwa palce po najmiększym futrze, uwalnia prąd ciepłych wód i podąża za śladami dzikich zwierząt". Mogę się tylko zgodzić. Również z tym, że Ginczanka jest poetycką córką Arthura Rimbauda i Anny Achmatowej.

Jeśli miałabym wskazać na jeszcze jeden element obecny w tej poezji, będzie to lęk. Można by cytować fragmenty wielu wierszy, na przykład z „Maja 1939" (w angielskim tłumaczeniu „Miłość lub wojna"): „Raz wzbiera we mnie nadzieja, / raz jestem niespokojna. / Zbyt wiele rzeczy się dzieje – / coś przyjdzie: miłość lub wojna". Ostatni wers będzie proroczy, wojna wybuchnie zaledwie cztery miesiące później. Cytuję: „Na maju, rozstaju stoję / u dróg rozdrożnych i sprzecznych, / gdy obie te drogi twoje / wiodą do spraw ostatecznych. // Tęsknota nadciąga chmurą, / wieści przez radio płyną. / Czy pójdę, czy pójdę górą, / czy pójdę – doliną?".

A więc dolina. Zagrożenie musiała odczuwać jako kobieta, bezpaństwowiec, a najbardziej jako Żydówka w otoczeniu szalejącego, jadowitego antysemityzmu. Lęk w wierszach jest momentami nie do zniesienia. Z dzikie róże wiersza „Ucieczka": „w zatrzęsienie wpadam kasztanów, w kołysanie leszczyn i wierzb, w krzątaninę mglistych pozorów i niejawną, niejasną treść – płaczę z żalu, całuję w usta, śmiechem parskam i marszczę brew, tylko życie mi w życiu zostaje, by o śmierci zapomnieć na śmierć".

**TRUDNO PRZYPOMNIEĆ SOBIE POETĘ,** który jak ona sprawia, że czytelnik w jednej chwili krzyczy z zachwytu i drży z przerażenia. A potem nadeszła wojna, niemiecka okupacja, a wraz z nią ostatni wiersz – naskrobany na kawałku papieru – „Non omnis moriar". Napisany po tym, jak jej polska gospodyni, folksdojczka, doniosła na nią nazistom, zaczyna się cytatem z Horacego: „Nie wszystek umrę".

Ginczanka wskazuje z imienia swą donosicielkę, Chominową, i przewiduje to, co potem wydarzy się w wielkiej skali: rabowanie żydowskiego mienia, rozpruwanie poduszek i pierzyn w poszukiwaniu złota. Wiersz napisany jest w tonie triumfującej kpiny, niemającej sobie równej w poezji. Jak kiedy przewiduje, że puch z pościeli przylgnie do ramion rabusiów za pomocą jej krwi, zamieniając je w skrzydła aniołów. Kpina z Chominowej i zjadliwa pogarda skierowane są dużo dalej niż tylko wobec donosicielki.

Ginczanka przez jakiś czas uchodziła z życiem, przeniosła się do Krakowa. Po dwóch latach życia w ukryciu wyciągnięto ją w 1944 r. na pewną śmierć. Dożyła 27 lat. Pozostał jej nagi i dumny erotyzm, na krawędzi bezwstydu, na skraju buntu, w rozjątrzeniu, w wyzwaniu, w wezwaniu – nigdy przedtem i potem w poezji polskiej nie dał nikt tak czystej postaci emanacji sex appealu, jego mistyce i magnetycznej potędze, pisze Eliza Kącka. Czytelnikom pozostała poezja Zuzanny Poliny Ginczanki. Nasycona metaforami i nagłymi przerzutniami między erotyczną sensualnością a okrutną przemocą i brutalnością, jest godna wielkiego podziwu. ©

Ze szwedzkiego przełożyła
JUSTYNA CZECHOWSKA

Tekst na podstawie wystąpienia wygłoszonego 30 listopada 2017 r. w Sztokholmie z okazji wydarzeń związanych z 100. rocznicą urodzin Zuzanny Ginczanki organizowanych przez sztokholmskie Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Żydów Polskich POLIN.

**AGNETA PLEIJEL** *jest szwedzką prozaiczką, poetką, dramatopisarką i tłumaczką. W latach 1988-90 była szefową szwedzkiego PEN Clubu. Członkini jury Nagrody im. Zbigniewa Herberta. Ostatnio ukazały się w Polsce jej powieści „Wróżba. Wspomnienia dziewczynki" (Karakter 2016) i „Zapach mężczyzny" (Karakter 2017), obie w przekładzie Justyny Czechowskiej.*

# Wielki, bo nam z oczu zszedł

DARIUSZ KOSIŃSKI

**Po obejrzeniu wystawy „Wyspiański" mam wrażenie, że Wyspiańskiego na niej nie ma. Jest tylko sporo jego śladów, zamierzeń i rzeczy niespełnionych.**

Wystawa w Muzeum Narodowym w Krakowie była oczekiwana od dawna i zapowiadana jako sztandarowe wydarzenie wieloletniego programu „Kraków miastem Wyspiańskiego". I rzeczywiście nim jest, bo (*nomen omen*) wystawia poważny problem, jaki mamy dzisiaj z autorem „Wyzwolenia" – 110 lat po jego śmierci.

### Ręka Boga i przepróchy

Zaczyna się naprawdę znakomicie, bo wejściem w intymny świat, który jest nieobecny w poważnym myśleniu o Wyspiańskim i tym, co ma nam do powiedzenia. Autora „Wesela", twórcę „teatru ogromnego" i wielkich symbolicznych kompozycji, oddziela się od Wyspiańskiego malującego śpiącego syna czy córkę z otwartą buzią.

A już zupełnie w tej monumentalnej postaci zanika jego żona: Teodora Teofila Wyspiańska z domu Pytko. Muzeum Narodowe zorganizowało nawet niedawno spotkanie pod hasłem „Czy Wyspiański mógł ją kochać?". Upraszałbym uprzejmie muzealnych PR-owców o nieco taktu i wyobraźni. Czy chcielibyście Państwo, by ktoś kiedyś tak zapytał o Was i Waszych partnerów? Ja bym nie tylko nie chciał, ale nie bardzo mogę się pogodzić z tym, że instytucja kultury sprowadza kwestie delikatne i bardzo osobiste do poziomu „Pudelka".

Od stu lat nikt Teodory Teofili nie bronił, może poza jedynym Pawłem Passinim, który w spektaklu „Odpoczywanie" pokazał tragedię jej i jej dzieci, odartych z ojca, bo dumny polski naród siłą przytwierdził go do pomników, by móc mieć z nim spokój. Ale nie da się pozbyć tej chłopki z Węgrzec – jej mąż namalował ją tyle razy i tak, że wciąż na nas patrzy spokojnym i silnym wzrokiem, zdając się pytać, czy kiedykolwiek znajdziemy dla niej miejsce w narodowej kulturze wielkich słów i gestów. Jadwiga Mikołajczykówna (Panna Młoda z „Wesela") tam się zmieściła, ale Teodora Pytko wciąż chyba nie, a to przecież ona patrzy z portretu Wandy Siemaszkowej jako Panna Młoda (wisi kilka sal dalej).

Z korytarza domowych tajemnic wchodzimy do sali witraży franciszkanów. Monumentalne projekty zajmują niemal całą podłogę – można do nich podejść, przyjrzeć im się z bliska. Można też spojrzeć na nie z góry. Wprawdzie z podestu widać dobrze tylko Boga Ojca wyprowadzającego świat z chaosu, ale i tak ważniejsza jest możliwość podejścia do tych projektów – zobaczenia, jak na pastelach Wyspiańskiego tworzą się światy, które gdyby wyjąć poszczególne kadry, byłyby blisko van Gogha. Jakby ten jego chaos ciekawszy był niż symbolicznie uporządkowane całości, a żywioły bliższe i bardziej żywe niż ręka Boga.

Rozdzielenia żywiołów i wyprowadzenia świata z chaosu dokonują też kuratorki Danuta Godyń i Magdalena Laskowska, wypełniając następną salę tym, co nie zostało zrealizowane niestety w pełni – projektem m.in. dekoracji u franciszkanów. Ściana robi wrażenie bogactwa, które zaraz zaczyna jednak blaknąć, tracić moc. Wyspiańskiego mocno mogłoby zirytować takie wyciąganie rzeczy niegotowych, fragmentów, prób... Trudno nie zauważyć, że poza mną i moją żoną – miłośniczką Wyspiańskiego i polnych roślin – mało kto przed ścianą stoi dłużej. Patrzy się na centralne obrazy i idzie dalej, zupełnie już nie zauważając gablot znajdujących się po obu stronach.

A w gablotach tych przepróchy... Nie wiecie, co to jest? Nie martwcie się, ja też musiałem pytać ciocię Wiki... Dość powiedzieć, że te niemal czysto techniczne materiały do tworzenia fresków zapełniają sporą część sali. Dla historyka sztuki są zapewne niezwykle cenne i ciekawe, ale spadają na postać artysty jak całuny zakrywające żywego człowieka przed profanami. Nasz ci on, nasz. A bez przepróchy ani przystąp!

Dalej niestety nie lepiej. Witraże Mehoffera i Wyspiańskiego robione pod ich nauczyciela Jana Matejkę dla kościoła Mariackiego. Rozrys kościoła św. Krzyża i kopie fresków w nim odkrytych, przez Wyspiańskiego opisanych z podziwem i szacunkiem w ramach młodzieńczych prac konserwatorskich. Uwielbiam kościół św. Krzyża. I nawet cieszę się, że w ciągu dnia jest zamknięty i meleksowi turyści tylko z zewnątrz oglądają tę jedną z najbardziej niesamowitych krakowskich świątyń. Myślę, że wiem, czemu Wyspiański tyle uwagi mu poświęcił, i z podziwem patrzę na jego akwarelowy rozrys dekoracji świątyni. Ale znów: czy to jest Wyspiański, o jakim chcemy mówić, jakiego chcemy odnajdywać i – niech nawet będzie – promować? Na rozrysach i przepróchach nie da się zbudować „krakowskiego Gaudiego", a co dopiero mówić o rzuceniu rzeczywistego, żywego wyzwania współczesności.

### Sam już na wielkiej, pustej scenie

Wreszcie „Teatr narodu"! Ale co z tego, że straszy w nim zmarła Polonia i witraże z trupami wielkiego króla, pobożnego księcia i świętego patrona? Co z tego, że prof. Ewa Miodońska-Brookes przemyślnie wybrała umieszczone na ścianach nieoczywiste cytaty? Zamysł był zapewne taki, by pokazać, że teatr narodu Wyspiańskiego nie jest narodu tego świątynią, ale jego czyśćcem, jeśli nie salą tortur. Nie powiódł się jednak. I znów wyszło na to, że nikt nie rzuca, jak sam Wyspiański, w twarz wchodzącym pytania, czy sami nie są jak trupy.

Wiem, wiem – to jest wystawa, a nie Stary Teatr, gdzie Jan Klata takie właśnie stawia pytania „Weselem" (a władcy „teatru narodu" nowym dyrektorem Markiem Mikosem mu odpowiadają). Ale właśnie tu jest najważniejszy dla mnie problem tej części wystawy: nie ma w niej teatru. Są jego resztki i odpryski, bardzo zresztą ciekawe, ale znów: ciekawe, a nawet fascynujące dla kogoś, kto o teatrze Wyspiańskiego wie już sporo. Na dodatek niezbyt fortunny i funkcjonalny wydaje mi się koncept ustawienia w samym centrum tego teatralnego ciągu wielkiego czarnego podestu, z którego oglądać można wyświetlane na ścianach cytaty z „Wesela" i „Wyzwolenia". Budzi on mój sprzeciw, bo wobec ubóstwa teatralnych eksponatów wywołuje fałszywe wrażenie pustki i ascezy.

*„Polonia", karton do witraża dla katedry we Lwowie, Muzeum Narodowe w Krakowie*

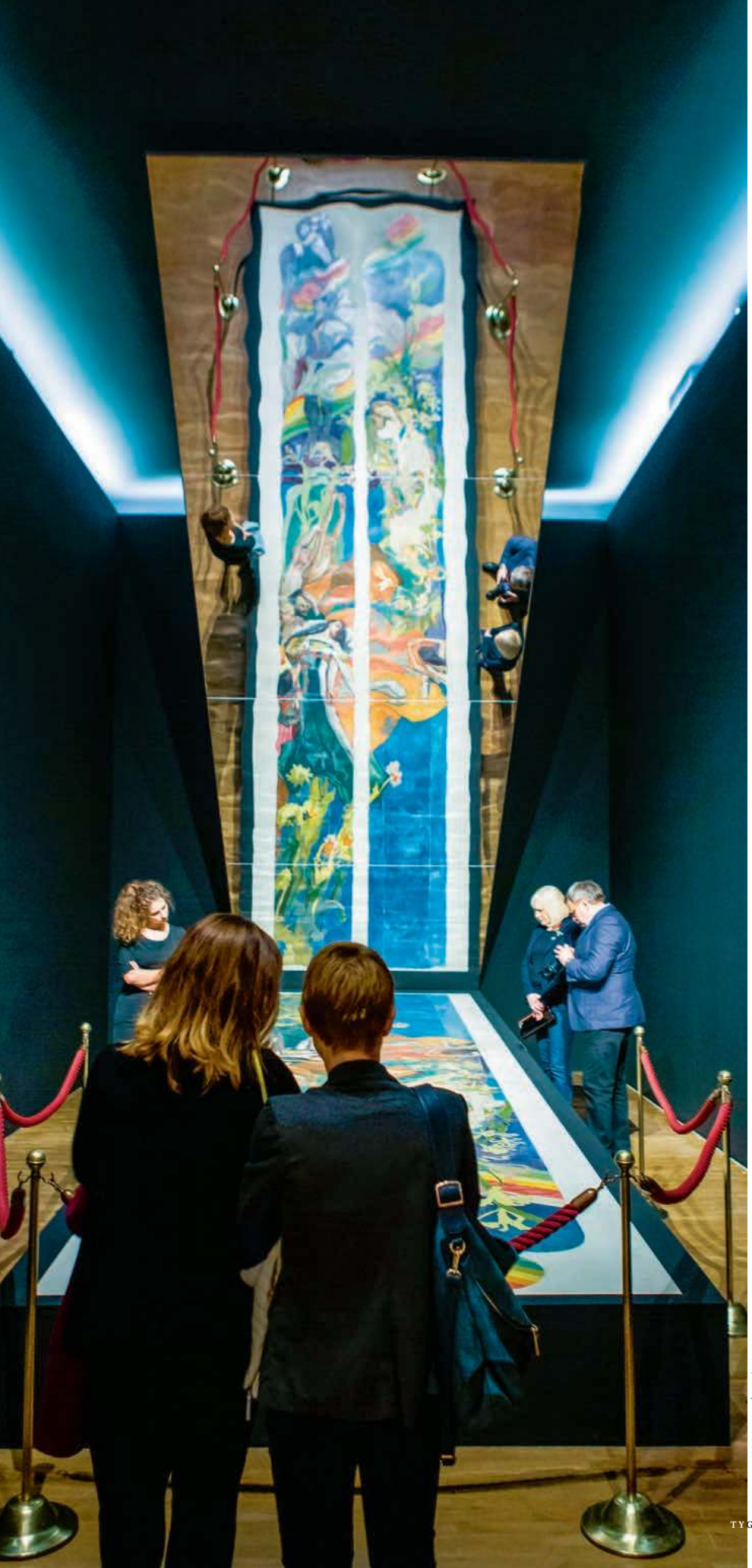

MIROSŁAW ŻAK / MNK

Wyspiański nie tworzył teatru ubogiego i nie jako artysta poetyckiego skupienia inspirował i działał w dziejach polskiej sceny. „Teatr narodu" obecny w wielkich symbolicznych malowidłach, projektach witraży wypełniających jedną część tego ciągu sal, po stronie sztuki scenicznej nie znajduje przeciwwagi, bo dać jej nie mogą powkładane do gablotek pierwsze wydania dramatów, wręcz przeraźliwie biedne, pożółkłe i powyginane („kwiatek, kwiatek, kwiatek, też kwiatek"...). Czy nie lepiej było wokół centralnego podestu umieścić kilka ekranów, na których widzowie mogliby zobaczyć teatr Wyspiańskiego, jaki polscy twórcy przez wiek stworzyli? „Wyzwolenie" Konrada Swinarskiego i „Wesele" Jerzego Grzegorzewskiego? Czy dla cytatów z „Akropolis" i makiety Wawelu po wizyjnej przebudowie nie byłaby trafnym kontrapunktem projekcja fragmentów bolesnej inscenizacji Jerzego Grotowskiego i Józefa Szajny? Wydaje się to proste i niedrogie, a przecież pokazywałoby choć w części, jak z Wyspiańskim mierzyli się ci, którzy na swój sposób dawali mu odpowiedź. Pokazywałoby, że ten artysta żyje właśnie w teatrze, że to teatr wydobywa go z magazynów i wprowadza w nasze życie.

W części wypełnionej malarstwem, prezentowanym pod dumnym hasłem „Nie Paryż, lecz Kraków", wisi wiele wspaniałych pasteli i rysunków, a także kilka płócien, które zdają się sugerować, że gdyby Wyspiański został w Paryżu, byłby jednym z wielu przeciętnych postimpresjonistów. Sala kolejna, poświęcona dekoracjom do pawilonu Sztuki, domu Towarzystwa Lekarskiego i meblom dla Żeleńskich, to swoisty odpowiednik sali z przepróchami: znów szkice do projektów, kwiaty, kaczkowane krakowiaki... Wzrok zmęczonych zwiedzających pada na fotele, a myśl schodząca z piedestału bawi się rozważaniami, czy da się na tym siedzieć. Wyspiański okazuje się koniec końców dziwacznym facetem, który tworzył niewygodne meble. Nawet Apollo-Kopernik już go nie ocali.

Stajemy przed ostatnimi rysunkami, przejmującymi, bo przesyconymi śmiercią. Znany ołówkowy autoportret i prawie nieznany rysunek artysty z żoną w łóżku, przy którym czuwa anioł śmierci. Znów coś żywego, a ciemnego usiłuje się przebić przez płaską powierzchnię. Ale nie zdoła.

### Bośmy za słabi

Na wystawie nie ma wielu dzieł, których od reprezentacyjnej ekspozycji rocznicowej można by oczekiwać. Wiadomo: jest stworzona ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, wypożyczenie dzieł ↦

↦ z innych kolekcji to spory koszt i organizacyjny problem, a zresztą takie wystawy już były, więc kuratorki szukają innych ścieżek i sposobów, starają się pokazać to, co pokazywane było rzadko lub wcale. Myślą muzealniczo, starając się ułożyć z materiału, którym dysponują, opowieść o dziele i człowieku. A jednak i dzieło, i człowiek im się wymykają.

Po obejrzeniu wystawy „Wyspiański" mam nieodparte wrażenie, że Wyspiańskiego na niej nie ma. Jest sporo śladów, sporo (może więcej) jego zamierzeń i rzeczy niespełnionych, ale nie wychodzę z masywnego gmachu z poczuciem, że spotkałem się z kimś, kto ma swoją wolę i czegoś ode mnie chce. Ta wystawa byłaby wspaniałym uzupełnieniem stałej kolekcji Muzeum Wyspiańskiego, ale takiego muzeum w Krakowie nie ma i nic nie wskazuje na to, by kiedyś powstało. W Krakowie – „mieście Wyspiańskiego" – artysta nie ma swojego domu.

Wiosną w „Tygodniku" pisałem już, dlaczego właśnie on wydaje mi się dojmująco współczesny. W międzyczasie sporo się wokół Wyspiańskiego wydarzyło, przede wszystkim w Krakowie. Ale wynikiem tych wydarzeń nie jest wyklarowanie i umocnienie w odpowiedziach, tylko mnożenie pytań i diagnoz negatywnych. I lęk, że po prostu jesteśmy na niego za słabi, że nasza kultura tak skarlała (a może nigdy nie dorosła?), że nie jest w stanie wytworzyć niczego innego niż pocztówki z główkami dzieci i zakładki z roślinami. Że to wciąż do nas wypowiadane jest żądanie, które profesor Miodońska zacytowała na końcu wystawy: żeby wrzucić jego dzieła w ogień, skoro potrafimy się tylko gapić, a nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć.

Czy można wyobrazić sobie inną wystawę – taką, która zaatakowałaby Wyspiańskim tych wszystkich kulturalnych widzów, oburzając polonistki i budząc ich podopiecznych? Czy da się Wyspiańskiego wydobyć ze Skałki? Rzucić jego sarkofag o podłogę, jak on sam kazał uczynić aniołom z trumną św. Stanisława? Czy da się podjąć jeszcze raz trud, co go zabijał? ©

DARIUSZ KOSIŃSKI

**WYSPIAŃSKI**, *kuratorki Danuta Godyń i Magdalena Laskowska, Muzeum Narodowe w Krakowie, wystawa czynna do 20 stycznia 2019 r.*

ALTER EGO PICTURES

# Strategia przetrwania

ANITA PIOTROWSKA

**„Dzikie róże" to film, który pachnie wczesnym wiejskim latem, rozgrzaną skórą, kościelnym kadzidłem.**

Kobieta – z całą swoją winą, wstydem, namiętnościami, z biologicznym i społecznym determinizmem – wypełnia od początku do końca najnowszy film Anny Jadowskiej. Reżyserka, która zarówno w swoich wcześniejszych filmach fabularnych („Teraz ja", „Z miłości"), jak i dokumentalnych („Trzy kobiety") dała się poznać jako orędowniczka tzw. tematów kobiecych, tym razem poszła na całość, podążając czujnie za wzrokiem swojej bohaterki i ogarniając nim stworzony na ekranie świat. Przepastny i duszny zarazem.

Odwołując się wyłącznie do zmysłów, należałoby powiedzieć, że „Dzikie róże" to film, który pachnie wczesnym wiejskim latem, rozgrzaną skórą, kościelnym kadzidłem. Grana przez Martę Nieradkiewicz młoda mężatka o archetypicznym imieniu Ewa w przededniu pierwszej komunii swojej córki zmaga się z konsekwencjami niedawnego czynu: zostawiła w szpitalu dziecko będące owocem zakazanego romansu z miejscowym chłopakiem. Pod nieobecność męża (Michał Żurawski), który tyra za granicą, „by rodzina miała normalne życie", pod bacznym spojrzeniem własnej matki (Halina Rasiakówna), plotkujących sąsiadów, ale także córki, która zdaje się rozumieć więcej, niżby się mogło wydawać, rozgrywa się cichy dramat, który Jadowska odsłania przed nami ukradkowo i nieśpiesznie.

Czy stoi za nim skrywany grzech, czy poczucie utraty, pozostaje aż do finału kwestią otwartą. Z każdą minutą narasta przeszywająca wszystko samotność Ewy, opowiedziana pejzażem niby swojskim, wypełnionym całym tym letnim cykaniem, brzęczeniem i ćwierkotem,

*Kadr z filmu „Dzikie róże”*

lecz podkreślającym na każdym kroku totalne wyobcowanie. Stężała twarz Nieradkiewicz, aktorki nareszcie w pełni dostrzeżonej przez polskie kino, stanowi tu pejzaż osobny – jakby Ewa czuła się całkowicie wycięta z otoczenia. Stojący w szczerym polu na wpół wykończony dom wieje pustką, pomimo obecności w nim dwójki dzieci, gromadzonych skrzętnie dóbr materialnych, pomimo przyjazdu męża i zbliżającej się rodzinnej uroczystości.

A więc jeszcze raz komunia, motyw powracający ostatnio w naszym kinie z zastanawiającą regularnością, by wspomnieć tylko nagradzany dokument Anny Zameckiej czy debiut fabularny Jagody Szelc. Sprowadzanie jej wyłącznie do pustego rytuału byłoby jednak pójściem na łatwiznę. W „Dzikich różach” bojkotuje go co prawda mała, rezolutna Marysia, rogata dusza wyczuwająca fałsz postulowanej zewsząd niewinności, ale skonwencjonalizowana ceremonia, ginąca w cieniu konsumpcji, próżności i niewyznanych grzechów, może być potraktowana także jako moment przebudzenia, niekoniecznie religijnego. Jadowska wyprowadza bowiem komunię z kościoła i przesuwa w czasie jej najważniejszy moment. Za pomocą suspensu, a nawet grozy funduje nam mały cud. Dlatego historię Ewy można czytać w kategoriach grzechu, boskiej kary i odkupienia, choć wcale nie jest powiedziane, że kobieta, podejmując finałową decyzję, podąża za głosem katolickiego sumienia. Być może dojrzewa po prostu do własnego suwerennego wyboru, ze wszystkimi jego konsekwencjami – nawet jeśli stoją za nim głęboko uwewnętrznione nakazy.

Płatki dzikich róż, które Ewa zbiera na plantacji (by stać się choć trochę niezależną? by móc potajemnie spotykać się z kochankiem?), kojarzą się z kobiecą delikatnością, ale i siłą – można z nich zrobić krzepiącą nalewkę lub konfiturą. Reżyserka i scenarzystka w jednej osobie nie nadużywa jednak retorycznych figur. Czystym obrazem, precyzyjnie odmierzonym rytmem opowiada o smutnych kobietach i smutnych mężczyznach będących zakładnikami swoich ról, niezdarnie wypracowujących własne strategie przetrwania. Jednocześnie ucieka od przewidywalności. Polską prowincję, siedlisko stereotypów, pokazuje bez uprzedzeń – jako męczący stan duszy, brak perspektyw, osaczenie przez innych, a zarazem jako wspólnotę, która potrafi skrzyknąć się w kryzysowych chwilach. Bo tylko w pobieżnym odczytaniu „Dzikie róże” traktują o społecznej presji i realnej cenie, jaką przychodzi zapłacić kobiecie za jej niewierność.

Równocześnie ten film – nakręcony niemal wyłącznie przez kobiety, w dodatku nawiązujące bardzo bliski kontakt z opowiadaną historią – próbuje przewiercić się na drugą stronę, znaleźć język dla innej wrażliwości, pozbawiony protekcjonalnego tonu. Chciałoby się rzec: dla wrażliwości kobiecej, gdyby nie miało to ciągle deprecjonującego znaczenia. Podczas selekcji do tegorocznego festiwalu w Gdyni z jakichś powodów „Dzikie róże” nie zostały dopuszczone do głównego konkursu, w którym znalazły się za to tak ważkie dla polskiego kina tytuły jak „Volta” Juliusza Machulskiego. Wylądował więc film Jadowskiej w niszowej sekcji „Inne spojrzenie”, po czym zaczął przywozić nagrody z innych festiwali, w Cottbus czy Sztokholmie. Cudze chwalicie, swego nie znacie? Zostawmy to bez komentarza. Uznajmy, że to Marysia, będąca w filmie przedstawicielką najmłodszego pokolenia polskich kobiet, właśnie pokazała wszystkim język. ©

**DZIKIE RÓŻE** – *reż. Anna Jadowska. Prod. Polska 2017. Dystryb. Alter Ego Pictures. W kinach od 29 grudnia.*

## WARTO ZOBACZYĆ W TV [30 XII – 12 I]

### 1. Carmen

*Opera, reż. Kasper Holten, Austria 2017, TVP Kultura, 31 I, 14.05*

Inscenizacja Bizeta dokonana przez duńskiego reżysera, na co dzień dyrektora londyńskiej Opery Królewskiej, miała swoją premierę w tym roku na festiwalu w Bregencji. W rolach głównych wystąpili Gaëlle Arquez i Daniel Johansson. Spektakl został wystawiony na jeziorze, a imponująca scenografia jest dziełem Es Devlin, znanej m.in. ze współpracy z największymi gwiazdami popu i rocka.

### 2. Korona królów

*Serial, reż. Wojciech Pacyna, Polska 2017, TVP1, 1 I, 18.30*

Czy nowy serial historyczny wyprodukowany przez publiczną telewizję dorówna rozmachem i popularnością tureckiemu „Wspaniałemu stuleciu”? Przed nami pierwszy odcinek opowieści o czasach Kazimierza Wielkiego, w którego wciela się Mateusz Król. Serial, zapowiadany jako największe od 30 lat przedsięwzięcie TVP, będzie emitowany cztery razy w tygodniu, od poniedziałku do czwartku.

### 3. Zwariować ze szczęścia

*Komediodramat, reż. Paolo Virzì, Francja/Włochy 2016, Cinemax, 7 I, 23.25, 8 I, 8.55*

Twórca „Kapitału ludzkiego” nakręcił zwariowaną komedię o dwóch uciekinierkach ze szpitala psychiatrycznego w Toskanii, a jednocześnie przejmujący film o kobiecej przyjaźni, porównywany z „Thelmą i Louise”. Jedną z głównych ról zagrała brawurowo Valeria Bruni-Tedeschi, zaliczana dziś do najznakomitszych aktorek europejskiego kina.

### 4. Wrzenie w Baltimore

*Dokumentalny, reż. Sonja Sohn, USA 2017, HBO, 11 I, 21.40*

Kiedy w kwietniu 2015 r. dwudziestopięcioletni Afroamerykanin został zatrzymany przez policję w Baltimore, a tydzień później zmarł w wyniku zadanych mu obrażeń, w mieście wybuchły zamieszki. Film dopuszcza do głosu rozmaite strony związane z tamtymi wydarzeniami, analizując źródła społecznego konfliktu i możliwości jego rozwiązania.

JAN

# Klata:
## *Gotowanie żaby*

Najważniejsze, aby niepostrzeżenie ogrodzić akwen. Następnie po prostu podgrzewamy wodę. Brzmi banalnie – ale wcale takie nie jest. Gotowanie żaby wymaga paradoksalnego kunsztu, cierpliwości, utrzymywania tzw. *poker face*, nie wolno mrugnąć powieką na kamiennej twarzy, nie można zmącić rosołu. Jeśli w jakimś niepożądanym okamgnieniu żaba wyczuje, co ją czeka, zacznie wrzeszczeć, a przedśmiertne skrzeczenie przeszkadza w stanowieniu nowych praw, osadzaniu nowych elit na wszystkich możliwych stolcach, przeszkadza w pospólnej społecznej drzemce. Niech więc rączka nie drgnie, gdy delikatniutko zwiększamy temperaturkę. Zwiększamy, z wyrozumiałym uśmiechem, machnięciem drugiej ręki oddalając zarzuty, absurdalne całkowicie, oszczercze, wręcz śmieszne, totalnie niesprawiedliwie histeryczne. Ani mru-mru, cha, cha, cha, a drugą kończyną przekręcamy pokrętło.

Stopniowo, nie bez narastającej równolegle satysfakcji, obserwujemy reakcję żaby w kolejnych stadiach klimatycznych. Najpierw żaba zadowolona – jest jej jakby cieplej na duszy. Później żaba sobą zachwycona – czuje, że wstała z kolan. Następnie żaba czuje, że całe życie zasługiwała na jacuzzi, więc nierychliwie, ale nareszcie sprawiedliwie spełniają się oczekiwania. Podnosimy zatem jeszcze temperaturkę wody, aby żaba uświadomiła sobie, że przecież jest jak na Islandii, że gorące źródła pełnią funkcję nie tyle nawet odprężającą, co wręcz leczniczą. Czas skończyć z zimną pedagogiką wstydu, żaba załuguje na najwyższą temperaturę wody. Nie wiadomo, czy żaba przed ugotowaniem zda sobie sprawę, że jest już po herbacie, być może tak, być może nie – wtedy i tak będzie za późno, a wszyscy obserwatorzy uznają, że chcącemu nie dzieje się krzywda. Przecież od początku było widać, o co chodzi, nieubłaganie.

Skrzeki żab? Owszem, czasem dają się słyszeć, dobiegają, ale co to za bieg, rachityczny nader w kontekście przebiegłej intrygi. Skrzeki gotowanych żab podążają w różnych kierunkach, czasem zaiste kuriozalnych – wśród żab zdarzają się bowiem matoły. Najbardziej żenujące są konformistycznie pseudomądre, głębokożyciowe, defetystyczne banały, kończące się nawoływaniem do *Pseudorealpolitik*, do oportunizmu opakowanego w pozory Ratowania tzw. Substancji. „Przecież widzom (koniom, obywatelom) jest wszystko jedno, kto będzie prezesem Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (dyrektorem stadniny, premierem RP, prezesem Trybunału Konstytucyjnego)". Każdy, kto mówi powyższe zdanie, w jakiejkolwiek wariacji, jest kretynem, i w nadchodzącym roku kretynem pozostanie. Bez obrazy. Jeśli ktoś wielce wyrafino poczuł się gorzej z mianem kretyna, nielicującym, zwłaszcza na szacownych łamach – to dobrze, niech sobie podmieni na abderytę. Z Beocji. ©

# Lektor:
## *Conrad tragiczny*

• *Michał Komar*
**PIEKŁO CONRADA** *oraz* **CZTERDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ. Z MICHAŁEM KOMAREM ROZMAWIA BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ.**
*Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2017, s. 230*

**Rok Conradowski dobiegł końca. Pośród wydarzeń, którym go uczczono, jednym z najważniejszych było wznowienie tej właśnie książki.**

„Piekło Conrada" należy do najlepszych tekstów o dziele Conrada i dramacie jego myśli. Dramacie – bo autor „Lorda Jima" nie jest tutaj, jak chciał Gombrowicz, „posągiem człowieka na posągu świata", ale pisarzem rozumiejącym tragizm ludzkiego losu, którego istotą jest nieusuwalny konflikt wartości i niebezpieczeństwo nihilizmu. Książka Komara ukazała się w 1978 r., dekadę później wydano ją powtórnie i odtąd nie była wznawiana – znów jednak czyta się ją jako rzecz żywą i aktualną, a pasja, z jaką była pisana, udziela się i nam. Łączy w sobie rzetelność i klarowność wywodu oraz konsekwencję w kwestionowaniu każdej założonej z góry tezy z tonem mocno osobistym – to praca o Conradzie (przyjęta zresztą jako dysertacja doktorska), a zarazem analiza meandrów myśli europejskiej od czasów oświecenia i źródeł kryzysu wartości, wręcz rozprawa ze współczesnym światem. „Piekło..." nie ma zakroju monograficznego, liczy zaledwie dwieście stron i skupia się na wybranych utworach Conrada („Murzyn z załogi »Narcyza«", „Lord Jim", „Jądro ciemności", „Tajny agent", „Nostromo", „W oczach Zachodu") oraz epizodach z jego biografii, narracja jest jednak niebywale gęsta i sugestywna.

Obecne wydanie uzupełnione zostało rozmową, jaką z Komarem przeprowadził Bartłomiej Sienkiewicz. Dotyka ona między innymi nurtującego mnie od dawna pytania – jakim cudem „Piekło Conrada" przeszło w 1978 r. przez cenzurę? Ludzie młodzi tego pytania nie zrozumieją, zapewniam jednak, że książka brzmiała wtedy zupełnie niecenzuralnie i nie przypadkiem polecał ją nam, wówczas studentom, dominikanin Andrzej Kłoczowski... Sienkiewicz, który przeczytał ją dekadę później, mówi z emfazą o „wolnym głosie w niewolnym kraju". Autor zaś przyznaje, że pisał „Piekło..." w pasji, z wściekłością, rozładowując gniew narastający od lat – stąd dedykacja pamięci ojca, więzionego i torturowanego w latach stalinowskich. I na koniec jeszcze cytat z tej rozmowy. „Zbrodnia i szaleństwo – mówi Komar – to margines. Rzecz w tym, że nie ma marginesu, który nie byłby nasz. Być może statystycznie mało znaczący – ale wciąż nasz, potencjalny, możebny, wciąż gotowy do przeobrażenia się w normę. Rozkosz pogrążenia się w złu, które ogrania niektóre postaci z powieści Conrada... Przerażenie pogrążania się w pustce, które dotyka samego pisarza. (...) Jak znieść samego siebie, gdy popadasz w stan udręki, zarazem zaś – stając ponad sobą i nie tracąc poczucia normy – widzisz, jak norma się rozpada, a przecież nie powinna? To trzeba wytrzymać. *Do or die!* Czyń albo zgiń!". ©℗

REKLAMA

NAJŁADNIEJSZĄ PORĄ ROKU SĄ WAKACJE, NAWET ZIMOWE

ZIMA PRZEKRÓJ 2018

nr 1 (3560)/18 14,90 zł (w tym VAT 8%)

WIELORYB

Moje dziecko, dobrze wiesz chyba,
Że wieloryb – choć to nie ryba –
Śpi w oceanie,
Je w oceanie,
Więc złóż mu za to podziękowanie.
Bo niech no wieloryb na ląd się wygrzebie,
To wtedy zabraknie miejsca dla ciebie.

Jan Brzechwa

Czytaj całą zimę

www.przekroj.pl

# ARKA DLA ZIAREN

Witajcie w bunkrze, w którym przechowuje się kopie zapasowe nasion dzikich roślin. Niektóre z nich mogą zaważyć na naszej przyszłości.

TEKST I ZDJĘCIA MICHAŁ KUŹMIŃSKI Z WAKEHURST (WIELKA BRYTANIA)

Wakehurst zawsze miało szczęście do wielbicieli flory. Ta XVI-wieczna rezydencja w stylu Tudorów w hrabstwie West Sussex, zmieniając właścicieli a to za sprawą dziejowych burz, a to hazardowych długów, trafiła najpierw, w 1869 r., w ręce markizy Downshire, która zażyczyła sobie mieć w parku egzotyczne drzewa. Później, w 1903 r., kupił ją Gerald Loder, późniejszy Lord Wakehurst, który jął hojnie sponsorować wyprawy po rośliny wschodniej Azji, Ameryki Południowej, Australii i Nowej Zelandii. Także kolejni właściciele rozwijali ogród i park, aż w 1965 r. posiadłość wydzierżawiły legendarne Królewskie Ogrody Botaniczne Kew.

Ale na skraju kompleksu sędziwych zabudowań posiadłości, za żywopłotem kryje się zupełnie inny budynek. Otwarty w 2000 r., przeszklony pawilon o półokrągłych dachach, które pokrywają baterie słoneczne. Wokół przysłowiowy angielski trawnik. Pod nim zaś jedno z najważniejszych przedsięwzięć naukowych naszego świata.

### Miliardy nasion

– Na co dzień zajmujemy się tu bardzo prostolinijnym procesem. W zasadzie każdy rzeźnik za pomocą takiego samego wyposażenia jak nasze przechowuje mięso – rozkłada ręce dr John Dickie, który kieruje zbiorami i laboratoriami Milenijnego Banku Nasion. W podziemnym bunkrze o pojemności równej 30 londyńskim piętrowym autobusom, w temperaturze od -18 do -20 stopni Celsjusza, spoczywają nasiona 13 proc. ziemskiej flory. Do 2020 r. Bank chce zabezpieczyć jedną czwartą roślin świata.

Mówiąc ściśle – chodzi o nasiona tzw. ortodoksyjne, które bez szkody dają się wysuszyć i zamrozić. To ok. 90 proc. nasion świata. Ale nad resztą, tzw. nasionami opornymi, też trwają tu prace: naukowcy np. mrożą same ich zarodki w ciekłym azocie i badają, jak je po rozmrożeniu namówić do wzrostu.

Są tu nasiona 37 614 gatunków ze 189 krajów. Każdy gatunek wymaga kilku zbiorów z różnych siedlisk, żeby uwzględnić różnorodność odmian. Zaś każdy zbiór powinien liczyć z 10 tys. nasion, by mieć pewność, że zgromadzi się jak najwięcej zdrowych i zdatnych do wzrostu. W efekcie w Milenijnym Banku Nasion spoczywa dziś 2 200 964 170 nasion.

Gdyby były to tylko ziarnka maku, to układając je jedno za drugim, można by utworzyć w linii prostej ścieżkę między Wakehurst a redakcją „Tygodnika" – i jeszcze zostałoby maku na niemal osiemset makowców.

Banki nasion to żadna nowość, działają na całym świecie, zabezpieczając rezerwy nasion roślin uprawnych. Bodaj najbardziej spektakularny jest Globalny Bank Nasion na Spitsbergenie, ochrzczony „Skarbcem Zagłady", gdzie w wiecznej zmarzlinie przechowuje się kopie zapasowe upraw z całego globu na wypadek kataklizmu czy nuklearnej apokalipsy. Ale tutejszy bank jest wyjątkowy. Nie tylko dlatego, że największy. Przechowuje nasiona nie roślin uprawnych, lecz dzikich. To tak, jakby pasterskimi metodami chcieć pasać bizony.

Ale to nie znaczy, że misja Milenijnego Banku Nasion nie wiąże się z naszym pożywieniem.

Przeciwnie: rośliny uprawne i dziką florę łączą ścisłe i wrażliwe więzi. Po pierwsze, im dalej posuwamy się z przemysłowym rolnictwem, do tym głębszej defensywy spychamy dziką przyrodę. Od 60 do 100 tys. gatunków roślin grozi dziś zagłada z ręki człowieka, głównie przez pozyskiwanie terenów pod uprawy. Dwa na trzy zagrożone gatunki flory rosną w lasach deszczowych strefy równikowej Azji Południowo-Wschodniej, karczowanych pod plantacje palmy olejowej, na którą popyt napędza m.in. nasz głód na tani tłuszcz dla przemysłu cukierniczego. W Brazylii rolnictwo i miasta wyparły już 90 proc. tamtejszego lasu deszczowego. Nie istnieje też 99,99 proc. prerii na wschodzie Wielkich Równin Ameryki Północnej. Europejskie rolnictwo, zajmujące 40 proc. obszaru UE, przez ostatnie półwiecze z tradycyjnego zmieniło się w przemysłowe.

Po drugie, rośliny odpowiadają za 80 proc. wyżywienia ludzkości. Zaledwie pięć zbóż – ryż, pszenica, kukurydza, proso i sorgo – dostarcza wszystkim ludziom świata 60 proc. kalorii. A jak się zaraz okaże, wiele upraw bez wsparcia dzikich roślin może nie przetrwać najbliższej przyszłości.

### Minus dwadzieścia

– To jest dzika marchew – Oriole Wagstaff, która odpowiada tu za komunikację, rozkłada starą gazetę na biurku w herbarium, ↦

*W chłodni Milenijnego Banku Nasion: sprężynki pośrodku to jadalne strąki jadłoszynu Prosopis pubescens*

↦ gdzie trafiają nadesłane do banku nasiona wraz z okazami całych roślin. Między arkuszami gazety schną łodygi i kwiatostany. Takie okazy gromadzi się, żeby bank wiedział, co właściwie przechowuje. Bo przy niebywałej kreatywności przyrody nawet tutejsi eksperci nie potrafiliby rozpoznać wielu roślin po samych tylko nasionach.

To nawet wzruszające: rośliny suszy się w gazecie, dokładnie tak, jak w dzieciństwie robiło się zielniki.

– Ale spróbuj to zrobić z liściem bananowca – śmieje się Oriole. – Potrzebowałbyś pół wydania.

Dzika marchew ma baldachimowate kwiatostany przypominające koper, a wśród korzonków plączą się drobne, poskręcane bulwy. Pochodzi z Azerbejdżanu, przysłał ją tamtejszy Instytut Zasobów Genetycznych.

– Współpracujemy z uniwersytetami czy ogrodami botanicznymi całego świata – tłumaczy Oriole. Bank jest centralnym węzłem sieci, na którą składają się ośrodki z przeszło 80 państw. Każdy zbiór, który tu od nich trafia, ma swój duplikat w kraju pochodzenia.

Kolejne pomieszczenie pachnie jak warzywniak. Laboranci czyszczą nasiona z ziemi, łupin czy gałązek, pestkują owoce. Za śluzą, w suszarni, panuje temperatura 15 stopni Celsjusza i 15-procentowa wilgotność.

– Każde obniżenie względnej wilgotności o 10 proc. przedłuża żywotność nasiona dwukrotnie – mówi Oriole. – Suszenie ogranicza też ryzyko, że przy mrożeniu krystalizująca woda zniszczy komórki nasion.

W stosach ażurowych skrzynek nasiona spędzają dwa do sześciu miesięcy. Na jednym tylko stosie suszą się zbiory z Madagaskaru, Dominikany, Australii, Ugandy, Tajwanu, Finlandii, Fidżi...

Jest też zbiór z Polski. Oriole Wagstaff wysypuje sobie na dłoń drobne, łezkowate, brązowe pestki.

– Dobrze przygotowane. Wysuszone i czyste – chwali. Opis: *Pyrus communis*. Grusza pospolita. Czyli swojska ulęgałka. W innej kopercie z Polski *Myrica gale*, czyli woskownica europejska – chroniony krzew spotykany nad Bałtykiem, który w średniowieczu zastępował piwowarom chmiel.

Po suszeniu nasiona wracają do laboratorium. Tu znów *hi-tech* miesza się z *low-tech*: z jednej strony supernowoczesne mikroskopy i rentgenowskie skanery do sprawdzania, czy w którymś nasionie nie zadomowił się robak. A z drugiej – zwyczajne

**DR RUTH EASTWOOD:**
Potrzebujemy dziś na powrót bioróżnorodności, żeby poszerzyć możliwości roślin uprawnych. Musimy uciec do przodu.

sita. Choć nie tak zwyczajne: najmniejsze ma ćwierćmilimetrowe oka, służy do oczyszczania nasion storczyków: tak małych, że np. w jednym gramie nasion storczyka *Aerides odorata* mieści się 3,4 mln sztuk mierzących ok. 0,2 mm.

Stalowe, kręcone schody prowadzą w dół, przed pancerne drzwi, jakich nie powstydziłby się bank rezerw federalnych. Dalej nasiona czeka ponowne suszenie, na wypadek gdyby złapały wilgoć po drodze. W nieco łagodniejszych warunkach: 18 stopniach i przy 17-procentowej wilgotności, bo w środku pracuje też załoga. Jedna z laborantek, w chustce na głowie, niebieskiej puchówce i rękawicach, właśnie wyszła z lodówki. Dosłownie: stąd prowadzą drzwi do sześciu chłodni, w których panuje minus 20 stopni Celsjusza. Chłodnie działają parami: zbiory się dubluje, w jednym pomieszczeniu trzyma się zbiór bazowy, zabezpieczony na amen, w drugim identyczny, z którego czerpie się nasiona do bieżącego użytku.

Wokół stołu na środku grupa laborantów przy mikroskopach przygotowuje próbki do testów kiełkowania. Nad higrometrami pochyla się Anna Pajdo. Sprawdza wilgotność nasion, które mają trafić do lodówki. Kręci głową. Wymagają jeszcze trochę suszenia.

Anna pochodzi z Gdyni. Na etacie w Milenijnym Banku Nasion pracuje od pięciu lat. Z wykształcenia jest nauczycielką WF.

– Ale gdy zamieszkałam w okolicy, dowiedziałam się, że niedaleko jest miejsce, w którym tak się myśli o przyszłości. Pomyślałam: „wbijaj!" – opowiada.

Przed mrożeniem nasiona pakuje się do zwykłych, szklanych słojów z wieczkiem na klamrę. Takich jak na przetwory. I znowu wśród najnowszych technologii robi się swojsko. Oriole podaje niebieską puchową kurtkę i rękawice, tłumacząc że obniżenie temperatury o każde 5 stopni przedłuża żywotność nasiona dwukrotnie.

– Gotowy? – pyta. – To wchodzimy.

Mróz szczypie w twarz, buczą agregaty. Po lewej półka ze słojami, która wygląda jak spiżarnia, po prawej stalowe regały przesuwne, niczym w archiwum. A w nich opatrzone kodami szuflady z fiolkami. Są ich tu tysiące, dziesiątki tysięcy.

– To moje ulubione – Oriole wskazuje na słój z żółtymi, ciasno ściśniętymi sprężynkami, które wyglądają nieco jak makaron fusilli.

– Co to za nasiona? – pytam.

– Sama nie wiem – odpowiada. – To przez procedury bezpieczeństwa.

Słoje opisane są tylko kodami paskowymi. Jak w zwykłym banku, tu też obowiązują tajemnice. Bo niektóre nasiona są dosłownie bezcenne. Ale w tym przypadku uchylenie rąbka tajemnicy nie zagrozi światowej florze: opisane zdjęcia kilku słojów z Wakehurst dostępne są w agencjach fotograficznych. Sprężynki okazują się strąkami odmiany jadłoszynu (*Prosopis pubescens*), krzewu spotykanego na południu USA i w Meksyku – w dodatku jadalnymi.

Z szuflady Oriole Wagstaff wyciąga fiolkę pełną czerwonych perełek, każda ma po jednej stronie czarną plamkę – to nasiona modligroszku różańcowego (*Abrus precatorius*) rosnącego od Afryki po Indochiny,

*Po lewej: nasiona modligroszku różańcowego (Abrus precatorius).*
*Po prawej: laboratorium, w którym przygotowuje się nasiona do mrożenia i do testów kiełkowania. W głębi drzwi do chłodni*

**To największe na Ziemi** skupisko różnorodności biologicznej na metr kwadratowy. Są tu nasiona 37 614 gatunków roślin.

piękne i groźne: choć tradycyjnie używane do wyrobu naszyjników, zawierają śmiertelną truciznę.

Dalej bure kulki. I jasne słomki. I płatki, pestki, granulki, skrzydełka, kolczaste skorupy, nakrapiane fasolki, puchate kłaczki, kluskowate strąki, włochate kłosy. Półka za półką, szuflada za szufladą, kolejne patenty, koncepty i wynalazki ewolucji. Podziemia w Wakehurst to największe na kuli ziemskiej skupisko różnorodności biologicznej na metr kwadratowy.

– Możemy już powoli wychodzić? – pyta nieśmiało Oriole, chuchając w garście.

### Pomysły roślin

Liczba pomysłów roślin na to, jak wysłać potomstwo w świat, przyprawia o zawrót głowy. Choć zawsze chodzi o to samo.

– Każde nasiono ma dwa zadania: przeżyć i rozprzestrzenić się – mówi dr John Dickie. – Składa się z trzech części. Na zewnątrz jest warstwa ochronna, wewnątrz znajduje się zarodek oraz jego pożywienie. Zarodek uwalniany jest przez roślinę w ochronnym pakiecie i z prowiantem na drogę. W przypadku zbóż to właśnie z tego prowiantu, bielma, robimy mąkę.

Najwcześniejsze dowody na obfitość dzikich nasion w ludzkim menu pochodzą znad jeziora Genezaret, z osadów sprzed ok. 20 tys. lat. A więc dziesięciu mileniów przed początkami rolnictwa. Wszechstronność nasion w diecie zawdzięczamy w dużej mierze temu, że rośliny przyjęły bardzo różne koncepcje tego, co zapakować potomstwu na prowiant.

– Pozornie najprościej byłoby roślinom korzystać tylko ze skrobi, bo najłatwiej się ją metabolizuje – mówi dr Dickie. – Pierwszy etap kiełkowania zboża polega na tym, że enzymy zawarte w tzw. warstwie aleuronowej, która otacza bielmo, zaczynają przetwarzać skrobię na cukry proste, z których korzysta zarodek. Ale wartość kaloryczna danej objętości skrobi nie jest tak duża, jak takiej samej objętości tłuszczów. Zaś rośliny strączkowe przechowują energię w białkach, mając rzadką umiejętność wiązania atmosferycznego azotu potrzebnego do budowy aminokwasów. Wszystko jest kwestią ścieżek ewolucyjnych: rozwiązania sensowne w jednej części drzewa ewolucyjnego roślin niekoniecznie sprawdziłyby się w innych.

Albo inny ewolucyjny dylemat: czy lepiej – jak storczyki bądź zboża – rozsiewać mnóstwo małych nasion, czy wytworzyć jeden duży orzech.

– Jeśli roślina produkuje mnóstwo maleńkich nasion, części z nich uda się dostać daleko od rośliny macierzystej i jej wpływu, ale za to trzeba się pogodzić ze zmarnowaniem wielu z nich – mówi dr Dickie. – Tymczasem duża inwestycja oznacza zapewnienie rezerw, które pozwalają sadzonce wzrosnąć w strefie wegetacji rośliny macierzystej i nie zostać zagłuszoną do momentu, gdy będzie zdolna podjąć fotosyntezę. Coś za coś.

Strategia traw – rozsiew mnóstwa drobnych nasion wyekwipowanych w porcję skrobi na szybki start – miała na zawsze zmienić losy ludzkości.

### Geny ocalenia

Około 12 tys. lat temu kończy się ostatnia epoka lodowcowa. Ziemia się zmienia. Cofają się lasy iglaste, południowa Europa i Bliski Wschód stają się trawiastym stepem, gdzie panują suche lata. Ten trudny dla roślin teren podbijają trawy.

Są wśród nich dzikie zboża. Pszenicę płaskurkę i samopszę, bogate w skrobię i białka i dające obfity zbiór, szybko uczą się wykorzystywać paleolityczne plemiona. Żywić się nimi – ale też wybierać najlepsze ziarna, siać je, uprawiać. Koczowniczy łowcy i zbieracze z wolna stają się osiadłymi rolnikami. Ziarna są pokarmem, paszą, kapitałem i narzędziem władzy. Na terenach tzw. Żyznego Półksiężyca – łuku ziem, który tworzą na mapie Górny i Dolny Egipt, Palestyna, Syria i Mezopotamia, wraz z uprawami zbóż rosną Teby i Memfis, Damaszek i Aleppo, Tyr i Sydon, Ninijwa, Babilon i Ur. Podobny proces, dzięki ryżowi, zachodzi w Chinach, dzięki kukurydzy – w Amerykach, dzięki prosu i sorgo – w Afryce.

Ziarna rodzą cywilizację. Ale nie ma nic za darmo. Selekcja i udomowienie oznaczają, że coraz węższa staje się różnorodność genetyczna roślin uprawnych. Gdy nadejdzie rolnictwo przemysłowe, proces ten osiągnie globalne rozmiary: na olbrzymich obszarach większości ziem uprawnych rośnie raptem kilka takich samych odmian.

– Udomowienie wybranych roślin było kiedyś niezbędnym i doskonałym rozwiązaniem. Ale coś straciliśmy – mówi dr Ruth Eastwood, która w Milenijnym Banku Nasion koordynuje „*Crop Wild Relatives Project*": projekt na rzecz dzikich krewniaków roślin uprawnych. Badaczka kładzie na stół listę 29 najważniejszych ↦

upraw na świecie. Cieciorka, groszek, jabłka, jęczmień, lucerna, marchew, orzeszki ziemne, owies, proso, pszenica, słonecznik, sorgo, ziemniak i żyto – to tylko niektóre. Program ma je ocalić – bo okazują się bezbronne wobec skutków zmian klimatycznych.

– W miarę selekcji roślin uprawnych ich różnorodność genetyczna zawężała się na potrzeby jednego, konkretnego scenariusza. A teraz ów scenariusz się zmienia. I to gwałtownie – mówi dr Eastwood. – A nasze uprawy nie są w stanie dostosować się do nowych warunków bez odpowiednich genów.

Tymczasem te utracone geny ewoluowały nieniepokojone w dzikich krewniakach naszych roślin uprawnych. Te przez pokolenia rozwijały się w rozmaitych siedliskach i dostosowywały się do różnych temperatur, wilgotności, gleb, cykli.

– Potrzebujemy dziś na powrót bioróżnorodności, żeby poszerzyć możliwości roślin uprawnych – tłumaczy dr Eastwood. – Musimy uciec do przodu.

Weźmy choćby trawę, która ewoluowała w zasolonej glebie.

– Gdyby udało się ją skrzyżować ze zbożem, otrzymalibyśmy uprawy odporniejsze na zmiany poziomu wód gruntowych, które wiążą się ze zwiększeniem zasolenia gleby – tłumaczy badaczka. A zasolenie gruntów to tylko jeden z problemów, które powodują zmiany klimatu. Kolejne to susza albo powodzie, gwałtowne zmiany temperatur czy dogodne warunki dla chorób roślin, by wspomnieć tylko zarazę ziemniaczaną, która w latach 40. XIX w. wywołała śmiertelne żniwo głodu w Irlandii czy Galicji, a dziś powoduje straty rzędu 6,7 mld dolarów rocznie.

Dr Eastwood opowiada, jak można wykorzystać przystosowania dzikich krewniaków naszych upraw. Zmiany temperatur powodują np. olbrzymie problemy z uprawą ryżu – który stanowi podstawowe pożywienie połowy ludzkości i jest źródłem 27 proc. kalorii i jednej piątej białek w diecie mieszkańców krajów rozwijających się. Na zależnych od ryżu terenach żyje ponad połowa z 840 mln ludzi cierpiących stały głód.

RDC POLSKIE RADIO
**MICHAŁ KUŹMIŃSKI** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 3 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

**DR JOHN DICKIE:** Jesteśmy częścią natury i jeśli my, pojedynczy gatunek, zdominujemy Ziemię, odbije się to również na nas.

**Za 80 proc. wyżywienia** ludzkości odpowiadają rośliny. Zaledwie pięć zbóż – ryż, pszenica, kukurydza, proso i sorgo – dostarcza wszystkim ludziom świata 60 proc. kalorii.

– W wysokich temperaturach ryż staje się bezpłodny – mówi dr Eastwood. – Ale udało się skrzyżować ryż z jego dzikim krewniakiem *Oryza officinalis*, który kwitnie wcześnie rano. Powstała odmiana hodowlana, która kwitnie rankiem, gdy jest chłodniej, i nie dochodzi do utraty plonów. To naprawdę fajne! Badacze wymyślili, jak obejść problem za pomocą nie fundamentalnej zmiany, lecz prostej poprawki.

25 gatunków, których nasiona znajdują się w Wakehurst, już w naturze wyginęło. Może się okazać, że niektórych upraw nie będzie już jak uratować.

– Ziemniak ma setki dzikich krewniaków, ale już np. groszek tylko czterech – mówi badaczka. – W przypadku zaś np. bobu nie znamy ani jednego.

Projekt „*Crop Wild Relatives*" wspiera finansowo rząd Norwegii, a zarządza nim pozarządowa, pracująca nad bezpieczeństwem roślin uprawnych organizacja Global Crop Diversity Trust wraz z Milenijnym Bankiem Nasion i Ogrodami Kew. To sieć globalnej współpracy między bankami genów i instytutami hodowli roślin. – Po raz pierwszy w tej sprawie zebrali się eksperci z całego świata, żeby działać na skalę globalną. Dlatego to takie ekscytujące – mówi Ruth Eastwood.

Audytorzy PricewaterhouseCoopers oszacowali wartość dzikich krewniaków roślin uprawnych na 42 mld dolarów. W przyszłości może ona wzrosnąć do 120 mld. – A dzicy krewniacy to tylko niewielki odsetek tego, co tam trzymamy – mówi dr Eastwood, wskazując na podłogę. – Pomyśl o innych zastosowaniach roślin: choćby w branży paliwowej czy medycynie.

Dr John Dickie dodaje, jak mały jest przy tym koszt prowadzenia banku nasion: – Całość rocznych wydatków Królewskich Ogrodów Botanicznych KEW wynosi tyle, ile kosztował fotel katapultowy do myśliwca Tornado.

A więc ochrona przed zagładą czy pożytek? Czy bank służy przyrodzie, czy człowiekowi? – Jednemu i drugiemu – odpowiada bez wahania dr John Dickie. – Jesteśmy częścią natury i jeśli my, pojedynczy gatunek, zdominujemy Ziemię, odbije się to również na nas.

### Powrót do Żyznego Półksiężyca

Skarby z Wakehurst chronione są przez półmetrowe ściany betonu. Bunkier jest odporny na bombardowanie czy katastrofę lotniczą. W gotowości są czujniki przeciwpożarowe, poziomu radiacji i $CO_2$.

– Bank jest naprawdę nieźle chroniony – mówi Oriole Wagstaff. – To ważne. Jeden z większych banków nasion był w Aleppo.

W 2015 r. nasiona przechowywane w sercu dawnego Żyznego Półksiężyca ewakuowano na Svalbard. Na ponurą ironię zakrawa, że w 2003 r. do Aleppo ewakuowano nasiona ocalone z banku w ogarniętym wojną Bagdadzie. Nasiona powoli wracają na Bliski Wschód: ale już do nowego banku, w Libanie.

– Mamy u nas zabezpieczone też nasiona z Iraku, Iranu czy Południowego Sudanu – mówi Oriole. – Konflikty zbrojne są jedną z najczęstszych przyczyn wymierania roślin.

Z końcem listopada Milenijny Bank Nasion w ramach programu „*Crop Wild Relatives*" wysłał do libańskiego banku ponad 70 tys. nasion dzikich krewniaków roślin uprawnych, w tym pszenicy, jęczmienia i soczewicy. ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Korzystałem z Thor Hanson „Triumf nasion", 4A Oficyna, Żółwin 2016; Martin Jones „*Feast. Why Humans Share Food*", Oxford University Press 2008; Maguelonne Toussaint-Samat „Historia naturalna i moralna jedzenia", W.A.B. 2002; publikacji naukowych, informacji FAO i Kew Gardens.

PAWEŁ

# Bravo:
## *Mirabelka z Muranowa*

Nalewki. Nie będziemy dziś pić, choć czas temu wybitnie sprzyja. Zimną wilgoć z kości, gdy świat wsiąka w szarość, a obiad jeszcze nie uleżał się w żołądku, najlepiej wygonić łykiem cierpkiej tarninówki. Albo choćby poczciwej wiśniówki, znalezionej w piwnicy po dziadku czy wziętej od mojego kolegi, tak znakomitego w tym fachu, że aż zazdroszczę jego przyszłym wnukom. Kto nie ma przyjaciół ze spirytusowym biglem, może zawsze kupić u pana Karola Majewskiego spod Warszawy, wytrawnego eksperymentatora, który potrafi wydobyć taką egzotykę smaków z mazowieckiego poszycia leśnego, łąk i sadów, że klękajcie tropikalne narody.

Nie, tym razem cofniemy się na ulicę Nalewki. Wśród arterii dawnej dzielnicy żydowskiej i getta ma ona szczególnie fantomowy charakter: raz, że z dawnych Nalewek nie został kamień na kamieniu, a dwa, że powojenni planiści, nie wiedzieć czemu, nadali tę nazwę ogryzkowemu przesmykowi pośród nowych bloków 300 m obok. Stare Nalewki częściowo pokryły monumentalne bloczyska, coś jak MDM w miniaturze. Monumentalne i racjonalnie symetryczne, ale, jak to bywa ze wszystkimi polskimi racjonalizmami, także i ten chorował na niecałkowitość, zatem w szparach wielkiego osiedla ocalały resztki dawnych ogrodów, jakie zapełniały zaplecze domów na Nalewkach tam, gdzie zabudowa ongiś była mniej rozproszona. Lud Warszawy z chęcią dał się przenieść z zawilgoconych suteren do dobrze nasłonecznionych siedlisk nowej klasy przodującej, jednak nie porzucił tej bardzo praktycznej skrzętności, która każe człowiekowi pielęgnować to, co w jego otoczeniu może przynieść jakiś plon.

„Mirabelka próbowała odejść. Pochyliła się i wyciągnęła przed siebie gałęzie. Gotowa do podróży, wysunęła korzenie z ziemi. Nowi mieszkańcy otoczyli drzewo stalową obręczą i zatrzymali w pół ruchu" – pisała Hanna Krall o jednym z takich podwórkowych drzewek. W jej tekście z tomu „Tam nie ma już żadnej rzeki" mirabelka posłużyła za trampolinę do opowieści o jednym z charakterystycznych dla tej pisarki losów, którymi można by zapełnić jakieś warszawskie, nie weneckie, Nadbrzeże Nieuleczalnych. Ale to drzewo tam naprawdę, zwyczajnie, nieliteracko rosło, pielęgnowane przez lokalsów, dając w zamian co roku mnóstwo słodkiego owocu, przerabianego w sąsiednich klatkach schodowych na kompoty i dżemy.

Usłyszałem niedawno, że kolor kompotu ma kapitalne znaczenie w dyskusji o pamięci. Na zebraniu małego muranowskiego stowarzyszenia jeden z obecnych gorączkowo przeszukiwał pamięć telefonu, szukając zdjęcia słoja z kompotem ugotowanym z nalewkowskiej mirabelki. Było to bardzo potrzebne, ponieważ botaniczka zaproszona z Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach zadała rzeczowe pytanie o odcień skórki owoców z owego drzewa, aby ustalić, czy mówimy o odmianie nancy, czy też innej. A znalazła się wśród nas dlatego, że potrzebowaliśmy fachowej pomocy w odtworzeniu naszego lokalnego symbolu. W mieście tak bardzo przyjaznym dla inwestorów, że coraz bardziej wrogim ludziom, takie niemodne, całkiem nieozdobne (za to brudzące chodniki) drzewa nie mogą czuć się bezpieczne.

Żeby zrozumieć kaca, jakiego doświadczamy pod miłościwym okiem pani prezydent o zbyt wielu kadencjach, może się przydać historia o mirabelce, która rosła sobie w najlepsze, gdy Hitler i Stalin robili co swoje, aż jakieś bezmyślne draby ścięły ją przy budowie nowego apartamentowca. Któż by się spodziewał, że takie niby nic stanie się traumą dla lokalnej społeczności? Tylko sentymentalista jakiś – ale na szczęście w tej historii znalazło się trochę ludzi sentymentalnych. Okazało się bowiem, że pod Waszyngtonem rosną drzewka wyrosłe z pestek, które ktoś zabrał ze sobą z Nalewek na pamiątkę. Zaimprowizowany łańcuch pomocy poskutkował – chciałoby się powiedzieć: zaowocował, ale to za wcześnie – przywiezieniem do Polski pędów, które być może uda się podhodować w skierniewickim instytucie tak, by za jakiś czas na Muranowie móc zasadzić na nowo, w nieco innym miejscu, drzewo mirabelkowe.

Mógłby ktoś trzeźwo zauważyć: a kupcie sobie nową sadzonkę, może nawet okaże się bardziej plenna i odporna? Jednak nie. Skoro na podwórkach dawnych Nalewek mieszkają jeszcze ludzie pamiętający smak tamtych owoców i przetworów, to trzeba się postarać, żeby nowe drzewko było „z rodziny". Kompot jest tylko kompotem, nie ma co go obarczać zbyt wieloma znaczeniami, bo jeszcze, biedaczek, skwaśnieje. Ale z drugiej strony nawet w takich drobnych gestach wyraża się troska o świat, do jakiej każdy z nas zostaje powołany przez sam fakt urodzenia: chcąc zamieszkać bezpiecznie i ciepło w przyszłości, musimy ją budować z pestek, które znajdujemy na naszych podwórkach. ©℗

*Jednym z moich „pestkowych" wspomnień zimy jest deser z tradycji weneckich chłopów, tak siermiężny i mało efektowny, a w dodatku występujący, jak wszystkie dania kuchni biednej, w tylu wariantach, że mało komu chciało się go kodyfikować. Zwie się pinza. W mojej rodzinnej mieścinie Bassano jadałem go w miejscowej piekarni – gdzie zawsze taki tłok, że nigdy nie śmiałem zawracać głowy pytaniami. Swoją wersję przypomniał mi mój przyjaciel Alfredo, współautor „Kuchni Dantego", urodzony na przedmieściach Wenecji, a więc rzut kamieniem. Kroimy na kawałki 500 g starego białego chleba (np. bułki paryskiej), namaczamy w litrze mleka. Rozgniatamy go na papkę, dodajemy namoczone 150 g rodzynek, 150 g namoczonych fig, jabłko pokrojone w kostkę, garść orzechów, 30 g nasion kopru włoskiego (to bardzo ważny składnik!), 2 jajka, 120 g cukru, mieszamy. Blachę ok. 30 na 40 cm smarujemy masłem, oprószamy mąką, przelewamy ciasto, powinno mieć ok. 5 cm grubości. Pieczemy w 180 stopniach, ok. godziny, aż z wierzchu się porządnie zrumieni (ale w środku będzie zawsze mokra). Jemy po wystudzeniu, aż osiądzie.*

*Gałązki „mirabelki z Muranowa" przywiezione z Waszyngtonu*

PATRYCJA DOŁOWY

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Kim być?*

Zimponującej palety tematów noworocznych postanowiliśmy wybrać coś dla każdego, każdemu pasującego i – co bodaj najważniejsze – każdego rodaka najżywiej interesującego. Jest to mianowicie zagadnienie, któremu nieczerstwiejącej świeżości nadaje sytuacja polityczna. Będzie to ćwiczenie z wyobraźni, i tu dodać musimy, że takowe gimnastyki uważamy za najpożyteczniejsze, rozwijające szalenie gibkość dramatyczną i fabularną oraz, co w dzisiejszych czasach najważniejsze – narracyjną.

Zastanowimy się zatem, kimże być lub raczej nie być w nadchodzącym roku. Idzie nam tu, rzecz jasna, o szeroko pojętą profesję, która w najbliższych kilkunastu miesiącach może dać nam satysfakcję solidnego bytu, bądź to która mogłaby być powodem łez, zgryzot, a to nieszczęścia bądź bankructwa zarówno finansowego, jak i moralnego.

Na początek wymieńmy zawody, które lepiej natychmiast porzucić, są to bowiem zajęcia niosące ryzyko nieustannego dotyku, a wręcz bycia w uścisku z władzą ustawodawczą i wykonawczą. Przekichane zatem mają prawnicy, lekarze, żołnierstwo, policjanci oraz urzędnicy w ogóle, a pracownicy budżetówki w szczególe. Zajęcia te radzimy natychmiast przestać uprawiać, dyplomy podrzeć, lampasy oderwać, pały schować, togi przerobić na sutanny, kitle przefarbować, stetoskopy porozkręcać, szpatułki połamać, a garnitury pomiąć.

Żołnierzom radzić wypada, by mundury obłożyli w szafach kulkami przeciwmolowymi. Lekarzom, póki państwo nie licencjonuje jeszcze tego zawodu, by się natychmiast uznachorzyli. Prawnik polski – tak miły naszemu sercu – winien znaleźć sobie na ten rok zajęcie oderwane od paragrafozy. Urzędnik – jeśli mu życie miłe – powinien postarać się bądź to o rentę, bądź spróbować zsunąć się w hierarchii najniżej, słowem, będzie on bezpieczny i szczęśliwy nie przedzierając się przez stosy papierzysk i przybijając pieczątki, lecz pracując w kotłowni albo w stołówce macierzystego urzędu. Jest jeszcze naturalnie nieco zawodów z pierwszej linii ryzyka, ale tu każdy zdolny do samodzielnego kombinowania obywatel musi popuścić wodze i zadecydować: czy jego profesja leży w kręgu zainteresowania nowej elity, czy też może sobie spać we własnym łóżeczku.

Świat akademicki – wydaje się – nie ma od nas tak pilnych poleceń, jak profesjonaliści powyżsi. Niemniej jest rzeczą oczywistą, że przyjdzie tu kryska na Matyska szybciej, niż się wydaje. Przykład awansu posła Suskiego pokazuje, że dziś wszystko jest możliwie i że każdy może zostać kimkolwiek – dajmy na to profesorem. Profesorowie, naturalnie nie wszyscy, powinni się głęboko zastanowić, czy aby na pewno chcą uczyć młodzież, czy są gotowi nadążać za jej dziarskością, i czy mają w sobie owej dziarskości wystarczający zapas. Dobrym testem na sucho niech będzie lektura dzieła „Agrobiologia", autorstwa Trofima Łysenki (Państwowy Instytut Wydawniczy, 1950), i doprawdy nieważne, czy czytający jest biologiem, polonistą, matematykiem czy historykiem, chodzi tu o test na zdolność kiwania głową. Jeżeli podczas czytania tego utworu głowa będzie wykonywać ruch uważany powszechnie za znak akceptacji, osobnik testowany może śmiało projektować swą karierę akademicką, jeżeli zaś nie, powinien poszukać sobie w tym roku miejsca w handlu bądź usługach. Naturalnie mamy na myśli inicjatywy drobne, słowem: polecamy raczej stragany niż aktywność charakterystyczną dla płatnika VAT.

Artyści polscy muszą solidnie puknąć się w głowę, jeżeli myślą, że prześlizgną się po naskórku zjawisk. Że uda im się schronić w piwnicach konceptualizmu bądź – cokolwiek to znaczy – postmodernizmu. Póki państwo nasze stoi przed zadaniami najpilniejszymi, mogą sobie oni koczować w ziemiankach muzyki atonalnej, szałasach teatru formalnego czy norach szeroko pojętej abstrakcji. Widać jednak, że ten czas się kończy, że cierpliwość narodu jest na wyczerpaniu, i niech nikt nie udaje zdziwienia, gdy do jego pracowni wkroczy ludowa komisja odziana w czapki frygijskie, oczekująca natychmiastowej skoczności. Artystom polecamy zatem ćwiczenia ze szczerości w umiłowaniu ludu.

Komu nic nie grozi? Uważamy, że w tym roku najlepiej będzie być celebrytą albo rolnikiem, albo – co jeszcze lepsze – celebrytą i rolnikiem równocześnie. I tego właśnie wszystkim noworocznie zamyślonym serdecznie życzymy. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

# Deo et Patriae

Szanowni Państwo! Drodzy Przyjaciele KUL,

Wkraczamy wspólnie w Nowy Rok 2018,
rok jubileuszu 100-lecia
Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
Jana Pawła II.

Niech przyniesie nam on wiele radości i pokoju.
Niech każdego dnia Nowego Roku
towarzyszy nam Boże błogosławieństwo.

ks. prof. Antoni Dębiński
Rektor KUL

od 100 lat jest KUL

REKLAMA

# INTERNET ŚWIATŁOWODOWY

S-NET

# POWSZECHNA RZECZ W SPECJALNYM WYDANIU

S-NET NAJNOWOCZEŚNIEJSZE I ZINTEGROWANE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE

- ODCZUWALNIE SZYBKI I SYMETRYCZNY INTERNET S-BIZNES
- TRANSMISJA DANYCH W GWARANTOWANYCH PRZEPUSTOWOŚCIACH
- CLOUD COMPUTING Z DOSTĘPEM DO NAJNOWOCZEŚNIEJSZYCH FUNKCJONALNOŚCI
- TELEFONIA ZOPTYMALIZOWANA KOSZTOWO
- HOSTING DEDYKOWANY POTRZEBOM

**www.1000Mega.pl**

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl